

Odkrywczy i zdobywcy

MILOŠ V. KRATOCHVÍL



WYDAWNICTWO
ŚLĄSK

MIŁOS V. KRATOCHVIL

**ODKRYWCY
I ZDOBYWCY**

Przekład Jadwigi Bułakowskiej



WYDAWNICTWO „ŚLĄSK” KATOWICE 1976

ODKRYWCY, ZDOBYWCY...

Odkrywczy nowych lądów, nowych części świata...

Statek odważnych marzeń rusza w nieznaną! Dziób jego tnie spienione grzbiety fal, omasztowane na wypełniającym żagle wietrze zgrzyta i skrzypi, a na wysokim kasztelu brzuchatej karaweli kapitan pochyla się nad igłą kompasu: troski zmarszczkami pokrywają mu czoło, myśl goni myśl — ilość przebytych przez statek w ciągu dnia mil morskich, stopnie szerokości i długości geograficznej, kąty pozycji gwiazd, które o północy znajdują się w zenicie...

... a statek płynie nocą i dniem.

Sterniku! Ster na burcie!

Zbliża się już chwila, gdy marynarz w bocianim gnieździe na przednim maszcie zawoła: „Ziemia! Ziemia na horyzoncie!”

Cóż w tym dziwnego, że każdemu zaraz przychodzi na myśl Kolumb! Ten niezwykle genueńczyk, wspominany wielokrotnie w podręcznikach, powieściach i dramatach — jako pierwszy odkrywca Ameryki.

Nic bardziej fałszywego!

Kolumb nie był pierwszym z Europejczyków, który przybił do brzegów nowej, amerykańskiej części świata. Nie był też ani pierwszym, ani najsławniejszym z tych ludzi, którzy całe serce i wszystkie siły poświęcili odkrywaniu tajemniczych dalekich lądów. I jeśli nawet na miejsce Kolumba wstawimy nazwiska: Magellana, Corteza czy Pizarra, odpowiedź będzie jeszcze dalsza od prawdy. Tych bowiem dzielnych ludzi — nikt nie neguje należnej im światowej sławy — dlatego znamy tak dobrze, że byli to „ludzie biali”, Europejczycy tak jak my. Z uśmiechem pobłażliwości wprawdzie traktujemy, uczonych średniowiecza, którzy wierzyli,

że kula ziemską jest nieruchomym centrum wszechświata, wokół niego zaś krąży Słońce i inne ciała niebieskie. I z taką samą pewnością siebie dochodzimy często do wniosku, że to biała rasa pierwszaniosła we wszelkich dziedzinach i zakresach działania owe pochodnie, które rozpraszają mroki nieznanych dotąd tajemnic.

A przecież w czasach, gdy Europę pokrywały jeszcze puszcze i grzęzawiska, gdzie gromady łowców staczały ciężkie walki o życie, w innych częściach świata rozkwitały już bogate i różnorodne cywilizacje i kultury. Jeszcze dziś nie umiemy dokładnie wyobrazić sobie, jak mogli dawni Egipcjanie — bez znajomości nowoczesnej techniki — wznosić swe olbrzymie piramidy na 2800 do 2750 lat przed naszą erą! Jak mogli poprzednicy meksykańskich Majów — w nie mniej odległych starożytnych czasach — budować wyniesione tak wysoko nad ziemię swe niedawno dopiero odkryte wspaniałe gmachy świątyni, na które olbrzymie bloki kamieni i skał musieli sprowadzać z odległości wielu setek kilometrów? Spróbujmy wreszcie ustawić obok siebie staroindyjskie i starochińskie dzieła sztuki oraz prymitywne wyroby wielu im współczesnych artystów europejskich! (Wszystko to musi nas przekonać, że „białym twarzom” więcej skromności przystoi; oczywiście jest prawdą, że ich wyprawy odkrywcze istotnie zapisały się w dziejach jedną charakterystyczną cechą, którą niesłychanie górowały nad wszelkimi podobnymi przedsięwzięciami innych ras. Tą przoduującą europejską cechą był „sacra auri fames” — święty głód złota, który był motorem działania białych odkrywców i doprowadził ich do masowych rzezi, rabunków, grabieży i okrucieństw, których nikt już z historii nie wykreśli).

Gdzie powstały pierwsze wielkie skupiska ludzkie, pierwsze wspólnie zorganizowane siedziby i warunki życia, pierwsza cywilizacja? Gdzie ustaliły się najbardziej dojrzałe ośrodki rozwojowe, skąd ludzie zaczęli po raz pierwszy przenikać do sąsiednich, nieznanych krajów?

Były to krainy nad Morzem Śródziemnym, dalej doliny rzek Eufratu i Tygrysu, tzw. Mezopotamia, dorzecze Gangesu i Brah-

maputry, czyli Indie Przedgangesowe, dolina Nilu w północnej Afryce, wreszcie równiny wzdłuż rzek Huang-ho i Jangcy, a więc dzisiaj środkowe Chiny. Po drugiej stronie kuli ziemskiej, na łądzie amerykańskim, występują dwa wielkie ośrodki dawnych kultur: kultury Majów i ich poprzedników w Meksyku oraz kultury Inków w dzisiejszym Peru.

Dlaczego ośrodki przyszyłych wielkich cywilizacji i kultur powstały właśnie na wymienionych terenach?

Najwyraźniej dlatego, że istniały tam, stworzone przez przyrodę, wyjątkowo sprzyjające temu warunki. Spójrzawszy na mapę odnajdujemy wszystkie te kraje — z wyjątkiem Peru w Ameryce Południowej — w tej samej strefie: między 15° i 45° szerokości geograficznej północnej. To właśnie strefa, którą cechuje łagodny klimat, urodzajna ziemia, dostateczna ilość wilgoci i ciepła, lecz jeszcze bez bujnej, tropikalnej roślinności, upałów i deszczów. Dalej na północ ciągnie się już strefa ostrzejsza, po prostu surowa: wielkie różnice pór roku, srogie zimy, a wraz z nimi śniegi i lody. Ze względu właśnie na ten swój charakter owe leżące dalej na północ tereny nie stwarzały warunków dla rozwoju człowieka w czasach, kiedy ludzie nie umieli jeszcze okiełznać i wykorzystać przyrody, kiedy na odwrót: przyroda silniejsza była od człowieka. Stąd też w krainach północnych ludzie musieli całą swą energię koncentrować na obronie życia i egzystencji, nie mieli więc czasu na zajmowanie się udoskonalaniem swych narzędzi pracy i walki.

A jak przedstawiały się sprawy na terenach położonych bardziej na południe, w krajach tropikalnych? Całkowicie odmiennie. Dość było ręką sięgnąć po banana, strącić kamieniem orzech kokosowy, nazbierać trochę bulw, nazrywać rosnących wszędzie obficie soczystych owoców — by zaspokoić głód. Czasem jadospis urozmaicała ryba lub zabite strzałą z łuku zwierzę. Nic tam nie zmuszało człowieka do wydatkowania większej ilości energii ponad konieczną potrzebę, do uciekania się do wynalazczości — i bez tego był syty. Tropikalne upały, ulewy, duszne powietrze w gęstwinie bujnej roślinności, wywołujące uczucie zmęczenia, także nie sprzyjały jakiejś konkretniejszej, wymagającej wysiłku działalności.

Tak więc główne ośrodki rozwojowe ustaliły się tam, gdzie przyroda nie sprawiała zbyt wielkich trudności w wyżywieniu

i działalności ludzi, gdzie zarazem każda praca i jej udoskonalanie przynosiły wyraźnie większe korzyści. Stanowiło to bodziec dla ludzkiej wynalazczości, od wieków nastawionej na to, by wyżywić się jak najłatwiej, pracować w tym celu jak najmniej, wszystko co potrzebne — później także i niepotrzebne — zdobywać i wyrabiać najłatwiej, najszybciej, najtaniej. Wszystkie te usiłowania to siła napędowa postępu ludzkości.

Znamy już główne ośrodki najbardziej rozwiniętych cywilizacji i kultur. Nic więc dziwnego, że z tych właśnie środowisk najbardziej zaawansowanych najwcześniej i najmśmielej wyruszali do nieznanych krain na wyprawy badawcze — jako najlepiej do takich zadań przygotowani — pierwsi odkrywcy i zdobywcy.

Co od wieków gnało człowieka, co zmusza go do dziś i zmuszać będzie zawsze do porzucenia własnego, bezpiecznego dachu nad głową, do wypraw w kraje nieznane, w tajemnicze światy?

Odpowiedź jest bardzo prosta.

Każde dziecko, gdy tylko nauczy się korzystać z swych zmysłów, rozpoczyna odwieczną wędrówkę do tajemnic świata, starając się odkryć, poznać wszystko, co je otacza, przy pomocy dotyku, wzroku, słuchu, węchu i smaku. Wszystko, czego dziecko dosięgnie, podnosi przede wszystkim do ust — może dałoby się to jeść?

Identycznie ten sam rodowód miała i ma ciekawość dorosłego człowieka, a także i większych zespołów ludzkich: rodów, plemion, narodów. Od najdawniejszych czasów kusiła ona, by zobaczyć, co jest tam „dalej”, gdzie nikt jeszcze nie był. I znów za wszystkim tym kryje się znane nam już: może znajdzie się tam coś do jedzenia?

Już w tak zwanej „epoce kamiennej”, kiedy ludzie nie znając jeszcze w ogóle metali wyrabiali broń i narzędzia z ciosanego i szlifowanego kamienia, wtedy już z nadmiernie licznych gromad odłączały się grupy „nadiczbowych” i wędrowały w okolice niezamieszkałe szukając nie wykorzystanej, nie należącej do nikogo ziemi, która mogłaby ich wyżywić. Kiedy ludzie umieli już udoskonalać broń myśliwską, wędrowali z miejsca na miejsce w poszukiwaniu nowych, bogatych w zwierzyną łowisk. Jeszcze później, gdy znana już była ludziami uprawa ziemi, cel ich wędrówek stanowiło poszukiwanie urodzajnej, nie wyeksplloatowanej ziemi;

pragnęli zanurzyć swe radła w żyzną, dziewiczą glebę lub przygotować pola pod orkę przez wypalanie leśnych zarośli.

W miarę jak społeczność ludzka udoskonalała swe narzędzia, broń i środki transportu, łatwiej było podejmować dalekie wyprawy, zapuszczać się w coraz odleglejsze, nie znane dotąd okolice.

Z ośrodków dojrzałej już cywilizacji wysuwały się pierwsze macki — byli to kupcy i wojownicy. W gruncie rzeczy niewielkie były między nimi różnice: karawanom kupieckim towarzyszyły mocne, uzbrojone eskorty, wojownicy zaś podejmowali liczne wyprawy, by zdobyć poszukiwane towary. Gdy sprawę załatwiano na drodze pokojowej, nazywało się to handlem, gdy łała się przy tym krew, określano to jako rozbój lub trochę delikatniej: zdo-byc lub łup.

W czwartym i trzecim tysiącleciu przed naszą erą karawany kupieckie wędrowały już z Mezopotamii do Mniejszej Azji, do krajów leżących na wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego; było to prawdopodobnie w tym samym czasie, gdy od drugiej strony zbliżali się Egipcjanie, którzy wtargnąwszy na półwysep Synaj przeszli do Fenicji i Syrii. W tym samym także czasie Egipcjanie odkryli drogę na wschód do Morza Czerwonego oraz na południe do Nubii. O jednej z takich „handlowych” wypraw mówi wyrtytu na skałe napis egipski, że towarzyszył jej: „dowódca wojsk szerczących w obcym kraju strach przed królem”. Bardziej szczegółowe informacje istnieją o podobnej wyprawie egipskiej, która w latach 1525—1503 p.n.e. wyruszyła na południe Afryki, do kraju „Punt”. Wracając przywiozła stamtąd: „wiele wonnego drzewa, moc żywicy mirry, świeże drzewka mirry, drzewo hebanowe, czystą kość słoniową, srebro, złoto, masło do oczu, pawiany, koczko-dany, psy, skóry południowych panter oraz tubylców i ich dzieci. Nigdy żądnemu z żyjących na północy królów nie przywieziono nic podobnego.”

W starożytności narodem najbardziej przedsiębiorczym w handlu nad Morzem Śródziemnym byli żyjący na jego wschodnich wybrzeżach Fenicjanie. Dla wszystkich innych narodów morze było raczej przeszkodą w ekspansji, Fenicjanom natomiast — kiedy ci ruchliwi żeglarze nauczyli się budować szybkie i zwrotne statki o napędzie wiosłowym — morze oddawało usługi. Korzystne usytuowanie między Zachodem i Wschodem przesądziło o roli Fe-

nicjan jako pośredników w obustronnym handlu, na którym rzecz prosta kupcy fenicycy dobrze zarabiali. Stąd też ich olbrzymie zainteresowanie kwestią udoskonalenia środków transportu morskiego. W ósmym i siódmym stuleciu p.n.e. już na całym wybrzeżu Morza Śródziemnego istniały rozsiane fenickie kolonie i osady handlowe. Wkrótce potem statki Fenicjan przepływały Gibraltar, penetrowały zachodnie brzegi Półwyspu Pirenejskiego wychodzące już na Ocean Atlantycki, docierały do Wysp Brytyjskich przywołując stamtąd cynę.

I tu napotykaemy pierwszą, istotnie „odkrywczą” w pełnym tego słowa znaczeniu wyprawę. Z szóstego wieku p.n.e. zachowała się informacja o podróży, jaką odbył żeglarz Hanno z Kartaginy (Kartagina to bogata kolonia fenicka) wzdłuż zachodnich wybrzeży Afryki. Flota jego złożona z sześćdziesięciu statków pięćdziesięciosłowych wiozła trzydzieści tysięcy mężczyzn i kobiet. Z tak znacznej ilości Fenicjan płci obojga zabranych na wyprawę łatwo domyślić się jej celu — Hanno miał na zachodnich wybrzeżach Afryki, możliwie najdalej na południe, zakładać kolonie handlowe, osady i stacje nadmorskie.

Za rządów faraona egipskiego Necho (603—592 p.n.e), w jego służbie i z jego rozkazu, Fenicjanie dokonali jakoby opłynięcia Afryki. Według historyka greckiego Herodota skierowali się z Morza Czerwonego na południe, przepłynęli koło dzisiejszego Przylądka Dobrej Nadziei i posuwali się wzdłuż afrykańskich brzegów tak długo na północ, aż przez Gibraltar powrócili znów na Morze Śródziemne. Nie wiadomo, czy wiedza historyczna zdoła tę informację potwierdzić. Lecz gdyby nawet okazała się ona fałszywa, pozostanie jednak niezbity fakt, że Fenicjanie zachodnim brzegiem Afryki dotarli bardzo daleko na południe, podobnie jak wzdłuż brzegów wschodnich dopłynęli co najmniej do Somali. Żeglarskie wyprawy Fenicjan drogą morską przesunęły granice najdalej, aż tam, gdzie zetknęły się ze światem antycznym narodów znad Morza Śródziemnego.

Drogą lądową granice te przesunęli najdalej Rzymianie, ostatni władcy terenów śródziemnomorskich starożytnego świata. Ze swych baz w Italii rozszerzali swoje państwo wzdłuż wszystkich bez wyjątku europejskich, azjatyckich i afrykańskich brzegów Morza Śródziemnego, by stamtąd wdzierać się coraz dalej w głąb

lądów, podbijać jeden naród po drugim. I tak w Europie stały się prowincjami rzymskimi: cały Półwysep Pirenejski, Wyspy Brytyjskie, Francja, znaczna część Niemiec. Legiony rzymskie w Europie Środkowej przedarły się przez Alpy aż nad Dunaj i dalej na wschód, rozbiły swe obozy na ziemiach Słowacji, obsadziły Bałkany, brzegi Morza Czarnego. Dalszą prowincją stała się Azja Mniejsza i tereny nadbrzeżne aż po Egipt. Wreszcie w Afryce Północnej zwarty pas wybrzeży, sięgający aż na wprost Gibraltar, zamykał ów olbrzymi pierścień potężnego Imperium Rzymskiego, oświetlającego resztę świata swym bogactwem i potęgą wojskową.

Nie ma wątpliwości: dziełem Rzymian były podboje i ujarzmianie narodów. Na nazwę „odkrywców” nie zasłużyli.

Szukając w tamtych czasach ludzi naprawdę zasługujących na to miano, musimy zwrócić się w inną stronę — na Daleki Wschód.

JEDWABNY SZLAK

Czas: drugie stulecie przed naszą erą.

Miejsce: Chiny.

Główna osoba akcji: Czang Cien.

DRUGIE stulecie przed początkiem naszej ery...

Kiedy w Europie Środkowej odgłosy historii zagłusza szum prastarych borów i okrzyki nieznanymi łowców i rozmaitych „barbarzyńskich” plemion — które później dopiero wejść mają na arenę dziejów — przenieśmy się w świat nieznanymi: od Morza Śródziemnego na wschód, coraz dalej i dalej, wiele tysięcy kilometrów, gdzie drogę znów zagrozi nam morze. Lecz tym razem będzie to bezbrzeżny przestwór Oceanu Spokojnego, zaś brzeg, na którym się zatrzymamy, to brzeg chiński.

Dlaczego wtedy właśnie Chiny stały się kolebką odkrywczych tendencji i słynnej, pełnej przygód wyprawy Czang Ciena, z którą niewiele tylko wypraw badawczych można porównać, jakkolwiek od tamtych czasów upłynęły już prawie dwadzieścia dwa stulecia?

Mniej więcej na dwieście lat przed początkiem naszej ery, w Chinach, po długim okresie zamieszek, objęła rządy nowa dynastia, której założyciel pochodził z najniższych warstw administracji prowincjonalnej. Dynastia ta rządziła później państwem chińskim przez cztery stulecia, jednocząc je w zwartą całość.

Już pierwszym władcom z rodu Han udało się umocnić podstawy państwa chińskiego, zaprowadzić ład i zapewnić dobrobyt. Osiągnęli to drogą rozszerzenia zakresu władzy centralnej, kosztem przede wszystkim rodowej szlachty feudalnej, której wpływ na rządzenie państwem znacznie zmalał. W ślad za tym nastąpił rozkwit rzemiosła i podniesienie poziomu rolnictwa. Państwo objęło również własną administracją (w formie monopolu państwowego) najważniejsze działy gospodarki, między innymi także bicie monety, której wartość nie ulegała już wahaniom (na półtora tysiąca lat przed Europą!). Pieniądz więc — ze względu na sta-

łość i solidność wartości — stał się podstawą olbrzymiego rozwoju handlu i gospodarki kapitałowej. W związku z tym kupcy chińscy i finansisci przede wszystkim, specjalnie zainteresowani sprawami handlu zagranicznego, apelowali do cesarza, by postarał się wreszcie rozzerwać zaczarowany krąg, zaciskający się szczerlnie wokół Chin, izolując je od reszty świata.

Co tworzyło ten zaczarowany krąg?

Od północy nieprzyjazne, zimne, kamieniste lub stepowe tereny, z rzadka tylko zaludnione przez prymitywnych koczowników, nie budzące zainteresowania, niewarte wprost uwagi. Od wschodu ogromny, zdający się nie mieć końca ocean. Od południa niedostępne połacie puszczy i wysokich łańcuchów górskich, zamieszkałych podówczas przez dzikie plemiona, a stanowiące wieczne siedlisko zabójczej malarii (dzisiejsze Chiny południowe i Indie północno-wschodnie). A od zachodu?

Na zachodzie — dokąd najczęściej biegly spojrzenia chińskich kupców i władców państwa — piętrzyły się przeszkody niemal nie do pokonania. Na przestrzeni tysięcy kilometrów przyroda wytworzyła tu bezludne, piaszczyste pustynie i skaliste masywy górskie, gdzie latem słońce paliło nawet powierzchnie kamieni, zimą zaś beznieżny wicher gnał całe chmury kłującego piasku. Nigdzie jak okiem sięgnąć ani śladu trawy, a tam, gdzie pokazywała się woda, trawa gniła w słonych mokradłach, pojawiała się i znikała w wędrujących jeziorach.

A jednak i na tych krańcach świata, pozbawionych na pozór ludzi i zwierząt, istniało życie. Tyle tylko, że dla wędrowca, przedzierającego się w ustawicznej walce z głodem i pragnieniem przez pustynie i przełęcze górskie, każdy przejaw życia na tych terenach oznaczał — śmierć. Niosły ją bowiem dzikie plemiona koczownicze, groźni Siung-nu, prawdziwi władcy tych stepów środkowej Azji. Na małych, szybkich konikach, od lat najmłodszych jakby wrośnięci w siodła, pojawiali się na pustych jeszcze przed chwilą krańcach horyzontu i pędząc galopem do samotnego jeźdźcy czy karawany spadali nań jak piorun, który uderza w stojące na równinie samotne drzewo.

Gdy tylko jakaś karawana przekroczyła wschodnie granice chińskiego państwa, już niewidzialni szpiedzy Siung-nu nie spuszczały jej z oka przekazując wieść dalej, aż dotarła do władcy

i wodza, który zwoływał wojowników i w dogodnym miejscu uderzał na karawanę. Wysyłane przeciwko Siung-nu karne ekspedycje wojskowe nie dawały rezultatów; Siung-nu byli niedościgli i nieuchwytni, mieszkając bowiem w namiotach często zmieniali swe siedziby. Przy tym, jeśli zaistniała potrzeba, ich wódz naczelny, szan-jü, mógł błyskawicznie zwołać swych konnych poddanych, którzy zjeżdżali się zarówno z pustyni Gobi, jak od brzegów jeziora Kuku-nor i ze zboczy gór Nan-Szan. I nim ktokolwiek się spozostregł, już nieprzebrane masy jeźdźców stały w pogotowiu, armia wyrastała jakby spod ziemi.

W ten sposób Siung-nu pozbawiali Chińczyków możliwości przeniknięcia na zachód, co gorsza: najężdżali także rdzenne chińskie ziemie na północnych krańcach państwa. Jednak za dynastii Han zdołano przynajmniej zlikwidować te wypadki na terenach chińskie. Mimo to drogę na zachód w dalszym ciągu zamykała stworzona przez Siung-nu śmiertelna bariera nie do przebycia, groźniejsza niż wszelkie przeszkody stawiane przez wroga przyrodę.

A przecież właśnie teraz, bardziej niż kiedykolwiek, handel chiński i ekspansywne tendencje państwa powinny za wszelką cenę przełamać dotychczasową izolację Chin i to przede wszystkim w kierunku zachodnim.

Dlaczego?

Mimo szczernej zapory, jaką tworzyła przyroda i zagrożenie ze strony Siung-nu, przenikały jednak do Chin wiadomości, że gdzieś daleko na zachodzie azjatyckiej części świata istnieją niezmiernie bogate królestwa i państwa, których niezwykle, wspaniałe i drogocenne wyroby olśniewają ludzkie oczy niby tysiące słońc odbitych w kropkach porannej rosy. Wieści te mówiły o nadzwyczajnych kruszczach, cudownych materiałach, fantastycznych wyrobach i nieznanach zwierzętach — aż się ludziom w głowach mąciło. Od czasu do czasu docierały do rąk kupców chińskich poszczególne okazy tych zachodnioazjatyckich towarów — ale za jaką cenę! Takie okrucy z bogato zastawionego stołu zachodu sprzedawali niekiedy Chińczykom handlarze Siung-nu, kiedy przypadkiem okazało się, że korzystniej jest na kupcach chińskich dobrze zarobić, niż poderżnąć im gardła.

Ale jak dotrzeć do źródła owych kuszących bogactw? Dniem

i nocą rozmyślali nad tym chińscy kupcy i przedsiębiorcy, zastanawiał się cesarz i jego dwór... Co zrobić, by podbić te dalekie kraje i włączyć je do własnego państwa?

Nie tyle szalona odległość, nawet nie groźne warunki podróży czy wrogość przyrody stanowiły przeszkodę nie do pokonania — byli nią od dawna i pozostawali nadal owi przeklęci, niezwalczeni, nieuchwytni Siung-nu!

Wreszcie na dwór chiński dotarła wiadomość, którą warto było rozważyć. Działo się to za rządów cesarza Wu, sprawującego władzę w latach 140—87 przed naszą erą. Wiadomość mówiła, że Siung-nu mają potężnego wroga, naród Wielkich Jüe-czy. Byli oni co prawda dwukrotnie przez Siung-nu pobici, potem jednak osiedlili się na zachodzie za górami tworząc tam wielkie, bogate państwo. Gdzie się ono dokładnie znajdowało, wiadomość nie wspominała. (Dolina za górami Hindukusz, dziś północny Afganistan). Określała jednak kierunek podsuwając zarazem pewien plan. Jeżeli potęga samych Chin nie zdola pokonać Siung-nu, to na pewno w przymierzu z Wielkimi Jüe-czy da sobie z nimi radę atakując znieawidzonego wroga z dwóch stron.

Tylko jak się porozumieć z tym nowym, domniemanym jak dotąd sprzymierzeńcem? Oczywiście: przy pomocy poselstwa, które uzgodni wspólne działanie! Ale poselstwo to musiałyby przejść w poprzek całe terytorium Siung-nu, pokonując drogę obliczaną w przybliżeniu na osiem tysięcy li,* gdzie na każdym kroku czyną zasadzka, śmiertelne niebezpieczeństwo.

Cóż pozostawało innego? Trzeba się było na to odważyć!

Tak więc w roku 139 p.n.e. cesarz Wu zdecydował stanowczo i nieodwołalnie: wysłać do królestwa Wielkich Jüe-czy w zachodniej Azji poselstwo dla omówienia wspólnej wyprawy wojennej przeciwko Siung-nu.

Był właśnie miesiąc kwitnących brzoskwiń, gdy cesarz przedłożył swej radzie ostatnie już pytanie: kogo postawić na czele tego śmiałego poselstwa? I skinał na swych doradców, by kolejno, według starszeństwa stawiali propozycje.

Najstarszym z dygnitarzy dworskich, a więc pierwszym w ko-

* Chińska miara: 1 li (mila) = 576 m. Odległość 8000 li, czyli 4608 km równa jest odległości od Gibraltaru przez Europę aż po południowe krańce Uralu.

lejności, był wypróbowany w wielu bitwach naczelny wódz armii, któremu jednak starość wzrok popsula.

— Postaw na czele dowódcę wojska! — powiedział. — Droga przez ziemie Siung-nu to droga miecza.

— Postaw na czele dyplomate! — odezwał się zasłużony urzędnik.

Bogaty kupiec doradzał wybór doświadczonego kupca. I tak radzili wszyscy następni zalecając ludzi swego własnego zawodu. Kiedy wypowiedzieli się już wszyscy, zaczęli znów przemawiać od początku wyliczając zalety, jakimi winien odznaczać się taki dowódca. Powinien być odważny, lecz nie porywczy, silny lecz rozsądek winien mieć przewagę nad jego mięśniami. Zalecali także, by miał solidny charakter i umiał przystosować się do okoliczności, by był cierpliwy, niezłomny i konsekwentny....

— Krótko mówiąc — zniechęcony cesarz przerwał powódz propozycji i zaleceń — chcecie, bym wybrał anioła, nie człowieka. Nie ma na świecie takiego człowieka, który miałby chociaż połowę tych dobrych, wymienionych tu przez was właściwości!

Umilkli więc radcy bojąc się cesarskiego gniewu, uswiadomili sobie bowiem, że przemawiali jak niedoświadczone dzieci.

Tymczasem cesarz Wu zwrócił się na tronie w stronę pisarza, który gotował się zapisać pędzelkiem na papierze uchwałę rady cesarskiej, i rzekł z westchnieniem:

— Czasem słowo poety więcej jest warte niż mądrość uczonych. Poradz więc ty, który oprócz urzędu cesarskiego jesteś także poetą: kogo mamy wybrać?

Pisarz cesarski istotnie był poetą, więc — jak to zwykle u poetów bywa — był ogromnie wrażliwy i przeczułony. Kiedy cesarz skończył, już miał wybuchnąć, że jest poetą nie „oprócz” urzędu cesarskiego, tylko że stanowisko pisarza przyjął dlatego, bo poeta, jego jedyne i prawdziwe powołanie, nie zdołałaby go wyżywić nawet w blasku tak ośniewającego słońca, jakim jest cesarz Wu. Opamiętał się jednak w czas, przeknął nieprzyzwoitą uwagę i po chwili namysłu odpowiedział:

— Wielki cesarzu, jeśli wola twoja z twej wysokości wysłuchać głosu tak nędznego robaka, przyjmij moją radę. Postaw na czele wyprawy — samobójce.

Całą najbliższą noc poeta i pisarz w jednej osobie przeleżał na

brzuchu na swym materacu wdychając, plecy miał bowiem zalane krwią od podwójnej porcji piętnastu batów — z rozkazu cesarza. Także i członkowie rady cesarskiej nie spali spokojnie, ponieważ cesarz Wu odprawił ich w gniewie żegnając odchodzących takimi słowami, których nawet kronikarz nie odważył się zanotować.

A cesarz zamknął się na całą noc w najbardziej odległej komnacie pałacu. Nie wiadomo czy spał, czy też aż do piana kogutów zszalał w poczuciu bezradności...

Rok cały szukał cesarz wraz z radą odpowiedniego do wykonania tak trudnego zadania człowieka. Ostatecznie sprawę przesądziła odpowiedź, jakiej udzielił jeden z egzaminowanych, gdy cesarz Wu postawił mu pytanie:

— Dlaczego uważasz, że tobie właśnie przedsięwzięcie to się powiedzie?

— Prawdopodobieństwo sukcesu jest chyba takie — rzekł tamten z powagą — jak szanse małej myszy wodnej, kiedy chce przepłynąć Żółtą Rzekę, w której wodach pełno jest ryb drapieżnych, na brzegach polują wydry, a nad wodami krążą orły morskie. Mówi mi to mój umysł, mój rozum. Ale wiem, że zadanie swe wykonam i pewnego dnia znowu stanę przed twoim obliczem, cesarzu. To bowiem mówi mi moje serce a ono bliżej jest źródła życia, którego słucha bez udziału ludzkich myśli, ludzkiej woli.

W taki to sposób w roku 138 p.n.e. dowódcą wielkiej wyprawy na zachód został Czang Cien. Wielu członków rady cesarskiej z zadwojeniem kiwało głowami: okazało się, że mieli rację, ponieważ Czang Cien przy swym młodzieńczym męstwie był zarazem doświadczonym dyplomata, co udowodnił już w niejednym poselstwie za granicę. Znany był z umiejętności postugiwania się bronią, był odważny i rozsądny, silny i zrównoważony — później okazało się to specjalnie ważne. Posiadał przy tym niezwykły dar bystrej obserwacji; umiał dostrzec nie tylko rzeczy zewnętrzne i szczegóły, które dokładnie zachowywał w pamięci, ale potrafił także z obserwacji wyciągnąć wnioski, doszukać się ich głębszego sensu i znaczenia. Przejawiało się to również w jego podejściu do ludzi, co miało ten skutek, iż natychmiast uświadamiali sobie, że ten człowiek dobrze ich pojmuje i rozumie, dlatego też rozniewani hamowali gniew, wrogowie nieufność, ci zaś, którzy roz-

mawiali z nim szczerze i otwarcie, wnet stawali się jego wiernymi przyjacielami.

A jednak ten człowiek — jak się okazało — nie wyrzekał się obłudy, podstępny, łamania słowa czy gwałtu, gdy wymagało tego jego zadanie, ponieważ wypełnienie go stało się celem i sensem całego jego życia.

Tak więc w roku 138 p.n.e. wyruszyło do Wielkich Jüe-czy słynne poselstwo, na czele którego stał wybrany drogą starannej selekcji Czang Cien: żołnierz, dyplomata, amator przygód, marzyciel i wierny sługa śmiałej idei w jednej osobie. Orszak jego składał się ze stu osób, a każdy z tych stu ludzi wybrany był po licznych badaniach z wielu tysięcy. Na zastępcę Czang Cien wybrał swego rówieśnika Han Fu z rodu Siung-nu (wzięty przez Chińczyków do niewoli jako chłopiec wychowywał się wraz ze swymi chińskimi rówieśnikami i przyjacielami). Han Fu był wybitnym strzelcem; kiedy położywszy się na ziemi zapałł się nogami o luk, mocnymi rękami podciągał ciężką do piersi i zaczął ją na zastawce kuszy, w oczach jego pojawiał się błysk uśmiechu i radości — z góry już był pewien, że trafi w cel. Nie było takiej tarczy, lecącego ptaka czy uciekającego zwierzęcia, którego by nie dosięgnęła jego strzała.

Resztę owego oddziału stanowili w połowie wojownicy, w połowie zaś poganiacze i dozorczy zwierząt jucznych, niosących zapasy żywności i wody: dla ludzi i dla zwierząt. Nie było bowiem cienia nadziei, by na pustyni i na stepach wyprawa mogła w ciągu długich tygodni napotkać źródło wody lub pokrytą trawą łąkę, więc mówiąc już o czymś, co mógłby strawić ludzki żołądek.

Poselstwo pod wodzą Czang Ciena wyruszyło jedną z zachodnich bram Wielkiego Muru Chińskiego koło pogranicznego miasteczka Lung-si. Przed nimi leżał początek ich drogi, koniec jej zaś krył się w nieznanej dali. Dla wszystkich tych ludzi równie nieznanym był każdy ich dalszy krok. A jednak z owych stu mężczyzn nikt się nie zawałał o prugu wyprawy, z której po wielu latach miało powrócić zaledwie dwóch ludzi. Wtedy na szczęście nikt z jej uczestników o tym nie wiedział.

Początkowo zjeżdżali górzystym terenem nieustannie w dół.

Jeszcze obejrawszy się za siebie jeździec mógł od czasu do czasu między szczytami gór dostrzec grzbiet Wielkiego Muru — ostatnie pożegnanie oczystego kraja.

W miarę jak droga schodziła niżej, zanurzała się coraz głębiej w bijący od rozpalonej, piaszczystej równiny dławiący żar — ogarnąwszy jeźdźców miał teraz towarzyszyć im dzień po dniu, niewiele folgując nawet i w nocy: palił usta i gardła, piekł pod powiekami. Spod kopyt koni, mułów, osłów i jucznych bawołów wzbijały się kłęby pyłu, nozdrza zwierząt rozwiierały się szeroko, przerażone oczy wpatrywały się w nieznaną okolicę. Pośród nawianych piasków kołysały się żółta ostnicy — wysuszonej do białości trawy stepowej — martwe siostrzyce bielejących zwierzęcych szkieletów, które jeźdźcy napotykali od czasu do czasu po drodze. Pragnienie, wyczerpujące poty, dokuczliwe bóle stawów i zmęczenie rozsiadły się w siódłach nie wypuszczając z objęć ni ludzi, ni zwierząt. Równina, szarobura, pylista równina, pozbawiona jednego krzewu czy drzewa, taka sama wczoraj, dziś i jutro, już swą ponurą jednostajnością odbierała ducha i nadzieję.

Wielka pustynia Gobi pozwoliła setce mrówek wejść na swą rozżarzoną, piaskową płytę...

Każdy dzień był taki jak poprzedni i następny, noc podobna była do nocy.

Aż pewnego wieczora trzej jeźdźni, wysłani naprzód jako patrol wywiadowczy, galopem powrócili do głównego oddziału. Koło wielkiego sterczącego samotnie wśród piasków głazu znaleźli wyraźne ślady ogniska! Resztki zwęglonych gałęzi i osmolone kamienie! Ten kto ognisko palił, nawet nie zadał sobie trudu, by zatrzeć ślady swej obecności.

Czang Cien wzmocnił przednie strażę i dla pewności zmienił umyślnie kierunek drogi. Mimo to jednak następnego dnia patrol znowu wykryły wyraźne ślady nieznanych jeźdźców trzymających się nieustannie w pobliżu chińskiego poselstwa. Tym razem byli to widoczne na piasku ślady kilku koni.

A rankiem dnia następnego... Mogłoby to wyglądać na przewiezenie, gdyby...

Gdyby nie fakt, że równocześnie widział to sam Czang Cien, a także Han Fu i kilku innych jeźdźców. Nagle na krańcach hory-

zontu ukazały się trzy drobne, niewyraźne sylwetki jeźdźców i zaraz zniknęły, jak zwiane wiatrem żółbia trawy.

Wieczorem znów gdzieś daleko ukazali się jacyś jeźdźcy, potem i o świcie, ale już nie tylko na przedzie, także z lewej i z prawej strony chińskiej wyprawy.

Nie było wątpliwości: to wywiadowcy Siung-nu.

Tegoż wieczora Czang Cien przywołał swego zastępcę Han Fu i innych dowódców wojskowego konwoju.

— Od granic kraju dzieli nas dwa razy po dwanaście dni drogi. O powrocie nie ma co myśleć: Siung-nu dogonią nas i zaatakują gdziekolwiek i kiedykolwiek zechcą. Nie ma więc najmniejszego powodu, byśmy nie kontynuowali podróży. Nie będzie to bardziej niebezpieczne, niż gdybyśmy się zatrzymali albo zawrócili. Co dalej, zdecydujemy w zależności od tego, jakie zamiary będą zdradzali Siung-nu.

Przez następne dwa dni nic się nie zmieniło. Jezdźni regularnie o brzasku zjawiali się na horyzoncie i towarzyszyli chińskiemu poselstwu z daleka nie zbliżając się ani o krok.

Dopiero trzeciego dnia...

Tego ranka światło słoneczne nie mogło przedrzeć się przez fioletozszare zasłony piaskowych chmur gnanych ostrym wiatrem po stepie; ziarna piasku smagały twarze, zasypywały oczy, rozpalone igły piasku kłuły i parzyły każdy odsłonięty skrawek skóry. Widoczność była prawie żadna, chińscy jeźdźcy mieli wrażenie, że posuwają się w gęstej mgłę, gdzie nawet słuch nie może przynieść ostrzeżenia, ponieważ nieustanny ruch piasków szumi i szeleści jak suchy przybój.

Teraz Czang Cien dał rozkaz zatrzymania się i uformowania tak, by uzbrojeni jeźdźcy utworzyli żywy szaniec dokoła taboru, gdzie zgromadzono zdjęte z jucznych zwierząt juki i zapasy. Burza piaskowa szumiała nieustannie, nie było słyhać żadnych innych odgłosów. Aż nagle — tak niespodziewanie jak się zaczęła — burza się skończyła: kłęby wirującego piasku opadły na ziemię, otworzył się widok na wszystkie strony. Chińczycy spostrzegli, że ponad tysiąc Siung-nu otacza ich zewsząd; rozłożyli się grupami dokoła chińskiego poselstwa w odległości zasięgu strzały. Siedzieli nieruchomo na swych małych, długowłosych koniach, futrzane czapy okrywały ich głowy, wysoko nad ramionami sterczały dzidy

i strzwały do luków. Nikt z nich nie zbliżył się do otoczonych, nikt nie dał żadnego znaku, nie odezwał się słowem.

Chińscy wojownicy nie spuszczaali oczu z Czang Ciena oczekując na rozkaz do ataku. Ale Czang Cien zbyt był rozsądny, by daremnie ryzykować życie swych towarzyszy. Wiedział doskonale, że nie tylko ma przed sobą dziesięciokrotnie większe siły, lecz że gdzieś za plecami wroga gromadzą się dalsze oddziały, a może ich tam być bez liku. Rozkazał ludziom zsiąść z koni i przygotować strawę. Kto wie, kiedy znów będą mogli najęść się do syta. Odłożywszy kopię, miecz i wszelką broń, tylko w towarzystwie Han Fu wyjechał z obozu kierując się ku najbliższej grupie Siung-nu.

Siung-nu dopuścili obu jeźdźców chińskich zupełnie blisko, potem błyskawicznie ich otoczyli i całą hordą, z Czang Cieniem i Han Fu pośrodku, ruszyli za jadącym na przedzie dowódcą w step.

Nikt dziś już się nie dowie, co działo się dalej, bowiem jedyne zachowane źródło, mówiące o wyprawie Czang Ciena, to „Zapiski historyczne” słynnego historyka Sy-ma Ciena (żył około 136—85 roku p.n.e.), który tę część życia bohatera skwitował zwięzłą tylko notatką, że Czang Cien przebywał przez lat dziesięć w niewoli u Siung-nu. Ileż to spraw taić może takich kilka oschłych słów!

Stawiony przed władcą Siung-nu, najwyższym dowódcą szan-ju, Czang Cien nie mógł zataić kim jest, nie mógł też negocjować celu i powodu wyprawy. Wielki wódz miał już o tym wszystkie informacje od swych szpiegów w Chinach, mógł więc czekać spokojnie, aż poselstwo chińskie samo wpadnie mu w ręce. Nie wiemy, jak traktował swego dostojnego jeńca, możemy tylko domyślać się, jaki los spotkał innych członków poselstwa, z których nikt już do kraju nie powrócił. Zginęli wszyscy co do jednego w niewoli u Siung-nu. Jedynym wyjątkiem był Han-Fu, który pozostał przy osobie Czang Ciena — bez wątpienia jako jego osobisty służący i przewodnik.

Czang Ciena pilnie strzeżono. Zbyt wielką miał dla Siung-nu wartość, by pozwolono mu zginąć. Z jednej strony mogli oni liczyć, że w wypadku pertraktacji z Chińczykami otrzymają za niego wysoki okup lub jakieś inne korzyści, z drugiej strony szan-ju mógł mieć w stosunku do niego jakieś własne plany. Może po-



znawszy jego zdolności i doświadczenie chciał go pozyskać do pracy dla swego państwa. Wskazuje na to chociażby fakt, że podczas pobytu w niewoli Czang Cien zawarł małżeństwo i to oczywiście z córką jakiegoś krewniaka lub dygnitarza szan-jü. Jedyne co z tych czasów wiemy, to że — mimo całej przyjaźni i stosunków, jakie zdołał nawiązać — był on nieustannie pilnowany i strzeżony jak najdrogocenniejsza zdobycz.

Nie pozostawało mu więc nic innego jak ciągle wędrowki wraz z szan-jü przez pustynie i step, wzdłuż i wszerz, nocą i dniem — tam, dokąd wiodły Siung-nu ich wojenne czy łowieckie wyprawy. Rany na napięstkach Czang Ciena, powstałe od pęt z pierwszego okresu niewoli, dawno już się zgoiły, od dawna też wolno mu było poruszać się swobodnie w pobliżu dowódcy i w przejściach między namiotami koczowniczego miasta, ilekroć Siung-nu osiedli na jakimś miejscu na czas dłuższy. Mógł także wyjeżdżać na łowy, tylko że zawsze i wszędzie snuł się za nim cień strażnika. Jedyne gdy wracał do własnego namiotu, mógł czuć się wolny i nienadzorowany. Tam zresztą także nie był sam, ponieważ jego żona, księżniczka z rodu Siung-nu, zawsze wiernie czekała na swego pana i małżonka, by podać mu jadło, a uśmiechem i szczebiotem przypominającym świergot ptasi rozegnać chmury na jego czole.

Czang Cienowi nigdy nie wadziła obecność żony, z tej prostej przyczyny, że szczerze ją kochał, tak jak i ona jego kochała. Nie mieli przed sobą tajemnic: jedna tylko księżniczka wiedziała, że w myślach Czang Ciena nigdy nie zgasł płomień marzenia o wypełnieniu zadania, postawionego mu przez cesarza i kraj ojczysty. W miarę upływu lat nikt z otoczenia dowódcy już nie pamiętał, przy jakiej okazji Czang Cien dostał się do niewoli i do jakiego zmierzał celu. Szan-jü tak się już do niego przyzwyczaił, że przed każdą wyprawą zasięgał jego rady zaliczając go do swych najbliższych, najbardziej zaufanych dworzan.

Płynęły lata, Czang Cien nadal wędrował po nigdy dotąd nie widzianych krainach, dokąd wiodły go nieustanne wyprawy szan-jü. Raz była to Kotlina Cajdamska, martwa jak śmierć sama, bez jednego źdźbła trawy, bez kropli wody, kiedy indziej znów droga Siung-nu wiodła w pobliżu głazów skalnych Tien-Szan, skąd rwące wody górskich potoków spadały w dolinę Kokszaal-Tau. Czasami zabiegały jeżdżącym drogę spowite w chmury szczyty potęż-

nych gór Tybetu, potem znów paliły im gardła wzywy słonych stepów. W wędrowkach tych nigdy jednak Czang Cien nie zbliżył się do granic swej ojczyzny, ani też do królestwa Wielkich Jüe-czy.

Całe dziesięć lat, sto dwadzieścia miesięcy, pięćset dwadzieścia tygodni umiał Czang Cien nie zdradzić się ani przez chwilę, że za kamienną twarzą duch jego czai się jak drapieżny zwierz, który nie wie co to zapomnienie lub rezygnacja. Ten właśnie niezłomny, świadomy swych celów duch cierpliwie czekał. I wreszcie się doczekał!

Zapiski mądrego Sy-ma Ciena nie przekazały nam informacji, jaką to okazję Czang Cien uznał za odpowiednią do wykonania swego zamiaru — ucieczki z niewoli. Dlaczego stało się to właśnie po latach dziesięciu, a nie po ośmiu czy jedenastu? Trzeba zadowolić się tym co wiemy, w pełnym przekonaniu, że oczywiście był to pierwszy sprzyjający zbieg okoliczności, wykorzystany przez jeńca do ucieczki. Kto bowiem przez tyle lat przygotowuje akcję będącą pewnym, że zamiar jego musi się kiedyś udać, ten co prawda zawsze ostrożnie waży okazje, ale jak którąś uzna za odpowiednią, na pewno nie zechce jej zmarnować.

Tak więc — chociaż nie wiemy w jaki sposób i dlaczego właśnie wtedy — Czang Cien znalazł się znowu na wolności. Uśpiony obóz Siung-nu pozostał gdzieś za ciemną zasłoną nocy, a u boku zbiega kłusowali na małych konikach: jego wierna małżonka-księżniczka i nieodłączny Han Fu...

Czang Cien odnosił wrażenie, że owe dziesięć lat niewoli to tylko koszmarny sen, który przemknął między zmierzchem i świtem. Czuł się silny, jakby odmłodzony, zdawało mu się, że tak niedawno dopiero wyjechał z pogranicznego miasteczka Lung-si, że po krótkim tylko postoju kontynuuje nadal swą podróż do Wielkich Jüe-czy.

Uratowało go tylko to, że ruszył właśnie na zachód. Kiedy raniem Szan-jü dowiedział się od dworzan, że jego cenny jeńiec uciekł, wysłał za nim pogoń na wschód w przekonaniu, że zbieg mógł uciekać jedynie do własnego kraju. Komuż przyszłoby na myśl, że człowiek, który tak cierpliwie przez lat dziesięć znosił niewolę, odzyskanie wolności wykorzysta do dalszego pełnienia swych obowiązków, do wykonania zadania, któremu poświęcił się bez reszty.

Trójka zbiegów stwierdziła wnet z zadowoleniem, że nikt ich nie ściga. Była to jedna sprzyjająca ich ucieczce okoliczność. Cała reszta to dalsza nieustanna walka, co prawda nie z wrogiem-człowiekiem, lecz z równie bezlitosną, okrutną przyrodą. Mrozy i upały na zmianę, beznadziejne przestrzenie pustyni i niedostępne łańcuchy górskie. Wiele dni uciekali tak zbiegowie wśród lodowatych wichrów smagających ich na przełęczach Ałtyn-tagu, z łałem potem wspominali je wędrując długie dni i tygodnie przez kotlinę Takla Makan jak po rozpalonej płycie żelaznej, gdzie nawet rozgrzany piasek przybierał czerwoną barwę.

Aż wreszcie pewnego dnia, gdy z trudem przedzierali się przez przełęcze Gór Sarykolskich do niebotycznego Pamiru, nagle roztoczył się przed nimi tak rozkoszny widok, jakiego oczy obu Chińczyków niemal już nie pamiętały. To co dostrzegli gdzieś daleko w głębi przed sobą, było krainą zielonych równin, błękitnych wód, szumiących gajów i lasów, krainą, gdzie można ugasić pragnienie, a płodami ziemi zaspokoić głód, krainą najcudowniejszych marzeń — a jednak teraz najzupełniej realnie rozpościerającą się przed nimi!

Urodzajna dolina, w którą wpatrywał się Czang Cien, była to rozległa Kotlina Fergańska, bogata, o bujnej roślinności, gdzie rozciągało się szczydrze wszelkimi darami przyrody obdarzone państwo Ta-wan (chińska nazwa Fergany). Stamtąd też rozbiegały się liczne dalsze drogi i ścieżki, wiodące zazwyczaj przez kontakty handlowe z bogatym krajem do bogatych sąsiadów — do Sogdiany, Baktrii i Chorezmu.

Kiedy Czang Ciena przywiedziono przed oblicze władcy tego kraju, monarcha tawański — jak podaje kronika Sy-ma Ciena — ogromnie się ucieszył i zaczął się dopytywać, w jaki sposób można by nawiązać stosunki z Chinami.

— Wysłany jako poseł dynastii Han do państwa Jüe-czy został wzięty przez Siung-nu do niewoli, skąd teraz udało mi się uciec. Wydadaj, panie, rozkaz swym przewodnikom, by doprowadzili mnie do kraju Jüe-czy. A gdy powrócę do mej ojczyzny, cesarz mój z dynastii Han przysła ci niezmiernie ilości darów.

Czang Cien nie mógł nawet wymienić imienia cesarza, który miał okazać wdzięczność władcy Ta-wanu, nie wiedział bowiem, co w ciągu tych dziesięciu lat zaszło w jego kraju i co jeszcze uleg-

nie zmianie zanim doń zdoła powrócić. W jego odpowiedzi dźwięczała jednak pewność siebie i wiara — głębokie przekonanie, że on sam, po wykonaniu swego zadania, na pewno do Chin powróci.

Sila argumentów Czang Ciena najzupełniej przekonała władcę Ta-wanu, przydzielił mu więc liczny, solidny konwój, który doprowadził chińskiego posła najpierw do Chorezmu, skąd później Czang Cien udał się przez Sogdianę do Baktrii, gdzie właśnie osiedlił się naród Wielkich Jüe-czy, zepchnięty przez Siung-nu na zachód.

CZANG CIEN STANĄŁ WRESZCIE U CELU

DOTARŁ co prawda do kresu swej podróży, nie osiągnął jednak swych zamierzeń. Oto Wielcy Jüe-czy, ogień zaprzysięgli wrogowie Siung-nu, bez entuzjazmu przyjęli propozycję chińskiego posła: podjęcia wspólnej z Chińczykami wyprawy wojennej przeciwko dzikim koczownikom, oddzielającym państwa Baktrii i Chin. Jüe-czy byli bardzo szczęśliwi w swej nowej ojczyźnie, nie mieli więc powodu rezygnować ze spokojnego trwania w dobrobycie dla jakichś wypraw wojennych. Dawno już przemieszczały się z miejscowymi mieszkańcami, z całą energią zajmowali się zarówno rolnictwem, czemu niezwykle sprzyjała urodzajna gleba, jak i handlem wciągającym Baktrię z całą zachodnią Azją, dalej zaś z greckimi i rzymskimi krajami nad Morzem Śródziemnym, oraz z Indiami na południu.

Wojna z Siung-nu przyniosłaby korzyści Chinom, co do tego nie było wątpliwości. Lecz po cóż mieli Wielcy Jüe-czy porzucać suto zastawione stoły i wyruszać na wojnę z jeźdźcami stepowymi, biednymi w dodatku jak mysz kościelna.

Tak więc misja Czang Ciena się nie powiodła.

Rok przeżył w Baktrii; po roku dobrze zasłużonego wypoczynku wyruszył wraz z żoną i zastępcą w drogę powrotną.

Historia się powtórzyła. Znowu — i to bardzo niedługo — znalazł się w niewoli u Siung-nu, powtórnie udało mu się z niej uciec i podjąć dalszą podróż, która po trzynastu latach nieobecności doprowadziła go ostatecznie do granic ojczyzny.

Powtórzyła się historia, ale powtórzył się także i historyk: Sy-

-ma Cien powrół Czang Ciena skwitował jednym jedynym zdaniem, notując sucho nagi fakt.

Z historią różnie bywa. Przecież te dziesięć lat, jakie Czang Cien spędził po raz pierwszy w niewoli w Siung-nu, potem jeszcze dalsze dwa lata (zapewne znacznie bardziej okrutne i niebezpieczne), już same w sobie stanowiły najbardziej interesującą przygodę, gdzie w grę wchodziło życie lub śmierć. Lecz dla człowieka takiego jak Czang Cien i coś więcej jeszcze: zrealizowanie najistotniejszego dlań zadania, czy może nawet marzenia, które stało się sensem całego jego życia. Jakżé interesujący, skomplikowany i niezwykły musiał być bez wątpienia jego stosunek do własnej, pochodzącej z wrogiego plemienia żony. Jednak ta księżniczka z rodu Siung-nu wytrwała u boku swego chińskiego małżonka, przeżyła z nim wszelkie udręki, by ostatecznie powrócić wraz z nim do jego chińskiej ojczyzny. To bardzo wzruszające, dramatyczne i zarazem niezmiernie ciekawe. Tylko, że o tym wszystkim nie wiemy nic, czy też prawie nic. Czy to wina Sy-ma Ciena? Może w ogóle wina kronikarzy i historyków, że ich wykształcenie, czy też na odwrót: brak wykształcenia decyduje o tym, czego możemy dowiedzieć się o przeszłości?

Nie, nie jest aż tak źle. Przekazy z przeszłości nie są jeszcze tak dalece zależne od przypadku, jakby się na pierwszy rzut oka mogło zdawać. Coś jednak z życia i czynów Czang Ciena przechoowało się przez okres ponad dwóch tysięcy lat do naszych czasów. Tylko z jego osobistych wrażeń i przeżyć — jakkolwiek mogły one być dla niego najbardziej dramatyczne, a dla nas najbardziej ciekawe i emocjonujące — nie znamy prawie nic. Ludzkie, osobiste sprawy szybko toną w oceanie czasu.

Czas jednakże udowodnił, że właściwie zadanie Czang Ciena, które w tak godny podziwu sposób starał się wypełnić, wcale nie było tak ważne, jak się jemu samemu i tym, co go wysłałi wydawało. Chiński poseł i dyplomata pogodził się stosunkowo szybko z niepowodzeniem, jakie spotkało go w kraju Wielkich Jüe-czy. Wartość owych trzynastu lat poniewierki, udręki i wyrzeczeń kryła się w zupełnie czym innym. Czang Cien, obdarzony umiejętnością obserwowania i rozumowania, widział za Chińskim Murem świat taki, jaki tam istniał w rzeczywistości. Umiał odróżnić rzeczy możliwe od niemożliwych, ocenić właściwie siły wrogów

i sprzymierzeńców, nakreślić realne cele, przewidzieć sukcesy lub klęski takiej czy innej polityki zagranicznej Chin. Słowem: przywiózł do kraju tak wiele rzeczowych, wiarygodnych, własnymi oczyma skonfrontowanych wiadomości i informacji, że ich suma stała się postawą nowego kierunku polityki chińskiej, obowiązującej w państwie przez kilka stuleci.

Nic więc dziwnego, że historia Czang Cienowi właśnie przypisuje opracowanie niezwykle śmiałego, zuchwałego wprost planu przeniknięcia Chin na tereny azjatyckiego zachodu. Od tego bowiem czasu ekspansja Chin zmierzała w kierunku wytyczonym przez odkrycia Czang Ciena.

Pierwszym warunkiem swobodnego dotarcia na zachód było zepchnięcie Siung-nu z terenów dzielących Chiny od państw i krajów w zachodnich częściach Azji. Dokonać tego można było jedynie siłą. W latach 123—119 p.n.e. wojska chińskie zdołały rozgromić główne siły Siung-nu i przegnać wrogów aż do północnej Mongolii. W walkach z dawniejszymi swymi gnębiicielami brał także udział Czang Cien.

Kiedy już droga w ten sposób została otwarta i stuletnie przeszkody usunięte, Czang Cien ruszył znów na czele wyprawy w tym samym kierunku. Teraz była to już spokojna i łatwa podróż. Najpierw dotarł do zachodniej krainy Wu-sun, skąd następnie porzucił wysłanników i posłów do uprzednio już odkrytych krajów: do Partów na północy i do Indów na południu.

Nawiązawszy odpowiednie kontakty dyplomatyczne i handlowe, gdzieś koło roku 113 p.n.e. Czang Cien powrócił do kraju. Była to już ostatnia wyprawa tego niezwykle utalentowanego i niezłomowanego podróżnika. W rok potem zmarł.

W kilka lat później mógł już historyk chiński zanotować, że państwo chińskie powiększyło się o szereg dalszych prowincji, o czternaście krajów, które w zachodniej Azji uznały zwierzchność chińską. Były to właśnie te kraje, które tak niedawno dla Chin odkrył Czang Cien.

Właściwie nawet nie mocarstwowa ekspansja Chin na azjatycki zachód była na jstotniejszym sukcesem Czang Ciena. Wszystkie tak ważne na oko osiągnięcia polityczne przewyższyła, a do histo-

rii weszła jako jego konkretne dzieło — praca naukowca-odkrywczy!

Tylko kilka kartek jego dawno już zaginionego dziennika podróży przejął i zacytował Sy-ma Cien w swych „Zapiskach historycznych”. Jakie szczęście, że ten słynny historyk miał tak godny pochwały zwyczaj przytaczania obszernych wyjątków ze źródeł. Nie do wiary wprost jak dalece różnią się spostrzeżenia tego dawnego chińskiego podróżnika od wszystkich starożytnych i średnio-wiecznych opisów podróży, znanych z tamtych czasów! Z europejskich najbliższe mu w czasie są pamiętniki Juliusza Cezara „O wojnie galijskiej”. Jakżé jednak surowo, prymitywnie żołnierski i jednostronny jest obraz galijskiego świata, widziany oczyma tego wykształconego Rzymianina, wodza, polityka i dyplomaty, jednego z najślawniejszych mężów antyku! Jeżeli weźmiemy dla porównania młodsze o paręset lat pierwsze europejskie kroniki podróży — których autorzy tak często naocześnie stwierdzenie zastępują fantazją rozpisując się o krajach jednookich olbrzymów lub ludzi posiadających twarze na piersiach — jeżeli te wytwory wyobraźni porównamy z obserwacjami Czang Ciena, odniesiemy nieoczekiwane wrażenie, że tam przemawia do nas nowoczesny, myślący realnie uczyony.

Nie tylko opisuje on rzeczowo wygląd kraju, jego glebę, roślinność, góry, rzeki, miasta, ich wielkość i ilość, lecz uwaga jego skupia się przede wszystkim na ludziach, na ich sposobie życia. Cały świat zewnętrzny, całą przyrodę obserwuje i ocenia w sposób zupełnie nowoczesny, dzisiejszy — w odniesieniu do człowieka. W każdym kraju bacznie śledzi ustrój państwowy i organizację społeczne, zwyczaje narodowe, tradycje i obyczaje, język, sposób odżywiania i przede wszystkim rolnictwo, ale równocześnie także i zewnętrzne przejawy życia: stroje, architekturę i tym podobne. Nie ukrywa przy tym swoich intencji: opowiada o tym wszystkim dlatego, by wszystko, co poznał wartościowego, stało się dla jego rodaków, gdy o tym usłyszą lub przeczytają, wzorem lub przykładem. Interesował się także żywo klimatem, stanem dróg, oczywiście ze względów praktycznych: przecież w te właśnie strony miała skierować się ekspansja Chin. I dlatego także wiele uwagi poświęcał specjalnie informacjom natury politycznej: z kim dany

kraj sąsiaduje i jakie z nim utrzymuje stosunki, przyjacielskie czy wrogie.

Cóż więc dziwnego, że po tak fachowym, rzeczowym i politycznym zbadaniu ośrodków zachodnioazjatyckich chińska ekspansja, tak polityczna jak mocarstwowa, a przede wszystkim handlowa, miała szanse powodzenia. Czang Cien nigdy bowiem nie był biernym obserwatorem, stale występował czynnie w interesie swego kraju, głosząc zawsze i wszędzie jego potęgę, szerząc jego sławę.

W czasach późniejszych idące śladami Czang Ciena chińskie karawany handlowe przetarły Wielki Szlak Jedwabny, który połączył oba tak odległe od siebie krańce Azji. Istotnie Jedwabnym Szlakiem wędrowały przede wszystkim towary jedwabne — docierając wnet coraz dalej, także na rynki europejskie, i ośniewając oczy tamtejszych kobiet. A to stało się przyczyną znacznego rozszerzenia handlu międzynarodowego.

W ostatniej swej podróży na zachód Czang Cien przeżył niezwykłą przygodę. Zetknął się wtedy w stolicy Baktrii z paru kupcami indyjskimi. Gdy zaczął oglądać ich towary, w pewnym momencie doznał ośnienia. W kącie namiotu kupieckiego zauważył nagle — bambusowy stoliczek, na nim bambusowe przybory do jedzenia! I dywanik przykrywający bambusowy stolik... Wszystko to pochodziło z Chin!

Zetknięcie się z przedmiotami przypominającymi daleką ojczyznę nie tylko wzruszyło Czang Ciena, ale kazało mu zastanowić się: w jaki sposób przedmioty te dostały się w ręce kupców indyjskich i za ich pośrednictwem aż tutaj? Na to mogła być tylko jedna odpowiedź: przez ręce rozmaitych przekupniów i pośredników wyroby chińskie przewoźowały aż do krainy słoni (tzn. Indii) inną drogą niż ta, którą on sam tam dotarł — na północ od Tybetu. Tamta druga droga wiodła bez wątplenia od Tybetu na południe, od południowych granic Chin przez Birmę i stałe na zachód do Indii.

Kiedy Czang Cien wiadomość tę po powrocie przekazał cesarzowi, potężny cesarz Wu postanowił dołożyć wszelkich starań, by i tamtędy przetrzeć drogę na zachód. Jednakże wszelkie starania w tym kierunku rozbiły się o groźne warunki dzikiej, tropikalnej przyrody oraz o wrogość ludności tubylczej. Tak więc ten drugi projekt dalekowzrocznego Czang Ciena na zrealizowanie

musiał czekać jeszcze całe stulecia. Dokonali tego ostatecznie także rodacy Czang Ciema, tyle że nie drogą lądową, lecz morską. Ale w dziejach odkryć to rozdział jeszcze odległy, a tymczasem gdzie indziej dokonano licznych, nie mniej ważnych osiągnięć, kiedy na scenie historii pojawili się przede wszystkim żeglarze indyjscy.

NA SKRZYDŁACH MONSUNU

PO pierwsze wzmianki o indyjskiej żegludzie morskiej musimy sięgnąć daleko w przeszłość. Będą to staroindyjskie poematy legendarne: Ramajana i Mahabharata. Z tych poetyckich opowieści dowiadujemy się, dokąd docierały statki indyjskie w czasach powstawania tych właśnie epei. Oba te dzieła opowiadają o samych początkach dziejów indoaryjskich. Jednakże czas powstania tych dzieł niełatwo określić, ponieważ były one powtarzane i uzupełniane przez całe stulecia.

Z Ramajany na przykład dowiadujemy się, że władca Cejlonu Rawana, porwał na latającym wozie Sitę, wierną małżonkę Ramy. Rama zwrócił się o pomoc do króla małp, ten zaś porzyszył posłów na wszystkie cztery strony świata, by szukali porywacza i jego ofiary. Ze wskazanych owym posłom miejscowości wynika, że już wtedy Indusi wiedzieli, gdzie leżą Chiny — kraina jedwabiu, a dalej wyspy: Jawa i Sumatra. Podobnie liczne legendy o Buddzie wspominają, jak wiele już Indusi posiadali wiedzy z zakresu żeglugi morskiej, budowy statków, astronomii i geografii — zwłaszcza południowo-wschodnich części Azji, dokąd już bardzo wczesnie docierali odkrywając dla siebie te kraje.

„Trzeba się nie tylko cofnąć w czasie, lecz podróżować — jeśli nie fizycznie to myślą — po rozmaitych krajach Azji, na które Indie wywierały wpływ w wielu dziedzinach, pozostawiając nieśmiertelne świadectwo swego ducha, potęgi i umiłowania piękna. Jakże niewielu z nas zna te wielkie osiągnięcia naszej przeszłości, jakże niewielu uświadamia sobie, że jeżeli Indie były wielką myślą i filozofią, to były również wielkim czynem. Historia, którą ludzie Indii tworzyli z dala od swej ojczyzny, czeka dopiero na swego piewcę. Ludzie z Zachodu w przeważającej większości wyobrażają sobie jeszcze dotąd, że historia starożytna wiąże się głów-

nie z krajami śródziemnomorskimi, a w średniowiecznej i nowożytniejszej dominujące stanowisko zajmuje mały i kłótlivy kontynent europejski..."*)

W ten sposób podkreśla i przypomina udział Indii w historycznym rozwoju całej ludzkości Dżawaharlal Nehru w swej książce: „Odkrycie Indii”, w której i on sam także dla siebie odkrywał Indie.

Wróćmy więc daleko w przeszłość, aż przed początek naszej ery.

Indie składały się wówczas z ogromnej ilości drobnych państw i państewek — a było ich ponad sto — którymi, wśród nieustannych walk o władzę i granice, rządzą królowie, księżęta i księżątka. Pomińmy jednak dzieje tych wewnętrznych rodowych waśni oraz licznych prób zjednoczenia w większe państwo, zajmijmy się tymi zjawiskami i tendencjami, które wiodły Indusów na morza i za morza.

W najwcześniejszym okresie historii Indii, przy ujściu rzeki Indus i w Zatoce Kambajskiej, powstawały już porty, w których rozwijał się handel z Arabią, Egiptem oraz światem grecko-rzymskim. Po całym tysiącleciu przed naszą erą znajdujemy rozsiadane ślady tych kontaktów z Zachodem — i to nie tylko na drodze lądowej, lecz i na morskiej. Znaczną w nich udział mieli żeglarze arabscy, ale wnet przyłączyli się do nich żeglarze indyjscy. Pierwsze dowody ich wypraw morskich na Morze Czerwone pochodzą z ósmego i siódmego wieku przed naszą erą. W źródłach greckich z szóstego i piątego stulecia p.n.e. spotykamy liczne wyrazy tamilskiego i sanskryckiego pochodzenia, odnoszące się przede wszystkim do produktów rolnych. Na powiązania indyjskie z wschodnimi brzegami Afryki w czasach od czwartego do drugiego stulecia wskazują także znaleziska monet indyjskich (np. w Rodezji), podobnie jak i zabytki piśmiennictwa dowodzące pobytu indyjskich żeglarzy w Aleksandrii.

W pierwszym stuleciu przed naszą erą historyk grecki Strabon**) zanotował, że z portów egipskich na Morzu Czerwonym sto dwadzieścia statków rocznie wyruszało do Indii. Wszystkie te

*) Według polskiego przekładu dr. S. Majewskiego i dr. K. Rapa-czyńskiego.

**) Strabon żył około 65 roku p.n.e.

statki z żeglarzami egipskimi, greckimi, arabskimi czy indyjskimi korzystały ze znanej od dawna doświadczonym żeglarzom siły napędowej — monsunów. Były to silne prądy powietrzne wiejące stale w określonych porach roku w określonych kierunkach. Tak więc statki wyruszające z portów zachodnich do Indii wypływały stale w lipcu, kiedy w ich żagle dał monsun południowo-zachodni, natomiast z portów indyjskich wychodziły w morze w grudniu, by wykorzystać monsun północno-wschodni.

Kraje zachodnie, stanowiące cel indyjskiej żeglugi, to już świat znany, dlatego też nas znacznie bardziej będzie interesowało przenikanie żeglarzy z Indii na wschód, dokąd kierował się nie tylko handel indyjski, ale i kolonizacja.

Dlaczego Indusi kierowali się na wschód i dlaczego właśnie wtedy?

Odpowiedź na to pytanie da nam pobieżne choćby spojrzenie na życie wewnętrzne w samych Indiach, na przyczyny, jakie kierowały Indusów na wschód.

Wiemy już, że w każdym z całej setki samodzielnych państw i państewek rządził ich władca — radżput. Siedziba jego była najbogatszym, najbardziej atrakcyjnym ośrodkiem najmniejszego choćby państwa, a ponieważ każdy taki władca uważał się za wszechmocnego pana swego kraju, zgarniał więc wszelkie rezultaty pracy swych poddanych dla umocnienia potęgi i blasku swej siedziby, w której żył wraz ze swymi wojownikami (kszatriją), kapłanami i służbą. Tak powstały miasta-rezydencje, ośrodki przepychu, które otaczały wokół przedmieścia ludzi pracy. W chatkach na tych przedmieściach mieszkali i mieli swe warsztaty wolni rzemieślnicy najróżniejszych specjalności; istniały także warsztaty „państwowe”, gdzie pracowali niewolnicy. Produkcja rzemieślnicza rozwijała się bardzo szybko, występowała specjalizacja — źródła ówczesne wyliczają siedemdziesiąt rodzajów rozmaitych rzemiosł.

Obok tych rezydencji władców zaczęły powstawać także miasta innego rodzaju. Na skrzyżowaniach najważniejszych lądowych szlaków handlowych i wokół portów nadmorskich wyrastały skupiska, gdzie produkcja rzemieślnicza mogła rozwijać się swobodnie niż w cieniu feudalnych rezydencji, gdzie gromadzące się towary kształtowały na targach szybki handel wymienny. Na tar-

gach tych wymieniano nie tylko wyroby rzemieślnicze, ale i nadwyżki rolne, znoszone i zwożone przez członków gmin wiejskich (ich mieszkańcy wspólnie uprawiali ziemię i dzielili się plonami). Rosnąca produkcja, która powołała do życia targi i handel w ogóle, narzuciła w krótkim czasie stworzenie i zastosowanie pieniądza, co ogromnie ułatwiło zakup i sprzedaż towarów, lecz umożliwiło także gromadzenie kapitału oraz wszelkie podstawowe operacje gospodarki pieniężnej. Jak wszędzie tak i tutaj pieniądz zaczął podważać dawne obyczaje i systemy, dawną równowagę społeczną. Co prawda pieniądze płynęły teraz hojnie także do kas władców i feudalów, jednakże najręczniejsi umiał je wykorzystywać handel, znajdujący się w rękach warstw niższych: kupców i przedsiębiorców. Ci właśnie ludzie łatwo się bogacili, ponieważ przywóz i wywóz towarów szybko wzrastał. Dawne źródła podają, że na dwory bogatych radzpułów przywożono wszelkiego rodzaju wyroby srebrne, złoto, drogie kamienie, perły, drzewo sandałowe, drogie wina, tkaniny birmańskie, perły mórz południowych i korale mórz wschodnich oraz wonności, a także „chłopców grających na instrumentach muzycznych” i piękne dziewczęta do harenow. Z Indii natomiast wywożono różnego rodzaju korzenie, trzcinę cukrową, materiały bawełniane, kość słoniową i — chińskie jedwabie. (W tym ostatnim wypadku kupcy indyjscy występowali jako pośrednicy zarabiając na tym, że nabyte jedwabie chińskie sprzedawali z zyskiem dalej na zachód). Historyk rzymski Pliniusz *) skarżył się z goryczą, że do Indii, Chin i Arabii odpływa rocznie ponad sto milionów sestercji **) za „zachcianki rzymskich elegancików i strojniś”. Znaczenie portowych miast handlowych, wyrastających we wszystkich dogodnych punktach wybrzeży Indii, szybko przyćmiło bogactwa miast położonych w głębi kraju oraz rezydencji władców.

Intensywny i zyskowny przepływ towarów obudził w kupcach i przedsiębiorcach, lokujących swe kapitały w handlu, zrozumiałą chęć dotarcia do bezpośrednich źródeł zakupów: zamiast płacić za przywóz chcieli towar przywozić sami. Zaczęto więc budować stat-

*) Pliniusz (Gaius Plinius Secundus) — historyk i pisarz rzymski, żył w latach 23—79.

**) sestercja — rzymska obiegowa moneta srebrna



ki handlowe, wysyłać je do Birmy, Kambodży, Wietnamu i na archipelag wysp malajskich, do krajów określonych wspólną nazwą: Suvarnabhumi — kraina złota.

Kiedy porównamy przy pomocy mapy długość tych dalekomorskich rejsów z odcinkami znanej w tych czasach żeglugi śródziemnomorskiej, stwierdzimy olbrzymie różnice. Jakież ogromne odległości musieli pokonywać ci indyjscy żeglarze, o ile większego i wszechstronniejszego wymagały te wyprawy doświadczenia, jakiej umiejętności i odwagi. Jak wysoką musiało mieć poziom indyjskie budownictwo okrętowe.

Dokładne i szczegółowe dane o statkach indyjskich podają źródła i zabytki pochodzące z pierwszych stuleci naszej ery; fakt, że nie posiadamy dokumentacji piśmiennej i ilustracyjnej dawniejszych statków, wcale nie oznacza, że one nie istniały. Najdawniejsza średniowieczna informacja z Indii podaje już zupełnie dokładnie opracowany system i klasyfikację statków według wielkości. Jest więc w niej mowa na przykład o klasie statków „vidiesza”, do której należały statki o wymiarach: $173 \times 17\frac{1}{2} \times 17\frac{1}{2}$ chast (długość, szerokość i wysokość, chast — w przybliżeniu pięć, około 8 cali). Co po przeliczeniu znaczy, że chodziło tu o statki długości 44 metrów, które mogły zabrać na pokład od 400 do 700 ludzi. Wspomniany wyżej Pliniusz wyraża podziw dla statków indyjskich, których pojemność (tonaż) sięgała trzech tysięcy amfor^{*)}, a więc w przybliżeniu 250 do 300 ton! Pewien fresk indyjski z II wieku przedstawia statek, którym przewożono słonie.

Ciekawe, że mimo całej nowoczesności tego rodzaju przedsięwzięć, tradycja przenikała nawet do budownictwa okrętowego, pozostawiając i tam znaki czasu, tak charakterystyczne dla kastyowego^{**)} systemu społecznego. Na przykład w pewnym indyjskim średniowiecznym opracowaniu zachował się opis-instrukcja: jak należy dobierać rodzaje drewna na poszczególne części statków i jakie gatunki drewna wolno łączyć z pewnymi gatunkami, z innymi zaś nie. I drewna także dotyczył podział na „kasty” — za-

^{*)} amfora — naczynie z wypalanej gliny służące do przechowywania i przewozu płynów

^{**)} kasta — zamknięta grupa społeczna, oparta na przynależności dziedzicznej

leźnie od „szlachetności” urodzenia. Istniały bowiem gatunki drewna, które odpowiadały kaście „kszatrija” (wojowników druzny władcy), a tych nie wolno było łączyć z drewnem drzew innych, mniej „szlachetnie urodzonych”.

Droga morską, jaką utorował sobie na wschód handel indyjski, otwarła także wrota dla innej fali — fali wychodźców, którzy zaczęli na stałe osiedlać się na wschodzie. Fala ta zapoczątkowała okres indyjskiej kolonizacji południowo-wschodniej Azji.

Kim byli pierwsi koloniści indyjscy?

Nie byli to już kupcy, agenci czy przedstawiciele firm handlowych, lecz indyjska biedota, która teraz starała się wyrwać z trudnych warunków życia w kraju, znaleźć lepsze możliwości egzystencji na obczyźnie. O ile kupców do krajów zamorskich wabiła wizja wielkich zysków, wizja pieniądza, o tyle ten sam właśnie handel i pieniądz wyganiał biedotę z kraju.

Jakim sposobem?

Rozwój handlu i gospodarki pieniężnej spowodował wzmocnienie władzy, a więc ludzi posiadających władzę. Pieniądz ciągnie zawsze do pieniądza... Ten, kto ma wiele pieniędzy i może je wykorzystać, bogaci się, a kto ma ich niewiele, tyle tylko że starcza na życie, nie wzbogaci się nigdy, ponieważ nie pozostaje mu nic, co mógłby zainwestować, by ciągnąć z tego zyski. Lecz kto w ogóle nie ma pieniędzy temu żadna „gospodarka pieniężna” nie pomoże. Odwrotnie: takie grupy ludzi, jak biedacy, rzemieślnicy i robotnicy, pod „władzą pieniądza” mogą być tylko bardziej wykorzystywani. Kto nie może zarobić nawet na najkonieczniejsze wydatki, ten musi zaciągać pożyczki. I od tej chwili już wierzyciel ma go w rękę. W ten sposób niezamożne, ubogie warstwy indyjskiego ludu popadały łatwo w całkowitą zależność od bogaczy: gdy kto nie mógł spłacić długów, wierzyciel miał prawo sprzedać go jako niewolnika do warsztatów państwowych lub do kopalń. Taką drogą wpadali w długi nie tylko poszczególni rzemieślnicy i wieśniacy, ale całe wsie, całe gminy. Więc biedacy owi, chcąc uniknąć niewolniczej pracy i nędzy, coraz liczniej uciekali z kraju, jeszcze przed zapadnięciem wyroku za długi, pozostawiając wierzycielom całe swe mienie, pola i chaty. Kto nie zdążył wyjechać zawczasu, uciekał ukradkiem. I cieśle w Benaresie także

ukradkiem budowali dla nich łodzie na podróż do krajów, gdzie lepiej będą mogli wykorzystać swą pracę i zdolności, łatwiej zarobić na życie.

Emigracja ta, zasilana nieustannie nowymi falami ludzi ciągnących ze wszystkich stron Indii, rozpoczęła się w I—II wieku i trwała aż do XV w. Chcąc opisać, jak koloniści ci rozpoczynali nowe życie w nowym środowisku, wnosząc w nie własną kulturę oraz cały szereg rodzimych tradycji, jak za falą biedoty z czasem zaczęli przenikać na wschód także przedstawiciele zamożniejszych warstw indyjskich, jak tworzyły się całe kolonie indyjskie, jak ta fala indyjska rozplywała się szeroko i spływała z ludnością miejscową — trzeba by napisać cały nowy rozdział książki. Wszystko to jednak już inna sprawa. Będziemy się trzymać pierwotnego założenia: przedstawienia kierunków i celów tego odkrywczego przenikania żeglarzy indyjskich na wschód.

Tu można by wyliczyć wszystkie kraje tzw. Indii Zagangesowych, wielkie wyspy: Jawę, Sumatrę, Celebes, Borneo oraz setki wysp mniejszych, dalej Filipiny i wyspy do nich przylegające. Lecz i tam także nie zatrzymała się indyjska żegluga — skierowała się dalej na północ ku Formozie (Taiwan) i ku brzegom chińskim.

Zarówno drogi morskie z Indii na zachód, jak i liczne szlaki żeglarskie na azjatycki wschód i południowy wschód, stworzyły z czasem potężny, nieprzerwany, będący stale w ruchu strumień łodzi, statków i okrętów, w których żagle dał wierny, niezawodny pomocnik — wiatr monsunowy. Od niego to wzięła nazwę owa gigantyczna droga morska, przecinająca ponad trzecią część kuli ziemskiej: Wielki Szlak Monsunowy, łączący Indie z Europą i Afryką z jednej strony, a z Chinami z drugiej strony.

W czym kryje się wielkość dokonani ludzkich?

Oczywiście: w nich samych.

Nieświadomość nasza wielkości tej nie dostrzega tak długo, póki nie dostrzega i samych dokonani. A przecież gdy czyny te w pełnym świetle stają nam przed oczyma — jakież są wówczas wielkie, jakie wspaniałe!

WIELU ICH POSZŁO W ŚWIAT, WIELU POPŁYŃĘŁO . . .

W ZAGADNIENIU odkryć czynnikiem bardzo ważnym jest czas. Ten bowiem jest odkrywcą, kto coś znajdzie, zobaczy coś po raz pierwszy. Jest więc rzeczą słuszną przy odkryciach branie pod uwagę biegu wypadków w czasie, chronologii. Tym razem prowadzi ona w wiek V naszej ery — jakkolwiek drogą okrężną: przez lata pięćdziesiąte naszego stulecia.

Skądże się ta okrężna droga wzięła?

Oto w tych właśnie latach pięćdziesiątych pewnego dociekliwego i ciekawego żeglarza norweskiego dręczył niezwykle problem: w jaki sposób ludzie osiedlali się na wyspach rozrzuconych po bezbrzeżnych wodach Oceanu Spokojnego między Azją i Ameryką? Jak przedostawali się tam z dalekich lądów, skoro tak zaawansowanym, wykształconym i dojrzałym technicznie Europejczykom podobnie śmiała próba powiodła się dopiero w 1492 roku, kiedy to żaglowce Kolumba po raz pierwszy przepłynęły Ocean Atlantycki łącząc Europę z Ameryką Środkową? W jaki sposób prymitywni tubylcy pokonywali tak olbrzymie przestrzenie — i to w czasach, gdy o budowie statków takich, jakie miał Kolumb, nikomu się jeszcze nawet nie śniło?

Thor Heyerdahl — tak nazywa się ów docieklawy uczynek norweski — postanowił na drodze doświadczenia znaleźć odpowiedź na to niełatwe pytanie. Zbudował więc najpierw taką samą tratwę, jaką mogli zbudować tubylcy posiadający jedynie własne ręce i najprostsze narzędzia z okresu, który nie znał jeszcze żelaza. Kiedy owa starodawna tratwa była gotowa, wraz z kilku kolegami wyruszył nią na morze: z zachodniego brzegu Ameryki Południowej w poprzek przez Ocean Spokojny. Siłą napędową tratwy Heyerdahla były przede wszystkim prądy morskie, a także wiatr chwytany w małe-żagle.

I dokąd dotarli? Na Markizy, archipelag leżący pośrodku oceanu, a więc pokonał jeszcze większą odległość od łąd, niż znacznie bardziej nowoczesnie wyposażona flotylla Kolumba!

Była to odpowiedź na pierwsze pytanie. Ale dotarcie na wyspy Oceanu Spokojnego nasunęło natychmiast dalsze. Jednak po odpowiedzi na nie Heyerdahl musiał znowu wyruszyć na morze.

Ze na wyspy leżące pośrodku Oceanu Spokojnego ich dawni mieszkańcy mogli się przedostać od zachodu, z dzisiejszej Indonezji, to było jeszcze zupełnie zrozumiałe — wzięwszy pod uwagę znaczne ilości wysp rozsianych po zachodnim Pacyfiku. Mogli przecież stopniowo przedzierać się na wschód, od archipelagu do archipelagu, od jednej wyspy do drugiej. Tylko że... I tu zrodziła się nowa zagadka.

Jak się stało, że na Wyspie Wielkanocnej, na Markizach, na Pitcairn i Raivavaé, znalazły się bóstwa kamienne, a na skorupach starych naczyń zdobienia identycznie takie same, jakie znamy z wykopalisk w Peru? Jedno tylko może być wytłumaczenie tego faktu: jest to dzieło ludzi tego samego plemienia, ludzi, którzy ongiś przebyli tę samą drogę co Heyerdahl, tylko w wielu i liczniejszych wyprawach. A ponieważ nowoczesna chemia dziś umozliwiała nam oznaczenie dawnych wykopalisk dokładną datą — więc Heyerdahl doszedł ostatecznie do fantastycznego wprost wniosku:

„Tysiąc lat przed tym, zanim Kolumb otworzył wrota Ameryki, poprzednicy Inków (indiańskich mieszkańców Peru) rozwarli bramę na Ocean Spokojny wielokrotnie odwiedzając dalekie wyspy... Przed zaludnieniem wysp Polinezji i przed dotarciem Wikin-gów na Islandję, dawne, kulturalne ludy Ameryki Południowej poczęły penetrować Ocean Spokojny...”*

Taki był niezwykle sensacyjny, rewelacyjny wprost wniosek Heyerdahla z jego odkrywczej wyprawy.

W zacytowanym zdaniu norweskiego badacza była mowa o Wikin-gach — a właśnie oni mają ściśle powiązania z ojczyzną Heyerdahla. Ponieważ w chronologii na nich teraz nadchodzi kolej, poruczymy więc rajski klimat Pacyfiku i tropikalny urok jego

* T. Heyerdahl: *Aku-aku*, przekład: J. Giebułtowicz.

wysp, powędrujemy w poprzek przez całą Azję i Europę — aż kroki nasze znów powstrzyma morze. Teraz będzie to jednak zimne morze północy, bijące z hukiem stalowoszarzymi falami w piaszczyste wybrzeża Danii i w skały fiordów Norwegii. To świat bezwzględnej i bezlitosnej przyrody, gdzie tylko wyjątkowo silna istota zdoła przeciwstawić się atakom mrozów, wichrów, fal i bardzo trudnych warunków życia.

Tam właśnie żyli Wikin-gowie, świetni budowniczości statków i odważni żeglarze. Źródła mówiące o ich pełnych przygód wyprawach, o przyczynach, jakie je powodowały, są niesłychanie skąpe. Czy chęć znalezienia bardziej urodzajnej ziemi i łatwiejszych warunków życia gnała Wikin-gów na morze, czy też właśnie rodowe wypędzały ich z kraju — nie wiadomo. Jeśli natomiast chodzi o statki, na jakich wyruszyli w świat, to te oszczędził wszystko niszczący czas, przechował jako nietknięte niemal świadectwo. Fakt, że do dnia dzisiejszego zachowało się kilka statków Wikin-gów, zawdzięczamy — obycejdom religijnym.

Pod koniec ubiegłego stulecia w północnej części Danii i na wybrzeżach Norwegii archeologowie dokonali kilku niezwykłych odkryć. Odkopano mianowicie groby przywódców Wikin-gów, pochowanych w ziemi w oryginalnych trumnach. Trumną była tam bowiem łódź Wikin-gów, której właścicielem bez wątpienia był zmarły. Tak więc w utwardzonej ziemi przechowały się zabytki, które na powietrzu dawno by się już rozpadły.

Znaleziono łodzie ponad dwudziestometrowej długości; dziób i rufę miały one zadarte w górę na kształt ptasiego dzioba i przyozdobione groźnymi rzeźbami smoczych głów. Na środku łodzi wznosił się niewysoki maszt z żaglem, prócz tego — na całej długości łodzi — sadzano wiosłarzy przy długich, wysuniętych przez górną część burt wiosłach. Oprócz wiosłarzy łódź taka mogła zabrać na pokład do dziewięćdziesięciu ludzi.

Łodzie te były świetnie skonstruowane, przystosowane do pływania po wzburzonym morzu: stosunkowo szerokie — około 5 metrów — i lekkie, nie rozcinały fal, lecz zręcznie ślizgały się po wierzchu. O tym, jak dobrze służyły Wikin-gom, może świadczyć wyliczenie krajów, do których właśnie drogą morską dotarli. Były to z najdalej położonych: w połowie IX w. Islandia, a niewiele później także Grenlandia, na której zachodnim, wolnym od lodów

wybrzeżu osiedlili się Wikingowie na stałe. Później, około roku tysięcznego, z Grenlandii jeszcze kilkakrotnie podejmowali wyprawy morskie dalej na zachód. I wtedy to „smoczce łodzie” Wikin-gów przybiły do brzegów — Ameryki Północnej! Wszystkie te odkrycia Wikin-gów z czasem jednak uległy zapomnieniu, kiedy ich przywódcy zniknęli z europejskiej sceny.

Tymczasem we wschodnich rejonach Morza Śródziemnego działo się wiele ważnych rzeczy, które miały wielki wpływ na odkrywcze tendencje przede wszystkim wśród Europejczyków. Na brzegi Morza Śródziemnego zaczął się potężny napór plemion arabskich. W połowie VII wieku Arabowie podbili Persów, zagarnęli Syrię, Mezopotamię, a na południu Egipt. (Wraz z innymi terenami nadmorskimi w ręce Arabów wpadła także Palestyna wraz z Jerozolimą, co było później pretekstem do nie kończących się wypraw krzyżowych). W sto lat później Arabowie byli już panami całego północnego wybrzeża Afryki, Półwyspu Pirenejskiego, na wschodzie zaś Turkiestanu, Persji i Armenii. Olbrzymie niegdys cesarstwo bizantyjskie zostało ograniczone wyłącznie do Azji Mniejszej. Był to na wschodzie ostatni wysunięty bastion Europy.

Podczas gdy w tejsze Europie dopiero powoli uspokajało się wrzenie tzw. „wędrowki ludów”, kiedy Celtowie, Germanie i Słowianie znaleźli już co prawda dla siebie stałe siedziby, ale dopiero je zasiedlali tocząc uporczywe boje z sąsiadami — nad Morzem Śródziemnym nowy arabski świat rozkwitał najsubtelniejszymi płodami cywilizacji i kultury: na arabskich uniwersytetach krzewiła się wiedza i filozofia (zjeżdżali tam także studenci z Zachodu, z Europy), zaś sztuka architektury kamienia oraz sztuka poetycka tworzyły takie dzieła, które dziś jeszcze olśniewają nas pięknem i szlachetnością.

Jest rzeczą oczywistą, że lud ten, tak gwałtownie przenikający nowe kraje i morza, wydał również wybitnych podróżników. Naj-słynniejszym z nich był Ibn Batuta, który w połowie XIV wieku przebył Afrykę Środkową — przez Saharę do Nigerii — dalej zaś całą zachodnią i południową Azję, by wreszcie przedostać się — drogą morską — do Chin! Cóż więc dziwnego, że wiedza arabska w zakresie geografii była w tych czasach znacznie bardziej za-



awansowana niż posiadane z tej dziedziny informacje uczonych europejskich? Średniowiecze chrześcijańskie uparcie trwało przy pojęciu Ziemi jako płaskiej płyty, którą ze wszech stron oblewają wody morskie; rzeczą prostą: środkiem tej Ziemi była „Ziemia Święta” z Jerozolimą. Nad tą kolistą płytą wraz z jej morzami miała się rozpościerać kopuła niebios. Tymczasem Arabowie uważali za rzecz najzupełniej oczywistą, potwierdzoną przez wiele dalekich wypraw lądowych i morskich, że Ziemia jest okrągła. A wówczas w Europie za takie poglądy karano jeszcze paleniem na stosie...

Państwo arabskie legło potężną zaporą między Zachodem i Wschodem. Był to cios godzący w pierwszym rzędzie w europejsko-azjatycki handel; Arabowie co prawda nie stawiali mu przeszkód, lecz jako pośrednicy ciągnęli z niego olbrzymie zyski, co rzecz prosta podnosiło cenę towarów, a kupcy europejscy chcąc nie chcąc musieli dzielić się zyskami z kupcami arabskimi. (Chęć odzyskania wolnego dostępu do towarów ze Wschodu stała się późnziej istotnym bodźcem wypraw krzyżowych, zaślaniających się oficjalnym hasłem, głoszącym, że trzeba wyzwolić „Ziemie Świętą” wraz z Jerozolimą i grobem Chrystusa z rąk niewiernych mahometan).

Wraz z towarami ze Wschodu docierały także do Europy informacje o krajach, z których pochodziły te niezwykle wyroby. A na Zachodzie — zwłaszcza po zakończeniu wojen krzyżowych — wzrastały tendencje do nawiązania kontaktów z odległym Wschodem, podejmowania prób bezpośrednich transakcji handlowych, bez arabskiego pośrednictwa. Trzeba było znaleźć drogę przez kraje leżące na północ od granic państwa arabskiego. A to oznaczało: podejmowanie wypraw lądowych poprzez tereny przeważnie trudno dostępne i wrogie, pokonywanie takich odległości, o jakich żaden z podejmujących takie wyprawy podróżników nie miał pojęcia. Mimo to jednak możemy przytoczyć szereg nazwisk takich śmiałków, którzy zawędrowali wówczas do dalekiej Azji w służbie dyplomacji, handlu czy misji.

Najbardziej znanym z nich był weneccjanin Marco Polo, który siedemnaście lat przeżył w Chinach na dworze wielkiego chana. Kiedy w roku 1298 powrócił do rodzinnej Wenecji i opisał swe

przeżycia z podróży, wydały się one jego współczesnym tak fantastyczne, że nikt w nie nie wierzył.

W pierwszej połowie XIV wieku mnich włoski Odoric de Pordenone jako pierwszy znalazł się na terenie Tybetu. Inny Włoch, Marignola, w latach sześćdziesiątych powtórzył podróż do Chin szlakiem Marca Polo (podróżnik ten żył później na praskim dworze Karola IV, który zlecił mu napisanie kroniki świata). Podobne podróże wiodły także Europejczyków do Indii. Wybrał się tam na przykład w wieku XV weneccjanin Nicolo Conti, po którym pozostało dzieło opisujące Indie Przedgangesowe i Zagangesowe. Z lat 1466 — 1472 zachował się dziennik kupca z Tweru, Afanasia Nikitina, „Wędrowka za trzy morza”, w którym bardzo istotny jest wierny i rzeczowy opis indyjskiego kraju i środowiska, opis powstały z osobistych zainteresowań obserwatora, który podróżował po Indiach bez jakiegokolwiek pomocy ze strony państwa czy kościoła i najwyraźniej z kupca zmienił się później w myśliwego i podróżnika-badacza.

Jesteśmy już więc na dobre w XV stulecie. Przy końcu tego wieku znajduje się przecież ów słynny rok 1492, kiedy Kolumb odkrył Amerykę. Nic więc nam nie przeszkadza odwrócić kartkę i...

Nie! Jeszcze chwileczkę!

Czyniąc to pominęlibyśmy dwa najsłynniejsze odcinki światowej żeglugi morskiej. By się z nimi zapoznać, musimy znów wyruszyć na Daleki Wschód, do Chin i na Malaje.

W PAŁACU cesarskim w stolicy chińskiego państwa jedna z bram posiadała przedziwną nazwę: „Brama Miłości Macierzyńskiej”. Było to jedno z głównych wejść do wspaniałego pałacu, a przeznaczone tylko dla tych, których sam cesarz miał przyjąć na audiencji. Krył się w tym specjalny problem, o którym wspomina dawne podanie: „Ten tylko z gości miał prawo stanąć przed obliczem cesarza, kto na dziedzińcu przed bramą odłożył wszelką broń i wszystko, cokolwiek posiadałby z żelaza. Kto tego nie uczynił, kto ukrył w fałdach szat sztylet lub pod zwierzchnim jedwabiem zachował kuszulę z metalowej plecionki, zły czekał go los — brama by go bowiem zdradziła! Miała ona taką niezwykłą właściwość, że do podtrzymujących ją słupów przyciągała wszystko, co zrobione było z żelaza, i to przyciągała z taką siłą, że człowiek nie mógł się jej oprzeć”.

W podaniu tym tkwi jednak ziarno prawdy. Znaki chińskie nadające nazwę owej bramie miały także i inne jeszcze znaczenie, określały bowiem — magnetyt. To nieistotne, czy rzeczywiście słupy podtrzymujące bramę zrobione były z tej magnetycznej rudy, ważne natomiast jest to, że Chińczycy znali magnetyt. Posługując się źródłami historycznymi dowiadujemy się także, że już w trzecim wieku przed naszą erą Chińczycy znali kompas z igłą magnetyczną! Co prawda nie była to dosłownie igła, lecz podobne, bardzo dowiecinnie pomyślane urządzenie. Kompas taki składał się z miedzianej płyty, na której oznaczone były wszystkie strony świata. Pośrodku płyty znajdowało się wgłębienie w formie płytkiej, starannie wygładzonej miseczki; na miseczce tej leżał mały czerpak z magnetytu — część kulistą miał dość dużą i krótki trzonek. Gdy człowiek chciał oznaczyć północ, nadawał czerpakowi

ruch obrotowy — zatrzymywał się on zawsze tak, że jego trzonek wskazywał północ.

Młodszy jeszcze o kilka stuleci chiński kompas miał kształt rybki, w której głowie tkwił mały pręcik: magnes. Włożona do naczynia z wodą — powiedzmy do miednicy — rybka zawsze zwracała się główką na północ. Takie i tym podobne kompasy — np. strzałka magnetyczna zawieszona na nitce nad „różą kompasową” lub strzałka obracająca się na osi — były powszechnie znane i używane na każdym chińskim statku. Już w XI wieku n.e. chińscy nawigatorzy znali także odchylenie igły magnetycznej od ściśle północnego kierunku. Była to niezwykle ważna zdobycz wiedzy, zwłaszcza przy dalekich rejsach po rozległych oceanach. Dopiero z końcem XV wieku wykrył ją dla żeglarzy europejskich Kolumb.

Wszystko to dowodzi, jak doświadczeniymi żeglarzami byli Chińczycy. Trzeba jeszcze dodać do tego niezwykle rozwinięte chińskie budownictwo okrętowe, które samo już stwarzało możliwości podejmowania dalekich rejsów na szerokiej oceanach, ponieważ nie trzeba już było wówczas kurczowo trzymać się zasady nietracenia z oczu brzegów. Statki chińskie były pojemne: prócz załogi i zapasów mogły pomieścić do pięciuset ludzi. Ich szerokość zapewniała dobre trzymanie się na fali, dziób z daleko naprzód wysuniętym dziobakiem dobrze utrzymywał kierunek. Z drugiej strony pokładu, na rufie, stopniowo wznosił się kasztel; za napęd służyły wiosła oraz lekkie bambusowe żagle rozpięte na trzech masztach. Na masztach tych mieściły się także „bocianie gniazda”, a na samych szczytach powiewały długie, barwne wstęgi, które dokładnie wskazywały kierunek wiatru.

Również strona techniczna, wyposażenie i uzbrojenie świadczyło o ogólnym wysokim poziomie chińskiej żeglugi morskiej. Ważną rolę oczywiście odgrywało przede wszystkim uzbrojenie statku i jego załogi. Już w wieku X — o ile nie wcześniej — Chińczycy znali działanie prochu strzelniczego. Według informacji z dawnych źródeł, Chińczycy po raz pierwszy posłużyli się strzałami ze „strzelby wyrzucającej płomień” w roku 1132. Strzelbą tą była mocna tyczka bambusowa, do której włożono i ubito proch strzelniczy — podpalony istotnie wyrzucał z wydrążonej tyczki bambusowej strzelający daleko płomień. W sto lat później Chińczycy wpadli na pewien pomysł: włożyli do tyczki — przed ład-

nek prochu — kulę, no i nowoczesna strzelba, jakkolwiek z dość niezwykłego tworzywa, już była gotowa. A przy tym działo się to w czasach, gdy wszędzie w Europie strzelano jeszcze z proc i luków. W XIII w. Chińczycy używali już armatu z metalu!

Wieki całe statki chińskie dziesiątkami i setkami płynęły na południe, na indyjskie wody przybrzeżne i na Archipelag Malajski. Od VI—VIII wieku dwór chiński miał już swych posłów — a więc przedstawicielstwa dyplomatyczne — w Indochinach, na Sumatrze, Jawie i Cejlonie. Zadaniem ich była przede wszystkim obrona i popieranie interesów chińskiego handlu eksportowego. Chińskie jedwabie i chińska porcelana stawały się coraz bardziej znane w szerokim świecie, zaś od XIII—XIV stulecia były towarem niezmiernie pożądanym nawet — w zacofanej, barbarzyńskiej Europie.

Ponieważ handel chiński, postępujący się w transporcie żeglugą morską, był bardzo przedsiębiorczy, musiał więc nieustannie walczyć z różnymi trudnościami. Zarówno Archipelag Malajski, jak i obie części Indii — Indie Przedgangesowe i Zagangesowe — nie stanowiły jednolitych państw, lecz tworzyły barwną mozaikę niezliczonych średnich, mniejszych i zupełnie małych państweczek, więc oczywiście każde z nich chciało mieć swój udział w zyskach z chińskiego handlu, zwłaszcza gdy towary przepływały przez ich kraje lub korzystały z ich portów. Wszędzie więc istniały przeróżne opłaty celne i składowe, jakie miejscowi władcy pobierali od chińskich kupców. Nawet tam, gdzie kupcy chińscy zakładali na obcych terenach własne „faktorie” (przedstawicielstwa handlowe z prawem składowania i sprzedaży towaru), tam także musieli opłacać dzierżawne i podatki miejscowym panującym, książętom i książątkom.

To był dopiero jeden rodzaj trudności, z jakimi musiał walczyć chiński handel zamorski, rodzaj ustalony przez prawo, a miał przynajmniej tę dobrą stronę, że stwarzał ustalone warunki, które można było brać w rachubę. Istniał jednak i drugi rodzaj trudności, nie tylko że bezprawnych, ale i znacznie bardziej groźnych, bo przede wszystkim nieobliczalnych. Byli to piraci — w pierwszym rzędzie piraci malajscy — którzy napadali na chińskie statki handlowe, rabowali kosztowne towary nie szczędząc przy tym życia załóg.

W wieku XIII i XIV handel chiński na tyle już był potężny, by nie tolerować dłużej dokuczliwych „ukłęk” tych tysięcy komarów”. Chiński dwór cesarski zdecydował opanować i „na wieki!” zabezpieczyć drogę, którą towary chińskie płynęły poprzez Archipelag Malajski na południe i dalej na zachód, do obu części Indii, na Cejlon, aż po wschodnie wybrzeże Afryki. Miano tego dokonać zakładając wzdłuż całej tej trasy, w przydatnych do tego celu punktach przybrzeżnych, nie tylko typowe faktorie handlowe, ale całe kolonie zamieszkałe przez ludność chińską. Oprócz niezbędnych dla handlu urządzeń, jak składy itp., w każdym takim punkcie oparcia powinna powstać chińska osada. Dlatego też miały tam być reprezentowane wszelkie rodzaje rzemiosł niezbędnych do funkcjonowania i rozwoju takiej osady. Przewidywano także załogi wojskowe, czyli że każda taka faktoria-osada tworzyłaby samodzielną kolonię. Właściwe umocnienie i uzbrojenie miało jej zapewnić obronę przed wrogimi poczynaniami z zewnątrz.

Był to plan olbrzymi i bardzo kosztowny. Ważne więc było także, komu zostanie zlecone jego wykonanie. Wybór padł na doświadczonego żeglarza Czeng Ho.

Pochodził z Chin południowych, z prostej wiejskiej rodziny. Już od lat najmłodszych więcej przebywał na pokładzie statku niż na lądzie. Przeszedł twardą szkołę żeglarską, potem pełnił służbę na statkach krążących po Archipelagu Malajskim. Zdolny i ambitny szybko awansował; kiedy osiągnął wiek męski, miał opinię jednego z najbardziej doświadczonych i najlepszych kapitanów chińskiej floty. Sam doszedł szybko do przekonania, jak ważną sprawą dla jego kraju jest stworzenie dla chińskiego handlu trwałej, bezpiecznej i jednolitej drogi przywozu i wywozu, drogi, która na stałe połączy Chiny z bogatymi krajami zachodniej Azji i wybrzeżem Afryki, tak zasobnymi z bogactwa naturalne.

Kiedy więc w tym celu wezwano Czeng Ho na dwór cesarski, stał się tam z gotowym już planem. Proponował wysłać drogą morską na zachód nie jedną wielką ekspedycję, ale kilka mniejszych. Ta pierwsza, największa, miała na celu założenie faktorii i osad, pozostawienie w nich osadników i zaopatrzenie we wszystko co niezbędne do zagospodarowania. W latach następnych — możliwie szybko — miały ruszać tą samą drogą do tych samych miejscowości następne ekspedycje. Owe dalsze wyprawy winny

mieć na oku dwojaki cel. Przede wszystkim udowodnić władcom i mieszkańcom krajów, na których powstają chińskie faktorie, że te osady handlowe bynajmniej nie są pozostawione same sobie, skazane tylko na własne, wątłe siły obronne, ale pozostają w stałej łączności z krajem macierzystym, a ten — potężny i zawsze, ilekroć zajdzie potrzeba, swą siłą zbrojną obecny — potrafi ochraniać je także na odległość oraz wymierzać karę za jakikolwiek czyn godzący w bezpieczeństwo kupców chińskich. Drugie zadanie kolejnych wypraw polegać miało na nawiązaniu kontaktu z ostatnim ogniwem długiego łańcucha kolonii handlowych i stałym przedłużaniu go coraz dalej na zachód, przez zakładanie kolejnych, dalszych punktów oparcia, portów i faktorii.

Warto sobie uświadomić, że w tym samym czasie — na początku XV w. — statki europejskie wciąż jeszcze trzymały się brzegów śródziemnomorskich i bałtyckich jak małe dziecko matczynej spłodnicy, że doświadczenia Wikingów dawno poszły w niepamięć, podobnie jak podboje starożytnych Fenicjan... A tutaj, na Dalekim Wschodzie, całe flotylle gotowały się właśnie do opłynięcia dwóch części świata!

Realizacja planów nie przebiegała jednak tak łatwo.

Na dworze chińskim wystąpiła z protestem wpływowa grupa feudałów, wielkich właścicieli ziemskich, którzy wiedzieli doskonale, że tego rodzaju olbrzymie przedsięwzięcie pochłonie wielkie sumy z kasy państwowej, natomiast zyski z całej tej imprezy zgarnie przede wszystkim handel, a więc nie feudalowie, lecz kupcy. Jak wszędzie i zawsze w historii: kupcy, przedsiębiorcy i finansisci, czyli bogaty stan mieszczański, to stały i groźny rywal feudalnej szlachty we współzawodnictwie na polu gospodarczym (a tym samym i politycznym).

Spora lat minęło, zanim wreszcie opór chińskich feudałów został przełamany i cesarz Czu zdecydował, że plan Czeng Ho będzie realizowany. (Popieranie handlu leżało rzecz prosta w interesie państwa.)

Wreszcie dnia 11 lipca 1405 roku Czeng Ho mógł dać rozkaz wypłynięcia na morze statkom wyprawy, która miała zapoczątkować całą serię dalszych podobnych ekspedycji.

Niech najpierw przemówią cyfry:

Owa pierwsza wyprawa chińska przyjęła na swe pokłady 27 000

ludzi. (To nie omyłka w druku! Dwadzieścia siedem tysięcy!) Dla porównania: z ówczesnych wielkich miast Europy tylko Praga i kilka ośrodków handlowych w Italii i we Flandrii liczyło nieco więcej mieszkańców. Paryż, Rzym, Wiedeń ani wielkie miasta Rzeczy Niemieckiej nie miały tak licznej ludności, jaka teraz znalazła się na pokładach chińskiej flotylli!

Ponad sześćdziesiąt potężnych statków wiozło na swych pokładach i pod pokładami — prócz załogi statków — wszystkich mieszkańców planowanych na przyszłość osad handlowych: mężczyzn, kobiety, całe rodziny wraz z dziećmi. Najliczniej byli reprezentowani kupcy i ich pomocnicy, był także agent chińskich firm eksportowych, dalej — prócz żołnierzy — przedstawiciele wszelkiego rodzaju rzemiosł, od cieśli po płatnerzy, lecz także i tłumacze, lekarze, mnisi i różne inne zawody.

Olbrzymia flotylla płynęła koło Jawy, Sumatry, Kambodży aż po dzisiejszy Singapur, wszędzie się zatrzymywała, pozostawiając w odpowiednim punkcie wybrzeża czy też w porcie część swego ludzkiego ładunku.

W niecałe dwa lata po powrocie pierwszej flotylli wypłynęły statki drugiej z kolei wyprawy. W latach 1405—1431 wypraw takich zrealizowano ogółem siedem, na czele każdej z nich stał jako naczelny dowódca Czeng Ho. Ekspedycje te stale uzupełniały, zabezpieczały i zakładały osady-faktorie coraz dalej na zachodzie, na wybrzeżach obu półwyspów indyjskich, na Cejlonie, w Zatoce Perskiej, gdzie w Ormuzie nawiązywano kontakty handlowe z dalszymi krajami, które tu właśnie przywoziły swoje towary. Były to przede wszystkim kraje zakaukaskie, dalej: Abisynia, Egipt i kraje bałkańskie. Do Ormuzu docierały później także transporty wyrobów z Europy — z Wenecji, Genui, Barcelony oraz wielu innych miast.

Podczas piątej wyprawy Czeng Ho polecił swemu zastępcy Fej Sinowi zanotować w dzienniku podróży: „Przybyliśmy do krainy Ormuz, gdzie podarowano nam lwy, lamparty i konie zachodnie. Kraina Aden podarowała nam dziwaczne zwierzę, które ludzie miejscowi nazywają żyrąfą.” Stamtał flotylla wzięła kurs już na afrykańskie brzegi, które spenetrowano aż po Mozambik i Madagaskar. I chociaż notatki z podróży podają ze zrozumiałych względów dość zaskakujące i egzotyczne „zoboczyć” wypraw (ptak wiel-

kości cielęcía — struś, dziwaczne konie w pasy — zebry), to jednak spis głównych rodzajów przywożonych towarów wykazuje, że cała ta impreza przynosiła Chinom zyski — mimo stałych, wielkich i nieodzownych przy takim przedsięwzięciu nakładów. Chińskie statki zwoziły teraz do portów macierzystych cenne korzenie, tkaniny bawełniane, kutą i cyzelowaną broń, perskie dywany, barwne, przetykane złotem materiały indyjskie, arabskie wonności, rzadkie rodzaje drewna, kość słoniową, a także czarnych niewolników i słonie. „Poznaliśmy ziemię za krańcem horyzontu aż po skraj kuli ziemskiej, zarówno te najdalej na zachód, jak i te najdalej na północ. Utorowaliśmy do nich drogę i obliczyliśmy odległości.”

Siódma wyprawa w 1431 r. zakończyła się także sukcesem. Lecz była to już ostatnia, którą dowodził mądry Czeng Ho. Zmarł w rok później.

Odegrał bez wątpienia główną rolę w sukcesie tego olbrzymiego przedsięwzięcia; jego też bezsporną zasługą był fakt, że Chińczycy odkryli Afrykę od strony oceanu przeszło pół wieku przed Europejczykami.

Lecz na Wschodzie niepodobna pominąć jeszcze dalszych członków licznej rodziny żeglarzy morskich — żeglarzy malajskich i polinezyjskich.

Co to jest katamaran?

Wystarczy parę razy głośno powtórzyć to słowo, z jego czystymi, dźwięcznymi zgłoskami i przeciągłym zakończeniem. Katamaran... Jakże niesie się jego rozkołysany dźwięk... Ma w sobie coś z fragmentu pieśni, coś z lotu mewy unoszącej się nad falami.

Kiedy dowiecie się, że tak się nazywa szybka, zwinna łódź, której żadna burza nie zatopi, żadna fala nie przewróci, to w jej znaczeniu odnajdziecie wiele z tego, co obudziło w was wrażenie dźwiękowe.

Katamaran...

Jak wyglądały te tak pięknie zwące się łodzie?

Były węższe i dłuższe od statków chińskich, osłonięte pokładem od pięknie rzeźbionej rufy aż po sam dziób. Wielkie prostokątne żagle rozpięte na dwóch masztach chwytaly wiatr. Ale ten długi i wąski, przypominający rybę kadłub łodzi nie mógł się przewró-



cię pod naporem fali ani wiatru, ponieważ zaopatrzony był w specjalny pływak z wydrążonych belek, tej samej długości co łódź, umocowanych na drewnianych wspornikach pod pewnym kątem do burty łodzi. To bardzo proste, lecz skuteczne urządzenie sprawiało, że łódź nie mogła się przechylić na burtę, na której umieszczony był pływak (przeszkadzał temu pływak opierający się o wodę), nie mogła także kłaść się na drugą burtę (pływak po przeciwległej burcie ciężarem swym ścigał ją i utrzymywał łódź w równowadze). Ten system pływakowy, przejęty z małych łodzi tubylczych rybaków, zastosowano także do wielkich statków.

Kimże byli ci zręczni i pomysłowi żeglarze, którzy potrafili tak skutecznie przystosować swe statki do trudnej żeglugi?

Spójrzmy na mapę tam, gdzie zachodni kraniec Oceanu Spokojnego wchodzi klinem między Australię i południowo-wschodnie brzegi Azji. Istnieją tu tysiące rozsianych wysp, zarówno większych, nieraz o powierzchni takiej jak cały Półwysep Pirenejski (Sumatra) czy nawet Francja i Włochy razem wzięte (Borneo), aż po mniejsze, do zupełnie maleńkich. Wymiary podłużnej osi tego archipelagu w porównaniu z Europą dadzą odległość od brzegów Portugalii aż po środkowy Ural!

Od najdawniejszych czasów mieszkańcy poszczególnych wysp tej oceanicznej, wyspiarskiej „części świata” musieli dla utrzymania wzajemnych kontaktów używać drogi wodnej. Stąd ich tak bardzo rozwinięta żegluga: zarówno technika budowy statków, jak i znajomość nawigacji w dalekim pływaniu. Zaborcza, nieprzystępna, wroga tropikalna przyroda uniemożliwiała mieszkańcom przeniknięcie w głąb wysp. Niedostępna dżungla, opleciona kłębowiskiem lian, zamieszkała przez drapieżniki i jadowite węże, groźna swym dusznym, bagiennym tchnieniem, pełna niebezpiecznych owadów — słynna dżungla „rimba” — wszystko to zagrażało ludziom drogę w głąb wysp, zmuszało do zakładania osiedli na stosunkowo wąskich pasach wybrzeży.

Znaczną lepiej przedstawiała się sytuacja na wyspach malajskich i polinezyjskich oraz na półwyspach południowego łuku kontynentu azjatyckiego, ponieważ wszelkie wysiłki organizowania chińskiego handlu z zachodem oraz indyjskiego na wschód kierowały się właśnie w tamte regiony.

Z czasem na dogodnych punktach wybrzeży, w deltach rzek

i w nadających się na przystanie zatokach powstały osady, w których koncentrował się handel morski ze wszystkich niemal stron świata. Ludzie trudniący się wodnym transportem towarów zasłynęli wnet jako mistrzowie dalekomorskiej żeglugi. Życie w osadach nadmorskich — zarówno na Półwyspie Malajskim, jak i na wyspach Polinezji — rozwijało się w dwóch kierunkach. Jeden wiązał się z rolnictwem na łanach ziemi w pobliżu osad ludzkich; płaskie brzegi i tereny przy ujściach rzek to urodzajna, ciągle żyzna gleba, dająca stale bogate plony zbóż, owoców i paszy dla bydła. Od morskiego brzegu aż po nieprzystępną ścianę szmaragdowej „rimby” rosło tu i pleniło się wszystko, co potrzebne było ludziom do życia. Drugą część życia osad nadmorskich — część znacznie ważniejszą, bogatszą i zyskowniejszą — stanowił handel: zarówno eksport towarów, jak i pośrednictwo w handlu tranzytowym. Dużą część osad stanowiły właściwie porty, a w nich wielkie dzielnice handlowe składające się z magazynów, sklepów i domów mieszkalnych.

Cofnijmy się jednak o parę stuleci wstecz. Dowiemy się wówczas, co mówili pierwsi Portugalczycy, którzy tam dotarli:

— Malakka, ośrodek handlowy leżący w zwięzającej się części Półwyspu Malajskiego, to najwspanialsze miasto na świecie!

— Najbogatszy port, jaki kiedykolwiek widział świat. Jakież tam masy cennych towarów i statków, jak bujnie rozwija się handel!...

— To Wenecja mórz azjatyckich...

A tak, Malakka, ongiś wioska rybacka, od czasu gdy zasobna żegluga morska upatrzyła ją sobie na dogodną bazę dla potrzeb morskiego handlu, wspaniale rozkwitła i wzrosła w siłę. Nad wybrzeżem, gęsto usianym urządzeniami portowymi i składami towarów, na łagodnych zboczach, pełnych tropikalnej zieleni, wznosiły się dzielnice mieszkalne, gdzie jaskrawo lśniła biel pałaców bogatych kupców oraz smukłych wież i wieżyczek meczetów. Ileż towarów przechodziło tędy co roku w obu kierunkach! Ile złota pozostawało w kasach zamożnych kupców! Ze złota tego rodziły się przepychy, rozpusta i panoszyły się zbytki. W chwili wyładowania pierwszych przybyszów z Europy, Portugalczyków, Malakka liczyła ponad trzydzieści tysięcy domów, przeciętnie sto pięćdziesiąt

statków dziennie rzucalo w jej porcie kotwice. Ile mieszkanców mógł miec ten najwiekszy z portów ówczesnego swiata? Nikt by ich nie zliczył, bo w stoczniach, w wąskich uliczkach portowych, a przede wszystkim w chatach, w na wpół rozpadajacych sie szopach, w ziemiankach, w trzinowych szalaszach i norach, otaczajacych właściwą Malakke, nędznie wegetowało walcząc o prace i skromny zarobek znacznie więcej ludzi, niż mieszkało ich w samym mieście.

Lecz Malakka to nie jedyne — jakkolwiek największe — miasto portowe i handlowe w tym kraju tysiąca wysp. Podobnie bogate i wspaniałe ośrodki powstały na Sumatrze, na Jawie oraz na wybrzeżach cieśniny malajskiej, gdzie do słynnego Sriwidżaja*) zjeżdżali się i schodzili uczeni z Chin i z Indii, by tu czerpać „ze źródła mądrości”, ze starych bibliotek rękopiśmiennych. (Było to w VII wieku, kiedy Portugalia jeszcze nie istniała, a Wenecja była wioską na bagnach.) Dopiero w XV wieku powstało tu skrzyżowanie dróg narodów i ludów prowadzących handel morski. W portach tych było w użyciu osiemdziesiąt kilka języków i narzeczy!

Zgrabne katamarany krążyły po morzu, cieśninach i przesmykach między wyspami, od portu do portu, towarzyszyły im lub mijaly je chińskie dżonki, lekkie sampany, łodzie przybyłe tu aż z Cejlonu, z Persji czy Egiptu...

Tak, ale tylko do chwili, gdy stanęła tam noga białego, Europejczyka. Mieczem, krwią i hukiem dział oznajmił on swe przybycie. Od tego momentu rozpoczęła się nowa epoka Oceanii — epoka upadku i przekreślenia dawnej chwały. Białe fasady pałaców i domów miejskich pokryły plamy błota i krwi, nieustannie grabione składy i sklepy z porozbijanymi wrotami niszczały i rozpadały się, flotyle statków rozprzeczły się, wywożące przerażonych zbiegów łodzie tubylców starannie unikały portów. A ludzie na plantacjach, polach ryżowych i pastwiskach? Ucichły śpiewy, przygasił blask w oczach — dla nich nadszedł czas niewolnictwa...

Na tych rajskich wyspach postawił stopę cywilizowany, biały chrześcijanin. Nadszedł wówczas koniec owego bogatego raj.

*) Sriwidżaja — w VII—XII w. imperium z ośrodkiem Palembang na Sumatrze, największa potęga w rejonie cieśniny Malakka.

Kiedy później Vasco da Gama i inni żeglarze portugalscy będą się chwalić swymi odkryciami w Indonezji, na Półwyspie Malajskim i archipelagach na oceanie, kiedy historia — przede wszystkim portugalska — będzie pod niebiosa wynosić ich bohaterstwo i śmiało parcie na wschód, dobrze jest wówczas pamiętać, że ci pierwsi odkrywcy Dalekiego Wschodu, którzy tak wielkie położyli zasługi w późniejszych portugalskich wyprawach rozbójniczych, dopłynęli do celu tylko dzięki tubylczym żeglarzom-przewodnikom (arabskim czy innym), a przede wszystkim — co jeszcze bardziej ciekawe — dzięki mapom. Mapom znanym z dawien dawna, sporządzonym i wielokrotnie sprawdzonym przez żeglarzy malajskich i indonezyjskich. Bo przecież jest rzeczą niemożliwą, by mapy morskich szlaków, jakie rysowali portugalscy nawigatorzy, były naprawdę ich dziełem. Często się nimi chwaliłi już po pierwszej podróży — a na tych „ich” mapach figurowały setki wysp, zaznaczone były ich kontury i wzajemne odległości. Ileż by to wymagało wykonywania pomiarów, ile czasu, ile dodatkowych rejsów. Jedno jest tylko wyjaśnienie: były one kopiami wcześniej wykonanych map.

Fakt ten potwierdza zresztą list mieszkańca Malakki, wicekróla portugalskiego, Albuquerque, przesłany królowi Manuelowi w 1512 roku. W liście tym Albuquerque zawiadamia swego władcę, że przesyła mu kopię mapy pewnego żeglarza z Jawy, „gdzie zaznaczone są: Przylądek Dobrej Nadziei, Portugalia, Morze Czerwone, Morze Perskie, Wyspy Korzenne (Moluki), wyrysowane są także najbliższe drogi morskie, nawet i te, którymi pływają Chińczycy i mieszkańcy Formozy (Taiwanu). Istnieją na tej mapie również i kraje bardzo od morza odległe... Wydaje mi się, Wasza Królewska Wysokość, że mapa ta jest najpiękniejsza ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem na świecie... Wasza Królewska Wysokość może przekonać się na własne oczy, na których ziemiach mieszkają Chińczycy i Formozańczycy, oraz jaką drogą popłyną Wasze statki aż do Wysp Korzennych, czy też tam, gdzie są kopalnie złota w kraju Sam (środkowa Sumatra), a dalej wyspy Jawa i Bantami, gdzie są galki muszkatołowe i ambra, a także kraj syjamskiego króla (Syjam) leżący tam, którą Chińczycy przyplują i wracają z powrotem.”

Początek XV wieku...

Teraz już z czystym sumieniem możemy porzucić „barbarzyński, grzęznący w ciemności i pogaństwie” Daleki Wschód, by powrócić wreszcie w ojczyźne strony „cywilizowanej” Europy. Teraz bowiem dopiero nadejdzie pora na odkrywcze przedsięwzięcia także i białych ludzi.

Co było tego przyczyną?

Podobnie jak na wschodzie także i tu był to handel — rozwinął się on tak dalece, że potrafił wymusić import nowych towarów. Brzmi to dosyć nieosobowo, kiedy mówi się, że handel potrafił coś wymusić. Ale przecież zawsze za handlem kryją się ludzie: sprzedający i kupujący. Więc jak to właściwie było?

Gospodarka europejska dawno już wyrosła z powijkaków. Z gospodarki prymitywnej — kiedy podstawą wszelkiej wytwórczości była ziemia i jej plody, przy czym handel miał formy wymiany (towar za towar) — rozwinęła się gospodarka pieniężna, kiedy bity metal stał się stałą jednostką płatniczą, kiedy zaczęły rozwijać się skupione w miastach rzemiosła — właśnie na gruncie miast zrodził się handel i gospodarka kapitałowa. Wspomnieliśmy już, że handel europejski potrafił wymusić import nowych towarów. Jakież to towary tak bardzo były pożądane? I dlaczego właśnie teraz ludzie się ich domagali? (Kupujący — ponieważ chcieli je mieć, kupcy — ponieważ chcieli na nich zarabiać).

Oczywiście, że były to rzeczy cenne i rzadkie: z Indii, Polinezji i Chin. Stały się one tak bardzo upragnione, że nagle nie mogli się bez nich obejść.

Tak nagle?

A tak — od tej chwili, gdy widzieli je na własne oczy, próbowali ich smaku, dotykali delikatnych materiałów jedwabnych, gdy odurzał ich zapach wschodnich wonności i pachnideł. Z wrażeniami tymi stykali się Europejczycy w głównej mierze podczas tak zwanych „wypraw krzyżowych”, kiedy to rycerstwo chrześcijańskie całego Zachodu starało się „wyzwolić Jerozolimę i grób Chrystusa”. W wyprawach tych brały udział dziesiątki tysięcy ludzi, którzy lądem i morzem odbywali dalekie pielgrzymki do Azji Mniejszej, gdzie potem przeważnie ginęli od chorób lub szabl mahometańskich Saracenów. Pierwsza wyprawa krzyżowa ruszyła na wschód w 1096 roku, szósta i ostatnia w 1228 roku.

A ich rezultat?

Wprawdzie Jerozolima nadal była w rękach niewiernych i grób Chrystusa nie został wyzwolony, natomiast wyprawy te odniosły jeden skutek: ogromnie rozwinęły handel ze Wschodem. Uczestnicy wypraw krzyżowych przynieśli do swych europejskich krajów ojczyźnych wiele zwyczajów oraz różne przedmioty ogromnie uprzyjemniające życie, które wnet stały się — zwłaszcza dla szlachty — niezbędne na co dzień. Oto Europejczycy feudalowie przywykli na Wschodzie sypiać na łóżkach, poznali wspaniałe i delikatne tkaniny wschodnie, chińskie jedwabie, a przede wszystkim zapoznali się z rozkoszami podniebienia dzięki różnym korzeniom indyjskim, które nagle ujawniły, jak bardzo mądra i jednostajna jest kuchnia europejska.

Do wszelkiego rodzaju zbytku i luksusu człowiek przyzwyczaja się bardzo łatwo i szybko, kupcy zaś zwykle starają się zaspokoić każdy popyt — przede wszystkim w interesie własnej kieszeni. Dobre interesy robią na tym także właściciele statków i przedsiębiorcy, lecz z całego tego ożywienia handlu kapitanom statków i marynarzom przypadają w udziale znacznie mniejsze zyski.

O jednym z takich właśnie kapitanów — i to o tym najważniejszemu — opowie rozdział następny.

ODKRYCIE AMERYKI

DOMEM rodziny Kolumba były dwie ciemne cele, przeznaczone pierwotnie dla mnichów. I tak tkacz Domenico Colombo miał wyjątkowe szczęście, że znalazł lokal do wynajęcia w genueńskim klasztorze świętego Stefana. Wynajęcie bowiem mieszkania w klasztorze było najtańszym sposobem zdobycia dachu nad głową we włoskim mieście.

Stary Domenico musiał liczyć się z groszem. Był co prawda z zawodu tkaczem, mógł nawet poszczycić się, że w zawodzie owym kształcił go sam Guglielmo Brabante, mistrz nad mistrze, ale cóż tu Brabante pomoże? Mimo że Domenico był najbieglejszym tkaczem, to jednak jego zarobki były tak skromne, że z trudem starczyły na utrzymanie żony i dwóch synków. Dawne przysłowie: rzemiosło ma złote dno, teraz już w Genui nie miało zastosowania. Mimo to jednak Domenico nie mógł sobie wyobrazić, by jego starszy syn Krzysztof miał się uczyć jakiegoś innego rzemiosła, nie tkactwa. (Młodszy, Bartolomeo, kołyszany w czułych ramionach matki, daleki był jeszcze od podobnych trosk.) Dlatego też od dziewiątego roku życia zabierał Krzysztofa do warsztatu, ale prócz tego zastanawiał się, w jaki jeszcze inny sposób najlepiej przygotować go do życia.

Istniała taka umiejętność, mało jeszcze wówczas rozpowszechniona, która zapewniała przynajmniej drobne, uboczne zarobki. Bo na przykład taki Lorenzani! Bywał stałym gościem w gospodzie „Pod Wieńcem”, dokąd Domenico tylko w wielkie święta zachodził na kieliszek czerwonego wina z Orvieto. A tymczasem Lorenzani co dzień siadywał nad pełną czarką — skąd on brał na to? No tak, właśnie! Pisywał listy ludziom, którzy sami pisać nie umieli: dziewczętom i chłopcom listy miłosne, rodzicom listy do dzieci, które los zagnał gdzieś daleko w świat, a nawet — ponie-

waż zaglądał czasem także i do ksiąg prawniczych — pisywał jeszcze i prośby do władz miejskich.

W klasztorze świętego Stefana nietrudno było o światłego mistrza, który mógłby wprowadzić młodego chłopaka w tajniki pisma. Spośród wielu Domenico wybrał fratra Anzelmo, który był bibliotekarzem, a zarazem człowiekiem wielce rodzinie Kolumba zobowiązanym. W wielkim poście przynosił ukradkiem donii Marii, żonie Domenika, kawalki baraniego mięsa, by mu je przyrzędziła, była ona bowiem wysmienitą gospodynią — gdy miała co przyrządzać — i kobietą dyskretną, godną zaufania.

Tak więc co wieczór, po pracy, Krzysztof zaczął chodzić do biblioteki klasztornej, do brata Anzelma, który uczył go łaciny, języka hiszpańskiego i portugalskiego, a ponieważ wszystkie te języki są sobie pokrewne, nie sprawiały mu one większych trudności. I wtedy to przemówiły do Krzysztofa nieme dotąd księgi — przemówiły opowieściami o wielu tajemnicach świata i życia. Krzysztof chciwie czerpał z tych różnorakich, nieograniczonych wprost źródeł, lecz wydawało się, że nic nie zdoła ugasić jego pragnienia. Najpierw posłusznie czytał wszystko to, co mu wskazywał brat Anzelm, potem jednak kręcąc się wśród regałów biblioteki i przepatrując jak łakomy kot tytuły foliów, sam już zaczął wybierać sobie książki. Zorientował się, że książki interesujące go najbardziej, to właśnie te, przed którymi brat Anzelm go przestrzegał — mówiły o gwiazdach, wszechświecie, o Ziemi — ścisłej mówiąc o kuli ziemskiej — na podstawie przekonywających dowodów i doświadczeń żeglarzy uzasadniały, że Ziemia jest kulista, że jest planetą obok innych jeszcze planet; z danych tych wysnuwały jeszcze wiele dalszych wniosków, równie gorszących ze stanowiska kościoła.

Raz tylko Krzysztof odważył się wspomnieć bratu bibliotekarzowi o tym, co przeczytał — potem już nigdy nie próbował. Wówczas brat Anzelm przeżegnał się wystraszony i zaczął zaklinać swego ucznia, by wystrzegął się tego rodzaju diabelskich pułapek. Jak uczył ojcowie kościoła — a oni przecież nie mogą się mylić! — jedyna w całym wszechświecie Ziemia wybrana jest przez Boga, by na niej dopełnił się w człowieku zakon miłości chrześcijańskiej i zbawienia. Wszystko, co jest z tym sprzeczne, to podsuwane przez szatana fikcje i kłamstwa — obojętne, czy po-

chodzą one z pomysłów szalonych mędrców czy też z ust chełpliwych żeglarzy. A przecież jest rzeczą od dawna wiadomą, że Ziemia jest płaska, że jest to wielka tarcza ze wszech stron oblana morzem. Niektórzy uczeni twierdzą, że tarcza ta spoczywa na pancierzach czterech olbrzymich żółwi, które utrzymują Ziemię nad wodami. To jednak nie jest ważne, najważniejsze jest to, że tam, gdzie oblewające Ziemię morze się kończy, jego wody wpadają w przepastne głębie, które tworzą wejście do piekła. A piekło to rozpościera się pod całą powierzchnią Ziemi, podobnie jak nad Ziemią wznosi się sklepienie nieba, przybytek boży i siedziba rajskiej szczęśliwości. Tak właśnie jest — a nie inaczej! Jakież bezmyślne jest twierdzenie o kulistości Ziemi na całej przeciwieśnej powierzchni zamieszkałej! Uzasadnieniem jest choćby fakt, że ludzie po przeciwległej stronie takiej kuli musieliby chodzić głową w dół, co samo w sobie stanowi już nonsens, bo przecież natychmiast by wszyscy pospadali! Wszystko to są tylko wymysły najgorszych heretyków!

W trakcie tej rozmowy z bratem Anzelmem w bibliotece klasztornej młody Kolumb trzymał właśnie w ręce łacińskie dzieło Pierre d'Ailly'ego: „Imago mundi” (Obraz świata). Napisała przed półwieczem książka wyjaśniała bardzo uczenie i przekonująco, że Ziemia jest kulista. Części świata: Europa i Azja, tak są podobno rozłożone, że z Europy można dotrzeć do Azji dwojaką drogą: albo łądem kierując się na wschód, albo równie dobrze, jeśli skierujemy się na zachód, ale wówczas musimy przepłynąć przez morze leżące między najdalej na zachód wysuniętym wybrzeżem Europy i wschodnim wybrzeżem Azji. Nie zapominajmy: obie te części świata i ocean między nimi pokrywają powierzchnie kuli, a więc: „wystarczy kilka dni, by z Hiszpanii przepłynąć do Indii” — dowodził dosłownie autor „Obrazu świata”.

Krzysztof gotów był nawet wyjaśnić bratu Anzelmowi, że autorem tego dzieła był nie kto inny, tylko słynny uczonego teolog, sam arcybiskup z Cambrais, człowiek noszący przezwisko: „Młot na kacerzy”, dygnitarz kościelny, przewodniczący soboru w Konstancy! Z równym powodzeniem mógłby Krzysztof udowodnić także, iż twierdzenie o kulistości Ziemi zostało już przyjęte niemal przez wszystkich uczonych, zarówno duchownych jak i świeckich. Patrząc jednak na rozgniewanego brata Anzelma postanowił

zachować dla siebie swe argumenty i tylko ukradkiem przemycić książkę d'Ailly'ego z biblioteki do komórki swego klasztorowego mieszkania.

Tam, gdy rodzice wraz z młodszym braciśkiem pokładli się już spać w sąsiedniej celi, zamykał się Krzysztof z książkami ściągniętymi sprzed nosa Anzelmowi. I teraz dopiero rozpoczynała się uczta dla jego wiecznie niesytej ciekawości i zainteresowania — aż do chwili, gdy w ogarku dopalającej się świecy gasł skwierczący w roztopionym tłuszczu knot.

Lecz z nastaniem ciemności nie kończyły się jeszcze marzenia Krzysztofa. Przeciwnie: ożywione wrażeniami z lektury, wspomagane przez niczym teraz nie krępowaną, bujną wyobraźnię — ruszały w wolny lot. Krzysztof położywszy się na swej nędznej przyści i wsunawszy ręce pod głowę wpatrywał się — w ciemność?... O nie, to nie ciemność miał przed oczami... Na pulapie srebrzyły się ruchliwe fale (marzenia Krzysztofa zawsze brały początek w genueńskim porcie), na rozmiętym lustrze wody pojawiały się ciemne, potężne kontury wspaniałej karaweli, która czekała już na młodego żeglarza... Przepiętny statek drżał jak szlachetny rumak prowokowany przez fale, wiatr i własną niecierpliwość. Napięte liny kotwiczne dźwięczały jak struny.

A potem już rejs przez bezkresne morze — szybki i bezpieczny im bardziej było ono wzburzone — statek pokonywał przestrzeń bez trudu jak we śnie. I ostatecznie zawsze szczęśliwie przybijał do brzegu, który stanowił jego cel — Indie!

Czasami, gdy Krzysztofowi nie udało się przemycić do domu jakiejś upatrzonej zdobyczy, szedł do portu, siadał i wpatrywał się w morze i statki.

Port w Genui był wielki, kotwiczyło tam dużo statków, lecz mimo to przypominał raczej zniszczony kram handlarza starzyzną. Przyplływające i odpływające stąd statki to przeważnie mniejsze żaglowce lub przestarzałe, brzuchate karaki, które nie odważały się odplłynąć od brzegów nawet tak daleko, jak zapuszczała się drobna hałastra rybaków na swych łódkach z jednym zszywanym żaglem. Żadne z tych statków nie były przeznaczane do dalekomorskiej żeglugi. Bo i czegoż mogłyby szukać na dalekich morzach? Morze Śródziemne roilo się od piratów, dla takich więc małych, w jedno czy najwyżej dwa niewielkie działa uzbrojonych

statków było równie niebezpieczne jak przechadzka świeżo wykłutego z jajka kurczęcia po pustym polu, nad którym krąży jastrzębie i krogulce. Dlatego też te lupiny trzymały się kurczowo brzegów dostarczając pospolite towary — przeważnie żywność — na targi nadmorskich miasteczek.

Gdzie to te czasy, gdy na redzie Genui rzucały kotwice wielkie galery, pojemne fregaty i karawele, napędzane bogatym wachlarzem żagli, przywożące do Genui — tak samo jak do Wenecji — ładunki wschodnich tak drogocennych korzeni, że sprzedawało się je na wagę złota, a prócz tego całe sztuki chińskiego jedwabiu, tak cienkiego i tak barwnego jak skrzydło motyla, wyroby z metali z tak delikatnie kutymi ornamentami, jakby te wzory i poplątane linie przął jakiś „metalowy” pajak...

Wszystkie te skarby nadchodziły do portów Italii z Indii z tej ziemi obiecanej, gdzie jak można było sądzić złoto i drogie kamienie tak są wśród ludzi powszechne jak u nas krzemień. Wszystkie te swoje wspaniałości Indusi chętnie sprzedawali — musieli ich mieć bez wątpienia oburzający wprost nadmiar! — a już przede wszystkim korzenie. Europejcy smakosze szybko i bez zastrzeżeń przyzwyczaili się do indyjskich przypraw i korzeni, tak że dawniejsze, tylko solone potrawy wydawały im się wprost nie do jedzenia. Handel towarami indyjskimi wieki całe rozwijał się w nieustannie wzrastającym tempie — z korzyścią przede wszystkim dla miast portowych Italii, których statki rozwioły te indyjskie cuda po wszystkich europejskich portach na Zachodzie i Północy.

Aż wreszcie wszystko to popsuli Turcy. W połowie XV w. zagarnęli Azję Mniejszą, potem całe wschodnie wybrzeże Morza Śródziemnego. Przyszła zła passa — źródło wyscho. Żaden z włoskich statków nie odważył się już płynąć do wschodnich portów, a Genui — podobnie jak wszystkim innym portom — nie pozostało nic innego, jak kupować towary indyjskie od pośredników, od kupców arabskich na północnych wybrzeżach Afryki. Rzecz prosta, że Arabowie wykorzystywali trudną sytuację kupców europejskich bezwstydnie podnosząc ceny na indyjskie korzenie i inne towary, byle jak na najwięcej na nich zarobić.

Oczywisty skutek był taki, że ze względu na wysokie ceny i rozmaite trudności handel z Indiami zaczął upadać, a wraz z nim

upadały także i porty. Wśród portów tych znalazła się naturalnie także rodzinna Genua Kolumba.

Ileokroć chłopak zawędrował do portu, wzrok jego biegł do starej jego części, gdzie na kotwicach stało kilka wielkich statków, które od dziesiątków lat nie wypływały już na morze. Na dziobach i burtach osiadła zielona rzeża, wodorosty i muszle, nagie maszty sterczały pod niebem, a ponieważ drewno ich niszczało od deszczu i zmian pogody, chwiały się skrzypiąc w gniazdach i opętnikach, co robiło wrażenie, że statki jęczą. Rzeźbione galiony^{*)} na dziobach statków poczerniały, z ozdobnych rzeźb na wysokich kasztelech rufowych dawno już zniknęły złocenia i barwy. Tak, tu właśnie rozsypywała się w proch dawna chwała Genui!

Nad genueńskim portem zapadał zmierzch. Lekko marszczona powiewem wiatru powierzchnia morza wnet po zachodzie słońca przybrała zimny, stalowy odcień. W pomroce wyciągały się ku niebu czarne reje starych statków. Ale Krzysztof nie zwracał uwagi na rozpadające się szkielety martwych statków ani na snujące się cienie nocy, które zlewały się w ciemności nad jego głową. On miał przed oczyma inne statki: potężne i dumne — z wydętymi wiatrem żaglami odpływały właśnie na zachód...

W głowie Krzysztofa tkwiła tylko jedna uparta myśl, tak kategoryczna, jak zdanie kardynała d'Ailly'ego, zapisane w „Imago mundi”: „Wystarczy kilka dni, by z Hiszpanii przepłynąć do Indii”.

I to wcale nie drogą wschodnią, zamkniętą obecnie przez Turków i Arabów, ale na zachód, poprzez ocean, dokoła kuli ziemskiej... On tego dokona!

Wszystkimi tymi myślami nie miał się z kim podzielić. Ojciec? Niepotrzebnie wzbudziłby w nim tylko niepokój — Domenico wciąż jeszcze wierzył, że ziemioślo tkackie odzyska kiedyś dawną pozycję, wszystko inne zaś uważał za nierealne. Nie był też zadowolony z swego własnego pomysłu uczenia syna sztuki czytania i pisania — później zwłaszcza, gdy zauważył, że Krzysztof tonie w książkach bez reszty — a to przecież do niczego dobrego nie prowadzi! I matka także nie miała zrozumienia dla fantastycznych projektów syna, zbytnio przypominały marzenia, a marzenia, zda-

^{*)} galion — ozdobna rzeźbiona figura u szczytu dziobowej

niem donii Marii, zawsze prowadzą do niezadowolona z rzeczywistości albo są załączkiem wielu przykrości. Rozmowy z bratem Anzelmem z góry trzeba było wykluczyć. A współtowarzysze Krzysztofa w warsztacie? Ci na pewno by go wysmiali — tak przynajmniej sądził.

Im bardziej czuł się samotny, im więcej dostrzegał przeszkód na swej drodze, tym mocniej odczuwał, że dzieje mu się krzywda. Przecież ten świat sam się pozabawia niesłychanych korzyści, jakie on właśnie, Krzysztof, mógłby swą wyprawą do Indii mu przynieść. Z czasem ludzie zaczęli go drażnić, w ich twarzach i słowach doszukiwał się tępoty, którą sam w złości im zarzucał, aż w końcu zaczął ich nienawidzić. Z pełną goryczy satysfakcją — bo to przecież ich wina! — uświadamiał sobie, że jego serce odgradza się od bliskich jakimś nieprzeniknionym pancernem, za którym rośnie jedyny sens jego życia — owo wielkie zadanie.

Poruszał się wśród ludzi, lecz nikt nic w nim nie dostrzegał. Uśmiechał się ze współczuciem: „nie przeczuwacie nawet, że znajduje się wśród was człowiek, którego zasługą będzie kiedyś powrót Europy do dobrobytu. Będzie on sławniejszy od wszystkich słynnych, zwycięskich wodzów, bowiem zwycięży Turków skuteczniej niż wszelkie najpotężniejsze armie...” Krzysztof wybaczał przechodniom, że mijają go obojętnie, w duchu jednak litował się nad nimi, że tacy są ślepi i nieświadomi.

Skutkiem tego, rzecz prosta, stawał się coraz bardziej drażliwy, jakkolwiek żart skierowany pod jego adresem w pracowni tkackiej czy w domu ranił go boleśnie. Pomieważ był stale rozdrażniony, zostawiano go w spokoju, co jeszcze bardziej wyłączało go z ogólnych zabaw czy rozrywek. Lecz jemu było to obojętne. Miał swe własne wielkie królestwo przyszłych czynów, przyszłych tryumfów, o których wszyscy pozostali nie mogli mieć pojęcia.

Jedynym miejscem, gdzie Krzysztof umiał być jeszcze normalnym, pełnym ciekawości chłopakiem, były tawerny marynarskie w porcie. Nie miał pieniędzy, by zachodzić tam jako klient, czasem jednak pomagał trochę karczmarzowi, kiedy indziej znow wyrażał jakiegoś marynarza w niesieniu worka czy kufierka i nie chciał za to nic, tylko by mu pozwolono usiąść gdzieś w karczmie na boku i przysłuchiwać się ludziom, którzy właśnie przyłynęli do portu. Kiedy udało mu się czasem zdobyć jakąś drobną mone-

tę, nigdy nie kupował sobie nic do picia, lecz oddawał ją temu z marynarzy, który okazał się najbardziej ze wszystkich przystępny; tak za genueńskie sody Krzysztof kupował sobie — opowiadał.

Najchętniej oczywiście szukał kontaktów z marynarzami pływającymi na statkach portugalskich. Budowniczym statków i kupcy portugalscy ogromnie interesowali się sprawami Indii. I oni także głowili się nad sposobem przełamania arabskiej i tureckiej bariery na Morzu Śródziemnym lub chociażby jej omińnięcia. Żeglarze portugalscy zdecydowali się próbować drogi do Indii — przez opłynięcie Afryki! Nikt jeszcze co prawda nie dotarł do najbardziej na południe wysuniętego cypla afrykańskiej części świata, ale przecież gdzieś ta Afryka koniec mieć musi! Jak tylko jakiś statek opłynie go gdzieś tam na południu, od razu będzie mógł zwrócić się dziobem na północny wschód i po szerokim morzu popłynąć prosto do Indii! I to za plecami Arabów i Turków!

Krzysztof uważnie przysłuchiwał się tego rodzaju rozmowom, ale o swoich planach nigdy ani słowem nie wspominał. Wiedział z map, a umiał już także obliczyć dokładnie, ile czasu trwałoby takie opłynięcie Afryki. Orientował się doskonale, że tego rodzaju przedsięwzięcie byłoby bardzo kosztowne i niebezpieczne. A tymczasem droga przez ocean na zachód była znacznie krótsza — nie wiedział tylko czy trzy, czy pięciokrotnie — i nie zapowiadał więcej niebezpieczeństw niż każda inna wyprawa na otwartych morzach.

Jak się to dzieje, że dotąd nikt na to nie wpadł? Dlatego pewnie, że to pomysł zupełnie nowy i dzięki temu, że taki niezwykle, może się wydawać zbyt zuchwały... A chociaż już tak wielu ludzi uczonych potwierdziło teorię, że Ziemia jest kulista, to chyba znacznie więcej jest takich Anzelmów, którzy — podobnie jak ten nabożny bibliotekarz — wierzą dotąd, że gdzieś tam na zachodzie można wraz z statkiem na krańcach morza wpaść w przepaść bez dna, obojętne czy nosi ona nazwę piekła czy też końca świata.

Nie, tego odkrywczego sukcesu, który w marzeniach przeżywał już tylokrotnie, Kolumb nie pozwolił sobie odebrać! Nikomu! Królowie na klęczkach będą mu dziękowali, państwa całe znowu rozkwitną, a ludzkość spoglądać będzie na niego z podziwem i wdzięcznością!

W takich momentach Krzysztofowi cała Genua wydawała się wprost nie do zniesienia, mieszkanie w klasztorze najgorszym więzieniem, a ludzie dokoła nędznymi głupcami. Tylko wieczorem w porcie morze jakby go rozumiało; fale uderzające nieustannie z pluskiem o kamienne nabrzeże zdawały się mówić: „Na co jeszcze czekasz? Dlaczego zwlekasz? Pilnuj się, byś i ty nie zmarnował się tu, tak jak ten cały stary, zamierający port!”

Wreszcie jednej z takich nocy, kiedy powrócił do klasztoru świętego Stefana, a rodzice już spali — powziął decyzję. Zawinął w płaszcz trochę bielizny, odrysowane w bibliotece mapy oraz swoje notatki geograficzne i astronomiczne, wszystko to ściągnął rzemieniem i z butami w rękę, by nie obudzić nikogo z domowników, wymknął się z klasztoru.

Nie czuł wyrzutów sumienia. Gdyby nawet próbował wytłumaczyć rodzicom, dlaczego zdecydował się iść na morze, nigdy by tego nie pojęli, nie zrozumieliby go. Znikając bez klótni i krzyków oszczędził im na pewno wielu trosk i cierpień.

O wschodzie słońca stał już na pokładzie, odplywającej po towar do Neapolu, karaki. Po raz ostatni spoglądał na Genuę: oddalała się powoli, zmieniała się w garstkę domków-zabawek, przetrzeźnia morza między statkiem i lądem zwiększała się z każdą chwilą. I wtedy nie odczuł żalu ani wyrzutów. Sumienie miał spokojne: nie zdradził swego powołania, wyruszył, by je wypełnić.

Krzysztof musiał najpierw poznać podstawy żeglarstwa; był więc wszystkim, czym tylko być można na statku: chłopcem pokładowym, sternikiem, kapitanem, potem znów prostym marynarzem, ale także pisarzem, agentem handlowym, astronomem i nawigatorem. Zmieniały się pokłady statków pod jego nogami, ale wciąż jeszcze starał się dostać przede wszystkim na statki portugalskie, które podejmowały najdalsze rejsy. Członkowie załóg i kapitanowie lubili go lub nie — nikomu nie przeszkadzał, był niesłychanie dokładny i pilny, nie było wypadku, by uchylił się od jakiegokolwiek pracy, lecz przy tym wszystkim zawsze zamknięty w sobie, nieprzystępny. Nie szukał przyjaźni, więc też ich nie znajdował. Zdawało się, że myśli jego zajęte są nieustannie jakimś zagadnieniem, z którego jednak nikomu się nie zwierzał. Podczas rejsu był bardzo przydatny, ale gdy zszedł z jakiegoś statku, nikt go już tam nie wspominał.

W czasie wolnym od służby zaszywał się gdzieś w kącie i coś tam notował. Już to samo starczyło, by odgrodzić go od reszty załogi. Marynarze szepotali między sobą, że to dziwak, że uczonej, to znów że wariat, a może nawet zajmuje się wiedzą tajemną — zwłaszcza kiedy po nocach mierzył odległość gwiazd. Słowem: mówili o tym, co im się najbardziej rzucało w oczy, nikt bowiem nie miał ochoty specjalnie się nim zajmować.

To głupstwo, wszelkie fizyczne zmęczenie, trudności i drobne przykrości tych pierwszych lat na morzu były niczym wobec meczarni duchowych, jakie czekały Kolumba w późniejszym okresie. Udręki te powodowały nadchodzące stale wiadomości o coraz to nowych sukcesach Portugalczyków w poszukiwaniach drogi do Indii przez opłynięcie Afryki. W połowie lat osiemdziesiątych piętnastego wieku Diego Cão w czasie wyprawy wzdłuż afrykańskich brzegów dotarł aż do ujścia rzeki Kongo, a w jakiś czas później, w roku 1488, następny Portugalczyk, Bartolomeo Diaz, opłynął południowy cypel Afryki i skierowawszy statki na północny wschód zorientował się, że stamtąd otwiera się już przed nim bezpośrednio droga morska — do Indii! Prawdą jest, że ze swoimi statkami tam nie dopłynął, lecz nie była to wina jego ani jego obliczeń. Po prostu zbuntowała mu się załoga, która po tak długiej podróży nie chciała już bardziej oddalać się od kraju. Musiał więc Diaz zawrócić, lecz problem drogi do Indii przez opłynięcie Afryki był w zasadzie rozwiązany.

Ile czasu jeszcze upłynie, zanim ktoś wpadnie na taki sam pomysł jak Kolumb? Ktoś, kto będzie miał więcej środków i więcej kontaktów, by przeforsować go na portugalskim czy hiszpańskim dworze! Ilekroć Kolumb myślał o tym, pot okrywał mu czoło, robiło mu się słabo, był bliski omdlenia. Wówczas zaczynał przeklinać swe ubóstwo i pochodzenie — to one zawiły, że nikt nie traktował go poważnie.

Od dawna już zaczął czynić starania, by głos jego dotarł do właściwych uszu. Lecz te właśnie wysiłki, by obojętny świat wysłuchał „wybawcy, wskrzesiciela i odnowiciela dawnej Europy”, to była chyba najcięższa życiowa próba dla woli i wiary we własne siły Kolumba.

Kolumb pisał na dwór portugalski i hiszpański. Pisał do kanclerzy, ministrów i bezpośrednio do monarchów. Szczegółowo

i rzeczowo wyliczał wszystkie dodatnie szanse swych projektów, żarliwie obiecywał takie rezultaty, które wydawały się zbyt kuszące, by mogły być realne. Zaklinał, błagał, wspaniałomyślnie proponował, pochlebiał lub stawiał zuchwale swoje warunki.

Najczęściej nie odpowiadano mu w ogóle; czasem ktoś raczył przysłać odmowną odpowiedź, najczęściej bez uzasadnienia. Pewnego razu wysłał wyjątkowo realnie opracowaną propozycję wyprawy do Indii, zgromadził całą masę konkretnych szczegółów, a wszystkie poparte wiarogodnymi dowodami i dokumentami. Spodziewał się, że tym razem i małe dziecko zrozumie, jakie w ten sposób rodzi się cudowne rozwiązanie dla handlu europejskiego, dla portów i państw nadmorskich — po prostu nawet ślepiec mógłby wyciągnąć rękę po taki owoc. Na odpowiedź czekał miesiąc — wreszcie nadeszła. Mówiła, że wszystko to, co proponuje Kolumb, nie może przekonać „nikogo z ludzi wykształconych, choćby nawet posiadali mały zasób wiadomości”. W tym wypadku załączono jednak obszerniejsze uzasadnienie, dlaczego wywoły Kolumba nie zasługują na wiarę. Jeden z argumentów na przykład podawał, że na zachód od Europy ocean nie ma końca i dla statków jest niedostępny. Inny natomiast przestrzegał, że żeglarz przedostawszy się na antypody nigdy nie mógłby stamtąd powrócić, ponieważ żaden statek nie popłynął pod prąd po gwałtownie spadającej w dół wodzie.

Żadna jednakże obojętność czy głupota, żadna nawet zła wola nie zdołała tak dalece osłabić decyzji Kolumba, by — po odrzuceniu jednego jego projektu — zrezygnował z pisania następnych. Wysyłał je nieustannie do dawnych i coraz to nowych adresatów.

Minęły lata zanim doszedł do przekonania, że na dworze Portugalii — wówczas pierwszego mocarstwa morskiego — nie persoruje swoich projektów. Dlatego też znowu wytrwał — już po raz który? — kierował swój atak na dwór hiszpański. Cóż go to mogło obchodzić, że Połączone Królestwo Kastyljsko-Aragońskie ma inne i to większe kłopoty? Że ma właśnie pełne ręce roboty z Arabami, których stara się wyrzucić z ostatnich pozycji na południowym skrawku Półwyspu Pirenejskiego. Jest wojna, czy jej nie ma, Arabowie są tu czy ówdzie — Kolumb nic z tego nie przyjmował do wiadomości i nie przestawał bombardować kró-

lewskich małżonków, Ferdynanda i Izabelę, swoimi wyjaśnieniami. Ach, jakież święte posłannictwo przypadnie w udziale hiszpańskiemu dworowi! Niechże tylko jemu, Kolumbowi, da statki, załogi i pieniądze, a on skieruje pod stopnie hiszpańskiego tronu powódź indyjskich skarbów, którym teraz zagradza drogę tama turecko-arabska!

Dopiero w tym momencie Kolumb uświadomił sobie, że prócz jego wymarzonej wyprawy morskiej istnieją także na świecie inne sprawy — na przykład wojna z Arabami. I natychmiast to wykorzystał uzupełniając swój plan: przecią otwarcie zachodniej drogi morskiej do Indii zada śmiertelny cios kupcom arabskim, którzy zarabiają takie mnóstwo pieniędzy na wyłączności i pośrednictwie handlowym na wschodnim i południowym wybrzeżu Morza Śródziemnego. O wartości swego projektu Kolumb był tak głęboko przekonany i tak liczył na jego sukces, że w tym samym liście z góry już stawiał warunki co do rodzaju i wysokości jego nagrody.

Gdyby sprawa zależała tylko od dygnitarzy dworskich, ministrów i rady koronnej, Kolumb nigdy by się nie doczekał realizacji swych planów. Na szczęście projekt jego znali także niektórzy bogaci feudalowie hiszpańscy. Kiedy zażądali od Kolumba całego stosu uzupełnień i dokładnie je przestudiowali, zorientowali się natychmiast, jak wielkie możliwości — biorąc pod uwagę całe ryzyko — otwariłyby się dla hiszpańskiego handlu, gdyby się ta odważna próba powiodła.

W dość krótkim czasie oboje królestwo dowiedzieli się od swych radców, że projekt niejakiego Cristóbal Colóna należy załatwić w ten mianowicie sposób, że Ich Królewskie Moście zleżą mu wyprawę do Indii i to drogą zachodnią, przez Ocean Atlantycki.

Tak więc wiosną 1492 roku miał wreszcie Krzysztof Kolumb w rękę kontrakt, wystawiony przez Ich Wysokości króla i królową, mianujący go „na okres jego życia admirałem wszystkich wysp i ziem, które jego ręką lub jego staraniem będą odkryte lub pozyskane w morzach — oceanach... a po jego śmierci także jego dziedzice oraz następcy z pokolenia na pokolenie”. Dalej, król i królowa postanawiali, „aby z wszelkich towarów, czy będą to perły, drogocenne kamienie, złoto, srebro, korzenie czy jakiegokolwiek

inne rzeczy, jakie będą znalezione i uzyskane na ziemiach w przytoczonym admiralstwie, wymieniony don Krzysztof Kolumb otrzymał i zachował sobie wszystkiego tego dziesiątą część”.

To pierwsze zwycięstwo, odniesione przez Kolumba po tylu latach wysiłków i trudów, uważał on naturalnie za rzecz oczywistą, podobnie jak i wymienioną w umowie z królewskimi małżonkami nagrodę. Jego szprymierzeńcy, bogaci szlachcice, którzy spowodowali ten nagły zwrot w sprawie, zaskoczeni byli niewzruszonym spokojem, z jakim przyjął do wiadomości tę wieść, która u kogo innego wywołałaby wybuch entuzjazmu. Ale Kolumbowi niełatwo było im wytłumaczyć, że dla niego wyprawa do Indii drogą zachodnią była już od lat sprawą postanowioną. Przyczyna tak później jej realizacji jest niezrozumiała ślepotą i głupotą tych ludzi, którzy do przeprowadzenia projektu Kolumba byli nieodzwolnieni. Więc też zamiast radości i uniesienia odczuwał niezadowolenie, że dopiero teraz może przystąpić do wykonania swych projektów.

Nie przyznawał się sam przed sobą, a może nawet nie uświadamiał sobie, jaka jest prawdziwa przyczyna, że ten wielki sukces potraktował jako rzecz zupełnie naturalną. Przyczyna ta kryła się w latach nędzy jego młodości, kiedy niedostrzegany i nierozumiany wegetował w zamknięciu celi klasztornej. To ona nie pozwoliła mu żyć pełnią życia, mimo że niósł światu tak wspaniały dar, który uprawniał go — był o tym głęboko przekonany — do najwyższej nagrody i szczytów. Uważał więc za rzecz zupełnie zrozumiałą, że zostanie wicekrólem, że będzie równy koronowanym głowom — w krajach, które odkryje i otworzy dla Starego Świata.

Teraz dopiero, po decyzji królewskiej, zaczęły się dla Kolumba prawdziwe kłopoty. Trzeba było zdobyć statki i załogi. Ani jedno, ani drugie wcale nie było łatwe. Dość było na sprzedaż mniejszych, słabszych czy przestarzałych statków, lecz na tak daleką i uciążliwą wyprawę, jaką projektował Kolumb, potrzebny był statek wytrzymały, solidnie zbudowany. A takiego żaden z armatorów nie myślał się pozbyć, wykorzystując go do zyskowego transportu towarów handlowych. Prócz tego owym szlachcicom i finansistom, którzy zaofiarowali się sfinansować wyprawę Ko-

lumba, nie uśmiechało się ponosić zbyt wysokich kosztów. Powszechnie jeszcze traktowano całą imprezę jako szaleńczą, a przede wszystkim niebezpieczną.

Znow musiały przyjść z pomocą urzędy królewskie: dano po prostu Kolumbowi prawo zajęcia w portach hiszpańskich odpowiednich statków. Teraz już Kolumb szybko dokonał wyboru: wytypował trzy karawele — dwie stutonowe, trzecią nieco mniejszą.

Były to stosunkowo skromne statki — w tych czasach budowano już statki czterystutonowe — ale na wielkie jednostki wierzyciele nie dali Kolumbowi kredytu. Dość już tego, że w ogóle zaryzykowali pieniądze! Stąd więc średnia wielkość statków Kolumba. Były one natomiast w dobrym stanie i dostatecznie wyposażone — każdy z nich miał trzy maszty, wysoki kasztel na rufie i przy znacznej szerokości niezbyt wielkie zanurzenie, co miało je chronić przed wpadnięciem na ostre skały, czyhające pod powierzchnią wód przy nieznanym brzegach. Także ożaglowanie, ładownie i umieszczone pod pokładem działa przedstawiały się przyzwoicie.

Królewskie urzędy pomogły również Kolumbowi w kompletowaniu załóg. Z tym także były trudności — mało było odważnych i chętnych do udziału w tak karkołomnym, ryzykownym przedsięwzięciu. Dlatego też sądy i instytucje królewskie ogłosiły zawieszenie postępowania sądowego w stosunku do tych, którzy zgłoszą się dobrowolnie na dalekomorską wyprawę.

Aż wreszcie pewnego dnia trzy w pełni wyposażone karawele: „Santa Maria”, „Ninia” i „Pinta”, stanęły na kotwicach w andaluzyjskim porcie Palos nad Oceanem Atlantyckim. Ładownie pełne były beczulek z wodą pitną, suszonym i wędzonym mięsem, suszonymi plackami, skrzyż z szklanymi koralikami i barwnymi szmatkami. Te ostatnie przeznaczone były na podarunki dla ludności tubylczej i jako towar wymienny przy nawiązywaniu kontaktów handlowych. Załogi wszystkich trzech statków liczyły razem około stu dwudziestu ludzi — prócz marynarzy znajdowali się tam także przedstawiciele handlowi wierzycieli Kolumba, kilku urzędników królewskich i prawników, lekarz i felczer. Niektórzy marynarze umieli co prawda obchodzić się z działami i bronią, lecz na pokładach, statków nie było zawodowych żołnierzy.

Celem wyprawy było bowiem nie zdobywanie nowych krajów, lecz zbadanie możliwości nawiązania handlu. Dlatego też był wśród załogi złotnik, który umiał ocenić wartość metali szlachetnych, gdyby udało się znaleźć je w nowej ziemi i nabyć.

„Nowa ziemia” to właściwie niezbyt dokładne określenie. Celem Kolumba było odkrycie najkrótszej drogi do krajów już znanych — do Indii, Chin, Japonii. Przecież najznakomitsi geografowie owych czasów przypuszczali, że między tymi krajami i Europą leżą jedynie wody oceanu, nie ma zaś żadnego nowego, nieznanego kontynentu. Obliczenia tych geografów oraz ich mapy wskazywały przy tym, że odległość między obu tymi częściami świata jest znacznie mniejsza, niż była w rzeczywistości. Ich omyłka powstała w oparciu o niedokładne dane dawnych podróżników wędrujących łodem przez Azję; ale zasługą tej omyłki był także fakt, że cały projekt Kolumba — mimo jego zuchwałej śmiałości — mógł uchodzić, zwłaszcza po przestudiowaniu map, za możliwy do wykonania, chociaż mało kto z ludzi rozsądnych uważał to za prawdopodobne.

Więc też, gdy na rozkaz Kolumba marynarze wybrali kotwicę — a było to wczesnym rankiem dnia 3 sierpnia 1492 roku — wśród zgromadzonego w porcie tłumu rozległ się głośny płacz. To płakały żony i matki odpływających żeglarzy, głęboko przekonane, że swych mężów i synów nigdy już nie zobaczą.

Dopiero gdy Kolumb stanął na pokładzie statku dowódcy — była to „Santa Maria” — gdy poczuł, jak karawela drgnęła i chwytając lekko wiatr w żagle oderwała się burtą od nabrzeża portowego, wtedy dopiero ogarnęło go trudne do określenia uczucie. Nie było to uczucie jednolite, raczej cały ich splot — gwałtowna fala radości dławiąca go w gardle, tamująca żywiołowy okrzyk, duma rozpierająca mu piersi, świadomość, że on, Krzysztof Kolumb, jest teraz naprawdę admirałem i dowódcą floty!... A w to wszystko włączały się cienie nagich klasztornych murów, genuńska nędza i haniebne lata niedawnego wyczekiwania. Wreszcie nad tym wszystkim unosiła się złota zorza, złocista... Lecz nie było to tylko złoto — lśniła tam także korona władcy, złoty wieniec z wawrzynu, gałęzie palm...

Zmieszany Kolumb przetarł ręką czoło i oczy — może nikt go nie obserwował, nikt nie zauważył, w jakie zabląkał się widziadła? Twarz jego szybko znów przybrała dawny, chłodny i nieprzystępny wyraz, Kolumb zszedł z kasztelu statku dowódcy, by wydać zwykłe rozkazy.

Aż do Wyp Kanaryjskich podczas rejsu nie działo się nic nadzwyczajnego. Większość załogi docierała tutaj już w dawniejszych podróżach. Lecz teraz nastąpiła zmiana: zamiast do afrykańskich czy europejskich brzegów, dokąd zawsze sternicy kierowali powierzone im statki — tym razem stery zwróciły je w przeciwnym kierunku.

„Santa Maria”, „Ninia” i „Pinta” płynęły na zachód, na pełne morze — w nieznanie!

Był dzień 6 września.

Dalsza podróż przebiegała spokojnie, na pozór wszystko szło swoim trybem, nie meldowano nic nowego lub niezwykłego, a jednak...

Ponieważ był to zupełnie inny rejs, inne powietrze, inne morze, także i ludzie na statkach jakoś się zmienili. Pod jakim względem? Trudno to określić, wszystkie bowiem niezbędne prace wykonywali tak samo jak dawniej, ale w ich oczach, ruchach, głosie zaznaczał się jakiś rys, którego przedtem nie było. Coś jakby niepewność, przejawiająca się w rozmaity sposób: w zbyt pośpiesznej, to znów rozwlekłej i zacinającej się mowie, w zapatrzonych gdzieś, nieobecnych spojrzeń, w ruchach, które nawet przy wykonywaniu najzwyczajniejszych prac nie były już tak systematyczne i precyzyjne.

Kolumb bardzo szybko to zauważył, ale nie wspominał o tym nikomu ani słowa. W pierwszej chwili ogarnął go lęk — czyżby teraz miał natknąć się na ostatnią przeszkodę: w ludziach? Lecz i ten atak strachu szybko minął, jego miejsce zajęła chłodna wzgarda. Skoro pokonał już tyle przeciwności, które każdego innego zlamalyby i wykończyły, nie dopuści, by wyprowadziły go z równowagi tchórzliwe nastroje paru przesądnych bab w marynarskich spodniach!

Niepokój szerzący się na pokładach i w kubrykach miał swe

istotne źródło w pogłoskach, jakie co drugi przynajmniej marynarz przyniósł z sobą z łądu. A pogłoski te przemyczał na statek przede wszystkim lęk żon, matek i kochanek. W sercach i umysłach marynarzy lęk ten narastał, podsycany jeszcze świadomością, że każdy z kolegów żyje także takim lękiem. Zaden z nich nigdy jeszcze tak nie oddalił się od bezpiecznego brzegu. Było to wbrew wszelkim uznawanym dotąd zasadom i zwyczajom, które od wieków nakazywały nawigatorom: trzymać się stale w rozsądnej odległości od łądu. A teraz całe dnie i tygodnie dzioby tną przestwór wodny, od rana do nocy nie innego nie dojrzą tylko fale i fale, które zmieniają barwę w zależności od pory dnia czy nocy. Morze, wiecznie tylko morze — spokojne lub wzburzone, w palącym słońcu lub w deszczu, wśród wichury lub paraliżującej ciszy. Morze...

Admirał Kolumb, sternicy i wszyscy ci panowie z oddzielnych kajut w kasztelach rufowych takie mają miny, że niby coś tam wiedzą. I dlatego tacy są spokojni, a może tylko udają. A co my, marynarze? Cóż nam pozostało innego, jak wierzyć w to, co nam naopowiadali! Tylko: kto nam zaręczy, że mówili prawdę? Albo że w ogóle sami znają prawdę! A jeżeli rację mają ci, co przestrzegali nas przed tą wyprawą? Mówili przecież, że ocean nie doprowadzi nas do żadnego łądu, tylko do straszliwych wodospadów, po których ześlizgniemy się po prostu w próżnię. W próżnię... A jeżeli to będzie piekło, jak nam tłumaczyli księża, a z nimi i matki? To co wtedy?... Po diabła nam to wszystko było potrzebne!

Kolumb udawał, że nic nie widzi i nie słyszy. Jego zdaniem wszystko było normalne, z góry przewidziane, prawidłowe. W rzeczywistości jednak interesował go każdy drobiazg, który mógł się przychylić do poprawy nastroju marynarzy. Podejrzewał na przykład, że dziennik pokładowy, w którym co dzień zapisywał przebieg rejsu, może stanowić pokusę dla wielu ciekawych oczu. Dlatego też notując co wieczór przebyty w ciągu dnia przez statki odległość, stale podawał o pięć mil mniej. Wiedział, że sternik ma prawo w każdej chwili zajrzeć do dziennika, podobnie jak pierwszy i drugi oficer, wiedział także, że na pewno któryś z nich wygada coś przez załogę na temat przebytych przez statki odległości, wiedział w końcu też, że prawdziwe dane obudzą wśród ludzi przerażenie, iż tak bardzo już oddalili się od macierzystego portu. I tak

dzień po dniu skracał w swych notatkach owe odległości, które mimo całego sztucznego pomniejszania i tak już były olbrzymie, a lęk przejawiał się stale wśród większości załogi. I wtedy Kolumb zaprzestał codziennego zmniejszania ilości przebytych mil notując skrupulatnie w dzienniku: „Od tego zapisu dane są prawdziwe, ponieważ nie ma już sensu zatajać ich przed ludźmi.”

W tym samym czasie Kolumb wynalazł inny jeszcze sposób, by utrzymać ludzi przy pracy. Wydał rozkaz czuwającym na dziobach i wysoko na masztach w bocianich gniazdach, by sumiennie wypatrywali, czy nie zauważą pływającej po powierzchni wody rzęsy lub innych wodorostów. Zdarzyło się wiele razy, że strażę meldowały pływające pędy zielonego morskoczynu czy rzęsy. Kolumb kazał je wylawiać i potem wraz z oficerami dokładnie oglądał. W konsekwencji zawsze się wtedy rozniosło wśród załogi, że w pływających łądogach z całą pewnością rozpoznano jakieś rośliny łądowe, wyrwane przez fale z wybrzeża, wyraźny dowód, że jakiś łąd jest już niedaleko.

„Dowód” taki dość długo był pomocny. Tak długo, póki i ten ostatni z najbardziej bojaźliwych nie stracił ostatecznie nadziei, bowiem owa zielona rzęsa czy coś podobnego w dalszym ciągu płynęła nieustannie obok statku przez tydzień i dwa, a łądu nie było widać nigdzie ani skrawka.

Nikom jednak na myśl nie przyszło występować z żądaniem, by statki zawróciły do portów ojczystych. Odplynęły już zbyt daleko, by zdolne były wobec braku zasobów wody pitnej i żywności do pokonania tak wielkiej odległości. A niech już sobie będzie to indyjskie wybrzeże łącho wie jak daleko — w każdym razie będzie na pewno bliżej, niż pozostałe za nimi brzegi Hiszpanii.

W owe dni Kolumb często krążył wśród marynarzy, zarówno na statku dowódcy jak i na pozostałych karawelach. Udając, że nie dostrzega zmian w ich twarzach, w zachowaniu, że nie widzi objawów zmęczenia, przygnębienia i zwątpienia, spokojnie i śmiało mówił, jak to w kraju na pewno im ludzie zazdroszą, bo przecież wszystkich ich czeka fantastyczne bogactwo, które będzie ukoronowaniem całej wyprawy.

Marynarze słuchali w milczeniu, bez protestów, ale też bez entuzjazmu i wiary w jego słowa. Tak, tak, kiwali głowami, nie pozostaje nam nic innego, jak płynąć ciągle naprzód, coraz dalej...

Dopiero znalazłszy się w swojej kajucie zrzucił Kolumb maskę opanowania. Tutaj nie musiał już udawać, mógł przyznać się przed samym sobą, że jest zawiedziony, a nawet przerażony tym nieoczekiwanym zasięgiem podjętej podróży. Oczywiście czcigodny kardynał d'Ailly znacznie się omylił obliczając drogę do Indii na kilka dni; mylili się także i ci, co kreśląc mapy na swoich arkuszach umieszczali Indie w tak bliskim sąsiedztwie Hiszpanii.

Cóż by powiedzieli marynarze Kolumba, gdyby spostrzegli, jak bardzo czuje się zawiedziony i zgnębiony ich admirał!

Lecz gdy później Kolumb znów wychodził na pokład, twarz jego była spokojna i pewna siebie jak dawniej. A przy tym nadal ukradkiem obserwował twarze załogi — wychudłe, poźótkłe, z głębokobokimi, podkrążonymi, gorejącymi oczami. Prowiantowi już od dość dawna ograniczyli racje żywności, do wody pitnej dolewali octu, by małym łykiem łatwiej było ugasić pragnienie. W pracy, w ruchach marynarzy widać było, że sił im ubywa. Mimo to Kolumb był zadowolony — nie, ci ludzie zbyt są wyczerpani, by mogli myśleć o buncie. Oczywiście: nie dopuszczał nawet myśli, że ich zmęczenie i zobojętnienie mogłoby zagrozić jego planom. Nie wiedział, co poczują w wypadku, gdyby ludzie pewnego dnia, rzuciwszy wszelkie liny czy cokolwiek mieliby w rękę, zwalili się w pierwszym lepszym miejscu na pokładzie czy pod pokładem. Pod wpływem takich myśli Kolumb czuł, że krew płomieniem ogarnia mu mózg — uświadamiał sobie, że gotów byłby mordować, zabijać...

A tymczasem 11 października fale przyniosły pod burtę „Santa Marii” gałązkę dzikiej róży ze świeżym jeszcze kwiatem. Niedługo potem marynarze wydobyli z morza jakiś kijek — przyrzawszy mu się uważnie stwierdzili, że to laseczka najwyraźniej wykańczana ludzką ręką!

Wiadomość jak błyskawica obiegła wszystkie trzy statki, marynarze natychmiast odzyli: jak pod wpływem różdżki czarodziej-skiej znikło gdzieś zniechęcenie i zmęczenie, wróciła wiara w ostateczne wyrwanie się z tej beznadziejnej monotonii bezmiarów wodnych. Zbliżają się już do celu — zbliżają się do lądu...

Kolumb natychmiast kazał ogłosić, że człowiek, który pierwszy dostrzeże ląd na horyzoncie, otrzyma z hiszpańskiej kasy królewskiej nagrodę specjalną: dwa tysiące marawedów. Marynarze



zmieniający się w bocianich gniazdach u szczytów masztów doczekać się już nie mogli, kiedy wreszcie na nich przyjdzie kolej. Nie odrywali oczu od dalekiej linii, na której morze dotykało nieba.

Każdy statek teraz starał się rozwinąć jak największą szybkość. Admiralski statek „Santa Maria”, na którym płynął Kolumb, największy i zarazem najcięższy, prędkość miał najmniejszą — ciągle więc zostawał w tyle. Z dwu pozostałych karawel szybsza była „Pinta”: powoli wysuwała się przed „Ninię”, a marynarze na jej pokładzie triumfalnie powiewali zdjętymi z głów chustkami.

Daremnie jednak przez resztę dnia obserwatorzy na masztach wypatrywali oczy. Słońce zaczęło chylić się ku horyzontowi, światło przybrało odcień czerwony, potem żółty, wreszcie szary, aż przeszło w mrok i ciemność. Nikt nie spał tej nocy. Morze faloowało tylko nieznacznie, migotało srebrem w blasku księżyca. Kolumb nie wytrzymał w kajucie, wyszedł na kasztel rufowy. Byli tam już oficerowie, znalazł się także lekarz i astronom. Wszyscy w ową księżycową noc patrzyli przed siebie. Nikt się nie odzywał — było tak cicho, iż człowiekowi mogło się zdawać, że słyszy bijące w skroniach tętno wzburzonej krwi.

— Która godzina? — zwrócił się Kolumb do astronoma.

— Druga po północy.

Nagle na przedzie gruchnął strzał armatni.

To strzela „Pinta”! A to może oznaczać tylko...

Jeszcze chwilką ciszy... i już do „Santa Marii” dobiegł pogłos dalekich krzyków. To krzyczeli marynarze na pokładzie „Pinty”.

Pokład zaroił się jak zburzone mrowisko. Marynarze krzyczeli, ściskali się, biegali w podnieceniu po pokładzie i nie czekając nawet rozkazu zaczęli spuszczać za burtę „Santa Marii” łódź wiosłową. Ledwie dotknęła powierzchni morza, tłumem rzucili się do relingu, gotowi już skakać. Dopiero na parokrotny okrzyk Kolumba zauważyli go i zrobili mu miejsce w łodzi. Gdy wsiadł, łódź natychmiast odbiła.

Już i od „Pinty” w stronę „Santa Marii” także szła łódź.

Łodzi spotkały się w pół drogi. Wioślarze unieśli wiosła, trzymali je nad wodą. Kolumb wstał. Wiedział, że oto doczekał się największego w swym życiu momentu. Lecz skąd się to wzięło, że nagle był taki spokojny? Przylapał się na tym, że obserwuje

kaple spadające na lustro wody z wynurzonych wiosel. I wtedy usłyszał jakiś głos wołający z drugiej łodzi:

— Ziemia... ziemia na horyzoncie!... Johan Rodriguez Bermejo, chłopak pokładowy z „Pinty”, zobaczył ją pierwszy!

Siedzący Kolumb pokiwał tylko głową — no tak, ziemia, Indie. Indie! Naturalnie, to przecież rzecz oczywista, wiedział, że tam dopłynię. I nagle myśli się rozpierzchyły; dalej wszystko rozgrywało się jakby w półśnie.

Niejasno uświadomił sobie, że jego łódź powtórnie przybiła do „Santa Marii”, że wchodził na pokład pełen ruchu i krzyku, ale głosy dobiegały go jakby gdzieś z daleka — nawet głosy tych, którzy zwracali się do niego bezpośrednio. Coś komuś odpowiadała, lecz przy tym wciąż torował sobie wśród marynarzy i oficerów drogę na rufę, do swej kajuty.

Ledwie zamknął drzwi za sobą, zwałi się na koję jak po morderczym wysiłku. Długo trwał jakby w odrętwieniu, potem dopiero z chaosu i pustki zaczęły się wylaniać myśli — łączyły się, zapełniały, wiązały w jakąś całość. Zalewająca go fala szczęścia rozsadzała mu piersi aż do bólu. Tak, zdobył tak wielką sławę jak nikt na świecie. Czymże bowiem są w porównaniu z nim najwięksi bohaterowie wojen, królowie i cesarze? Bo oto ten dzisiejszy moment... Jakże wszystko zmieni się od tego dzisiejszego momentu! To ratunek dla Hiszpanii, która stanie się pierwszą pośród wszystkich mocarstw! Jego odkrycie obali tamę na strumieniu najcenniejszych skarbów Indii i skieruje go do Europy. Jego dzieło sprawi, że do wszystkich portów Europy popłynię nie wysychający nurt złota i drogocennych korzeni... Staną mu przed oczyma bezużyteczne, stare statki na redzie Genui. Jakże teraz wszystko, co nosić będzie żagle, odżyje pod wpływem życiodajnego złota. Całe życie, cały świat teraz będzie inny. A to jego zaśluga...

Marzył o tym od szesnastego roku życia... Nie, nie marzył — wszystko to przemyślał, przebadał, marzenia swe zamienił w czyn przedtem jeszcze, nim kto miał odwagę w to uwierzyć. To jego dzieło. On, on sam...

Obudził go pierwszy promyk światła wdzierający się do kabiny. Wyszedłszy na pokład zbliżył się do głównego masztu. Nie

korzystając z niczyjej pomocy wdrapał się po wantach do bocianiego gniazda. I stamtąd dojrzał w oddali ową wąską smugę — ziemię!

Po dwóch miesiącach i dziewięciu dniach nieustannego pływania po przestworzach oceanu.

Dnia 12 października 1492 roku w godzinach rannych flotylla Kolumba stanęła na kotwicach w pobliżu odkrytego wybrzeża. Okazało się, że jest to niewielka wyspa (Wyspy Bahama), jakie bywają rozsiane w pobliżu wielkich lądów.

Kolumb zszedł do łodzi wraz z dwoma kapitanami i notariuszem; zabrał rzecz prosta ze sobą i kilku uzbrojonych marynarzy.

Gdy tylko stanął na wyspie, kazał wbić w ziemię hiszpańską chorągiew i uroczystie ogłosił wyspę własnością hiszpańskiej korony. Polecił dokonanie na miejscu notarialnego zapisu tego aktu. Sam dyktował treść dokumentu nie zapominając przy tym zaznaczyć dla pamięci potomnych, że to on właśnie pierwszy dostrzegł nową ziemię. Skoro cały projekt i zrealizowanie wyprawy było jego dziełem, to rzecz przecież nie do pomyślenia, by w dokumencie, który po wieki wieków miał przechować dla całej ludzkości pamięć tak wielkiego wydarzenia, figurowało obok Kolumba jakieś inne jeszcze nazwisko — i to nazwisko zwykłego, nic nie znaczącego chłopca pokładowego.

Podczas gdy notariusz gorliwie zajęty był pracą, zbrojna asysta trwała w roli bezczynnego świadka — halabardy, kopie i muszkiety okazały się niepotrzebne. Z krzaków i zarośli nad brzegiem wysunęło się co prawda kilku tubylców, nikt z nich jednak w najmniejszym nawet stopniu nie zdradzał w stosunku do białych przybyszów wrogich zamiarów. Przeciwnie: robili wrażenie skamieniałych ze zdumienia i strachu. Później Kolumb, korzystając już z pomocy tłumacza, dowiedział się, iż tubylcy byli przekonani, że Hiszpanie na ich wyspę zstąpili z nieba, że to jakieś niezmiernie istoty.

„Ponieważ zachowywali się wobec nas bardzo przyjaźnie — zanotował Kolumb o tym pierwszym spotkaniu z Indianami — rozdałem im trochę czerwonych czapek i kilka sznurków koralików szklanych, które natychmiast wieszali na szyjach, a także

trochę innych przedmiotów niewielkiej wartości. Bardzo się z tego cieszyli, zaczęli nam znosić papużki, motki przędzy bawełnianej, oszczepy i różne inne przedmioty, wymieniając je z nami na koraliki i dzwoneczki. Wydało mi się jednak, że to ludzie pod każdym względem ubodzy — chodzą zupełnie nagi. Są słusznego wzrostu, włosy mają grube jak w końskich ogonach, krótkie. Niektórzy malują się czerwoną gliną, inni białą czy wreszcie czarną. Broni żelaznej nie noszą, nawet jej chyba nie znają; kiedy mianowicie pokazałem im miecze, chwytały je za klingi i w swej nieświadomości kaleczyły się”.

Tak, to było pierwsze drobne rozczarowanie już u progu nowego odkrycia. Ludzie tu byli „pod każdym względem ubodzy”. A przecież Kolumb stanął u wrót „Indii” — co do ich zasobów złota, pereł i drogich korzeni nie mogło być wątpliwością! „Usilnie zwracałem uwagę — notował Kolumb dalej i koniecznie starałem się dowiedzieć, czy mają złoto. Zauważyłem, że niektórzy mają kawałeczki złota, umieszczone w otworze przebritym w przegrodzie nosowej. Z wskazówek na migi dowiedziałem się, że gdy skieruję się na południe, znajdę tam króla, który ma wielkie złote naczynia i w ogóle bardzo wiele złota”.

Od tej chwili głód złota i bogactwa stał się siłą napędową wszelkich dalszych poczynań i wysiłków nie tylko Krzysztofa Kolumba, ale i jego następców, raczej zdobywców-konkwistadorów niż odkrywców — odkrywcami byli tylko dzięki swym usiłowaniom odnalezienia Eldorado, krainy złota.

Gnał więc Kolumb swą flotyllę coraz dalej i dalej — szlakiem złota! „Widziałem tyle wysp, że nie mogłem się zdecydować, na którą wstąpić najpierw”. Po wielu lądowaniach pod koniec października statki przybiły do ogromnej wyspy na południu — była to Kuba. I tu także powtórzyły się doświadczenia z tubylcami z pierwszej wyspy, ale „u nikogo z nich admirał złota nie widział”.

Teraz już Hiszpanie posiadali dostateczną ilość tłumaczy. Jak ich zdobyli? Jednych Indian zwabiono na statki podarkami, a gdy już znaleźli się na pokładzie, statek wraz z nimi odpływał od brzegu. W dziennikach pokładowych czytamy o ciemnoskórych ludziach, którzy po nocach rzucali się w morze i płynęli z powrotem na wyspy tak szybko, że nawet natychmiast spuszczone na wodę

łódź wiosłowa nie mogła ich dogonić. Dowiadujemy się także o wyprawach, które z tubylczych wiosek ściągały po kilka kobiet, by przez dostarczenie Indianom towarzyszek z ich własnego plemienia łatwiej utrzymać schwytych na statkach. Tubylcy byli Kolumbowi potrzebni nie tylko jako tłumacze w dalszej podróży, ale pragnął także zawieźć ich do Hiszpanii wraz z papugami, bawelną, korą cynamonową i wszystkim, co cennego uda się jeszcze znaleźć. A przede wszystkim — ze złotem. Lecz złota wciąż jeszcze nie było. Więc też statki nieustannie opływały wybrzeża Kuby, krążyły między wyspami, aż natknęły się na dalszą wielką wyspę — Haiti, której Hiszpanie nadali nazwę ku czci swej ojczyzny: Española.

Tam to Kolumb zapisał w dzienniku słowa, które później miały się zrealizować tak krwawo: „Przy odrobinie zrzęczości wielkim wydawać Indianom rozkazy, a będą robić, co się nam podoba. Broni nie mają, na sztuce wojennej w ogóle się nie znają. Tak więc doskonale nadają się do tego, by im rozkazywać, kazać pracować, siać i robić wszystko co potrzeba. Będzie można ich wykorzystywać do budowy miast, trzeba też będzie doprowadzić do tego, by nauczyli się odziewać i by przywykli do naszych obyczajów”. A w nagrodę za to wszystko ci poganie mieli otrzymać — dar wiary chrześcijańskiej... Hiszpanie bowiem ślubowali Bogu, że do jakdokolwiek dotrą, wszędzie szerzyć będą chrześcijaństwo. A za to „Bóg wnet im ukaze, gdzie rodzi się złoto”.

Dnia 25 grudnia w trakcie tej wyprawy spotkało Kolumba nieszczęście, o którym później sam powiedział, że właściwie było to szczęście w nieszczęściu. Tej nocy „Santa Maria” znajdowała się w pobliżu któregoś przylądka wyspy Española. Kolumb poszedł się położyć, a ponieważ noc była cicha i morze spokojne, sternik postanowił zrobić to samo, przekazał więc ster niedoświadczonemu chłopcu pokładowemu. Statek poruszał się tak wolno, że gdy wszedł na mieliznę, chłopak nawet tego nie zauważył. Zaczął się odpyływać, statek utknął na dobre; w miarę jak wody pod nim ubywało kładł się na burtę, a pod wpływem jego własnego ciężaru popękały wręgi. Daremnie admirał kazał odciąć główny maszt, by użyć statkowi — już było za późno.

Teraz ujawniła się dalsza cecha tubylców, dla Hiszpanów zupełnie niepojęta. Chętnie wyładowali wszystko ze zniszczonego

statku, „nie zabrawszy nawet choćby okruszyny chleba czy czegośkolwiek innego. Tak są wyzbyci żądy posiadania cudzego”.

Miejscowy naczelnik indiański, kacyk, chcąc pocieszyć jakoś Kolumba, kazał przynieść artystycznie rzeźbioną i malowaną maskę, która — nareszcie! — w wielu miejscach wykładana była większymi kawałkami złota. Także oficerom statków i niektórym marynarzom podarował drobne ozdoby ze złota.

„Istotnie — zapisał Kolumb — otrzymaliśmy tam tyle przedmiotów, że nieszczęście to było w rzeczywistości wielkim szczęściem. Pewne jest bowiem, że gdybym nie wpadł na mieliznę, popłynąłbym dalej i nie rzucił w tym miejscu kotwicy”.

Mimo iż pobyt na tej wyspie był bardzo przyjemny — handel wymienny rozwijał się świetnie, a w skarbcu okrętowym „Ninii”, na którą przeniósł się Kolumb, nagromadziło się już sporo złota — admirał jednak zaczął się niecierpliwić. Marzył, by swymi sukcesami pochwalić się w Hiszpanii.

Ale nim odpłynął kazał z drewna zniszczonej „Santa Marii” zbudować na wybrzeżu fort z belek oraz wyznaczył trzydziestu dziwięciu ludzi, którzy mieli tu pozostać aż do jego następnego przybycia. Zaoopatrzyl ich dostatecznie w żywność i broń, by przez ten czas mogli poszukiwać złóż złota i zgromadzić go możliwie najwięcej.

Ostatecznie dnia 4 stycznia 1493 roku „Ninia” podniosła kotwicę.

Kiedy Hiszpanie płynąc wzdłuż brzegu zatrzymali się przy ujściu któregoś z rzek, nadzieje Kolumba podsycało nowe odkrycie. Z piasku koryta rzecznej marynarze wyplukali dość znaczną ilość złotego piasku, co prawda w drobnych ziarenkach. Od tej chwili, w głębokim przekonaniu, że osiągnął główny cel swej wyprawy, Kolumb starał się przyspieszyć powrót.

Dnia 14 lutego powracających Hiszpanów złapała gwałtowna burza morska. Kolumba ogarnęło takie przerażenie, jakiego nigdy jeszcze w życiu nie zaznał. Nie było to tchórzostwo, lecz lęk na myśl, że nie zdola ogłosić całemu światu „tak ważnej wiadomości ani udowodnić, że prawdą było to, co mówił i przepowiadał, iż odkryje nową ziemię. Grozę budziła w nim myśl, że to jego na-

miętnę pragnienie może zostać nie zrealizowane. Przecież byle komar — jak mówił — mógł mu w tym przeszkodzić". (Notatka Bartolomeo de Las Casas.)

I dlatego podczas największego nasilenia burzy, z olbrzymim wysiłkiem, zniekształconym przez kołysanie statku piśmem, szybko i zwięźle skreślił krótką zaledwie informację o swej wyprawie, którą on, jedyny na świecie, nie tylko obmyślił, zaprojektował i obliczył, lecz także zrealizował! Piśmo to zakończył żarliwym apelem do tego, kto wiadomość tę znajdzie, by doręczył ją Ich Królewskim Wysokościom Hiszpanii. Napisany na pergaminie dokument sam włożył do starannie wysmolowanej baryłki, zamknął ją i wieko załat woskiem. Potem kazał marynarzom wyrzucić baryłkę za burtę.

Burza szalała jeszcze dobre dwie doby, nikt z ludzi nie był pewien, czy przeżyje choćby następną godzinę. Po nocach nikt z załogi nie spał, dni zaciemniały wiszące nisko czarne chmury i szare strugi deszczu. Admirał i oficerowie nie opuszczali pokładu wydając rozkazy i doglądając ich wykonania. W oczach Kolumba jarzyła się rozpaczliwa wola: nie dać sobie wyrwać z rąk zwycięstwa w ostatniej chwili.

Trzeciego dnia burza nareszcie przycichła. Teraz dopiero można było określić pozycję statku — bardzo znacznie przybliżył się on do Azorów. Wreszcie 18 lutego „Ninia" mogła przy jednej z wysp rzucić kotwicę. W niecały tydzień później przybiła do portugalskiego wybrzeża koło miasta Rastel; wieść o powrocie Kolumba natychmiast rozniosła się stamtąd szeroko po okolicy. Z pobliskiej Lizbony przez następny tydzień ciągnęły całe tłumy ludzi, by zobaczyć odkrywcę nowej drogi do Indii. Sam Kolumb został później zaproszony na dwór króla portugalskiego. Ostatecznie dnia 15 marca Kolumb zszedł na nabrzeże hiszpańskiego portu, z którego wypłynął dnia 3 sierpnia poprzedniego roku.

Wielkie odkrycie przestało już być wyłączną własnością Kolumba — oddał je światu, a świat z namiętną żarłocznością rzucił się na łakomy kąsek. Apetyty i nadzieje ludzi finansujących Kolumba wzrastały z zawrotną szybkością, podsypane jeszcze przez niego samego, Kolumb bowiem starał się podnieść znaczenie

swego sukcesu wyliczaniem fantastycznych bogactw i zysków, jakie czekają za morzem. Rosła także i niecierpliwość hiszpańskiej korony; mnożyły się szeregi tych, którzy chcieli ciągnąć zyski z nowych przedsięwzięć, czy to przez swój udział osobisty, czy przez pełne zawiści próby urwania czegoś dla siebie z zysków Kolumba. Kolumb czuł, że depeza mu po piętach, że go nadzorują, szpiegują, że cokolwiek zrobi, wszystko to będzie mało dla jego nienasyconych chlebobawców, popleczników, chwilowych przyjaciół i sprzymierzeńców.

Dlatego też do następnej wyprawy zabrał się z nie mniejszą pasją niż do pierwszej. Co prawda po wielkim sukcesie zniknęły jego wahania i wątpliwości, obecnie jednak poganiał go stale nowy bież. Wiecznie głodny czeladnik sukieniczny, który w genueńskiej celi klasztornej ukradkiem chłonał tajemnice z ksiązek, chciał teraz nasycić się owocami wieloletnich wysiłków. Tak, będzie admirałem Oceanu Atlantyckiego, który będzie mu pokornie służył jak uległy dywan pod śmiało kroczącymi do celu nogami. Tak, będzie wicekrólem w całym tego słowa znaczeniu. Odkryty i podległy jego władzy kraj musi bogactwem swym zaćmić samą Hiszpanię, w której kiedyś żebrał o zaufanie. Właśnie tak: będzie i musi być najślawniejszym ze sławnych, najbogatszym z bogatych! Widział już setki nazwisk ludzi, których pragnął zobaczyć w prochu u swych stóp, jak padają na kolana na wieść o jego niesłychanych odkryciach. Nie miał odwagi przyznać się przed samym sobą, do czego właściwie zmierza: — świat powinien uznać go ostatecznie za największego bohatera dziejów!

Ogółem Kolumb poprowadził jeszcze trzy wyprawy, podczas których oprócz licznych dalszych wysp istotnie „odkrył Amerykę" ładując w pobliżu ujścia rzeki Orinoko i penetrując część północnego wybrzeża Ameryki Południowej. W czwartej i ostatniej swej wyprawie dotarł do dzisiejszego Hondurasu w Ameryce Środkowej, łączącej oba olbrzymie kontynenty.

Kolumb do końca był głęboko przekonany, że wylądował na wschodnim wybrzeżu Azji. Stąd też wyprowadził hiszpańską nazwę Indian: „los Indios" — Indowie. W tym także miała źródło jego niezachwiana nadzieja, że łąda dzień dotrze do rzeki Ganges i że stolica Chin musi już być gdzie niedaleko.

W okresie, gdy nie zdołał jeszcze sprawdzić, że Kuba jest wyspą — przed powrotem do Hiszpanii — zmusił marynarzy statku do przysięgi, że wszędzie będą przedstawiać Kubę jako nadbrzeżną część azjatyckiego kontynentu. Kto twierdziłby co innego, temu język zostanie ucięty. Fakt złożenia przysięgi kazał Kolumb notariuszowi potwierdzić specjalnym dokumentem.

Podczas pierwszej wyprawy Kolumba wszyscy, zarówno admirał jak i załogi statków, pełni byli niepewności; czasem wiodła ich chciwość i nadzieja, to znów dręczył strach i rozpacz. Nieliczna grupa Hiszpanów bardzo ostrożnie stawała stopy na nieznanym gruncie, gdzie mogły na nich czyhać setki niebezpieczeństw. Ludzie czuli, że otacza ich coś nieznanego, tajemniczego, więc ich drapieżną żądzą łupu hamowała ostrożność i niezdecydowanie.

Przy dalszych wyprawach wszystko to uległo zmianie. Okazało się, że nowa kraina pełna jest bogactw naturalnych. Nie było powodu obawiać się tubylców — przecież ci nadzy i bezbronni Indian, którzy widzieli w Hiszpanach przybyłe z nieba niezemskie istoty, nie mogli być w żadnym wypadku poważnym przeciwnikiem. I chociaż zdobytego złota było na razie niewiele, to jednak złoto było! Trzeba tylko znaleźć kryjące się gdzieś w ziemi złote żyły i w takich miejscach uruchomić kopalnie. O siły robocze nie było zmartwienia. A od czegoż są tubylcy? Nie wystarczy wymienić z nimi europejskie drobiazgi, trzeba w odkrytych krajach usadzić się na dobre, wystawić obronne forty, pozakładać miasta, słowem: objąć władzę nad nowym krajem, wprowadzić europejską administrację, by można było odpowiednio wykorzystać i ziemię, i ludzi.

Więc też obecnie z „odkrywcą” popłynęli żołnierze, urzędnicy administracji, sędziowie, notariusze, no i oczywiście księża. Cóż bowiem było „najistotniejszym” zadaniem tych zdobywców-konkwistadorów? Przyswiecał im uświęcony cel: krzewienie w nowych krajach zapewniającej zbawienie wiary chrześcijańskiej i doprowadzenie ciemnych pogan do posłuszeństwa krzyżowi.

Człowiek świadomy tego posłannictwa nie może się ważyć przed użyciem każdego wiodącego do celu środków. W wypadkach koniecznych usprawiedliwione będzie nawet i największe okrucieństwo.

Nie ulegało przecież wątpliwości, że dobrym chrześcijaninem

jest Jego Królewska Mość król Hiszpanii, który oczekiwał, że złoto i inne bogactwa nowych posiadłości uczynią Hiszpanię najpotężniejszym państwem świata. Oczywiście dobrymi chrześcijanami byli także bogaci feudałowie i bankierzy, którzy angażowali swe kapitały w organizowanie zamorskich wypraw — rzecz prosta, że z tego tytułu będą partycypowali w ich zdobyczach. Niepodobna również odmówić fanatycznego entuzjazmu tym niezliczonym rycerzom, hidalgom (szlachcicom) i poszukiwaczom przygód, którzy teraz wyrwali się do nowych krajów, by tam żelazną ręką umacniać władzę hiszpańskiego dworu. Będzie się to odbywało w ten sposób, że zagarną ziemię, nauczą leniwych Indian uprawiać rolę, pracować w kopalniach i służyć najędźdźcom ze wszystkich sił — ku większej chwale bożej i królestwa Hiszpanii. A głównym środkiem, który możliwie szybko przybliży ich wszystkim do wspólnego celu, będzie wydobycie z tej dziewiczej ziemi jak największej ilości złota — ciemni tubylcy nie rozumieją nawet jego wartości, nie potrafią jej ocenić!

W ten sposób namiętna żądza złota stała się w krótkim czasie wszechwładną i groźną trucizną, niosącą zniszczenie i śmierć do krajów, o których Kolumb w pierwszej swej podróży pisał: „nigdy w życiu nie widziałem czegoś równie pięknego... Są to olbrzymie jasnozielone lasy, jeziora, a wokół nich prześliczne gaje. Ptaki tak śpiewają, że człowiek w ogóle nie ma ochoty stąd odejść. Papużek są tak wielkie stada, że aż przesłaniają słońce... Nielatwo wyobrazić sobie lepszy klimat i łagodniejszy lud”.

Już sam początek drugiej wyprawy Kolumba ponuro zapowiadał przyszłość. Statki przybiły do Española, lecz daremnie Hiszpanie szukali wybudowanego przed odjazdem fortu — zaledwie parę osmolorych belek wyglądało spod bujnie przez ten czas porosłej jej gęstwiny. I załogi fortu nie było ani śladu. Dopiero w parę dni później marynarze znaleźli jedenaście bielejących w gęstej trawie szkieletów. Z pozostałych dwudziestu ośmiu ludzi nawet i tego nie odnaleziono. Minęło sporo czasu zanim Kolumb dowiedział się, co zaszło: „Hiszpanie zginęli dlatego, że zaraz po wyjeździe admirała rozpoczęli kłótnie i swary, zabierali tubylcom żony, a każdy z nich wymieniał złoto na własną rękę. Potem kilku z nich zbuntowało się przeciw reszcie i ostatecznie rozbiegli się wszyscy po kraju, gdzie za zbrodnie i gwałty Indianie ich pozabijali”.

Teraz jednak Hiszpanie przybyli w znacznie większej liczbie i z wywiczonym wojskiem — taki wypadek nie mógł się już powtórzyć. Pokażą Indianom, kto tu jest panem, na którego nikt już nie waży się podnieść ręki. I nie będzie już trzeba zjednywać sobie tubylców ani tracić czasu na nieskuteczny handel wymienny — teraz powstaną tu warowne obozy wojskowe, kraj bronią zostanie zmuszony do uległości, a Indianie będą musieli pomagać przy budowie domów, fortyfikacji, pracować na polach i w kopalniach. „Mimo że Indianie dawali im chętnie wszystko, czego zażądali, Hiszpanie grozili im nieustannie, nieraz nawet bili po twarzach. Druga sprawa, która uświadomiła Indianom, jacy na prawdę są chrześcijanie, to porywanie im gwałtem żon i córek. Zabierali także i synów, używając ich do posług, a także wszystkich potrzebnych im ludzi, zatrzymując ich u siebie na stałe. Prosty lud drżał przed Hiszpanami i darzył nienawiścią zanim ich jeszcze ujrzał, pragnął ich nigdy nie widzieć, ani o nich nie słyszeć.”

Na tych bezkrywawych gwałtach i wrogich uczuciach nie skończyło się jednak. Kiedy Indianie zaczęli uciekać przed intruzami, a Hiszpanie zastawali porzucone i puste wsie, nawet całe okręgi, uznali to za bunt. Kolumb postanowił zorganizować na Española ekspedycję wojskową przeciw tubylcom, Cóż mogli wskórać nędzy, zbrojni tylko w oszczepy z kościanym grotem Indianie przeciwko kuszmom, mieczom, okutym kopiom i muskietom? Ekspedycja zmieniła się w dzikie polowanie na bezbronnych, polowanie zaś — w bezlitosną rzeź. „Hiszpanie zasypali Indian strzałami z kusz i rusznic, puścili na nich zdziczałe psy, potem z całym impetem uderzyła na nich kopiami jazda a mieczami piechota — rozproszyli ich tak jak stado ptactwa. Wielkie ilości Indian porzebijali kopijniczy, pozostałych rozszarpały psy i piesi pocięli mieczami na kawałki. Niektórzy szli o zakład: kto jednym ciosem miecza rozetnie wpół tubylca lub kto bardziej umiejętnie zetnie mu głowę. Po bitwach budowali dębowe szubienice, szerokie, lecz tak niskie, by nogi powieszonych niemal dotykały ziemi. Każda z tych szubienic — jak powiadali — ku czci Zbawiciela naszego i jego apostołów, przeznaczona była dla trzynastu osób. Podłożony ogień koło powieszonych żywcem, palił ich na popiół. Na tych natomiast, którzy w górach szukali schronienia, Hiszpanie

tak wywiczili psy myśliwskie, że na pierwszy rzut oka, bez namysłu rozszarpały Indios i żarły ich jak wieprze. Wszyscy, których admirałowi podobało się pozostawić przy życiu — a takich było bardzo wiele — skazani byli na niewolnictwo.” Słowa te z nieublaganą prawdomównością zapisał Bartolomeo de Las Casas, uczestnik jednej z wypraw Kolumba, a później jedyny chyba „obrońca Indian”.

Kiedy wyspa Española została poskromiona siłą, Kolumb postanowił wprowadzić na niej stałe rządy. Dalszy „pokojowy” okres był rzecz prosta dla Indian równie okrutny i morderczy jak poprzednie walki. Najpierw otrzymali nakaz płacenia podatków na rzecz nowego pama, króla hiszpańskiego, i to w czystym złocie — wyznaczone stawki były przy tym tak wysokie, że wykonanie tego rozkazu, ze względu na dość rzadkie występowanie tego metalu na wyspach, było dla tubylców po prostu niemożliwe. Ponadto Kolumb przydzielał dla Hiszpanów-hidalgów Indian do pracy w ich majątkach ziemskich. Taki „przydział” — obłudnie interpretowany jako „oddanie pod ochronę” — oznaczał nie co innego jak niewolnictwo. Kiedy wpływy z podatków zawiadły i spodziewanych złóż złota nie odkryto, w zamian za nie zaczął Kolumb wysyłać do Europy „żywe „łoto” — niewolników. „Można stać w imię Trójcy Świętej — pisał Kolumb do królowej Hiszpanii — wysyłać tylu niewolników, ile tylko będzie można sprzedać na targach hiszpańskich”.

Skutkiem masowego mordowania Indian i haniebnego traktowania ich przez Hiszpanów nastąpił tak gwałtowny spadek ich liczby, że notatki kronikarskie podają, iż zaledwie w dwa lata po powtórnym przybyciu Kolumba pozostała na wyspie Española wszystkiego jedna trzecia pierwotnej ilości tubylczych mieszkańców!

W tym wszystkim, co można było wydobyć i wycisnąć z nowych krajów i ich mieszkańców, chciał mieć swój udział nie tylko dwór królewski i Kolumb — w myśl brzmienia umowy z królem — lecz po swój udział zgłaszali się oczywiście także wierzyciele, finansisci i armatorzy, podobnie jak i hidalgowie, którzy mieczem umacniali panowanie tak króla, jak i Kolumba nad nowymi krajami. Ci ostatni byli przy tym w o tyle lepszej sytuacji, że będąc na miejscu przy podziale łupów, mogli od razu zagarnąć ziemię,

wziąć „pod ochronę” odpowiednią ilość Indian do niezbędnych prac, a także za własną rękę zabiegać o złoto i inne wartościowe przedmioty.

Sprawowanie przez Hiszpanów władzy nad podbitymi krajami przypominało walkę dzikich drapieżników nad powaloną i śmiertelnie raną zdobyczą.

Ogarnięty również gorączką złota Kolumb — chociaż bynajmniej nie opuściła go żądza sławy i wygórowana ambicja — na własnej skórze doświadczył skutków działania tych sił, które sam pomógł rozpętać. Kiedy jako wicekról został najwyższym władcą nowo odkrytych krajów, natychmiast spotkał się z egoistyczną drapieżnością własnych oficerów, podobnie zresztą jak urzędników wysłanych przez dwór królewski, no i oczywiście hidalgów. Dochodziło raz po raz do buntów oddziałów zbrojnych i załóg statków, rywale Kolumba stali na dwór hiszpański jedną skargę po drugiej. Także i korona hiszpańska, rozczarowana zbyt małymi dochodami płynącymi ze zdobytych prowincji, wnet ochłodziła w uczuciach dla Kolumba. Doszło ostatecznie do tego, że w roku 1500 wysłano do Kolumba dygnitarza ze specjalnymi pełnomocnictwami, celem przejęcia od niego urzędu wicekróla, przeprowadzenia śledztwa i skontrolowania jego postępowania. Obwiniano już wówczas Kolumba o złą gospodarkę, zagarnianie opłat królewskich na własny rachunek i tym podobne. Po krótkim śledztwie Kolumba uwięziono i w kajdanach odesłano do Hiszpanii.

Tylko okoliczność, że na razie był niezbędnie potrzebny do zorganizowania jeszcze jednej — czwartej — wyprawy zamorskiej, spowodowała, że król zwolnił go, wycofał oskarżenie i „uroczyście” usprawiedliwił. Kiedy jednak Kolumb zadanie swe wykonał i osiągnął wyznaczony cel — po powrocie nikt już się nim nie interesował.

Równocześnie zapadł na ciężką chorobę, nie mógł więc osobście bronić swoich interesów na dworze. Robił to tylko za pomocą listów, na które albo w ogóle nie otrzymywał odpowiedzi, albo też były one wykrętne, wymijające. W tym czasie zmarła także królowa Izabela, główna protektorka Kolumba — król Ferdynand natomiast nie ufał mu i całkowicie był zniechęcony skromnymi sukcesami materialnymi wypraw Kolumba.

Kolumb, głęboko rozgoryczony i dotknięty w swych zabor-

czych ambicjach, nie zawałał się wystąpić do władz sądowych z oskarżeniami przeciwko hiszpańskiej koronie. Domagał się przywrócenia wszelkich praw zagwarantowanych mu przez królewskich małżonków w pierwszym kontrakcie, a także zwrotu poniesionych strat. Przekonany o słuszności swych skarg — nigdy żadnego procesu przeciw koronie nie mógł wygrać — ostatecznie z tymi swymi nieustannie powtarzającymi się żądaniem, przypomnieniami, prośbami i odwołaniami stał się dokuczliwym pe-
tentem.

Jedna tylko pozostała mu wierna towarzyszka — trzymała się go stale i nieustępliwie — jego choroba: pozbawiała go możności poszukiwania się i zadreżala bólami.

Wszystko, co działo się wokół Kolumba, było dlań rzeczą niepojętą, jak koszmarny sen, z którego przecież kiedyś się obudził. Pisząc przed śmiercią dodatek do swej ostatniej woli, podkreślał znou: „Skoro ja podarowałem królowi i królowej, panom naszym, Indie — powtarzam: podarowałem, jest bowiem jasne, że z woli bożej oddałem im je jako przedmiot, który do mnie należał — to równie dobrze mogę twierdzić... jeżeli chodzi o wyprawę celem ich odkrycia, że Ich Wysokości (królewscy małżonkowie) nie wydały na ten cel więcej jak milion marawedów, podczas gdy ja, prócz tego że dałem swój projekt i samego siebie, zmuszony byłem dodać także resztę”.

Znów więc w umyśle umierającego pojawiają się dwie idee, które wyznaczyły całe jego życie: pomysł drogi do Indii przez ocean zachodni oraz świadomość własnej wartości — wartości tak przez innych nie docenianej, a w jego własnych oczach górującej nad wszystkim i wszystkimi.

Rzecz prosta, że wszystko, co go spotkało po powrocie z ostatniej wyprawy, Kolumb mógł traktować jako koszmarny sen. Lecz już się z niego nie obudził. W dzień po napisaniu owego „dodatku” zmarł. Był to dzień 20 maja 1506 roku.

MNIEJSZA o moje nazwisko. Jedynie ważny dla czytelnika — jeżeli moje notatki wpadną mu kiedykolwiek w ręce — może być fakt, że jestem pisarzem rycerza Bernala Díaz del Castillo, i to od jego wyjazdu na meksykańską wyprawę Corteza aż do dziś, kiedy don Díaz jest już stary i żyje raczej wspomnieniami niż dniem dzisiejszym.

W okresie gdy obaj jesteśmy już jak gdyby na emeryturze — pan mój jest czcigodnym radnym miasta Gwatemali, a ja bez trudu załatwiam jego drobne sprawy kancelaryjne — więc w tym okresie, prawie pięć lat po śmierci Corteza, wydane zostało dzieło Franciska Lopeza de Gomary, kapelana Corteza. Utwór ten został widocznie napisany z rozkazu Corteza i pod jego nadzorem, chwalił go bowiem od początku do końca. Na portrecie zdobywcy nie było ani jednego cienia, nazywany był rycerzem bez lęku i skazy jako gorliwy krzewiciel chrześcijaństwa, słowem: wobec niego niejednen anioł mógłby się zawstydić.

Czytaliśmy tę historię z moim panem; za każdą stroną twarz pana Díaz chmurzyła się coraz bardziej, ale milczał i czytał dalej. Wreszcie przy nie wiem już której stronie nie wytrzymał i uderzył pięścią w książkę:

— Wszystko tylko on! Cortez! Sam o wszystkim decydował, sam wszystko zarządził, obmyślił, wywalczył!... A my — my reszta to nie!...

Muszę przyznać, że rozgoryczenie mego pana było uzasadnione. W ciągu całej wyprawy nie odstępowałem jego boku i wiem, co i jak było. Po prostu miły Gomara chciał coś uzyskać od don Martina, syna Corteza i jego dziedzica, wobec tego wszelkie zasługi, jakie ktokolwiek położył podczas całej wyprawy, zapisał — żeby to tak określić — na rachunek Corteza.

Tylko że nie brał pod uwagę mego pana. Nie ubyło mu z wiekiem bojowości, więc też — mimo że teraz nie mógł walczyć mieczem — postanowił uzbroić się w pióro i stanąć do walki z Gomarą. Krótko mówiąc: od owego dnia zaczął mi dyktować swoje pamiętniki, które miały sprostować błędy opowiadań kapelana. Nie były jednak skierowane przeciwko Cortezowi, którego czyny i charakter pan mój podziwiał, ale przeciw zmyśleniom Gomary, zwłaszcza że umniejszały zasługi walczących wraz z Cortezem żołnierzy. Książka świadomie otrzymała tendencyjny tytuł: „Prawdziwa historia zdobycia Meksyku”, z zamierzonym bez wątpienia akcentem na pierwszym wyrazie. O książce tej, która na razie szeroko się rozeszła, nie będę pisał szczegółowo — zapewne ją znacie.

Opowiem wam jednak o czym innym. Jak już wspomniałem, czytałem swemu panu utwór Gomary i sam później notowałem na papierze dyktowane słowa Díaz. Miałem więc na te fakta spojrzenie z dwóch stron, prócz tego sam je przeżywałem. Mogłoby się zatem здаwać, że dla mnie bardziej niż dla kogo innego jasny będzie sens, znaczenie i wartość naszej ówczesnej wyprawy do Meksyku. A tymczasem rezultat był całkowicie odwrotny. To trojaki spojrzenie wywołało w moim umyśle tak wielki chaos, że nawet spowiednikowi bym się do niego nie przyznał, obawiając się jego świętego oburzenia. Teraz bowiem — jeśli mam być szczerzy wobec samego siebie — zupełnie już nie wiem, czy ta nasza wyprawa do Meksyku była dobra i zbawienna; nie wiem, co sądzić o tych potokach krwi i pożogi, jakie znaczyły całą naszą drogę; ostatecznie kiedy przypomnę sobie, że zanieśliśmy wiarę chrześcijańską tym poganom — nawet to mnie nie uspokaja, ponieważ metody nasze przy tym wcale nie były chrześcijańskie. A jednak tak potężne przedsięwzięcie, które zmusiło ludzi do niesłychanego bohaterstwa i ofiarności, kosztowało setki tysięcy ofiar ludzkich i zniszczyło bezcenne wartości — musiało przecież mieć jakiś sens! A jego zbrodnie powinny mieć jakiś odpowiednik w dodatnich rezultatach.

Czasem ogarnia mnie zgroza... A jeśli tak nie było? Wówczas sny moje stają się czerwone od krwi i pożarów — tyle razy to przecież widziałem! Serce dawi niepokój człowieka skazanego na śmierć.

Nie, trzeba wyzbyć się takich myśli niegodnych człowieka, który pomagał szerzyć wiarę w krzyż wśród pogańskich Indian. Jakże jednak mam się ich pozbyć, skoro ciągle lęgną się we wspomnieniach i w sumieniu jak jadowite węże?

Jeden tylko jest na to sposób.

Muszę sam z nieubłaganą szczerością roztrząsać raz jeszcze wszystko, co przeżyłem i widziałem, osądzić według własnego zdania, nie oglądając się ani na Gomare, ani na don Diaza. Jedynie w ten sposób znajduję rozwiązanie i rozgrzeszenie.

Zabieram się więc do dzieła. Będzie ono tym łatwiejsze, że nie muszę opisywać całej wyprawy meksykańskiej dzień po dniu, ponieważ kto tego ciekaw, znajdzie to w obu wymienionych książkach, a przede wszystkim we wspomnieniach mego pana.

Zresztą: cel mój jest inny. Nie mam zamiaru pisać dziejów wyprawy, lecz wybrać z nich tylko te odcinki i fragmenty, które mogą służyć jako świadectwo przy rozwiązywaniu głównego problemu: czy to, co zrobiliśmy w Meksyku, było dobre? Czy dobre było dla ludzkości, dobre dla tych wzniosłych idei, w imię których — jak głosiłmy — wyruszałmy na wyprawę?

Chcę jedynie i wylucznie zgromadzić dowody i fakty w celu rozwiązania tego zagadnienia, mogę więc z całym spokojem opuścić wszystko, co nieistotne. By jednak opowiadanie moje nie rozlatywało się w strzępy, będę łączył wszystkie te fragmenty niezbędnym, krótkim powiązaniem.

Dla odpowiedniego wprowadzenia w tok akcji najpierw słów parę historii. Nasze dzieje — Hiszpanów z Nowego Świata — rozpoczynają się zwykle od Kolumba, w tym wypadku: od jego śmierci. Po niej bowiem przez czas dłuższy nie działa się nic godnego uwagi. Na odkryte przez niego na Morzu Karaibskim wyspy zjeżdżało się wielu takich, którzy nade wszystko cenili łatwy zysk bez pracy i lubili tylko wydawać rozkazy. Owi jaśnie panowie, osiedlający się na Kubie, Española i innych wyspach, mieli jednak sporo zmysłu kupieckiego i przebiegłości, szybko więc wykryli tajemnicę wielkich zysków. Kto by tam szukał złota, szedł na nieznanne tereny, przedzierał się przez dżunglę i jeszcze bił się w dodatku! Lepiej już przywieźć z kraju trzcinę cukrową albo wieprze

i zagarnąć pod hodowlę solidny kawał ziemi. Pracę na polach i wypas stad załatwią indiańscy niewolnicy, ponieważ jednak te łajdaki tak szybko wymierają, można będzie zastąpić ich czarnymi niewolnikami, których portugalscy handlarze niewolników dostarczają z Afryki. Zresztą Murzyni są nawet silniejsi i wytrzymalsi niż Indios, którzy zwłaszcza w kopalniach nie wytrzymują zbyt długo... I to właśnie było owo trzecie źródło dochodów tych nowo upieczonych gospodarzy hiszpańskich.

To prawda: pola, kopalnie i hodowla świń dawały duże dochody. Ale dla prawdziwych hidalgów, tych niespokojnych duchów, co to umieli sypiać w siodle i bić się o każde krzywe spojrzeń — o nie, to nie dla nich takie bezczynne życie na przypieku. Ich ciągnęło tylko jedno: konkwista — zdobywanie nowych krajów, podbój nowych terenów. A przy tym każdy z nich wierzył w głębi serca, że jemu właśnie uda się znaleźć ową nigdy przez nikogo nie widzianą krainę — najbardziej upragnione Eldorado! Krainę złota...

Tacy właśnie śmiałkowie, niespokojne duchy, zmwiali się, stawali się o pieniądze, zaciągali pożyczki, by mając statek, marynarzy i żołnierzy, a potem ruszali z wysp na zachód, w stronę amerykańskiego lądu, gdzie jak psy gończe buszowali po wybrzeżu: od ujścia rzeki Orinoko na południu, aż po Florydę na północy.

Ze wszystkich tych chciwych i zaborczych intruzów najwybitniejszym był don Vasco Nuñez de Balboa. Wiedzieliśmy już wtedy wszyscy, że Kolumb pod koniec swej wyprawy dotarł nie do najdalej na wschód wysuniętego brzegu Azji, lecz że niespodziewanie natknął się na nowy ląd. Azja ze swymi drogocebnymi korzeniami i innymi kuszącymi towarami leżała jeszcze dalej na zachodzie, należałoby więc przejść w poprzek odkrytą obecnie ziemię, by ostatecznie dotrzeć do owego morza, rozpościerającego się między lądem amerykańskim i Azją. Z opowiadań Indian Balboa wiedział, że trzymając się stale brzegu można natrafić na takie miejsce, gdzie ląd amerykański zwęża się w wąski przesmyk — po jednej jego stronie znajduje się nasz Ocean Atlantycki, po drugiej zaś morze sięgające brzegów Azji.

Balboa miał szczęście: znalazł to najwyższe pasmo lądu i wraz z swymi żołnierzami przeszedł je, a właściwie powiedziawszy prawdę przedarł się przez nie, ponieważ droga poprzez dżunglę

i strome grzbiety górskie była bardzo trudna i uciążliwa. Dnia 25 sierpnia 1513 roku, z królewską chorągwią hiszpańską w jednej ręce i nagim mieczem w drugiej, Balboa wszedł w morze, aż woda sięgnęła mu do piersi. Tym uroczystym, połączonym z odpowiednim przemówieniem, aktem objął on w posiadanie nowy ocean i wszystkie przylegające doń kraje w imieniu korony hiszpańskiej i panującej dynastii. Później morze to — ze względu na jego charakter — otrzymało nazwę Oceanu Spokojnego.

Owa sierpniowa data... Nikt wówczas nie mógł przypuszczać, że dokonane przez Balboę odkrycie nabierze tak wielkiego znaczenia, że na odkrytym przez niego przesmyku zrodzą się dwa najpotężniejsze nurty podbojów: jeden poprowadzi na północ do Meksyku, drugi skieruje się na południe do Peru. Prowincja, która stanowiła punkt wyjściowy dalszych wypraw, leżała na wspomnianym właśnie przesmyku między dwoma oceanami i nosiła nazwę Darién.

Zebym nie zapomniał: kiedy zasłużony konkwistador Balboa wybierał się na podbój krajów leżących na południowym brzegu Oceanu Spokojnego, tuż przed samym wyruszeniem na wyprawę został wezwany do gubernatora Dariénu, zarazem swego teścia. Przybyły na wezwanie Balboa został aresztowany, oskarżony o zdradę i skazany na karę śmierci. Rzecz prosta: za wszystkim tym kryły się pieniądze, zadróżd, walka o władzę między tęsknim i zięciem. Notuję to tylko jako uzupełnienie — na dowód, że „konkwista” i śmierć naturalna nie zwykły chodzić w parze. (Niechże mój pan, który jest zaszczytnym z tej reguły wyjątkiem, żyje jeszcze długo!)

Musiabym być poeta, gdybym miał piórem skreślić atmosferę, jaka panowała w Darién w chwili przygotowywania przez Fernanda Corteza wyprawy. Imaginacja moja jest zbyt trzeźwa, porównaniom brak fantazji. Wyobraźmy sobie, powiedzmy, zagrodę, w której zamknięto stado nie ujeżdżonych ogierów — wałą kopytami w belki i bariery, rzą i starają się jak mogą wydostać na swobodę, gdzie mogłyby wylądować nadmiar swych sił. Tak też poczynali sobie hidalgowie i prości żołnierze w Dariéniu.

Mój pan też nie był lepszy. Widziałem, jak biegł po ulicach od karczmy do karczmy; przesiadywał tam z podobnymi sobie tocząc namiętne dyskusje i snując plany. Czasami znów wraz

z przyjaciółmi warował pod rezydencją gubernatora domagając się audiencji... Słowem: także szukał drogi, jak by się wydostać.

I wreszcie znalazł Corteza — czy też Cortez jego, tego nie wiem, ale to nieważne. I tak zaczęło się to wszystko, w czym całe lata brałem udział i z czym dziś jeszcze toczę w duchu walki, by doszukać się sensu — dobrego czy złego — owej olbrzymiej imprezy.

Cortez wybierał się wzdłuż wybrzeży na północ, do kraju zwanego Meksykiem, o którym dochodziły nas tymczasem rozmaite wiarygodne i bardzo obiecujące wieści. Otóż dwie już hiszpańskie wyprawy próbowały tam dotrzeć, były jednak zbyt nieliczne i słabe, by zapuścić się dostatecznie daleko. Uzyskały przynajmniej tyle, że drogą wymiany zdobyły wspaniałe złote klejnoty; niesłychanie zaostrzyło to apetyty nas wszystkich i naszych panów. I gubernatorowi także na widok tych skarbów oczy wylazily z głowy, zaprzestał więc stwarzania dalszych trudności proponowanej przez Corteza wyprawie.

Ostatecznie Cortez wraz z przyjaciółmi wyruszył w pięć statków z solidną załogą: prócz stu marynarzy liczyła ona pięciuset ludzi dobrze uzbrojonych, którzy dobrowolnie zgłosili się na wyprawę. Ponad trzystu z nich posiadało kusze, trzynastu strzelców miało muszkiety. Prócz tego wieźliśmy także jedenaście małych armat, a było to ważne, ponieważ w owych stanowiących nasz cel krańcach świata nikt nie słyszał jeszcze wystrzału z armaty lub muszkietu. Podobnie nie znane tam były konie, my zaś wieźliśmy z sobą kilku jeźdźców.

Dnia 14 marca 1519 roku przybiliśmy po raz pierwszy do brzegów krainy meksykańskiej, stanęliśmy na ziemi potężnego państwa Azteków!

Z wspomnianych przeze mnie ksiązek można się dowiedzieć, że Cortez ze swym wojskiem stoczył tam wielką bitwę, w której padło wiele setek Indian. Do dziś uważam to za cud, że nie zatonęliśmy w tej powodzi wojowników azteckich, która waliła na nas nieustannie fala za falą. Nic nie pomagało, że strzelaliśmy do nich z kusz, muszkietów, że leciały na nich kamienne kule z naszych armat. Atakowali zwartymi szkami, a nasze strzały kosiły ich dziesiątki, nawet setki. Zdawało się, że za każdego zabitego stawiało w szeregu dziesięciu powych napastników. Po każdej morder-

czej salwie Aztekowie wyrzucali trawę i ziemię nad głowy, by utrudnić nam widoczność, byśmy nie mogli dostrzec, ilu spośród nich padło. Wrzeszczeli przy tym wysokimi, załamującymi się głosami, co przypominało wycie rozwścieczonych drapieżników. Uratował nas atak naszej jazdy, która okrążywszy nieprzyjaciela nieoczekiwanie zaatakowała go od tyłu. Dopiero pojawienie się tych niesamowitych dla Indian stworzeń — sądzili, że jeździec wraz z koniem to jakieś jedno czarodziejskie zwierzę zabijające czterema kopytami, a prócz tego i mieczem, którym stwór ten wymachuje przy pomocy jakiejś jeszcze kończyny — rzuciło postrach na szeregi Azteków i zmusiło do ucieczki.

Nie warto zajmować się szczegółami, lepiej zanotować poczynione obserwacje, które miały być dla nas nauką, że czeka nas tutaj nie jakaś wygodna przechadzka, lecz bezlitosna walka na śmierć i życie z jednej strony i o byt lub zagładę całego państwa Azteków z drugiej strony.

Napotkani przez nas tubylcy w niczym nie przypominali owych bezbronnych, nagich synów przyrody, jakich zastał Kolumb i jego następcy na wyspach Morza Karaibskiego.

A tymczasem Aztekowie... Sam nie wiem, od czego zacząć — tak wiele rzeczy nas zaskoczyło, budziło w nas często lęk, czasem nawet podziw i szacunek. Więc na przykład: stworzyli prawdziwe państwo, tak jak my to rozumiemy w Europie. Było to państwo olbrzymie — jak dowiedzieliśmy się później, dwa razy tak wielkie jak Hiszpania i Portugalia razem wzięte! Na czele państwa stał jego najwyższy władca, król, mający swą siedzibę w Meksyku, stolicy, od której wzięło później nazwę całe państwo. Podlegali mu naczelnicy poszczególnych szczepli, z których terenów składało się państwo meksykańskie. Co dla nas było niepojęte, to fakt, że naczelników tych na owe stanowisko wybierał szcpep i to z określonego rodu, który wyróżniał się przede wszystkim specjalnymi zasługami wojennymi. Mieli tam także coś, co przypominało nasze kortczy — sejm. W sprawach dotyczących całego szczepli decydowała specjalna rada szcpepowa, złożona z członków poszczególnych rodów. Także uprawa roli, główne źródło wyżywienia wszystkich szcpepli, podlegała u Azteków specjalnemu systemowi zarządzania. Ziemia należała tam bowiem nie do poszczególnych właścicieli, lecz do rodu — przydzielano ją poszczególnym rodzinom, do

których należały zbiory, ale nie uprawiana przez nich ziemia. Niezrozumiałe było dla nas także i to, że rozprawdzający i sprzedający wyroby miejscowego rzemiosła kupcy meksykańscy nie prowadzili handlu na własny rachunek, lecz podejmowali podróże handlowe na polecenie szcpepli i do kasy szcpepli odprowadzali zyski. Jeśli chodzi o umiejętności Azteków, to wyroby ich były tak wspaniałe, że nie wierzyliśmy wprost własnym oczom — zarówno tkaniny o płomiennych barwach i skomplikowanych wzorach, jak wyroby ze złota i srebra, czy wreszcie niezwykłe okrycia i kapy robione z kolorowych piór papug i innych ptaków. O ich domach i miastach — a tak, nie myślę się, istotnie mam na myśli wielkie, okazałe miasta — wspomnę na innym miejscu. Szkoda tylko, że trzeba będzie mówić i o tym, jak myśmy te wszystkie olśniewające cuda niszczyli — i zniszczyli bez reszty!

Nie wspominałem jeszcze o takich sprawach: Aztekowie mieli swe własne pismo obrazkowe, umieli rysować mapy swojego kraju. Pomijam także wiele innych rzeczy.

Oczywiście, że tak zorganizowane państwo dysponowało odpowiednią siłą zbrojną, ściśle mówiąc wojskiem, niewspółmiernie licznym w stosunku do naszego skromnego oddziału. Było to wojsko dobrze wyćwiczone — każdy dorosły mężczyzna szkolony był w posługiwaniu się bronią — podzielone na oddziały pod dowództwem naczelników rodowych i szcpepnych.

Wobec takiej przewagi mieliśmy tylko trzy atuty.

Po pierwsze: Aztekowie nie znali żelaza. Broń ich stanowiły tylko drewniane oszczepy, dzidy i strzały zaostrzone przy końcu, czasem tylko opatrzone kościanym grotem. Niektórzy wojownicy mieli także coś w rodzaju mieczy — drewniane pałki z rowkami po bokach, w których osadzono płytki kamienne. Broń ta powodowała okropne rany, szarpała bowiem ciało jak piła, ale tepiała się szybko. Dla ochrony własnego ciała Aztekowie używali tarcz ze skóry, pierś osłaniali pancerzami, zrobionymi z grubo pikowanego materiału. Zorientowaliśmy się od razu, że były one lżejsze niż nasze metalowe pancerze, a tak samo niemal skuteczne, więc z czasem przejeśliśmy od nich te pancerze z materiału. Rzecz prosta, że całe azteckie uzbrojenie to dziecinna zabawka wobec naszych okutych żelazem kopii, mieczów i muszkietów.

Drugim naszym atutem był fakt, że my sami swą jasną ce-

raż budziliśmy strach i przerażenie wśród Azteków. W jakimś czasie potem dowiedzieliśmy się dlaczego. Otóż w Meksyku utrzymywała się przepowiednia o białych bogach, którzy pewnego dnia przepłyną przez morze i zagarną Azteków pod swoje panowanie. Nie wiem dokładnie, jak to tam było, ale ta zabobonna wiara w przyjście białych bogów była nam pomocna w pertraktacjach z panującym wówczas władcą Azteków, Montezumą. Wspomniałem już, jakie wrażenie robił na Azteках widok jeźdźcy na koniu; największe jednak przerażenie budził fakt, że jeździec zsiadał z konia — wówczas to dziwnym zwierzę z dwóch głów i sześciu kończyn rozdzielał się na dwa samodzielne, żywe stworzenia.

Lecz nawet przy tej olbrzymiej przewadze Azteków w stosunku do naszego małego oddziału oba te atuty na nic by się nie przydały, gdyby nie atut trzeci, decydujący, dzięki któremu właściwie odnieśliśmy ostateczne zwycięstwo. Był nim bezsporny fakt, że państwo Azteków nigdy nie stanowiło jednolitej całości. Składało się właściwie z terenów trzech szczepów, których mieszkańcy zawarli przymierze dla wspólnych podbojów i obrony; te trzy główne szczepy podbiły kolejno i włączały liczne szczepy sąsiednie, które musiały płacić im daniny i dostarczać niewolników. Stawały się one w ten sposób częścią azteckiego państwa, lecz świadome swej zależności, wiecznie wymaganych obowiązków i ofiar, nie tylko nie były zbyt godnymi zaufania sprzymierzeńcami, lecz nawet tały w sercach nie wygasającą nienawiść do swych pogromców. I tylko ta właśnie nienawiść, która ostatecznie rzuciła Indian przeciw Indianom, uratowała nas, ba — zdecydowała nawet o naszym zwycięstwie.

Okazało się to już na początku wyprawy, jak zaraz opowiem. Po owej tak szczęśliwie zakończonej dla nas bitwie, o której pobieżnie wspominałem, płynęliśmy wzdłuż meksykańskich brzegów dalej na północ, aż trafiliśmy na miejsce nadające się zdaniem Corteza na założenie miasta; chciał on bowiem mieć stałą i trwałą bazę dla naszych dalszych poczynań. Wymierzaliśmy więc obwód przyszłych szanów i placów pod główne budowle: ratusz, kościół i więzienie. Właściwie postępujące bardzo szybko prace budowlane wykonali za nas Indianie. Przyjęli nas co prawda inaczej niż przy naszych pierwszych doświadczeniach — z wielkim stra-

chem, wnet jednak dali się udobruchać drobnymi darami i drobiazgami, które nas niewiele kosztowały. Wystarczyło parę skrzynek paciorków szklanych i innych świecidełek, którymi Cortez starał się wpłynąć na usposobienie tubylców, wspominając przy tym zresztą treść miejscowych wierzeń na temat białych bogów. Nowemu miastu nadałiśmy nazwę: Villa Rica de Vera Cruz — Bogate Miasto Prawdziwego Krzyża.

W jakimś czasie potem zjawił się tam wysoko postawiony gość: złożył nam wizytę sam naczelnik szczepu Totonaków, na którego terenach osiedliliśmy się. Był tak tęgi, że sam nie mógł się poruszać, podpierali go więc dwaj jego dworzanie. Rozmowa, jaką Cortez przeprowadził z nim przy pomocy tłumacza, dała nam wiele pożytecznych informacji: podbili niedawno przez Azteków Totonakowie gorzko żalili się na Montezumą i jego panowanie. Jak się to dzieje — mówili — że tak oni, jak i inne dotknięte podobnym losem szczepy, muszą być właściwie niewolnikami Azteków? Nie tylko że zabierają im zbiory z pól: bawełny, ziarno kakaowe, kukurydzę, wszystko to, co im samym do życia potrzebne, lecz zmuszają także, by całe to swoje bogactwo na własnych barkach dostarczali do dalekiej stolicy azteckiego państwa... Miejscowi ludzie nie znali bowiem nawet kół, nie mieli wozów.

Dopiero kiedy sami pokonałiśmy szlak do miasta Meksyku, zrozumieliśmy, co znaczy przenoszenie ciężkich worków i pak w kraju tropikalnym, gdzie żar, duchota i jadowite owady zatruwają życie nawet nie obciążonemu niczym człowiekowi. Kto przeszedł przez tę *terra calliente* — gorącą ziemię — tego czekało z kolei przedzieranie się przez przełęcz niebotycznych gór, zanim mógł zejść w dolinę Meksyku. Kto natomiast przechodził tamtędy niosąc towar, rzadko wracał zdrowy lub co najmniej tak wyczerpany, że przez czas dłuższy nie był zdolny do normalnej pracy.

Co jednak było jeszcze gorsze — Montezuma żądał, by podobnie szczepy przysyłały mu rokrocznie określone ilości chłopców i dziewcząt przeznaczonych na ofiarę na ołtarzach krwawego boga, Tezcatlipoki. Nieco później opowiem o tym dokładnie.

— Dlaczego my, przyzwyczajeni hojnie korzystać z dostatków naszego kraju, mamy teraz żywić Montezumą i setki dworaków pędzących próżniaczy żywot na jego dworze? — Tymi i podobny-

mi słowami skarżył się gruby kacyk (naczelnik). Muszę przyznać, że miał zupełną rację.

Tak się złożyło, że w tym czasie przybyło do kraju Totonaków poselstwo od Montezumy dla pobrania należnych podatków. Widzieliśmy je: pięciu szlachciców azteckich, wspaniale przybranych w obszerne płaszcze z ptasich piór, na głowach pióropusze z pięknie barwionych piór indyckich, prócz tego starannie wypracowane naszyjniki, bransolety i nausznice. Na znak, że nigdy rąk nie skalałi pracą — pracą byłoby także przeliczanie odbieranych podatków i danin — w prawych rękach trzymali różę, które wachali dla zadokumentowania, że ich umysł zajęty jest bardziej wzniosłymi sprawami. Samo ich pojawienie się miało wystarczyć, by przypomnieć podbitym szczepom ich obowiązki. Tym wyniosłym dygnitarzom towarzyszyły całe roje służących, którzy wachlarzami z piór odganiałi owady od ich twarzy.

Wtedy to Cortez poradził grubemu kacykowi, by po prostu wysadził posłów Montezumy do więzienia i żadnych danin ani ludzi na krwawe ofiary nie wysyłał. Rada ta znalazła uznanie, ale kacyk chciał ją uzupełnić w ten sposób, by wysłanników zabić i przyrzadzić z nich smakowitą ucztę. Cortez jednak miał inne plany, więc też to ostatnie odradził kacykowi. W nocy natomiast kazał swym żołnierzom wyprowadzić ludzi Montezumy z więzienia i wytłumaczyćwszy im, przed jakim ocalili ich niebezpieczeństwem, odesłał do ich władcy z informacją, że jest jego przyjacielem, na dowód czego zaopiekował się jego dworzanami.

Tak to zaczął Cortez prowadzić ową podwójną grę, od której już nie odstąpił. Miała ona jedyny cel: pozyskać przyjaźń Indian a zarazem skłócić ich między sobą, w myśl przysłowia: „gdzie dwóch się kłóci, tam trzeci korzysta.”

Na razie skutkiem jego taktyki był fakt, że w chwili gdy wyruszyliśmy z Veracruz w dalszą drogę towarzyszyło nam tysiąc uzbrojonych Totonaków.

Coś podobnego zdarzyło się również, gdy przybyliśmy na teren szczeptu Tlaskala. Był to szczept wyjątkowo liczny i wojowniczy, ponadto jedyny, który oparł się dotąd wszelkim próbom podbicia go przez Montezumę. Początkowo stawili opór i nam, i naszym nowym sprzymierzeńcom Totonakom; dopiero po dwóch wielkich bitwach, o których możecie się dowiedzieć z wspomnianej

już książki mego pana, złożyli broń, a zręczność Corteza zmieniła ich wnet w najwierniejszych i najwaleczniejszych naszych sprzymierzeńców, ogromnie bowiem nienawidzili meksykańskich Azteków.

Tutaj także po raz pierwszy na własne oczy widzieliśmy owe krwawe ofiary, jakie Tlaskalanowie — jak i wszystkie inne indiańskie szcypy — składają swym straszliwym bóstwom. Wspominam o tym dlatego, że odciąża to choć trochę moje sumienie, kiedy wracam pamięcią do owej wojennej zagłady, jaką wnieśliśmy do kraju Azteków.

Ofiary te składano na szczytach olbrzymich piramid z wielkich bloków kamiennych, budowanych stopniami od szerokiej podstawy z kilku tarasowymi krągankami aż po szczytową płaszczyznę, na której zbudowana była właściwa świątynia, przed nią zaś kamienny stół ofiarny. Ofiarami byli przeważnie młodzi chłopcy, czasem młode kobiety, a także jeńcy wojenni lub ludzie, których podobne szcypy musiały dostarczać dla azteckich bogów. Owych „przeznaczonych” najpierw przygotowywano przez cały rok na ich okropny los. Odwrotnie jednak niżby należało oczekiwać, rok ten upływał im na samych przyjemnościach, od chwili bowiem, gdy zostali wybrani na ofiary, uważani byli za tymczasowe, ziemskie wcielenia samego boga. Więc też kapłani, sprawujący wówczas nad nimi władzę, opiekowali się nimi troskliwie, dostarczali najbardziej wymyślnych wygód i rozkoszy. Strojonu ich we wspaniałe szaty, otaczano przepychem, karmiono wykwintnym jądłem. Pędzili życie w rozkosznym próżnowaniu, wśród uczt i tańców. Mogli też w towarzystwie kapłanów wychodzić do miasta, a mieszkańcy uważali za wielki zaszczyt, gdy wolno im było zaprosić ich do zastawionego stołu. Niestety, zawsze jednak nadchodził dzień, kiedy kończył się ów rok szczęśliwości. Wówczas takiego wybranego młodzieńca — uroczyście i okazałe, w obecności niezliczonych tłumów — kapłani prowadzili tarasami i schodami piramidy na sam szczyt, on zaś musiał po drodze zdejmować z siebie wszelkie ozdoby i ubranie. Na górnej płaszczyźnie kapłani chwytali go, rzucali na stół ofiarny — pięciu z nich trzymało go za ręce, nogi i głowę, szósty ostrym kamiennym nożem otwierał mu pierś. Zanurzywszy w ranie rękę jednym szarpnięciem wyrwał ofierze serce, które później w misie stawiano wewnątrz świątyni u stóp posągu boga

wojny. Ciało zabitego zrucano po stopniach piramidy na dół, gdzie chwyтали je oczekujący Aztekowie. Odcięte od tułowia kończyny i głowę pieczono następnie na roznach i na uroczystej uczcie zjadano. Stanowiło to część składową obrzędu religijnego, Aztekowie wierzyli bowiem, że w ten sposób spożywają cząstkę swego boga. Okaleczały tułów rzucono na pożarcie psom.

Czaszki ofiar przechowywane były w specjalnych komorach świątyni. Tak się zdarzyło, że w jednej z nich naliczyliśmy ich ponad sto trzydzieści tysięcy!

Do dziś pamiętam, że długo nie mogłem się otrząsnąć ze strasznego wrażenia tego pierwszego zetknięcia się z religią Azteków. Znacznie później dopiero, kiedy mogłem już myśleć spokojniej, zastanawiałem się nad sensem tego wszystkiego. Przypuszczam, że się nie mylę dopatrując się w tych ofiarnych obrzędach religijnych zamierzonego i świadomego celu. Jaki stan umysłu mógł, a więc powinien budzić widok tych dziesiątków czy nawet setek w ten sposób publicznie mordowanych ofiar? Przede wszystkim zapewne dwa uczucia: z jednej strony nieczułość i niedocenywanie wartości życia, z drugiej zaś krwiożercze instynkty, które można było wykorzystać w walce. A więc wszystko to służyło do wzmagania najniższych, drapieżnych instynktów, potrzebnych specjalnie azteckim wodzom, których celem już od dawna były podboje okolicznych plemion. Za pomocą tych więc obrzędów kapłani wspierali i pomagali im, wynosząc samych siebie ponad innych, stawiając siebie w roli pośredników między kacykami i krwiożerczymi bogami. Często później mieliśmy okazję stwierdzić, że kapłani niekiedy posiadali pewną władzę nad kacykami, umieli bowiem wzbudzić w nich paniczny lęk przed bóstwem.

W drodze od wybrzeża morskiego do granic właściwych terenów plemienia Montezumy dwukrotnie dotarli do nas jego posłowie. Przynosili tonące w powodzi uprzejmości słowa powitania, zawsze jednak pod koniec dołączali prośbę, by Cortez ominął stolicę, by się do niej nawet nie zbliżał. Niechęć, strach czy też wrogość w stosunku do nas starannie była osłonięta najróżniejszymi, na pozór zupełnie uzasadnionymi argumentami. I by słowa Montezumy zostały przez Cortezę życzliwie przyjęte, towarzyszyliśmy im zawsze wspianiale, olbrzymiej wartości dary. Pamiętam chociażby

wielką sztukę materiału, na którym utkana była mapa Meksyku, płaszcz z cudownie lśniących, delikatnych piór, złoty szyszak, klejnoty oraz tarczę przedstawiającą słońce, wielką jak koło od wozu, całą ze szczerzego złota!

Tymczasem dary te budziły najzupełniej sprzeczne z intencjami ofiarodawcy uczucia. One to właśnie najmocniej podniecały w Cortezie i jego towarzyszach żądzę dotarcia do źródeł tego złota, o których obfitości przecież świadczyły.

Aztekowie nie przecużawali, jak bardzo Hiszpanie byli już wyczerpani forsownymi marszami i wrogością przyrody, atakującej ciało gorączką i serce słabością. Ponad stu naszych ludzi zmarło z chorob skutkiem zmiany pożywienia, a przede wszystkim pod wpływem klimatu tej *terra calliente*. Nieraz już ludzie zaklinali się, że nie postąpią ani kroku dalej, występowały nawet wyraźne przejawy buntu, które Cortez z wielkim trudem zażegnywał i opanowywał. I właśnie w takiej chwili musiał Montezuma przysłać owe nieszczęsne dary, które w najbardziej nawet zbuntowanym żołnierzu rozpały taki żar chciwości, że roztopiało się w nim całe dawne zmęczenie, zniechęcenie i bunt. Teraz już nic nie zdołałoby nas powstrzymać — biegliśmy jak pies za słoniną. A sześć tysięcy tlaskańskich wojowników za nami!

I tak oto ruszyliśmy na wyprawę: na stolicę państwa Azteków. Pominę już cośmy przeżyli — a było tego niemało — nie mogę jednak nie wspomnieć o przyrodzie, gdyż wtedy właśnie ukazała się nam ona w całej wprost niewiarygodnej, raz groźnej, to znów oślniewającej krasie.

Od chwili, gdy minęliśmy Cholulę — miasto, które do śmierci nas nie zapomni — droga z urodzajnej równiny zaczęła się nieustannie wznosić, wiodła przez góry. Miły, łagodny klimat nizin, gdzie czasami dokuczał nam tylko upał lub duchota po ulewach, zanikał z każdym krokiem, powietrze stawało się ostre, coraz chłodniejsze. Bujną dotąd roślinność zastąpiły srogie oblicza skał — wydawały nam się bezlitosne i wrogie. Drętwiały w nas nie tylko ciała, ale i dusze. Dopiero te dwa najgroźniejsze olbrzymy górskie, które istotnie mogły nam napędzić potężnego stracha, poprawiły nam nieco humory — były tak niesłychanie potężne, że po prostu piękne. Dwa największe wulkany Meksyku: Popocatepetl i Iztaccihuatl. Nie znam słów, nie mam poetyckich zdolności, by

opisać oba te kolosy, które wystrzelały przed nami z ziemi aż pod chmurę jak skamieniałe westchnienie. Zbocza ich, dzikie i nagie, bez jednej wysepki zieleni, już z daleka budziły dreszcz grozy. Wierzchołki okrywał śnieg spływający długimi smugami w dół po zboczach. Śnieg ten z godziny na godzinę zmieniał barwę — od siłnawej białości przy wschodzie słońca, przez mleczny blask w ciągu dnia, aż po wszystkie odcienie czerwieni i karminu, jakimi plonęły szczyty wulkanów o zachodzie. A przy tym z wierzchołków obu wulkanów nieustannie wydobywał się dym; raz wił się łagodną wstęgą, to znów klebił się ciemnymi chmurami. Nie dziwił się wcale, że Indianie widzieli w obu tych górach coś więcej niż zbiorowisko skał, że uważali je za żywe istoty lub co najmniej dopatrywali się w nich siedziby swych straszliwych bóstw.

Kilku Hiszpanów — może sprowokowanych tajemniczością tych górskich olbrzymów, a może tylko by wzbudzić jeszcze większy szacunek u Indian — postanowiło dojść aż do samego krateru wulkanu Popocatepetl. Niewiele brakowało, by się im to udało, przekroczyli już granicę wszelkiej roślinności, nawet tak odpornej kosodrzewiny, wyżej już tylko strome pola zastygłej lawy. Mimo wysiłku przy wspinaniu się w górę, rzednącego, utrudniającego oddychanie powietrza, śmiało darli się na ośnieżone zbocza pod szczytem. Tu dopiero w pewnej chwili powstrzymał ich gwałtowny wybuch wulkanu: duszącym dymem, iskrami, lecącymi kawałkami rozżarzonej lawy zmusił do ucieczki. W jakiś czas później następnej grupie, gdy wyczekała momentu uspokojenia się wulkanu, udało się dotrzeć do oznaczonego celu. Szlachetnie urodzony Francisco Montaña kazał się kolegom spuścić w koszu na sznurach czterysta stóp w głąb krateru Popocatepetl, skąd na dowód swego wyczynu przyniósł kawał wulkanicznej siarki.

Mimo iż szliśmy wówczas przez tak nieprzyjazne nam okolice, gdzie mróz i śnieżne wichury podkopywały naszą wytrzymałość, trzymaliśmy się w dalszym ciągu przyzwyczajone wyrównanej drogi, przy której — ku naszemu wielkiemu zdziwieniu — znajdowaliśmy w oznaczonych odległościach wzniesione budynki z kamienia, puste co prawda i bez jakiegokolwiek urządzenia z wyjątkiem prync, mogły one jednak chronić nas przed złą pogodą. Wykorzystywaliśmy je zwłaszcza na noclegi.

Aż wreszcie pewnego dnia nadeszła chwila, której do końca

życia nie zapomnę: jakby nagle rozwarła się przed nami skalna zasłona — otworzył się daleki widok na olbrzymią czaszę meksykańskiej doliny. Mroziło nam jeszcze plecy zimne tchnienie gór, lecz już z daleka wabiło wzrok zjawisko tak rozkoszne, że jedynym nasuwającym się porównaniem był obraz ziemskiego raj. Zamiast nużącej oczy szarzyzny skał, upajała nas teraz soczysta zielen bujnej, spływającej w dolinę dżungli, gdzie falista linia gąszczy ukazywała się na zmianę z srebrzystymi lustrami jezior, dalej zaś kwitnące sady, ogrody i złocistożółte pola kukurydzy.

Pośrodku tej rozległej równiny, otoczonej i chronionej na krańcach horyzontu wieńcem łańcuchów górskich, rozpościerało się największe jezioro. Otaczały je — nawet z tak znacznej odległości widzieliśmy to wyraźnie — liczne skupiska bielutkich, tonących w ogrodach budynków. Jak przekonaliśmy się później, było to w rzeczywistości kilka miast — największe z nich, upragniony cel naszej wyprawy, stolica Meksyku, królowało w samym środku jeziora, jak wspaniały kwiat lotosu na turkusowoniebieskiej tafli wody.

W gruncie rzeczy mało kto z nas długo upajał się tym cudownym widokiem — przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Raczej budziła się w ludziach świadomość: „Patrzcie, tu u naszych stóp rozpościera się tak niesłychane bogactwo, jakiego nikt z nas w najśmielszych nawet marzeniach nie umiał sobie wyobrazić. I całe to bogactwo — czytałem w chciwych spojrzaniach stojących dookoła — nam przypadnie w udziale, ponieważ to nas wysłano do tej pogańskiej części świata, byśmy ją zmusili do postuszeństwa naszym arcykatolickiemu monarsze, królowi Hiszpanii...”

Gdzież się podziało to odrętwienie ciał i kości? Posuwaliśmy się teraz szybko, nie niepokojeni przez nikogo. Wszyscy napotykanii przez nas ludzie wystraszeni ustępowali nam z drogi, najwyżej z daleka obserwowali nas ciekawie.

Wyszło nam na spotkanie poselstwo azteckiego władcy. Znow niosło kosztowne dary, znow przedstawiało życzenie swego pana, byśmy zrygnowali z odwiedzin miasta Meksyku. I tym razem Montezuma również wykazał zupełny brak przeczności — obiecał przysłać nam cztery worki złota, o ile zastosujemy się do jego życzenia i zawrócimy z drogi. A to tylko mocniej jeszcze ugrunto-

wało naszą decyzję: sami sobie pójdziemy po tę złotą nagrodę — wówczas nie będą to tylko cztery worki!

Jeszcze czas jakiś szliśmy wśród urodzajnych pól nawadnianych sztucznymi kanałami, nocowaliśmy po miastach, które okazałością dorównywały wielu miastom hiszpańskim, oglądaliśmy rzeczy tak fantastyczne, jak choćby ogrody brata Montezumy w mieście Itzapalopan z murowanymi basenami, z wielkimi klatkami pełnymi różnobarwnego ptactwa — aż serca nam się ścisnęły na widok tych wspaniałości i dojrzałości ludzkiego umysłu. Aż wreszcie nadszedł wieczór, gdy po raz ostatni mieliśmy położyć się spać przed wejściem do stolicy.

O zachodzie słońca widzieliśmy z daleka wieże miasta i dachy niektórych, zapewne znaczących budynków — w zamierającym świetle dnia prześwitwały poprzez zielone cienie ogrodów. Jutro będziemy już u celu! Ta noc była na pewno nocą wspaniałych snów i równie wspaniałych marzeń!

Następnego ranka niecierpliwość kazała nam uprzedzić wschód słońca. Żołnierze ruszali, ledwie mogli się doczekać rozkazu. Teraz każdy krok przybliżał nas do spowitego jeszcze w mgły świtu, królującego pośrodku jeziora miasta. Na razie z tej mlecznej topieli wylaniały się tylko wierzchołki sakralnych piramid, gdzie na górnych płaszczyznach znajdowały się miejsca składania ofiar. To właśnie te wieże widzieliśmy wczoraj z daleka. W miarę jak mgła opadała, wynurzało się z niej powoli całe miasto — jakby wychodziło z mlecznej kąpieli. Białe, lśniąca, wspaniałe miasto...

I wtedy — my na przedzie, tlaskalanci wojownicy za nami — weszliśmy na długą groblę, łączącą ląd stały z miastem-wyspą. Była to sztuczna grobla, umiejętnie zbudowana z bloków kamiennych, a tak szeroka, że dziesięciu jeźdźców mogło nią jechać obok siebie. W ostatniej części, tuż przed miejskimi wałami, groblę przegradzała ufortyfikowana wielka brama. Już kiedy maszerowaliśmy po grobli całe masy Indian towarzyszyły nam płynąc w swych pirogach po jeziorze. W bramie pełno było ludzi, Cortez kazał nam się zatrzymać. Wnet się okazało, że w bramie czekają na nas dostojnicy, których Montezuma wysłał na spotkanie. Z szeregów zgromadzonych w bramie Indian szła w naszą stronę kilku niesłychanie strojnie odzianych ludzi. Dowiedzieliśmy się, że to szlachetnie urodzeni członkowie przybożnej drużyny królewskiej.

Ubrani byli we wspaniałe płaszcze z piór i obwieszani tak ciężkimi, złotymi klejnotami, że aż nam ślinka napływała do ust — nawet na dolnej wardze i w nozdrzach mieli umieszczone ozdoby z delikatnie kutego złota. Przywitani naszego generała uroczystości dotykając ręką najpierw ziemi, potem czoła, następnie zajęli miejsca na przodzie naszej kolumny, by wprowadzić nas do miasta. Doszliśmy do przekonania, że chyba Montezuma pogodził się z niedołałnym faktem i teraz będzie się starał załatwić sprawę ugodowo. Mimo to jednak nasza wielka pewność siebie nieco zmalała. Za bramą bowiem grobla kończyła się nagle, a do właściwych wałów miasta wiódł most zwodzony z potężnych belek. Przechodząc po nim — tętnił złowrogo pod kopytami koni i glucho dudnił pod nogami piechoty — uświadomiliśmy sobie, że już z tymi wałami, gdyby most za nami ponownie podniesiono, znajdziemy się jak myszy w pułapce. A przecież w tym Meksyku jest chyba tysięcy razy więcej Indian niż nas razem z Tlaskalanami.

Lecz taka już jest natura awanturników, że z góry licząc na sukces, w ogóle nie biorą pod uwagę możliwości przegranej. W tym właśnie leży ich siła. Upojeni więc pewnością siebie — do której nie było najmniejszej podstawy — maszerowaliśmy szeroką, najwyraźniej biegnącą środkiem miasta ulicą, obstawioną po obu stronach tłumami Indian — właściwie trzeba już powiedzieć dokładniej: Azteków. Tak jednak byli ubrani, że w tych płaszczach i klejnotach trudno by ich określić pogardliwym w naszych ustach mianem „tubylców”.

Szliśmy stosunkowo niedługo, gdy dostrzeżliśmy zbliżający się wspaniały orszak — był to sam Montezuma ze swym dworem. Na czele pochodu trzej dygnitarze trzymający w rękach wielkie złote berła. Za nimi równie bogato przybrani przedstawiciele arystokracji azteckiej nieśli lektykę, w której pod baldachimem z kosztownych materiałów i barwnych piór siedział sam władca meksykańskiego państwa. Bardziej niż postać monarchy spojrzenia przykuwała lektyka — tak lśniła od złota i drogich kamieni, że dech w piersiach zapierało!

Orszak królewski zatrzymał się na dwadzieścia kroków przed Cortezem — Montezuma wysiadł, a właściwie wynieśli go jego dworzanie, by tych ostatnich parę kroków mógł podejść do nas pieszo. Równocześnie inni dworzanie rozkładali mu pod stopami

wykwintnie tkane dywany. Stojący w kilku szeregach wzdłuż ulicy ludzie jak na komendę padli na kolana. U nas w kraju nawet królowi hiszpańskiemu nie składa się takich dowodów czci. Na opisanie stroju Montezumy brak mi po prostu słów, wystarczy, gdy powiem, że lśnił cały od złota, zielonych szmaragdów i szaroszrebrzystych pereł.

Korzystając z miejsc w pierwszych szeregach kolumny staraliśmy się wyczytać z twarzy, co dzieje się w jego duszy w momencie spotkania z ludźmi o białej skórze, o których legendy azteckie mówiły, że są boskiego pochodzenia. Ich przybyciu przeciw tak bardzo starał się przeszkodzić. Lecz twarz młodego władcy nie zdradzała żadnych uczuć: była nieruchoma jak głaz, jak wszystko, co się tu teraz działo. Głowę miał wzniesioną w górę, ruchy swobodne, pewne siebie. Także rozmowa, jaka wywiązała się między nim i Cortezem za pośrednictwem tłumaczy, niczym nie różniła się od jakiegokolwiek oficjalnej audiencji na hiszpańskim dworze królewskim. Montezuma powitał naszego wodza i nas jako swych niezwykłych gości; generał odpowiedział podobnie dziękując zarazem za wszystkie otrzymane dotąd od Montezumy podarunki. Potem władca Azteków skinął na swego brata, polecając mu zaprowadzić nas do tej części miasta, w której mieliśmy kwatrować, sam zaś wsiadł do lektyki i oddalił się wraz z całym swym dworem. Nie padło przy tym ani słowo o Tlaskalanach, nikt też nie zwrócił na nich uwagi, jakby ich w ogóle nie było.

Prowadzeni przez księcia, brata Montezumy, ruszyliśmy dalej ulicą. Teraz dopiero mieliśmy trochę czasu, by rozejrzeć się dokoła. To, na co patrzyliśmy, zaiste godne było widzenia. Tu odwołam się do książki mego pana, któremu udało się wiernie uchwycić obraz, jaki przedstawił się naszym oczom:

„Przy szerokiej, głównej ulicy mieściły się oczywiście domy szlachty. Budowane z kamienia, jednopiętrowe, niektóre nawet dwupiętrowe, były dość obszerne, z tarasami na płaskich dachach. Na tarasach tych przeważnie pourządzano ogrody, z których spoglądały na nas nieprawdopodobnie piękne kwiaty. Pomiedzy domami i za nimi ciągnęły się także ogrody. Tam, gdzie ulica przechodziła w plac, po bokach otaczały ją kamienne podcienia, dalej biegła śródkiem targowiska, wśród masy kramów z rozmaitymi owocami i towarami, ułożonymi na rozpostartych na ziemi dywa-

nach. Ileż tu było barwnych, kolorowych tkanin, obok lśniły artystycznie cyzelowane prace złotników, wśród których wyróżniały się figurki ptaków i ryb, zdobionych szlachetnymi kamieniami, a tak skonstruowanych, że zwierzątka te mogły poruszać główkami, skrzydłami czy całym ciałem. Gdzie indziej znów sprzedawano wyroby garncarskie, naczynia drewniane rzeźbione i bogato zdobione farbami czy nawet złotem. Wiele jeszcze znajdujących się tam przedmiotów mógłbym wymienić, zwłaszcza żywność: mięso zwierząt domowych, drób, zwierzęta, jarzyny najróżniejszych rodzajów. Wiele było tu też rzeczy takich, których w ogóle nie znaleźliśmy, jak rozmaite soki owocowe, napoje chłodzące, a także bardzo smakowicie wyglądające pieczywo...”

Nie rozmawialiśmy na ten temat, ale wielu z nas uświadomiło sobie, że znaleźliśmy się nie wśród dzikusów, lecz w stolicy potężnego, zasobnego państwa, gdzie zarówno budowle, jak i wszelkie drobiazgi mówią o prastarej kulturze, dojrzałej cywilizacji i niezmiernym bogactwie. Niejednemu z nas ubyłoby pewności siebie, zwłaszcza gdyśmy się dowiedzieli, że miasto Meksyk posiada sześćdziesiąt tysięcy domów i że zgodnie z tym ludność tego miasta należy obliczać na trzysta tysięcy! Niewiele miast europejskich mogłoby mu dorównać. Więc kiedy uświadomiliśmy sobie, jak nieznaczną stanowimy garstkę...

Ostatecznie weszliśmy na wielki dziedziniec, zabudowany grupami różnych domów, a całość otoczona była niewysokim murem warownym. Był to ongiś pałac ojca Montezumy, teraz przeznaczony na kwatery dla nas. Dopiero przeszedłszy bramę poczuliśmy się jakoś bezpiecznie. Rozbiegliśmy się po rozmaitych budynkach — wszystkie budowane były z ciosanego kamienia — śmiechem i krzykami witając ich wspaniałe wyposażenie. Duże sale, ściany obite barwnymi materiałami bawełnianymi, podłogi wyłożone rогоzami z trzciny, wszędzie liczne i wygodne łóża, nad niektórymi baldachimy z delikatnych materiałów, a prócz tego stoliki, krzesła i fotele... Większość z nas nigdy nie mieszkała tak luksusowo! Stwierdziliśmy ponadto, że oczekują nas tam całe tłumy służących, którzy natychmiast zaczęli znosić jakieś potrawy — sam Montezuma przysłał ich tylko po to, by w każdej chwili gotowi byli spełnić nasze życzenia.

Cortez i jego oficerów ulokowano w dwupiętrowym domu pośrodku dziedzica. Lecz nasz dowódca jeszcze czas dłuższy nie myślał o odpoczynku, z jakiego korzystaliśmy wszyscy. Najpierw wyznaczyl i porozstawiał strażę, potem w wieżach muru obronnego kazał ustawić działa wycelowane w poszczególne ulice prowadzące na nasz dziedziniec pałacowy. Pragnąc zabezpieczyć się przed ewentualnością jakiegoś nieprzewidzianego czy przypadkowego zajścia, zabronił nam opuszczać obóz bez jego wyraźnego zezwolenia. Wcale nas to nie dotknęło: po trudach tak długiego marszu nie marzyliśmy o niczym innym, jak o wykorzystywaniu wspaniałych wygod i obfitości jada, których dostarczała nam nasza kwatery. Śmiało się, że możemy położyć się na jedno łożo, spać na drugim, a obudzić się na trzecim — każdy z nas czuł się co najmniej tak, jak jaki hidalgo. (Tlaskalanowie ulokowali się na dziedzińcach w szopach osłoniętych rogami.)

Kiedy zapadła noc, żołdaci nasze byli syte, a w głowach krążyły rozkoszne zjawy — skutki upajającego napoju „pulque”, który indiańska służba nieustannie nam nalewała. Przed usnięciem powracały mętne już tylko wspomnienia wszystkiego, co dziś przeżyliśmy i widzieli, ale bardzo splełane i pogmatwane: obrazki z targu, łaźnie parowe, kramy golibrodów, to znowu widoki z ulic, kanałów i grobli — lecz nie sprawiły wrażenia groźnej, chwytającej w pułapkę sieci... W pewnym momencie dopiero uświadomiłem sobie, że od chwili wejścia do miasta stąpałem po niezwykle równym i twardym gruncie — ulice Meksyku były mocno ubite i powleczone warstwą cementu!

Następnego dnia Cortez wybrał się z liczną asystą z oficjalną wizytą do Montezumy, a ponieważ zabrał ze sobą mego pana, poszedłem z nim także i ja. Z tej racji chcę tu zamieścić opis królewskiego pałacu. Było to właściwie zbiorowisko tak wielu budynków i tak niezliczonej ilości izb, że trudno by je nawet przejść w ciągu jednego dnia. Podwórza między budynkami urządzone jak parki: ze sztucznymi stawami, fontannami i klatkami fantastycznych ptaków. Drewniane pułapy sal pałacowych rzeźbione, malowane i złoczone, ściany pokryte makatami z piór, na podłogach delikatne rogoże. Meble i tron w sali audiencyjnej Montezumy lśniły od złota i drogich kamieni. Wrażenie było oszalałające — siła i potęga meksykańskiego państwa, skupiająca się

w przepychu i bogactwie rezydencji Montezumy, tak przytłaczała swą okazałością każdego przybysza, że czuł się on mały i bez znaczenia.

Przypuszczam, że uczucie takie musiało obudzić się także w mych rodakach; ich pewność siebie mogło podtrzymywać jedno tylko przekonanie: że z woli bożej i dla bożego ładu całe to bogactwo musi być uratowane z rąk pogan, przekazane pod władzę krzyża i korony hiszpańskiej. A my tu obecni mieliśmy być właśnie wykonawcami tej najwyższej woli. Przecież przed paru laty sam papież rzymski przeprowadził linię podziału między wszystkimi krajami, jakie będą odkryte w przyszłości, wyznaczając ich część wschodnią i zachodnią. Część wschodnią z góry obiecał Portugalczykowi, zaś część leżącą na zachód od linii podziału oddał nam, Hiszpanom! Czyż więc z tego tytułu nie jesteśmy właściwie już teraz właścicielami także i tego kraju, i tego miasta? Imperium krzyża i prawdziwej wiary chrześcijańskiej wyższe jest ponad wszelkie prawa i rządy. Z tego względu poganie nie mogą zasadniczo posiadać żadnych praw, a więc także i prawa własności. Jest więc naszym obowiązkiem także te pogańskie, nie stanowiące niczyjej własności ziemie włączyć do korony hiszpańskiej i uratować tym samym tych ciemnych pogan przed piekłem nawracając ich na jedyną prawdziwą wiarę.

W tym właśnie sensie przemawiał Cortez do Montezumy składając mu wizytę w królewskim pałacu. Z podziwem słuchałem słów tego surowego dowódcy, gdy tak przekonująco mówił o naszej wierze zapewniającej zbawienie wieczne, o stworzeniu człowieka, o Trójcy Świętej, o ofierze Chrystusa i jego śmierci, a przede wszystkim o mękach piekielnych, jakie czekają każdego, kto nie nawróci się na wiarę chrześcijańską. Gdyby to przemawiał jakiś kapłan, zastosowałby zapewne bardziej precyzyjne pojęcia, ale zarazem i mniej przekonujące. W ustach Corteza, w ustach żołnierza, ten wykład Biblii brzmiał surowo i groźnie jak prawo wojenne, w uszach słuchaczy zaś walka o duszę człowieka rozgrywała się jak regularna bitwa. Dlatego też wszyscy byliśmy przekonani, że Montezuma zrozumie sens przemówienia Corteza. A może nawet go ono przekona.

Władca Azteków bardzo poważnie wysłuchał tłumaczenia słów Corteza, potem zaś odpowiedział — bardzo uprzejmie, lecz zde-

cydowanie odmownie. Owszem, jest przekonany, że nasz Bóg jest dobry, ale i my też powinniśmy uznać, że ich azteckie bogowie są dla swych ziemskich dzieci równie dobrzy. Twierdził, że zgodnie ze starymi podaniami widział dotąd w swych gościach wcielenie białego boga, który ongiś odszedł z azteckiej ziemi na wschód obiecując, że powróci. Teraz jednak z radością przekonał się, że Hiszpanie to ludzie śmiertelni tak samo jak i on, co do którego Aztecy utrzymują, że jest wcieleniem boga.

„Sami widzicie — mówił — że ciało moje składa się z krwi i kości, podobnie jak i wasze...”

Z przykrością więc wywnioskowaliśmy z tego, że nie uważają nas już za istoty niezemskie. Równie życzliwie i z szacunkiem mówił później Montezuma o naszym władcy, królu Hiszpanii. Wierzy, że jest on potężnym władcą, któremu obiecano władzę nad połową świata, gotów jest więc uznać go za swego pana i rządzić w jego imieniu.

Wszystko to brzmiało bardzo ładnie, czuliśmy jednak, że takie oświadczenie nie ma żadnego praktycznego znaczenia. Montezuma mówił tak chyba tylko przez grzeczność, ale wszystko to w danej sytuacji nic nam nie dawało i do niczego nas nie upoważniało. Kiedy ostatecznie Montezuma dodał, że w jego mieście jesteśmy jak u siebie w domu i że otrzymamy wszystko, czego nam potrzeba, wyczuliśmy w tym tylko uprzejmy frazes gospodarza, który będzie się starał, byśmy na nic nie mogli się uskarżać.

W ponurym nastroju opuszczaliśmy pałac królewski. I cóż teraz począć? Jest nas trzystu Hiszpanów i Tlaskalanowie szczerze znienawidzeni przez Azteków — znajdujemy się w mieście liczącym trzysta tysięcy mieszkańców. I to wcale nie są owe prymitywne, nieśmiałe dzikusy, jakich znaliśmy z Kuby i Española.

Wówczas Cortez zdecydował się na tak szaleńczo odważne i ryzykowne posunięcie, na jakie mogła się ważyć tylko rozpacz i poczucie beznadziejności. Zresztą mieliśmy do wyboru: albo odejść nic nie wskórawszy i cieszyć się, że cało wynieśliśmy skórę, albo postawić wszystko na jedną kartę — wszystko wygrać lub wszystko przegrać, w tym i własne życie. Cortez podjął ryzyko, jakkolwiek wiedział, że niewielkie istnieje prawdopodobieństwo sukcesu.



Muszę jednak zaznaczyć, że dostaliśmy tymczasem wiadomość, iż dwóch Hiszpanów z pozostałej w Veracruz załogi padło ofiarą Indian: podstępnie zwabieni do siedziby tamtejszego kacyka zostali zamordowani. Cortez postanowił fakt ten wykorzystać przeciwko Montezumie. To co obmyślił i na co się ważył, aż nam dła-wiło dech w piersiach. Poprosił przede wszystkim o nowe posu-łuchanie u azteckiego władcy, którego mu łaskawie udzielono. Na-stępnie porozstawiał patroli żołnierzy w bocznych uliczkach przy drodze z królewskiego pałacu do naszej kwatery. Prócz tego pole-cił, aby w czasie gdy będzie rozmawiał z Montezumą około trzy-dziestu żołnierzy przedostało się małymi grupkami do pałacu.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem, ani Montezuma, ani jego dworzanie nie powzieli żadnych podejrzeń. Także rozmowa generała z królem Azteków toczyła się spokojnie i w dobrym nastroju. Przy tej okazji Montezuma zaproponował w końcu Cor-tezowi małżeństwo z jedną ze swych córek, na co Cortez rzecz prosta dał jak najbardziej uprzejmą odpowiedź odmowną, ponie-waż był człowiekiem żonatym. Podczas rozmowy jednak bacznie obserwował, ilu jego żołnierzy przedostało się do pałacu i weszło do sali tronowej. Kiedy uważał, że ilość ich dla przeprowadzenia jego planu jest już dostateczna, przerwał nagle spokojną rozmowę i gwałtownie zaczął oskarżać Montezumą o zorganizowanie mor-derstwa dwóch Hiszpanów w Veracruz. Fakt taki mógł mieć miej-sce tylko na rozkaz królewski!

Montezuma odparł stanowczo, że z zabójstwem nie ma nic wspólnego, ale Cortez — jakkolwiek pozornie przyznał, że wierzy w jego niewinność — zażądał, by król posłał po kacyka i tych jego ludzi, którzy brali udział w wypadku. Montezuma natychmiast wydał rozkaz, by upoważnieni przez niego dygnitarze udali się na miejsce i sprowadzili oskarżonych na przesłuchanie i dla wymie-rzenia kary. Wszystko to jednak tylko pretekst niezbędny dla Corteza do dalszego żądania, z jakim natychmiast wystąpił: póki poselstwo wraz z podsądnymi nie wróci byłoby wskazane, by Montezuma na ten czas przeniósł swą siedzibę do hiszpańskiego obozu; będzie to przekonujący dla wszystkich dowód, że nie utoż-samia się z morderczym zamachem dokonany przez jego aztec-kich poddanych.

Wówczas Montezuma po raz pierwszy nie zdołał się opanować i rozdrażniony krzyknął:

— Czy słyszał kto kiedy, by władca taki jak ja stawał się do-browolnie więźniem obcych?

Na to Cortez szybko zapewnił, że władca Azteków będzie po-witany przez Hiszpanów, jako dostojny gość. Mógłby oczywiście zabrać ze sobą wszystko, do czego przywykł we własnym domu, wliczając w to także służbę, dworzan i małżonki.

— Nawet gdybym wyraził zgodę na takie upokorzenie — oświadczył Montezuma — moi poddani nigdy się z tym nie po-godzą.

Istotnie król dotknął kwestii, której Cortez tworząc swój plan najbardziej się obawiał. Przytaczał więc wymownie wszystkie swe argumenty, nie tylko namawiając Montezumą do przeniesie-nia się do nas, ale wystąpił także z żądaniem, by użył całego swe-go wpływu na mieszkańców Meksyku dla zapobieżenia wszelkim trudnościom.

Rzecz oczywista, że do tego żadna siła ludzka nie mogła skło-nić azteckiego władcy. Lecz nieoczekiwanie przyszło nam z pomo-cą nierozważne zachowanie jednego z hidalgów. Kiedy rozmowa z Montezumą wlokła się już dwie godziny, ów towarzysząc Cor-tezowi szlachcic stracił wreszcie cierpliwość i wybuchnął gnie-wem:

— Czy nie szkoda tracić słów dla takiego barbarzyńcy? Za-szliśmy już zbyt daleko, nie możemy ustąpić. Bierzmy go więc, a jak stawi opór — mamy przecież miecze, rozsiekamy go!

Mówił tak gwałtownie, a słowem jego towarzyszył tak wy-mowny gest, że Montezuma bez wątplenia zrozumiał prawdziwy sens jego wystąpienia — mimo iż tłumacz, by króla nie urazić, przetłumaczył je w dużo łagodniejszej formie. Lecz wszystko to już nie było ważne. Montezuma doskonale wyczytał na twarzach Hiszpanów, co mu grozi. Daremnie rzucił okiem na Corteza — twarz jego była także lodowata, usta kurczowo zacisnięte, w oczach wrogie błyski. Aztek zrozumiał, że zdany jest na łaskę i niełaskę białych ludzi — w sali obecnych było tylko dwóch jego dworzan, ponieważ Cortez prosił o audiencję prywatną. Natomiast obok pięciu hiszpańskich szlachciców stało w pogotowiu jeszcze ośmiu żołnierzy, którzy tymczasem jakoś wdarli się do komnat,

wszyscy uzbrojeni po zęby. W ich oczach widniało bezlitosne zdecydowanie.

Napięcie dawało wprost za gardło. Oczekiwaliśmy, że lada chwila Montezuma zawoła, okrzykiem wezwie strażę, mimo że wystawi się tym samym na ryzyko natychmiastowej śmierci pod naszymi mieczami. Wpijaliśmy wzrok w Azteka jak znieruchomiale w ostatniej chwili drapieżniki, gotujące się do skoku na zdobycz.

Bóg czy diabeł wie, co tymczasem działo się w umyśle i sercu Montezumy. Sądząc z jego późniejszej decyzji najprawdopodobniej w tej chwili nie zdawał sobie sprawy z dysproporcji naszych skromnych sił i jego potężnych wojsk, naszej małej grupy wobec setek tysięcy jego poddanych, którzy mogliby nas rozdeptać bosymi stopami. Może jednak działała tu — mocniej niż przypuszczaliśmy — przekazywana przez pokolenia legenda o nadejściu białych bogów, może wzmagało ją jeszcze wszystko to, co w nas wydawało się Indianom nie do pojęcia: żelazne zbroje, konie, pociski z muszkietów i armat, mimo iż Montezuma mówił nam otwarcie, że uważa nas za takich samych jak on ludzi. Może też nie pozostała bez wpływu świadomość, że chociaż tak rozpaczliwie starał się obronić przed naszym przybyciem, my jednak zśliśmy niepowstrzymanie naprzód — jak fatum, którego nic odwrócić nie zdoła. Być może, że w tym momencie czuł, iż opuścili go jego bogowie. Wszystko to razem — także samopoczucie człowieka odwykłego już od walki i świadomości niebezpieczeństwa — spowodowało, że po chwili Montezuma podniósł się z tronu i otoczony przez nas zwartym kołem ruszył naprzód.

W progu sali jednak zmienił się nagle. Teraz, widząc, że już nie może się cofnąć, przywołał całą swą dumę, by przynajmniej wobec poddanych nie ujawnić swej porażki. Widocznie postanowił udawać, że dobrowolnie odchodzi z Hiszpanami, jakby siedł tylko z wizytą, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego ani niepokojącego. Z całym spokojem wsiadł do lektyki i wydał polecenie swym dworzanom, dokąd mają go nieść. Oczywiście nikt z jego orszaku nie odważył się zgłosić jakichkolwiek zastrzeżeń — natychmiast usłuchali rozkazu swego pana, chociaż w twarzach ich malowało się zdumienie. Kiedy jednak otoczony ze wszystkich stron naszą i żołnierską asystą orszak królewski przechodził uli-

cam, Aztekowie zbiegli się ze wszech stron — z tłumu odezwał się groźny pomruk, ludzie zaczęli nawet zabiegać nam drogę. Tłumacze powtarzali nam, czego domyślaliśmy się sami. Po świecie rozniosła się już wiadomość, że biali porwali króla! Tu jednak znowu uratowała nas duma Montezumy: w odpowiedniej chwili uniósł się w lektyce i donośnym głosem zaczął uspokajać swych poddanych twierdząc, że wybiera się w odwiedziny do hiszpańskich przyjaciół. Wzywał także zebranych, by spokojnie rozeszli się do domów. I Meksykanie usłuchali.

Prawda, że Cortez starał się, by Montezuma nie odczuł swego upokorzenia. I u nas także miał swe wyłączone komnaty, otaczali go jego dworzanie — jakkolwiek nie w pełnej liczbie — udzielał audiencji swym poddanym (choć dopuszczaliśmy do niego tylko niektórych). Cóż jednak warte były te pozorne względy, jakie znaczenie miał fakt, że ilekroć Cortez stawał przed obliczem króla, zdejmował hełm z głowy i nie považał się uścisnąć w jego obecności, póki Montezuma nie upoważnił go do tego — skoro w bramie naszego obozowiska pełniło straż sześćdziesięciu naszych żołnierzy w pancerzach, z kopiami i mieczami w ręku, skoro w komnatach Montezumy czuwał dwudziestu równie uzbrojonych naszych ludzi — jako „straż honorowa” króla...

Tak minęło kilka dni, aż wreszcie przybył do stolicy kacyk Quahpopoca, na którego terenie stanęło miasto Veracruz, a wraz z nim piętnastu dygnitarzy z jego dworu. Postawieni przed Montezumą, nie orientując się zupełnie w powstałej sytuacji, nie zaprzeczali bynajmniej, że ukarali śmiercią obu przelotnych, bo załoga Veracruz dopuszczała się jakoby rozmaitych przestępstw i gwałtów na okolicznych mieszkańcach. Bezradny król wolał przekazać sąd nad kacykiem w ręce Corteza, który po kilku powierzchownych pytaniach wydał wyrok śmierci na wszystkich szesnastu Azteków. Przerażeni skazańcy natychmiast zaczęli zwać całą winę na Montezumę, który podobno z góry o wszystkim wiedział i na wszystko się zgodził.

Cortez spodziewał się, że to właśnie usłyszy. Cała ta bowiem przesadnie rozдутa do wielkiej afery historia jedno tylko miała na celu: złamać ducha Montezumy, uczynić go powolnym narzędziem w ręku Corteza. Na oko Cortez nie dawał wiary zarzutom z ust skazańców; kazał na podwórku ustawić stos, na którym

miało spłonąć owych szesnastu Indian. Dopiero w momencie końca przygotowań do wykonania wyroku Cortez z udawanym rozgoryczeniem zaatakował Montezumę, zarzucając mu zdradę. Zawezwał żołnierzy i kazał na nogi króla nałożyć kajdany.

Obserwowałem przypadkiem całą tę scenę, dziś jeszcze nie mam odwagi przełać na papier tego, co wówczas czulem, bo gdyby tak przeczytał to ktoś z moich rodaków, mogłoby mnie to kosztować nawet głowę. Notuję więc po prostu to, co widziałem: rozpacz Montezumy, przejawiającą się nie jękami, słowem czy załamywaniem rąk, lecz tak straszną zmianą w twarzy i postawie tego człowieka, jakby na mych oczach uchodziło z niego życie. Zmieniał się po prostu w żywego trupa — wstydził się każdą cząstką ciała tego, że zdołał wytrzymać i przeżyć tak wielką hańbę. Natomiast jego dworzanie podnieśli głośny lament, perswadowali mu coś i pocieszały łagodnymi głosami, rwali z brzegu własnych szat strzępy materiału i wkładali je między żelazo kajdan i nogi królewskie, by chronić raczej jego ciało przed hańbiącym zetknięciem z żelazem kajdan, niż zmniejszyć ból. Wreszcie cały ten obraz rozplynął mi się we mgle, — uświadomiłem sobie, że lży stanęły mi w oczach.

A tymczasem na podworczu szybko doszło do wykonania wyroku; podobno Aztekowie ginęli w płomieniach bez jęku.

Zaraz potem Cortez własnoręcznie zdjął kajdany z nóg Montezumy, mówiąc przy tym, że chodziło tylko o karę symboliczną i że bardzo mu przykro, iż musiał ją wymierzyć swemu przyjacielowi. Najbardziej jednak uderzył mnie fakt, że po tym wszystkim Aztek jeszcze podziękował „białemu przyjacielowi"! W tym momencie zrozumiałem, że Montezuma to już człowiek umarły, który na swe potężne państwo z setkami tysięcy poddanych będzie tylko rzucał cień.

W tym czasie Cortez tak już był pewien Montezumy, że nawet zaproponował mu swobodny powrót do pałacu. Aztek odmówił. (Teraz już niczemu, a więc i temu się nie dziwiłem.) Ponieważ nie miał już sił udawać, wyznał więc szczerze, że między swoimi będzie wystawiony na stałe naciski, by wystąpił wreszcie przeciwko Hiszpanom, a tego właśnie się boi. Więc zdecydował raczej pozostać wśród jawnych nieprzyjaciół, by oni chronili go przed przyjacielami i rodakami, którzy mogliby nań ściągnąć nowe

trudności. Jakież to nędzny cień władcy! A przecież nie wątpię, że przed naszym przybyciem, kiedy jeszcze stał na czele swych wojsk i brał udział w walkach, był na pewno odważny, gardził niebezpieczeństwem i śmiercią. Gdybym zapytał naszego kapelana, co spowodowało taką zmianę w duszy Azteka, odpowiedziałby mi, że stało się to bez wątplenia za sprawą woli bożej i wszystkich świętych. Ja tam jednak wiem swoje, widziałem bowiem Montezumę i widziałem Corteza podczas tej rozmowy, kiedy to na podworcze piekli się na stosie nieszczęśli dygnitarze Azteków. Słuchając tych dwóch ludzi widziałem w duchu barwne tkaniny indiańskie, tak radosne w swej jaskrawiznie, słyszałem wieczorne granie cykad w ogrodach Meksyku dźwięczących śmiechem kochanków, oczyma duszy widziałem tańce obrzędowe Azteków tak przypominające tańce bawiących się dzieci. Także te ich krwawe ofiary zrozumiałem nagle jako okrutną zabawę, podsuwaną przez żądnych władzy kapłanów niedorosłym uczniom, którzy jeszcze nie wyzbyli się drapieżnych instynktów natury ludzkiej. Wyczułem także tające się pod ponurym spojrzeniem Corteza dalekie korytarze zimnego Eskurialu wiodące do otwartej sali tronowej z bladym królem Ferdynandem — nie, teraz to już cesarz Karol — ale wszyscy, tak jeden jak drugi, a za nimi inni, wołają: „My cheemy złota! Generale, przywieź nam złoto!...” A obok nich czarne habity „świętych inkwizytorów”, którzy podniesieniem ręki wysyłają białe korowody pokutników na płonące stosy. Widziałem także ręce tych, co obliczali, ile włożyli w tę całą imprezę i jaki ona musi przynieść im zysk. A nad tymi kościstymi czy pulchnymi rękoma dostrzegłem oczy bez blasku, zimne, wyrachowane, beztłosne.

Wtedy właśnie rozumiałem, kto będzie zwycięzcą, a kto już jest powalony.

W tej chwili także straciłem świadomość tego, co jest dobre, a co złe, co jest sprawiedliwe czy słuszne, co jest czarne, a co białe.

Ostatecznie już nawet nie zdziwiliśmy się, kiedy Cortez zmusił Montezumę, by uroczyście uznał zwierzchność hiszpańskiego króla nad sobą i nad całym państwem meksykańskim. Lecz tym ra-

zem nie skończyło się na tym; na polecenie Corteza król wezwał także azteckich kacyków do powtórzenia tej deklaracji. Nie wiem do dziś, czy należało śmiać się czy płakać, kiedy owi naczelnicy potężnych i licznych szczepów, przyzwyczajeni na skinienie słuchać swego władcy, oświadczyli uroczysto: „...skoro Montezuma uważa, że król obcych jest prawdziwym władcą tej ziemi, gotowi są także go uznać”. Powtarzali ten absolutny nonsens — którego treści nie mogli przecieć rozumieć — nie mrugnawszy nawet okiem, dlatego tylko, że żyzył sobie tego ich władca. Jeśli kto z nas uważał to za przejaw tchórzostwa lub zniewieściłości, miał niedługo okazję w bolesny sposób przekonać się o swej omyłce.

Zbliżał się czas wykorzystania dogodnej sytuacji i przyspieszenia nieco marszu do celu. A co tym właściwym celem było, zdradził Cortez Montezumie w bardzo przejrzyściej aluzji, mówiąc pewnego dnia: „Hiszpanie cierpią na chorobę serca, którą leczy tylko złoto!”

Wiedzieliśmy od samego początku, że Aztekowie w ogóle nie rozumieją wartości tego tak bardzo pożądanego kruszcu. Oczywiście: lubili je, ale chyba dlatego, że łatwo można mu było nadać skomplikowane kształty, że było podatne, dało się zginać, kuć, związać w druciki, cyzelować, a przy tym lśniło wspaniałym, słonecznym blaskiem. Cenili je też dopiero wtedy, gdy przybrało kształty klejnotów, pasów, ozdób czy innych przedmiotów zbytku. Ze złoto samo w sobie jest cenne, i to jako czysty metal, nie mieli zdaje się najmniejszego pojęcia. Więc też nie kosztowała Montezumę zbyt wiele decyzja przekazania jego ciemnościom dalszego niezwykłego leku „przeciwko chorobie”, o której wspomniał Cortez. W tym celu rozesał poborców podatków na tereny całego państwa z rozkazem ściągnięcia należnej daniny tym razem w złocie. Dołączył do tego także skarb swego ojca, zamurowany dotąd w tajnej kryjówce.

Kiedy później ujrzeliśmy wszystkie te złote cuda... To niemal ponad ludzkie siły stać spokojnie twarzą w twarz z tak olbrzymim bogactwem, nie rzucić się na nie, nie zanurzyć w nim rąk, twarzy...

Potem, gdy wszystko zważono i obliczono, okazało się, że było tego złota na sumę 162 000 złotych pesetów! Mogło się od tego

zakręcić w głowie... Ludzi ogarnęło gorączkowe podniecenie — teraz nastąpi podział! Nareszcie podział!... A tak, teraz miał nastąpić podział bogactwa, jakiego nie ma w swym skarbcu żaden europejski władca!

Co prawda początkowy entuzjazm nieco przygasł, ponieważ z owej czarodziejskiej sterty trzeba było przede wszystkim oddzielić piątą część dla króla hiszpanii i drugą taką samą dla Corteza. Część poszła jeszcze na koszty wyprawy, duże udziały przypadły szlachcicom-oficerom, nadzwyczajne dodatki otrzymali również jeźdźcy i strzelcy... Ostatecznie na zwykłego piechura — a takich w wojsku naszym było najwięcej — wypadło około stu złotych pesetów. Mimo iż większość żołnierzy nigdy takiej sumy nie miała w swej sakiewce, wyobrażali sobie, że powinni byli otrzymać o wiele więcej. Zaczęły się więc szemrania, dwaj szlachcice rozpoczęli kiedys sprzeczkę na temat podziału, doszło nawet do użycia mieczów. Cortez musiał użyć całego swego daru wymowy, by poskromić rozpętaną chciwość i zaborczość. Udało mu się dopiero wtedy, gdy zapewnił żołnierzy, że cały skarb, o który rozgorzały sprzeciżki, to przecież nieznaczna część tych bogactw, jakie czekają ich w przyszłości. Czyż właściwie nie są już właścicielami całego państwa azteckiego? Istotnie, z żarem chciwości można walczyć tylko przez rozmuchiwanie jeszcze większej żądzy posiadania, bo wtedy potężniejszy ogień pochłonie płomień mniejszy.

W ten sposób udało się Cortezowi przywrócić znowu dyscyplinę i spokój wśród żołnierzy. Byłby bez wątpienia gotował się do dalszych podbojów, gdyby nie nieoczekiwany cios, wymierzony nam nie przez Azteków, ale — czego najmniej mogliśmy się spodziewać — przez własnych rodaków z dalekiej, macierzystej, hiszpańskiej ziemi.

To sprawy zbyt zawiłe, bym mógł tu wyliczać, ilu miał Cortez i w Dariénie, i na Kubie zawistnych, których nienawiść w miarę jego sukcesów wzrastała. A każdy z przyjaciół miał dalszych przyjaciół, ci zaś mieli bez wątpienia znajomych i życzyliwych także na królewskim dworze w Hiszpanii. (Prostuję: o dworze Karola V trzeba mówić już jako o dworze cesarskim, król hiszpański był bowiem wówczas zarazem cesarzem Rzeszy Niemieckiej.) Oni to musieli sprawę Corteza przystroić w co tylko mogli najgorszego.

Drugi zaś pech to fakt, że cesarz Karol znacznie bardziej interesował się Rzeszą Niemiecką niż Hiszpanią i Nowym Światem. Zażalenie wszystkich spraw zamorskich pozostawił swym zausznikom i ministrom, którzy w ewentualnych sporach stawali po jednej, czy po drugiej stronie w zależności od tego, z kim łączyli ich więzy pokrewieństwa lub kto ich lepiej przepłacał.

By nie rozwlekać sprawy przejdę od razu do rezultatów tych intryg. W marcu 1520 roku przybiło do wybrzeży Meksyku osiemnaście statków, które przywiozły ponad dziewięćset żołnierzy hiszpańskich (w tym siedemdziesięciu jeźdźców i wielu strzelców) pod dowództwem hidalgą Panfila Narvaeza. Zadaniem tego dowódcy i jego żołnierzy było: zająć w imieniu króla całe państwo Azteków, aresztować i ukarać Corteza, który jakoby wymknął się spod władzy królewskiej i poczyna sobie jak zdrajca, jak udzielną władca.

Kiedy Cortez dowiedział się, jakie grozi mu niebezpieczeństwo, najpierw wpadł w bezgraniczną wściekłość. Jak to, w chwili gdy jest już o krok od ostatecznego zwycięstwa, gdy może igrać z Montezumą jak z kukłą, i to kukłą, której posłuszne jest całe azteckie państwo, teraz właśnie przyjeżdża z Hiszpanii jakiś łotr z czterokrotnie liczniejszym wojskiem, by zgarnąć mu sprzed nosa owoce jego olbrzymich wysiłków, krwawych walk i przemyślnej dyplomacji?! I w końcu może zechce jego, Corteza, wieść przez morze do kraju w pętach!?

Dopiero uspokoiwszy się zaczął rozważać swoje możliwości: albo czekać na Narvaeza w Meksyku — stwarzając mu zarazem szansę pozyskania sprzymierzeńców wśród szczepów miejscowych Indian (większość z nich przecież nienawidzi pogromców Montezумы) — albo też pozostawiając w Meksyku załogę dla strzeżenia najcenniejszej zdobyczy, Montezумы, że znacznie uszczuplonym wojskiem szybko wyruszyć Narvaezowi naprzeciw. A co będzie dalej, to już się okaże. Rzecz prosta, że przy tym drugim rozwiązaniu nasuwa się ogromne niebezpieczeństwo dwójakiego rodzaju: pozostała w mieście Meksyku część wojska mogła Aztekowie w mgnieniu oka pożreć tak przemożnie jak i dosłownie, tę drugą zaś część, z którą wyruszy nad morze, oddział dziewięćset żołnierzy Narvaeza może roznieść, zanim zdoła dojść do głosu...

A jednak Cortez zdecydował się na ów drugi plan.

W stolicy pozostało stu trzydziestu ludzi pod dowództwem Pedra de Alvarado, którego Aztekowie nazywali „słońcem” — zarówno dla barwy jego włosów jak i dla wiecznie jaśniejącego na jego twarzy uśmiechu, co bynajmniej nie mówiło prawdy o charakterze tego człowieka. Cortez zostawił mu także wszystkie działa oraz większość strzelców z muszkietami. Zabrał ze sobą tylko siedemdziesięciu wyborowych ludzi, nie pozwalając im obciążać się bagażem ani ciężką bronią. Oto z jak nieznacznymi siłami wojsk rozstrzygały się wówczas losy wielkiego państwa, ba — nawet losy całego Nowego Świata!

Cortez miał jednak niesamowite szczęście: z tą garstką zmordowanych, wyczerpanych rzeźmieszeków pokonał dziewięćset świeżo przybyłych Hiszpanów. Udało mu się bowiem podczas nocnej ulewy i burzy opanować nagłym atakiem wszystkie ich działa; tej samej nocy w starciu sam Narvaez został ranny i wzięty do niewoli. Wówczas poszczególne oddziały wojska zaczęły się od razu poddawać Cortezowi. Narvaeza zgubił brak doświadczenia, a częściowo i jego własni żołnierze.

Ledwie tylko słońce spojrzalo liścieciwie na nasz los, już natychmiast podsunął się cień. Doszły nas z Meksyku niepokojące wieści — stolica podniosła bunt i oblega Alvarada wraz z wojskiem w obozie!

Cortez nie wahał się ani chwili, natychmiast dał rozkaz wymarszu. Miał teraz wojsko złożone z ponad tysiąca piechurów i stu jeźdźców, prócz tego przyłączyły się doń liczne oddziały Tlaskalanów, od najdawniejszych czasów zawziętych rywali Azteków. Cortez nie myślał o odpoczynku, nie liczył się ze zmęczeniem. Nie przyzwyczajeni do klimatu i długich marszów ludzie Narvaeza często po drodze padali z wyczerpania; pod koniec dnia trzeba ich było zbierać i ściągać do obozu.

Gdy doszliśmy wreszcie do stolicy, serce ścisnęło nam się zaprzeciu — nikt wprawdzie dotąd nie stawiał nam oporu, lecz przywitała nas złowroga cisza nad miastem. Na ulicach nie było nikogo, nikt nawet nie wyjrzał z domów, na kanałach nie było śladu łodzi, lecz mimo to czuliśmy doskonale, że każdy nasz krok jest bacznie obserwowany i śledzony. Dopiero gdy otwarła się przed nami brama naszej meksykańskiej wojennej fortecy, gdy zobaczyliśmy pozostawionych kolegów żywych i zdrowych, opadł

z nas dotychczasowy lęk i niepokój. Dowiedzieliśmy się później, że między Hiszpanami i Aztekami doszło do otwartego starcia. Podaje tak, jak usłyszałem: podczas naszej nieobecności w Meksyku przypadał dzień wielkiego święta ku czci azteckiego boga wojny. Ponieważ świątynia jego znajdowała się w bliskim sąsiedztwie hiszpańskiego obozu, Alvarado poprosił, by wraz z żołnierzami mógł być obecny przy uroczystych obrzędach. Prośba taka miała raczej charakter rozkazu — w jakim bowiem celu Montezuma był w ręku Hiszpanów? Alvarado prócz tego wysunął dalsze żądania: Aztekowie biorący udział w uroczystościach nie mogą być uzbrojeni, nie wolno też składać żadnych ofiar w ludziach. (Montezumie rzecz prosta Alvarado zabronił wzięcia udziału w świecie.)

Tak więc tradycyjne obrzędy ograniczyły się tym razem do uroczystych tańców, wykonanych przez sześćset przodujących szlachciców i dygnitarzy azteckich na dziedzińcu świątyni boga Huitzilopochtli. Wszyscy tancerze przybrani byli w drogocenne rodowe klejnoty, przy ruchach obrzędowego tańca jaskrawo lśniło złoto bransolet i łańcuchów, skrzyły się drogie kamienie i perły osadzone w pierścieniach i nausznicach.

Kiedy Aztekowie zajęci byli tańcem, załoga hiszpańska niezauważnie rozstawiła się wzdłuż murów podwórca, a kopijnicy podsunęli się pod bramę. I wtedy Alvarado krzyknął umówione hasło: „W imię Ducha Świętego!”

Hiszpanie skoczyli z dobytymi mieczami na bezbronnych tancerzy i dosłownie pocięli ich w kawałki. Niektórzy Aztekowie w przerażeniu biegli ku bramie, gdzie — tłoczni przez napierających z tyłu — nadziewali się na kopie straży, ci zaś, którzy próbowali przedostać się przez mur otaczający podworec padali od naszych strzałów z muszkietów. Z tych sześćset nikt nie uszedł z życiem!

Oczywiście Alvarado tłumaczył Cortezowi, że tym przelewem krwi uprzedził tylko nadchodzący bunt, dowiedział się bowiem, że czynią doń przygotowania. Cortez był wściekły. „Postąpiłeś jak szaleniec!” — zwymyślał Alvarada, gdyż słusznie przewidywał, co będzie dalej. No i zaczęło się! Teraz naprawdę mieliśmy na karaku bunt i to w znacznie większych rozmiarach, niż wszelkie dotąd podejmowane przez Azteków. (Później się dowiedziałem, że na

trupach pomordowanych szlachciców azteckich nie pozostała ani uncja złota. Niech więc tę całą sprawę każdy tłumaczy sobie jak sam chce.)

Zacęły się dla nas poważne kłopoty. Jak tu stawić czoła całemu wzburzonemu miastu z jego stu tysiącami mieszkańców? Meksykanie nie dali nam możliwości rozważyć sytuacji zbyt długo, wnet bowiem ze wszystkich stron rzucili się na nasze obozowisko. Ulice wypełniły tłumy brązowych wojowników stojących głowa przy głowie; wśród masy czarnowłosych Indian widniały szyszaki naczelników w kształcie głów groźnych drapieżników, nad wojskami powiewały sztandary, a na nich herb Meksyku: orzeł walczący z ocelotem. Wśród wycia i gwizdów, od których skóra cierpła na grzbiecie, rozpoczął się atak napastników — na obóz runęła nawała rzuconych z proc kamieni i chmary strzał.

Cały dzień odpieraliśmy ataki Meksykanów. Aż strach było patrzeć, jak kule z armat ryły krwawe wyrwy w gęstych szeregach Indian, jak muszkiety siały śmierć wokolo; wszędzie w pobliżu naszego ufortyfikowanego obozu płynęła krew i zalegały poszarpane ciała zabitych i rannych.

Następnego dnia — by przyspieszyć rozstrzygnięcie — Cortez spróbował nowej taktyki: jeźdźcom i piechocie dał rozkaz do masowego ataku na ulice, co najupełniej zaskoczyło nie przygotowanych na to Azteków. Wnet jednak zaczęli stawiać przed kołmi barykady, z płaskich dachów domów rzucali na żołnierzy kamienie, od których najbardziej cierpieli walczący bez pancerzy Tlaskalanowie. Musieli więc nasi podciągnąć z obozu armaty i rozwiązać pociskami barykady. Nie mogąc w inny sposób pozbyć się napastników rzucających z góry kamienie, podpalali domy. Już pierwszego dnia w ten sposób spłonęło kilkaset aż do fundamentów.

Na cóż się jednak zdało, że we wszystkich tych starciach żołnierze Corteza zwyciężali, kiedy w szeregach Azteków największe straty uzupełniały natychmiast świeże siły, podczas gdy u nas niepodobna było zastąpić ani jednego z rannych czy zabitych. Długo szło tak dalej, mogliśmy zwyciężać aż do śmierci ostatniego Hiszpana, potulni bowiem dotąd i cierpliwi Aztekowie okazali się wojownikami pełnymi pogardy dla bólu i śmierci. Teraz wiodła ich

do walki niczym już nie hamowana nienawiść, żądza zemsty za całą hańbę i wszelkie poniesione klęski.

W najwyższym zagrożeniu powinien znów był przyjść z pomocą Montezuma, ale — nic z tego. Nie żeby się opierał. Przeciwnie, biernie, jak od pierwszego dnia niewoli, wysłuchał Corteza, przybrał się w jedną ze swych najwspanialszych szat i wraz z orszakiem dworzan wszedł na centralną wieżyczkę murów fortecy, by stamtąd przemówić do swych poddanych. Aztekowie ujrzawszy go zaprzestali walki i umilkli, czekając na jego słowa. Kiedy jednak zaczął im dowodzić, że wcale nie jest więźniem Hiszpanów, że biali ludzie to jego przyjaciele — i to po rzezi dokonanej przez Alvarada! — że więc Aztekowie nie powinni z nimi walczyć, od razu całe dawne posłuszeństwo skończyło się: tak poszczególni ludzie, jak całe grupy zaczęły zarzucać swemu władcy tchórzostwo, w ślad zaś za słowami posypały się kamienie. Nim Hiszpanie zorientowali się i osłonili Montezumę tarczami, już dosięgło go kilka ciosów; jeden z nich trafił go w skroń i spowodował omdlenie. Ja jednak przypuszczam, że Montezuma omdlał raczej z uczucia wstydu wobec własnego narodu, który w ten sposób potępił go i odrzucił.

Ze domysły moje są słuszne wynika choćby z tego, iż nie żyzył sobie leczenia, jedzenia prawie nie tknął i pogryzał się w absolutnym milczeniu. Mimo że Cortezowi niezmiernie zależało na życiu Montezumy — bowiem król wciąż jeszcze był drogowym zastawem w ręku Hiszpanów — jednak nie udało mu się zachować go przy życiu, chociaż zarówno nasi, jak aztecy lekarze uważali chorobę króla za lekką. Wreszcie trzeciego dnia po zniewadze, jaka spotkała go od własnych poddanych, Montezuma zmarł w niewoli...

Ataki oblegających nie ustawały, sytuacja nasza, mimo że i dalsze wypadki kończyły się rozproszeniem i chwilowym odparciem napastników, stawała się beznadziejna. Każde starcie przynosiło śmierć lub kalectwo kilku hiszpańskim żołnierzom, a my przeciwieście długą na takie straty nie mogliśmy sobie pozwolić. Ubywało także zasobów amunicji, wystawione na stałe ataki umocnienia naszego obozu niszczały.

Cortez zwołał wówczas radę wojenną, której przedstawił swą decyzję opuszczenia stolicy wraz z wojskiem. Wszyscy wiedzieli,

co to dla niego znaczy — wycofać się, kiedy sądził, że już jest u celu! Lecz zarazem rozumieli, że to jedyna droga ratunku. Oczywiście, że Cortez bez zająknięcia oświadczył, że powróci do Meksyku raz jeszcze, by go zdobyć i zniewolić. Rzecz zrozumiała, że nie mówił tego, by ludzi pocieszyć, tylko był o tym głęboko przekonany — jak to zresztą przyszłość potwierdziła — ale wtedy tego rodzaju oświadczenie nikogo nie interesowało. Oficerowie Corteza myśleli wyłącznie o tym, jak, kiedy i którędy najłatwiej wymknąć się z tej meksykańskiej pułapki. Ostatecznie wszyscy zgodzili się na jedno: najlepiej będzie zaskoczyć oblegających, wyruszyć niespodziewanie i to w nocy. Za drogę ucieczki z miasta obrano ulicę idącą w odwrotnym kierunku od naszego celu, czyli wiodącą na zachód, na Tlácopan. Prócz tego, że Aztekowie mogli oczekiwać naszego wypadu raczej na wschód, droga ta miała jeszcze dalszą zaletę: biegła po niewielkim odcinku grobli w trzech tylko miejscach przeciętej mostami. Słusznie Cortez przypuszczał, że Meksykanie, by pewniej mieć nas w rękę, już zawczasu pozrywali mosty na groblach, dlatego też kazał sporządzić przenośny most drewniany, tak szeroki, by i armaty mogły po nim przejechać.

Podczas ostatnich przygotowań — po zapakowaniu zapasów i osobistych rzeczy — pojawiło się zagadnienie przetransportowania najdrogocenniejszego skarbu, który wciąż jeszcze znajdował się w głównym budynku obozu, niby wspólne nam wszystkim złote serce. Z części przypadającej dla korony Cortez kazał zapakować tyle, ile udźwignie jeden rosły konia. Pozostały jeszcze działy poszczególnych ludzi i znaczna część przydziału królewskiego. Nie było czasu bawić się w ceregiele. Cortez ogłosił, że każdy może wziąć ile chce i ile zmieści, ostrzegając jednak, by zbytnio nie obciążali się złotem, ponieważ czeka ich trudny i forsowny marsz.

Widziałem już w życiu wiele rzeczy wstrząsających, lecz żaden obraz nie wydał mi się tak okropny jak to, na co teraz patrzyłem własnymi oczami — sterta złota i drogiej kamieni, na którą rzucili się nasi żołnierze. (Oczywiście hidalgowie mieli pierwszeństwo wyboru: spokojnie i z rozwagą wybierali najpiękniejsze, lekkie na wagę, ale wyjątkowo cenne klejnoty.) A przy tym wszystkim nie działało się nic nadzwyczajnego, nie doszło nawet do bijatyki — nie było przecież o co, łupy bowiem były nieprzebrane. To coś strasz-

nego tkwiło w twarzach i oczach żołnierzy, w których malowały się największe dramaty — walka rozsądku z namiętnością. Przeważnie każdy z nich najpierw ponapychał kieszenie nad miarę, jeszcze to czy owo wetknął za pazuchę czy za pasek, potem, kiedy nadmiernie obciążony aż się zataczał, musiał pozbywać się niektórych przedmiotów. Jakież to były namysły i wahania zanim właściciel zdołał rozstać się z najmniejszym okrucmem złota! Jeden wierzył, że siłą potrafi pokonać ciężar swej zdobyczy, drugi płakał z żalu i nieustannie oglądał się na pozostałe skarby, jeszcze inny co chwila zmieniał decyzję: to wracał do sterty, by ulżyć nieco swym kieszeniom, to znowu ładował je do pełna. Byli wśród nich i ludzie bliscy wprost szaleństwa.

Początkowo ogarnęło mnie uczucie wstrętu — bo co w zasadzie kieruje człowiekiem, co nim rządzi?... W końcu jednak doszedłem do wniosku, że tym ludziom po raz pierwszy zdarzyło się w życiu, iż na ich dłoni błysnęła złota moneta — a jak wiele musieli przy tym ryzykować? Nawet własne życie! Cóż więc się dziwić, że zakreśliło im się w głowach?

Ostatecznie i podział łupów też się skończył. Cortez ustalił kolejność oddziałów przy wymarszu.

Dnia 1 lipca 1520 roku po północy wyruszyliśmy z obozowiska, które tak długo było nam więzieniem. Staraliśmy się przy tym robić jak najmniej hałasu — ułatwiały nam to ciemności nocne, szum wody w kanałach i drobny deszcz. W istocie cały czas przemarszu przez miasto zdawało się, że nikt na nas nie zwrócił uwagi, bez przeszkód dotarliśmy aż do grobli przy końcu naszej ulicy. Jak było do przewidzenia, w miejscu tym łączący wybrzeże z groblą most został usunięty. Nasi ludzie natychmiast przerzucili przez kanał przygotowany most przenośny. Przy tym zaszło coś, czego na dłuższą metę nie dało się uniknąć: zwróciliśmy na siebie uwagę pełniących straż nad wodą azteckich patroli. W chwilę później w otaczających nas ciemnościach rozległ się warkot bębnow i dźwięki trąb alarmujących meksykańską załogę.

Czyniliśmy wszelkie wysiłki, by pochód przyspieszyć. Już dwie trzecie naszych przebyło most, po belkach dudniły właśnie koła dziań, gdy z obu stron na kanale usłyszeliśmy przybliżający się plusk wioseł. Teraz wyglądało na to, że całą powierzchnię wody

pokrył szelcny pancierz łodzi, z którego lunęła na nas ulewa kamieni i strzał. Również i przy brzegu na ostatnie nasze oddziały nacierały szybko gęstniejące masy meksykańskich wojowników, za mostem zaś dalsi wspinali się z łodzi na brzeg. Straszny był ten marsz w deszczu indiańskich strzał. A przy tym niepodobna było wprost myśleć o jakiejś sensownej obronie czy kontrataku. Jedyne co nam pozostało, to możliwie najszybsze parcie naprzód. Kto stawał w drodze, tego wdeptywały w ziemię kopyta koni, koła armat i dudniące buty piechoty. Boczne szeregi maszerujących groblą mieczami i kopiami spychały napastników w ciemne wody kanału. Noc rozbrzmiewała odgłosami walki, tętentem marszu i wrzaskiem ginących.

Wreszcie czoło pochodu dotarło do drugiego kanału, a ponieważ i tu także Indianie zdjęli most, trzeba było czekać, aż nasz most przenośny przetransportują do przodu. I tu zdarzyło się nieszcześnie, którego nie przewidzieliśmy: mocno wkliniwanego w błotnisty brzeg i groblę — pod ciężarem przechodzącej piechoty, koni i armat — mostu przenośnego nie udało się mimo wszelkich wysiłków podnieść. Daremnie nasi żołnierze raz po raz szarpali belki mostu — pot ich oblewał, krew zalewała oczy, szeregi dziesiątkował obstrzał nieprzyjacielski. Nic nie pomagało — most nie drgnął!

Tak doszło do okropnych wypadków. Naciskane przez atakujących Azteków tyłne oddziały parły uporczywie naprzód nie zwracając uwagi na krzyki ludzi, którzy próbowali cofnąć się znad otwierającej się pod ich nogami topieli. Uciekać, byle dalej! Szaleństwo gnało zarówno Hiszpanów, jak znajdujących się między naszymi oddziałami Tlaskalanów. Doszło do tego, że żołnierzom nie pozostało nic innego, jak w ciemnościach rzucać się w wody kanału, na azteckie pirogi lub między nie, bić się, płynąć, brodzić lub tonąć — z nadzieją, że dosięgną przeciwległego brzegu kanału, ale i z perspektywą, że najprawdopodobniej znajdą śmierć na grotach azteckich oszczepów lub dostaną się do niewoli, gdzie czeka ich najgorszy los: koniec na kamieniu ofiarnym.

Coraz więcej pieszych i jeźdźców rzucało się do zagradzającego im drogę kanału; wpadały także wozy i armaty, na nich zaś gromadziły się porozbijane łodzie. Powoli przerwa w grobli zaczęła się wypełniać zwaliskami — na to wszystko leciały ciała martwych,

ciężko rannych i konających, po których przedzielali się dalej uciekający Hiszpanie. Był to straszliwy most trupów, po którym ostatecznie przeszły nasze ostatnie oddziały.

Czekał nas jeszcze trzeci pozbawiony mostu kanał. Tu już bez wahania brnęliśmy w wodę, by przepłynąć ją lub przebrodzić. Na szczęście nie byliśmy już tak mocno atakowani przez naszych prześladowców, którzy musieli toczyć ciężkie boje z tylnymi oddziałami. Lecz mimo to wielu jeszcze Hiszpanów utonęło. Właśnie tych, którzy zbyt mocno obciążyli sakiewki i kieszenie złotem — teraz ciągnęło ich ono w dół, grzebało w błocie meksykańskiego jeziora, a wraz z nim nie spełnione marzenia o zabezpieczonej przyszłości.

Aż wreszcie — przynajmniej na najbliższy moment — byliśmy ocaleni!

Żaloszny był widok tych nędznych resztek naszej armady! Iluż ludzi zabrakło, ileż znajomych twarzy niepodobna było odszukać! A ci, którzy pozostali, wlekli się noga za nogą, w podartych, przemoczonych ubraniach. Przeważnie stracili lub rzucili broń. Pokryci byli najróżniejszymi ranami, często tak ciężkimi, że aż podziw brał, iż w ogóle mogli się poruszać... Straciliśmy wszystkie armaty, tak jak i wozy ze skarbami, i konia wiozącego w workach dział królewski. Najgorsze, że zginęły także wory i beczułki z prochem strzelniczym. Większość jeźdźców była bez koni, niektóre oddziały bez dowódców.

Nasi tlaskalańscy sprzymierzeńcy, otrząsnąwszy się z pierwszego przerażenia po tych przeżyciach, ze zdziwieniem obserwowali owych białych ludzi, którzy z niebios zstąpili między indiańskie dzieci, teraz zaś wlekli się wynędzniali i śmiertelnie wyczerpani. Istotnie, przypominaliśmy wówczas raczej jakiegoś straszliwego zjawy niż żołnierzy armii chrześcijańskiej.

Owa noc, którą mieliśmy za sobą, otrzymała trwałą nazwę: „noche triste” — smutna noc — na pamiątkę wszystkiego, cośmy przeżyli.

Nie będę opisywał tego marszu udręki, nędzy i głodu, gdy uciekaliśmy z ziemi Azteków, tracąc raz po raz dalszych towarzyszy: po prostu nagle ktoś martwy padał na ziemię. Nie zajmę się

także opisem bitwy pod Otumbą, która tak wielką sławą okryła Corteza i zapisała się na zawsze chwalebną kartą w historii Hiszpanii. Nie opiszę wszystkiego tego szczegółowo dlatego chociażby, że i do dziś pojąć nie mogę, jak zdołaliśmy to wszystko przeżyć i przetrzymać.

Dopiero, gdy przedarliśmy się na tereny przyjaznych nam Tlaskalanów, po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuliśmy się bezpieczni i mogliśmy powoli wracać do sił.

Wdzieliście nasze hiszpańskie wyżyny, wysuszone przez słońce i spragnione wody, kiedy nagle nawiedzi je burza z ulewą? Tak właśnie wprost na naszych oczach powracały siły naszym żołnierzom, gdy nareszcie mogli bez lęku ułożyć się do snu, spać i jeść tyle, ile wymagał ich wyczerpany organizm. Właściwie to nawet nie wierzę, że tę nagłą w nich zmianę na lepsze wywołało jałdo i wypoczynek. Pierwsze bowiem co w mych hiszpańskich rodakach ocknęło się i ożyło, to ów, „głód złota”, ta sama żądza, która gnała ich z ojczyzny przez dalekie morza, dawała siły do przetrwania najgorszych udręk, a teraz znów — kiedy marzenia o meksykańskim złocie okazały się nie marzeniami tylko, lecz rzeczywistością — rozpalala w nich drapieżną chciwość. Rzeczywistość ta była wprost namacalna, tylko — niestety — w ostatniej chwili wymknęła im się z rąk. Lecz właśnie ten fakt rozdził przekonanie, że trzeba wrócić po to utracone złoto! Przekonanie to umacniali w nas także nasi kapłani, mówiąc jak o sprawie oczywistej, że znowu ruszymy nieść znak krzyża tam, skąd nas właśnie wyгнаła przegrana, klęska i śmierć.

A sam Cortez?

Myślam dawno już był z powrotem w Meksyku. Żołnierzom mówił o złocie, księżom o szczeniu prawdziwej wiary wśród pogan, w listach do skarbników królewskich wspominał natomiast o swych obowiązkach w służbie dla korony... A o czym myślał naprawdę? Zdaje mi się, że wiem, chociaż on sam nigdy o tym nie mówił. No tak, pójdzie znowu do Meksyku, ponieważ tam pójdź musi! Jak w dawnych czasach wyruszali rycerze na poszukiwanie świętego Grala, tak i Cortez pójdzie szukać nie tylko złota czy krainy Eldorado. Pójdzie na spotkanie swego wielkiego sukcesu, wielkich zasług dla Hiszpanii, dla świata, dla kościoła, dla czego

wreszcie chcecie — po prostu na spotkanie wielkiej przygody swego życia.

Bez tego bowiem nie umiałby żyć.

I tacy byli wszyscy — przynajmniej ci lepsi...

Oto znów wspinamy się po górskich ścieżkach...

Znowu pozostawiamy z boku ośnieżony szczyt Popocatepetlu. Znowu otwiera się przed nami rozkoszny widok: rozległa dolina meksykańska z wielkim jeziorem pośrodku i z miastem Meksyk na samym środku tego jeziora.

Tym razem było nas ponad pięciuset żołnierzy piechoty i czterdziestu jeźdźców, szło z nami dziewięć armat. Także i teraz ciągnęli wraz z nami jako sprzymierzeńcy Tlaskalanowie. Był grudzień 1520 roku.

I co jeszcze się powtórzy?

Ille razy patrzyłem na Corteza, czułem — chociaż nie umiałem sobie tego rozumowo uzasadnić — że tym razem wyrusza po pewne zwycięstwo. Ostatnia klęska już się nie powtórzy.

Potem jednak przechodziły chwile, gdy ogarniała mnie beznaziejność, z trudem opanowywałem nienawiść do niego, za to, że nas tu przywłókł. Zdarzało się to wówczas, gdy przechodziliśmy obok jakiegoś miejsca, gdzie poprzednio los bardzo srogo nas doświadczył, gdzie w ową „smutną noc” ponieśliśmy zbyt bolesne straty. Bo jeżeli ten niezmordowany rzeźnik wiedzie nas na nowe jatki?

Tak, wtędy powiodł nas na prawdziwe jatki. Tylko że tym razem głównymi rzeźnikami mieliśmy być — my!

Ostatniego dnia tego roku dotarliśmy do miejscowości Texcoco, miasta nad brzegiem wielkiego jeziora, gdzie Cortez postanowił zakwaterować wojsko przed zasadniczym uderzeniem na Meksyk. Chciał poczynić wszelkie niezbędne przygotowania.

Zaczął od tego, że ogniem i mieczem niszczył, pustoszył, wymordowywał i palił wszelkie osady, wioski i pojedyncze domy na całym wybrzeżu jeziora; podobne wypadki i napaści organizował także i w dalszej okolicy. Miał na oku jeden cel: pozabawić stolicę wszelkich możliwości zaopatrzenia. W tego rodzaju wycieczkach najbardziej krwawą robotę wykonywali nasi sprzymierzeńcy, Tlaskalanowie, bez ograniczeń wywierając na Aztekach swą nienawiść i sycąc żądze zemsty.

Leżąc w walki i drobne wyprawy to nie jedyna przyczyna naszego postoju. Cortez oczekiwał przyjścia swych statków.

Tym razem nie chciał próbować zdobywania Meksyku bez statków, ostatnie bowiem doświadczenia pouczyły go aż nazbyt wymownie o konieczności opanowania nie tylko lądu, lecz także wód jeziora i kanałów. Więc też wydał rozkazy, by statki szły za nim! A tak — z portu atlantyckiego Veracruz aż do Texcoco. I to dosłownie: w Veracruz bowiem szkutnicy je zbudowali, potem znów rozebrali na poszczególne części i tak w częściach oddziały Indian — razem z trzystu hiszpańskimi żołnierzami — transportowały je na własnych barkach, pokonując całą tę daleką drogę, którą i my przebrnęliśmy przez góry do Texcoco.

Widocznie dla Corteza wszystko było możliwe — nawet przechodzenie statków po lądzie.

Na miejscu statki znów poskładano, pozbijano poszczególne części, gotowe wyposażono w olinowanie i żagle. Ostatecznie spuszczono je na wody jeziora. Było ich trzynaście.

Ilość naszych białych żołnierzy wzrosła niemal do dziewięciu set; prócz tego coraz więcej indiańskich szczeptów zgłaszało się do nas w roli sprzymierzeńców, chcieli bowiem wykorzystać okazję wyzwolenia się z poddaństwa i składanania danin Aztekom.

Zadziwiające wprost, jak tym razem Cortez trzymał na wodzy swą niecierpliwość, jak potrafił pohamować niecierpliwość żołnierzy. Widocznie chciał iść już na pewniaka. I tak przesiadzieliśmy w Texcoco ponad trzy miesiące, zanim wreszcie Cortez stwierdził, że do czekającego nas przedsięwzięcia zrobiono i przygotowano wszystko. Przedsięwzięciem tym było nie co innego, tylko — zdobycie miasta Meksyku!

Przed rozpoczęciem imprezy Cortez wygłosił do oficerów i żołnierzy krótkie przemówienie, które mój pan wiernie przekazał w swej książce. Mimo to i ja włączam je do swego opowiadania, a to z dwójakiej przyczyny: po pierwsze chciałbym, by choć raz w mej narracji zabrzmiały żywe słowa Corteza, po drugie dlatego, że w nich moim zdaniem wyraźniej niż gdziekolwiek rysuje się jego osobowość, sposób myślenia, a także i umiejętność postępowania z ludźmi.

„Doprowadziłem was do celu — mówił Cortez — o którym marzyliście długo. Za parę dni staniecie przed bramami Meksyku, stolicy, z której nas tak haniebnie wygnano. Teraz więc ruszamy naprzód, a nad poczynaniami czuwa Opatrzność. Prowadzimy walkę o wiarę chrześcijańską, o nasz honor, o bogactwo, lecz i dla zemsty. Doprowadziłem was tutaj, gdzie znajdujecie się przez twarz z wrogiem nieprzyjacielem. Resztę musicie już wykonać sami..”

Pierwszym aktem rozpoczynającym oblężenie miasta było przecięcie rur doprowadzających wodę pitną do miasta ze wzgórz na brzegach jeziora. (Woda jeziora bowiem była bardzo słona).

Druga klęska, jaką wnet ponieśli Aztekowie, spotkała ich także na wodzie. Przeciw trzynastu statkom Corteza wyruszyło kilkaset indiańskich pirog, gęsto obsadzonych wojownikami. Wyroili się taką chmarą, że po prostu między nimi nie było widać tafli jeziora. Aztekowie zamierzali zasypać załogi naszych statków strzałami i oszczepami. Lecz hiszpańscy żeglarze postawili wszystkie żagle — wiał właśnie sprzyjający wiatr — więc wielkie i ciężkie brygantyny w liczbie trzynastu ruszyły w to mrowisko drobnych łódek, miażdżąc je swymi kilami, odrzucając, przewracając, topiąc. Równocześnie poszła salwa armatnia ze statków, a strzelcy rozpoczęli ostrzeliwanie z muszkietów. Nawet mierzyć nie musieli — wszystkie kule trafiały. Nie próbuję nawet opisać tej strasznej rzezi, na jej wspomnienie zamykam oczy. Na odgłos strzałów armatnich po wszystkich trzech wiodących do miasta groblach ruszyła także do ataku nasza jazda oraz piechota i Tlaskalanowie.

Tak rozpoczęło się zdobycie Meksyku.

A jak się skończyło?

Skończyło się tym, że z tego wspaniałego miasta pałaców, okazałych domów, bogatych bazarów i cudownych ogrodów nie pozostał kamień na kamieniu... Nie było w nim ani piędzi ziemi nie przesiąkniętej krwią Azteków.

W rzeczywistości wcale nie poszło to tak prędko, jak podaje mój opis. Zdobycie miasta trwało pełne trzy miesiące. „Walczylimy bez ustanku dniem i nocą, gdybyśmy mieli opowiadać o tym szczegółowo, nadużylibyśmy cierpliwości czytelnika — pomyślałby może, że opowiadamy mu jakieś bajki o nieprawdopodobnych czynach błędnych rycerzy w dawnych romansach”. Tak napisał pan mój, Don Bernal Díaz, a ja zgadzam się z nim co do

słowa, co do literki. Aztekowie bowiem rozumiejąc, że w grę wchodzi kwestia ich bytu lub zagłady, stawali w walce z najwyższą pogardą śmierci. Wykazywali taką dzielność, jakiej z niczym porównać nie umiem. Zagradzali nam drogę barykadami i pozwalali się mordować na nich, byśmy przez ich zwłoki nie mogli postępować dalej. Ledwie tylko przebiliśmy się przez jakąś ulicę, zaraz z bocznych uliczek i z tyłu atakowały nas coraz to nowe oddziały. Gdy tylko opanowaliśmy jakiś dom i zlikwidowali jego obrońców, zaraz za naszymi plecami zapelniał się on nowymi wojownikami. Depczę nam po piętach zrywali groble; nowjku naszemu od czoła zabiegały nieustannie drogę równie liczne świeże oddziały Azteków. Porzucili już dawny zwyczaj przerywania walki w ciemnościach, więc też nasi ludzie nie mieli chwili wytchnienia. Nienawście zdawała się budzić w Aztekach nadprzyrodzone siły. Nieraz udało im się otoczyć kilku naszych żołnierzy, którzy zbytnio zapędzili się naprzód lub zostali zaskoczeni w jakimś zaułku. Wnet rozlegał się zwycięski okrzyk nieprzyjaciół i jeżeli nie udało nam się natychmiast odbić towarzyszy, wieczorami widzieliśmy płonące przed świątyniami na piramidach stopy, oświetlające uroczyste składanie ofiar z pojmanych przez Azteków jeńców. Dobiegały nas krzyki mordowanych; widzieliśmy, jak martwe ciała toczyły się po stopniach w dół, gdzie ćwiartowano je — na uroczystą, obrzędową uczelę!

Nadeszły takie chwile, gdy oficerowie Corteza zwątpili, że do cna wyczerpani Hiszpanie zdołają wytrzymać dalsze trudy i nieustanne kontrataki Azteków. Liczni nasi indiańscy sprzymierzeńcy nocami zaczęli się wymykać z placu boju, opuszczać nas — oni także najprawdopodobniej zwątpili w nasze zwycięstwo.

Wówczas Cortez postanowił zmienić taktykę walki. By umożliwić podstępne ataki, okrążanie wojska i uderzanie od tyłu wydał rozkaz, że każda zdobytą przez nas część miasta natychmiast ma być zrównana z ziemią, każda część kanału zasypana, każdy dom zburzony i zniszczony — za nami pozostać ma tylko naga, pusta przestrzeń, gdzie nieprzyjacieli nie mogłyby się ukryć. I to właśnie był początek końca miasta Meksyku.

Szarpaliśmy miasto ze wszystkich stron. To miasto, które zdaniem samego Corteza było „najpiękniejszą rzeczą na świecie”. Gruzem rozwalanych domów zasypywaliśmy kanały, wody zamie-

nialiśmy w zwarty grunt, na którym swobodnie mogła harcować jazda i ustawiać się w szyk piechota. Miasta powoli ubywało, co raz bardziej wokół malejącego stale centrum zacieśniał się krąg nagiej, udeptanej pustyni. Bez przerwy pracowały nasze działa i nasze motyki, aż wreszcie nie zdobyty i nie zburzony pozostał tylko sam środek miasta wokół targowiska.

W tym małym ośrodku skupiły się tysiące Azteków, nie tylko wojowników, lecz także kobiet, starców i dzieci. Brak im było żywności — robaki, wodorosty, jaszczurki i myszy były ich jedynym pożywieniem. Nie mieli ani miejsca, ani siły, by grzebać całe zwaly trupów, które rozkładając się zatrwały powietrze. Ludzie przypominali raczej cienie, a jednak wciąż jeszcze nie rezygnowali z ataków — zataczając się szli pod nasze miecze, jakby w śmiertelnej walce o wydobycie. Głód i pomór stały się wówczas w Meksyku naszymi nowymi sprzymierzeńcami. Po zdobyciu każdego kolejnego odcinka ulicy żołnierze musieli dobrze uważać, by nie potykać się o trupy.

Cortez kilkakrotnie posługując się jeńcami wysyłał poselstwa do następcy Montezumy, młodego króla Guatimozina z apelem, by poddał się wraz ze swymi wojownikami. Lecz posłowie ci stale wracali z odpowiedzią: „Guatimozin gotów jest umrzeć tam, gdzie stoi, a z wodzem Hiszpanów pertraktować nie będzie!” Kiedy powtórzyło się to wielokrotnie, Cortez powiedział wreszcie posłom: „Wracajcie więc i przygotujcie swych rodaków na śmierć!”

Było to dnia 13 sierpnia 1521 roku.

Cortez dał rozkaz do ataku na targowisko. Tym razem łatwo już przedarliśmy się przez osłabioną obronę Azteków. Strzały wyrzucane mdlejącymi rękami ciemnoskórych wojowników sziły powolnym lotem nie czyniąc nam szkody. Tłoczące się na targowisku gromady mężczyzn i kobiet cofały się, potykały i padały, część ludzi opierała się o ściany; czekali na ostatni śmiertelny cios lub w ostatniej chwili próbowali uciekać przez najbliższy kanał. Muszę przyznać, że kanał ten tak był zawalony trupami, że przeszliśmy go później suchą nogą.

A tymczasem zespół najbardziej bojowych Azteków przebijal się do łodzi — zorientowaliśmy się szybko, że osłaniają oni Guatimozina, by uchronić go przed dostaniem się w nasze ręce.

Wystarczył tylko sygnał dla naszych brygantyn, a już na łódź z królem skierowały się pascze dział, zmuszając jej załogę do podania. Dopiero wtedy, gdy rozniosła się wiadomość, że król dostał się do niewoli, resztki wojsk azteckich złożyły broń.

Przyprowadzony przed oblicze Corteza Guatimozin rzekł:

„Uczyliście wszystko co mogłem dla obrony własnej i mego ludu. Dostałeś mnie w swoje ręce. Czyń ze mną, co ci się podoba. Najlepiej jednak zabij mnie natychmiast!”

Oczywiście Cortez zapewnił go o swym szacunku i podziwieniu — prośbie jego zaś uczynił zadość... nieco później.

Dopiero w cztery lata po zdobyciu Meksyku kazał Cortez powiesić Guatimozina zarzucając mu, że brał udział w spisku przeciw Hiszpanom — ten sam więc zarzut, jakiego z powodzeniem użyto przeciwko Montezumie. Nie warto nawet dodawać, że w czas jakiś po śmierci młodego króla okazało się, iż wyrok osiągnął niewinnego. Tak oto zmarł — na szubienicy — ostatni władca dumnych Azteków.

Cóż tu jeszcze można dodać?

Nie mam ochoty wyciągać ostatecznych wniosków. Zarówno jeśli chodzi o pogan-Azteków, jak i o chrześcijanina — Corteza. Przypuszczam, że same wypływają z tego opowiadania.

Tego się właśnie obawiam.

PIERWSZA PODRÓŻ WOKÓŁ KULI ZIEMSKIEJ

WARTO już odwrócić się od owych cieni, które zniszczeniem, pożogą i krwią splamiły przybycie białych ludzi na ląd Nowego Świata. Czas porzucić na chwilę towarzystwo okrutnych i bezwzględnych konkwistadorów, w których historia dopatrywałaby się złoczyńców — gdyby nie byli zarazem zwycięzcami. Im to bowiem handel europejski, kapitał państwowy i prywatny, miasta, liczni przedsiębiorcy XVI wieku, zawdzięczają swój niebywały rozkwit...

Wypadnie nam zwrócić uwagę na człowieka, którego wyprawa morska słusznie uważana jest za największy wyczyn w dziejach odkryć zamorskich. Sukces jego bowiem był nie lada jaki — pierwsze pełne opłynięcie kuli ziemskiej.

On sam wcale nie różnił się od innych mężczyzn tego pokroju. Był także z rodu poszukiwaczy przygód i awanturników, bezwzględnie i nieustępliwie zmierzał do swego celu; wielkość jego raczej tkwiła w tym, że pogoni za tym celem poświęcił bez reszty wszelkie swe siły, całą wolę, a nawet życie. Nie należał do zdobywców — był odkrywcą. Do zdobywania i podbijania odkrytych krain brak mu było środków — gdyby je posiadał, na pewno i takiego zadania podjąłby się równie dobrze, jak Cortez, Pizarro i inni. Ale jego chlebodawcy wysłali go w nieznaną, własnie by szukał drogi. Stąd więc przygłędo do niego nie więcej krwi i gwałtów niż do normalnej przedsiębiorczej postaci i garstki jej pomocników. Cóż, ludzie są ludźmi, a czasy i środowisko mają swoje wymagania. Nie strójmy się więc w togi sędziów historii, którą tworzą nie tylko ludzie, ale także siły konieczności i potrzeb.

Nazwisko Portugalczyka Fernão Magalhães, tak trudne do wymówienia, Hiszpanie — kiedy był u nich w służbie — zmienili na Magellana, z którego ostatecznie powstało: Magellan.

Od czego jednak rzecz cała się zaczęła?

Po pierwsze — były to Moluki, wyspy tak ongiś jak i dziś leżące między Australią i Filipinami lub ściślej: między wyspami Borneo, Celebes i Nową Gwineą. Wyspy te z dawien dawna słynęły z obfitości korzeni: imbiru, goździków, cynamonu, gałki muszkatołowej — towarów najbardziej obok złota poszukiwanych na rynkach europejskich.

Po drugie — ważną rolę także odegrał tu list, jaki Magellan otrzymał właśnie stamtąd od swego bliskiego przyjaciela i rodaka, Francisco Serrão. Pisał on w nim, że Moluki leżą tak bardzo daleko na wschód od Europy, że bez wątpienia znacznie do nich bliżej z zachodnich brzegów niedawno odkrytej nowej części świata, Ameryki, i że od tej strony łatwiej się będzie do nich przedostać. Była to co prawda omyłka, powstała skutkiem niezajomości wymiarów powierzchni kuli ziemskiej, ale wówczas nikt o tym nie wiedział.

Trzecim bodźcem imprezy Magellana była dalsza omyłka geograficzna. Przypadkiem wpadła Magellanowi w ręce jakaś stara mapa, na której w południowej części Ameryki zaznaczono cieśninę, łączącą Ocean Atlantycki z odkrytym niedawno przez konkwistadora hiszpańskiego Balboę Oceanem Spokojnym.

Nie jest ważne dlaczego Portugalczyk Magellan organizował swą wyprawę na koszt korony hiszpańskiej — podobnie jak kiedyś Włoch Colombo — pamiętany jest natomiast dzień 20 września 1519 roku, kiedy wyruszył z portu San Lucar.

Magellan miał już duże doświadczenie, zarówno jako żeglarz, jak i jako żołnierz. Mając lat dwadzieścia pięć odbył podróż statkiem portugalskim do Indii, gdzie w ciągu siedmiu lat służby wojskowej brał udział w licznych walkach z Indusami, Malajami i Arabami broniąc interesów portugalskiego handlu korzeniami. W roku 1512, zwerbowany do wojska walczącego w Maroku, był tam w walce z tubylcami ranny oszczepem w kolano. Utykał na nogę do śmierci.

Teraz zaś, mając lat trzydzieści dziewięć, został dowódcą pięciu statków o pojemności przeciętnie 90—130 ton. Były to więc jednostki niezbyt wielkie, prócz tego wątpiwej wartości: wszystkie już dość stare i wielokrotnie naprawiane. Lecz ani korona hisz-

pańska, ani też bankier, którym król się posłużył przy finansowaniu wyprawy, nie mieli ochoty ponosić zbyt wysokich kosztów. Cała ta wyprawa uważana była za imprezę drugorzędną, ponieważ centrum hiszpańskich zainteresowań skupiało się raczej na wyprawach konkwistadorów poszukujących źródeł złota.

A ponieważ przy tym wszystkim Magellan był Portugalczykiem, nieufny dwór hiszpański wyznaczył mu na przewodnika — w gruncie rzeczy właściwie nadzorcę — hiszpańskiego szlachcica Juana de Cartagenę.

Dla zorientowania się w dalszych wypadkach warto tu przypomnieć nazwy owych pięciu statków i nazwiska ich dowódców. Admiralski statek „Trinidad” był pod bezpośrednimi rozkazami Magellana, na statku „San Antonio” kapitanem był Juan de Cartagena, na statku „Concepción” — Gaspar de Quesada, na „Victorii” — Luis de Mendoza i na „Santiago” — Juan Serrano.

Załoga wszystkich pięciu statków liczyła dwustu siedemdziesięciu ludzi — nie wiadomo, jak się oni tam mogli pomieścić — a składała się w większości z Hiszpanów; lecz było tam także ponad trzydziestu Portugalczyków, nieco mniej Włochów, prócz tego Francuzi, Niemcy, Grecy oraz kilku Murzynów i Malajów. Niełatwo było utrzymać dyscyplinę wśród tak różnorodnej zbieraniny, zwłaszcza że hiszpańska większość marynarzy wcale nie darzyła sympatią swego portugalskiego naczelnego dowódcy.

Wynikające z tego trudności wnet dały znać o sobie. Gdy flotylla znalazła się w okolicach równika, wybuchły pierwsze spory. Juan de Cartagena już od kilku dni wzbraniał się tytułować Magellana „admiralem”, zwracając się do niego jako do kapitana, czyli jednego z równorzędnych dowódców statków. Na którymś z odbywających się później zebrań oficerów Cartagena wystąpił z kolejnym żądaniem, by Magellan uznał jego stanowisko dowódcze jako równorzędne swemu własnemu. Gwałtowny i uparty Magellan uważał, że chcąc utrzymać swe stanowisko musi od samego początku dać ludziom odczuć własny autorytet. W danym wypadku czuł, że ma do tego prawo. Rozdrażniony wystąpieniem Cartagena nie uważał za właściwe pohamować irytacji — poderwawszy się gwałtownie schwycił hiszpańskiego szlachcica za kurtkę oświadczając, że jest on aresztowany. Prócz tego przekazał go pod straż Luisa Mendoza. Nikt nie odważył się zaprotestować, dyscy-

plina została więc nieprzywrócona. Dnia 29 listopada flotylla podплыła do wylotów Ateryki Południowej.

Stąd rozpoczęło się poszukiwanie brzegów w kierunku na południe — szukano miejsca przejścia na Ocean Spokojny. Równocześnie jednoczesne jesienne chłody, co zmusiło Magellana do przetrzebieśnięcia poszukiwań. Lecz decyzja ta wzbudziła duże niezadowolenie wśród załogi nie wyprzedziła od innych kapitanów; także wśród trwania wyprawy — przedłużenie bowiem czasu trwania wyprawy — łącznie z sobą obniżenie racji żywnościowych, a przy tym zwyczaj bywa najczulszym barometrem ludzkiej opinii — Magellana postanowili to właśnie wy-

W nocy z pierwszego na drugiego kwietnia kapitan statku „Concepcion”, Gaspar de Quesada, na czele trzydziestu uzbrojonych ludzi, uwolnił się z statku na „San Antonio” Cartagena wtargnął z dobytkiem i kajuty mianowanego przez Magellana następcę, Gaspara de la Mezquita. Ten widząc, że się nie obronił, poddał się. Quesada kazał go związać i przy drzwiach postawić straż. Kiedy któryś z oficerów statku próbował stanąć przeciwko takiemu gwałtowi, buntownicy zakłócać go nie mogli.

Quesada nie otrzymał za to trochę pieniędzy i wina; nim jeszcze nastąpił bunt Cartagena miał już w swym ręku dwa statki, trzeci zaś, pod dowództwem Luisa de Mendoza, także wnet się do nich przyłączył. Wraz wszyscy trzej kapitanowie wysłali do admirała żądanie — prawdę powiedziawszy ultimatum — by uznał Cartagena za równego sobie dowódcę wyprawy i zarazem zaakceptował wszystko, co zostało dokonane.

Magellan znalazł się w poważnych trudnościach, nie myślał jednak ustąpić. Udając, że chce pokojowo załatwić sprawę, zaprosił buntowników na naradę na swój statek. Ci jednak byli na tyle sprytni, że przewidzieli pułapkę i ze swej strony zaprosili admirała na pokład statku „San Antonio”. Magellan czuł, że musi działać szybko. Wysłał najpierw jednego ze swych najwierniejszych kapitanów, Gomeza de Espinoze, wraz z sześciu ludźmi do Mendoza, na pokład jego „Victorii”. (Mendoza był trzecim kapitanem, który do buntu przyłączył się ostatni.) Gomez wręczył kapitanowi specjalne pismo admirała i zarazem, gdy Mendoza je czytał, wbił

mu sztylet w gardło. Równocześnie korweta admirała skierowała paszce swych dział na pozostałe dwa zbuntowane statki, których załogi w gruncie rzeczy nie miały ochoty nadstawiać karku za swych oficerów.

W parę chwil później Quesada i Cartagena znaleźli się w kajdanach.

By udzielić surowej lekcji załogom także na przyszłość, Magellan polecił demonstracyjnie poćwiartować zwłoki Mendozy, zaś Quesadę powiesić na najwyższej rei jego statku „Concepción”. To stanowcze wystąpienie istotnie zapewniło później admirałowi całkowity spokój i dyscyplinę wszystkich załóg.

Po szczęśliwym zakończeniu całej sprawy spotkało Magellana nowe nieszczęście. Dnia 22 maja korweta „Santiago” rozbiła się na podwodnej skale. W ten sposób flotylla zmniejszyła się do czterech statków.

Ostatecznie skończyła się zła pogoda, można było płynąć dalej w nieznaną, w dalszym ciągu w kierunku na południe. Uprzednio jeszcze zdradzieckiego Cartagene, z niewielką tylko ilością zapasów, admirał wysadził na bezludne wybrzeże, bez cienia litości pozostawiając go własnemu losowi. Nigdy już później nikt o nim nie słyszał.

Wreszcie pewnego dnia przed oczami marynarzy wybrzeże rozwarło się szeroką szczeliną, która na pierwszy rzut oka zdawała się wchodzić głęboko w ląd. Magellan kazał wpłynąć w jej ujście...

Wśród ludzi na pokładach zapanowało ogromne podniecenie. Korwety dzień po dniu posuwały się naprzód. Każde zakole tej wijącej się meandrami nowej drogi mogło oznaczać koniec podróży, gdyby się okazało, że to długa, wąska, lecz zamknięta zatoka lub też udało się ustalić, że to tylko ujście jakiejś potężnej rzeki. Oczywiście istniała także i trzecia możliwość — że statki naprawdę odkryły przejście w poprzek Ameryki Południowej do drugiego oceanu, a więc osiągnęły cel, do którego zmierzały płynąc dotąd niemal na ślepo. Tymczasem dzień biegił za dniem, drugi tydzień doganiał pierwszy, a żadna z dwóch pierwszych ewentualności na razie się nie potwierdziła. Magellan z każdą chwilą nabierał głębszego przekonania, że istotnie osiągnął wymarzony cel.

Na tym odcinku drogi w dzienniku pokładowym zapisał:

„Brzegi cieśniny tworzą wysokie góry, pokryte na szczytach



śniegiem. Woda jest tu — była zwłaszcza na początku — tak głęboka, że nasze kotwice nie zdołały osiągnąć dna. Na tej szerokości geograficznej latem dziennego światła w ogóle nie ma. Podczas tej naszej podróży — była to już połowa października — noc trwała wszystkiego tylko trzy godziny.

Przy brzegach można zaobserwować raz po raz miejsca odpowiednio do ładowania, wszędzie do cieśniny strumieniami napływa słodka woda, na brzegach widać porastające je najrozmaitsze rodzaje drzew. Dużo tu także w wodzie ryb, zwłaszcza drobnych sardynek. Uważam, że nie ma chyba na świecie piękniejszej krawiny i wspanialszego szlaku dla żeglugi.

Można tu także obserwować bardzo zabawne polowania, jakie dorady i bonity urządzają na colondriny — wszystko to są gatunki tutejszych ryb. Colondriny to ryby latające, które wyskakują z wody, ponieważ posiadają błoniaste skrzydła, a lecą tak długo póki skrzydła te są wilgotne. Potrafią tak przelcieć na odległość strzały wystrzelonej z kuszy. Kiedy wymienione wyżej gatunki ryb napotkają ją w wodzie, colondrina stara się wymknąć im w ten sposób, że wyskakuje ponad wodę i leci naprzód. Ścigające ją ryby widzą doskonale, płyną więc szybko w tym samym kierunku. Ponieważ dorady i bonity to bardzo silne i szybkie ryby, zwykle więc dopływają na czas na miejsce, gdzie kończąca swój lot colondrina spada. I tam ją, rzecz prosta, pozerają."

Lecz podróż ta nie składała się tylko z samych dodatnich wrażeń. Pewnej nocy odłączyła się układkiem od flotylii Magellana korweta „San Antonio” — postawiła żagle na powrót do kraju. Na niej właśnie zbiegiem okoliczności znajdowało się najwięcej ludzi niezadowolonych z dowództwa Magellana, zwłaszcza pośród oficerów. Ci zaś rozmyślnie podsycali w marynarzach zrozumiałą zresztą tęsknotę za krajem, od którego z dniem każdym oddalali się coraz bardziej. Gdyby tak admirałowi istotnie udało się znaleźć przejście na dalszy ocean, wizja powrotu do domu siłą rzeczy odsunęłaby się gdzieś w nieskończoność...

W pierwszej chwili wiadomość o ucieczce „San Antonio” była dla Magellana głębokim wstrząsem. To przecież największy statek flotylii! Z pięciu pozostało mu już teraz tylko trzy. Stracił prócz tego sześćdziesięciu ludzi!

Tym żarliwiej jednak zebrał się do zrealizowania swego planu.

Kazał nawet ogłosić, że każdy kto publicznie wyrażać będzie wątpliwości co do sukcesu wyprawy, ukarany zostanie śmiercią.

Pięć tygodni trwała podróż wśród stale zmieniających się brzegów, aż wreszcie pewnego dnia Magellan i jego ludzie dostrzegli otwierający się przed nimi widok na przestworza oceanu. Było to dnia 27 listopada. W chwilę później już dziobnice statków puły fale Oceanu Spokojnego. Z radości że dotarli wreszcie do tego upragnionego miejsca, żeglarze nazwali ostatni przylądek wybiegający z brzegu w ocean — „Cabo deseado”, Przylądek Upagniony.

Rzuciwszy kotwice pozwolili sobie na chwilę zasłużonego odpoczynku przed wyruszeniem na dalszą wędrówkę — teraz już dosłownie w nieznanie. Marynarze zszedłszy na ląd daremnie szukali śladów jakichkolwiek mieszkańców. Świadectwem ich istnienia były tylko widziane w nocy przez członków załogi jakieś ognie, od których ta część ziemi otrzymała nazwę — Ziemia Ognista.

Od ujścia cieśniny do Oceanu Spokojnego Magellan płynął na zachód z niewielkim odchyleniem ku północy. Podróż czekająca statki i ludzi — podczas której nie pojawił się nawet najmniejszy skrawek lądu — miała trwać 48 dni!

Na szczęście wówczas tego nie przecuwali. Na odwrót: sam Magellan był przekonany — opierając się na obliczeniach swego przyjaciela Serrão — że bardzo prędko natknie się na Moluki, które powinny być przecież blisko zachodnich brzegów Ameryki Południowej.

Jedynie, co nie sprawiało im trudności w podróży, to ocean, który istotnie zasłużył na swą nazwę: El mar pacífico. Lecz pokonywanie jego olbrzymich, spokojnych przestrzeni — przestrzni, których rozmiarów nikt nie brał pod uwagę — wnet wykazało niedostateczne zaopatrzenie flotylii: zapasy wody do picia i żywności kończyły się w zastraszającym tempie. Woda w kadziach poźółłka, zaczęła cuchnąć. Marynarskie suchary zjedzono już dawno, w beczkach po nich zostały tylko okruchy zmieszane ze szczurzymi odchodami. I szcury także bardzo szybko znikwały na statkach — pieczone, w żołądkach załogi. Marynarze zaczęli wycinać kawałki skóry bydlęcej osłaniającej części masztów i rej. Trzeba je było

kilka dni moczyć w wodzie morskiej, by choć trochę zmiękły, potem dla przypieczenia wkładać do gorącego popiołu. A jednak było to tylko oszukiwanie ust — każdy taki niesmaczny i twardy kęs trzeba było bardzo długo żuć, zanim wreszcie udało się go jakoś przegryźć i połknąć.

Wrzaz z głodem zjawiały się także dalsze skutki złego odżywiania: ludziom puchły dziąsła, wypadaly zęby, w ustach tworzyły się ropiejące rany. Jeśli tkwił w człowieku zarodek jakiegokolwiek choroby, teraz rozwijał się bujnie, atakując bezbronny, osłabiony organizm. Zmarło kolejno dziewiętnastu marynarzy.

Dnia 25 stycznia 1521 roku ludzie dostrzegli pierwszą wyspę — była naga i nie zamieszkała. Po tygodniu minęli następną, wokół której roito się od rekinów. (Ani Magellan, ani nikt z załogi nie przypuszczał, jak blisko przepływali koło nieznannej części świata — Australii!)

Dopiero 6 marca spostrzegli większe wyspy — Guam i Santa Rosa — skąd wypłynęło ku nim kilka pirog zaopatrzonych w żagle. Kontakt z tubylcami jednak był bardzo niemiły. Jakiego rodzaju byli to ludzie zdradza nazwa, nadana owym wyspom przez Magellana: „Ladrones” — Wyspy Złodziejskie. Skończyło się strzelaniną z armat i muszkietów, którą marynarze odegnali ciemnoskórych gości. By uzupełnić zapasy Magellan kazał przybić do jednej z wysp, spalić tubylczą wieś i zabrać wszystkie nagromadzone tam zapasy orzechów kokosowych i trzciny cukrowej.

Lecz to tylko drobne przykrości — oczywiście z punktu widzenia żeglarzy — w porównaniu z przeżywanym właśnie przez Magellana najszcześniejszym momentem jego życia. Kiedy pierwsza piroga przybiła do korywety, a ciekawi i chciwi tubylcy wdrapali się na pokład, admirał z wysokiego kasztelu dowódcy początkowo obserwował ich obojętnie. Od dawna przyzwyczajony był do takich widowisk. Patrzył jak wyspiarze rozbiegają się po statku oglądając i obmacując wszystko, co lśniło metalem, jak usiłują wypatrzeć jakiś drobny przedmiot, który mogliby ze sobą zabrać... Marynarze biegali za nimi, odganiaли, bili po rękach. Tuż pod kasztłem rufowym, gdzie siedział Magellan, rozpoczęła się kłótnia między dwoma tubylcami i malajskim marynarzem, członkiem załogi. Po chwili dopiero Magellan uświadomił sobie, że ci ludzie się rozumieją! Mówią tym samym językiem! Powoli Magellanowi za-

częły się nasuwać skojarzenia: malajski marynarz pochodził z Moluków, stamtąd przez Indie i afrykańskie targi niewolników dostał się do Europy, do Lizbony. Z Portugalii na statku Magellana popłynął na zachód, przez cieśninę południowoamerykańską trafił na Ocean Spokojny i po długiej podróży dotarł wreszcie do wysp, gdzie ludzie mówią tym samym językiem, jakim mówią w miejscowości, z której ongiś wyszedł. A więc flotylla znalazła się na malajskich wodach, dotarła do nich opływając całą kulę ziemską! Stąd przecież już prowadzi bezpośrednia droga — wciąż dalej na zachód, dokoła Indii i Afryki — do macierzystego portu w Portugalii.

Cel, jaki sobie postawił Magellan, został osiągnięty. Spełniło się marzenie całego jego życia. Szczęście jego było tak wielkie, że nie potrafił go wyrazić. Łagodnie pochylony siedział bez ruchu, bez słowa — patrzył przed siebie. Sylwetki dwóch tubylców i malajskiego marynarza rozplływały mu się przed oczyma, jakby mu wzrok nagle przesłoniła mgła — może to były lzy — a z mgły tej wyłaniał się powoli obraz olbrzymiej, pokrytej ładami i oceanami kuli... Wydało mu się, że nagle widzi ją ze wszystkich stron, że bierze ją całą w ramiona. Kulę ziemską, którą opłynął!

Dłuższy wypoczynek i możliwość odzyskania sił znaleźli żeglarze dopiero na dalszych, większych, gęsto dokoła rozsianszonych wyspach. Tam także udało się nawiązać przyjazne kontakty z miejscowymi mieszkańcami, zwłaszcza z królem wyspy Cebu. Najwyższy szacunek dla białych ludzi budziła ich broń, a demonstrowane hałaśliwe wystrzały budziły wśród tubylców takie prężenie, że zgadzali się na wszystko, czego domagali się ludzie Magellana. Więc na przykład wspomniany król zgodził się bez oporu przyjąć wraz z całym swym dworem chrzest z rąk towarzyszącego wyprawie kapłana. Uznał także „zwierzchność” cesarza Karola V.

Wielkiego zaiste trzeba było przywiązania do wiary i wielkiej naiwności ducha, by Magellan i jego ludzie mogli uwierzyć, że tubylczy władca w ogóle orientuje się, czego od niego żądają i na co się zgadza. Oczywiście: grała tu i pewną rolę pogarda dla kolorowych tubylców, a także przeświadczenie, że zasady chrześcijaństwa oraz tytuł Hiszpanii do władzy nad światem są tak oczywiste, iż

wystarczy je tylko — przy pomocy tłumacza — ogłosić, a o resztę już nie trzeba się kłopotać.

By odwdziżyć się królowi za jego uległość, Magellan wezwał wszystkich obecnych na „uroczystości chrztu” naczelników i przywódców, by z kolei oni uznali zwierzchność króla nad całym terenem wyspy. Kiedy dwóch z nich nie chciało się zgodzić, Magellan zareagował na to w zwyczajny sposób: spalił ich wsie. Trzeba było przecież tym dzikusom udzielić pogładowej lekcji autorytetu władzy, potęgi hiszpańskiego państwa i jego przedstawicieli...

Magellan przygotowywał się już do powrotu, by zebrać laury swego wiekopomnego, historycznego czynu. Lecz zaszedł jeszcze drobny wypadek, który mógł spowodować najwyżej nieznaczne, kilkudniowe zaledwie opóźnienie, stwarzał natomiast okazję do jeszcze bardziej ostantacyjnego zademonstrowania potęgi władz hiszpańskich. Naczelnik sprawujący władzę na pobliskiej, małej wyspce Matan — leżącej tuż naprzeciw Cebu — nie chciał pójść w ślady władcy Cebu i ugiąć karku przed Hiszpanami. Magellan postanowił i jemu także udzielić odpowiedniej nauczki: podoprządkować sobie wyspę siłą.

Król dla poparcia tej imprezy zaproponował mu tysiąc swych wojowników. Lecz Magellan nie przyjął — osłabiłoby to znaczenie sukcesu, jaki chciał osiągnąć. Tę drobną sprawę muszą ludzie biali załatwić sami! Nie miał zastrzeżeń, by król wraz z swymi ludźmi towarzyszył Hiszpanom, lecz tylko w charakterze widzów, udziału w samej walce brać nie mogą. To już załatwi Magellan ze swymi sześćdziesięciu ludźmi, którzy ze wszystkim dadzą sobie radę. Przecież parę zaledwie strzałów zakończy całą sprawę, oporny Matan złoży broń.

I statki popłynęły ku wyspie.

Do brzegu jednak przybić nie mogły ze względu na ostre podwodne rafy koralowe. Rzucono więc kotwice o kilkadziesiąt metrów od brzegów wyspy. Magellan wraz z swymi sześćdziesięciu pancernymi żołnierzami skoczył w wodę i brodząc parł do brzegu. Czekano tam na niego półtora tysiąca uzbrojonych w oszczepy i łuki tubylców. Hiszpańscy muszkieterowie i kusznicy, którzy musieli pozostać na statkach, zaczęli strzelać — lecz odległość była zbyt wielka, strzelanina okazała się nieskuteczna. Prócz tego tu-

byli mieli możliwość krycia się za gęsto na brzegu rozrzuconymi gałkami, leciały pociski z kusz, lecz nieprzyjaciel widząc, że nie niosą one śmierci, szybko opanował pierwsze zerażenie.

W miarę jak oddział Magellana zbliżał się do brzegu, oszczepy, strzały, a nawet rzucone przez tubylców kamienie stawały się coraz celniejsze i dokuczliwsze, groźne zwłaszcza dla nóg białych, nie były one bowiem osłonięte pancerzem. Cóż jednak mogą zdziałać miecze i kopie, gdy nieprzyjaciel niepodobna dosięgnąć, a obstrzał z odległych statków nie pomaga. Wówczas Magellan postanowił zmienić taktykę: nakazał chwilowy odwrót. W tym jednak momencie ostre zatrute strzały ugodziło go w nogę — upadł na kolana. Widok padającego dowódcy i wybiegających ze swych kryjówek tubylców w liczbie półtora tysiąca tak zdeprymował hiszpańskich żołnierzy, że natychmiast rzucili się do ucieczki w morze. Nie obejrawszy się na rannego biegli przez wodę, brodząc i przedzierając się ze wszystkich sił do statków. Bardzo niewiele pozostało przy admirałce.

„Tubylcy atakowali nas uparcie, a ponieważ rozpoznali dowódcę, w niego przede wszystkim kierowali oszczepy. Dwukrotnie stracili mu hełm z głowy. Magellan jednak jak dzielny rycerz wytrzymał razem z nami, nie próbował się ratować. Walczyliśmy tak ponad godzinę, gdy jednemu z tubylców udało się trafić trzinową strzałą admirała w twarz. Rozwścieczony Magellan przebił napaśnika jego własnym oszczepem, potem próbował dobyć miecza. Lecz udało mu się to tylko w połowie, gdyż kolejny oszczep utknął w jego prawej ręce. Dostrzegłszy to nieprzyjaciele natarli na niego tłumnie, jeden z nich wymierzył mu taki cios w nogę, że zwałił się padając na twarz. Wtedy rzucili się na niego kłując go oszczepami i wszelką posiadaną bronią. W ten sposób zabili nasze światło, naszą pociechę, naszego wiernego dowódcę.” (Z notatek Antonio Pigafetty, włoskiego rycerza, który brał udział w tej bitwie).

„Tak walczyliśmy ponad godzinę...”

Ponad godzinę biali ludzie przyglądali się tej walce admirała Magellana i garstki jego wiernych żołnierzy, zanim poważyli się ruszyć znowu na ląd. A może to reprezentujący większość załogi Hiszpanie ponad godzinę przyglądali się, jak z kilku tylko towarzyszymi bije się samofny Portugalczyk, który podczas całej wy-

prawy miał prawo nimi dowodzić, wydawać im rozkazy, zadreżać dyscypliną...

Ponad godzinę także jednym i drugim przyglądali się ze swych pirog: tubylczy władca i jego tysiąc wojowników. Dziwne zapewne myśli budziły się w głowie króla. Więc to tak, ci obcy ludzie, którzy zdawali się nie do pokonania i mówili o sobie, że wraz z swym nieznanym bogiem są panami całego świata — właśnie oni na naszych oczach zostali przepędzeni, pokonani i pomordowani przez zwyczajnych wyspiarzy, tej samej krwi co ludzie z Cebu i z całej okolicy...

Surowa twarz króla przybrała tak kamienną maskę, że nikt nie zdołał odczytać z niej jego myśli.

Wróciwszy na wyspę Cebu Hiszpanie zaczęli czynić przygotowania do odplynięcia. Przedtem jednak trzeba było zgromadzić jak największą ilość zapasów, ale także korzeni i wogóle wszelkich drogocennych rzeczy, jakie tylko można zdobyć. Bardzo energicznie więc zabrali się do handlu wymiennego — niecierpliwili się, kłócili, byli bezwzględni. Zażądali także, by król Cebu przygotował jakiś dar dla władcy Hiszpanii, cesarza Karola V — rzecz prosta ma to być złoto i drogie kamienie — dar tak bogaty, by mógł zadokumentować przywiązanie i uległość jego nowych poddanych. Król się nie sprzeciwiał. W jakiś czas potem zjawili się jego posłowie zapraszając nowego dowódcę i następcę Magellana, nazwiskiem Diego de Barbosa, wraz z wyższymi oficerami i dowódcami do siedziby radży celem uroczystego przyjęcia daru dla swego władcy.

Na łód udała się grupa dwudziestu czterech ludzi. Z wielkim ceremoniałem wprowadzono ich do sali jadalnej i tam podczas uczty — wymordowano co do jednego.

Dnia 20 września 1519 roku w porcie hiszpańskim San Lúcar dwustu siedemdziesięciu ludzi weszło na pokłady pozostających pod dowództwem Magellana pięciu statków: „Trinidad”, „San Antonio”, „Concepcion”, „Victoria” i „Santiago”.

Dnia 6 września 1522 roku do tego samego portu powrócił je-

den statek z szesnastu ludźmi załogi — bez Magellana. Ta jedyna fregata nosiła imię „Victoria”, co znaczy: zwycięstwo. Istotnie — powrotem swym dała świadectwo zwycięstwa idei Magellana, opłynęła bowiem kulę ziemską.

Dopiero wyprawa morska Magellana przyniosła ostateczny dowód kulistości ziemi — tym razem dowód oczywisty. Sprostowała także błędne dotąd wyobrażenie o wielkości kuli ziemskiej, o odległościach dzielących poszczególne części świata, o usytuowaniu poszczególnych mórz i oceanów. Wyprawa Magellana położyła największe ze wszystkich odkrywczych wypraw zasługi dla poznania świata.

Współcześni — prócz uczonych geografów — wyżej jeszcze ocenili jej korzyści materialne. Przywiezione przez „Victorię” z wysp Oceanu Spokojnego korzenie nie tylko pokryły wszelkie koszty połączone z wyprawą — wliczając w to stratę czterech statków — lecz nadto dały tak znaczny zysk, że odkryte tereny stanowiły później przedmiot długoletnich zatargów między mocarstwami morskimi: Hiszpanią i Portugalią, a z czasem także i Holandią, stały się celem wielu wypraw, teraz już wyłącznie zdobywczo-handlowych.

PODBÓJ PERU

PEWNEGO dnia na targowisku Panamy — Hiszpanie to zbiorowisko chat z paru tylko murowanymi budynkami rządowymi z dumą nazywali miastem — znowu odezwały się piszczałki i bębny. Hałasowały tak długo, aż udało im się wyrwać z leniwej bezczynności paru próżniaków i gapiów — wysunęli się z cienia arkad i ścian, powoli podeszli do grupy piszczków i dobozów.

Głośne instrumenty ucichły wreszcie, potem odezwał się ochrypły głos wywoływacza, który odczytywał coś głośno zzymanego przed sobą wielkiego arkusza.

Już pierwsze słowa powstrzymały kroki zbliżających się ludzi. Zbyt często to słyszeli: należy zgłaszać się do oddziałów hiszpańskich dowódców, by wraz z nimi wyruszyć na podbój krajów złota i nieprzebranych skarbów!... Słuchacze już dobrze wiedzieli, co o tym myśląc.

Tym znowu razem ową ziemią obiecaną miało być na odmianę Peru, jakies zakazane przedpiekle, gdzieś tam na południu, na wybrzeżu zachodnim. Oficerami zaś, którzy w ten sposób starali się zyskać przyszłą załogę, byli: Francisco Pizarro i Diego de Almagro. Właśnie ci!... Jeszcze czego — dać im się nabrać! Już dwa razy organizowali podobne wyprawy, zebrali ponad stu ludzi — a ilu z nich wróciło? Większość zginęła z głodu, z febrы lub wymordowana przez Indian. Sam Pizarro w jednej z tych wypraw był siedem razy ranny, z drugiej Almagro powrócił z jednym okiem.

Jeszcze im to opętanie jak widać nie przeszło. Teraz znów chcą brać w tę przeklętą peruwiańską awanturę. Jasna rzecz, mają w tym chyba jakieś własne cele. Długo później gadano w Panamie o przywiezionym przez nich z obu wypraw złotym skarbie — mimo iż musieli przyznać, że wyprawy się nie powiodły. Wprawdzie

pokazywanych później złotych przedmiotów było niewiele — uzyskano je tylko drogą handlu wymiennego — lecz doświadczonym oczom mówiły one wiele o bogactwie kraju, z którego pochodziły.

Perspektywy były więc kuszące, natomiast informacje przekazywane przez ludzi, którzy przeżyli pierwsze dwie wyprawy, były tego rodzaju, że człowiek choć trochę przywiązany do życia bardzo szybko tracił ochotę na angażowanie się w tak ryzykowną wyprawę.

Tego wszystkiego, co Pizarro i Almagro mogli włożyć w finansowanie nowej wyprawy, było bardzo niewiele. Kieszonki awanturników rzadko bywają pełne.

Siedzieli naprzeciwko siebie pogrążeni w myślach, zgnębieni. Trzeba koniecznie dostać się do tego Peru! Byli przekonani, że rezultaty wyprawy opłacą im się tysiącokrotnie. Potężna postać Pizarra pochylonego nad stołem, na którym był rozłożony szkic wybrzeża zachodniego Ameryki Południowej, wyglądała jak ulana ze spżu. Siedział tak ciężki, nieruchomy, a tylko ciemne, jarzące się oczy zdradzały, co dzieje się pod smagłym, sklepionym czołem i w szerokiej, żołnierskiej piersi tego człowieka. Wrzał tam wulkan zaborczej woli, który czekał tylko, by wreszcie gdzieś przebić sobie ujście. Pizarro widział już drogę przed sobą — wiodła ona wzdłuż kresek na mapie ku pustym, białym platom, gdzie zaczynała się nieznaną peruwiańska kraina. Lecz droga ta gęsto usiana była przeszkodami. Najważniejsza z nich to wcale nie mordercza podróz w niezdrowym klimacie, ani nawet nie Indianie, z którymi Pizarro na pewno da sobie radę. Nie, ta przeszkoda tkwiła gdzie indziej. Był nią gubernator królewski w Panamie; zazdrosny o przyszłe sukcesy peruwiańskiej wyprawy, będzie stwarzał wszelkie możliwe trudności, co oczywiście spowoduje i dalsze przeszkody na królewskim dworze, gdzie tak Pizarro jak Almagro to ludzie nieznanzi. Otóż to — największą z przeszkód stanowił ten przeklęty brak pieniędzy! Bo żeby złoto zdobyć, przede wszystkim i bezwarunkowo trzeba mieć złoto.

Siedzący po przeciwnej stronie stołu Almagro w porównaniu do Pizarra był mały, twarz miał odpychającą i wstrętną; drobną,

pełną zmarszczek, jakby przedwcześnie postarzała, chociaż niewiele tylko był starszy niż jego kompan. Lecz mimo wszystkich tych nieprzyjemnych cech umiał bardzo szybko zyskiwać życzliwość napotykanym ludzi, przede wszystkim żołnierzom, którzy doskonale wyczuwali, że ten niepozorny, wybuchowy człowiek budzi raczej lęk niemiłym wyrazem twarzy i słowami niż czynami. Wyladowawszy złość w przekleństwach i pogroźkach szybko odzyskiwał spokój i bardzo rzadko się zdarzało, by domagał się zastosowania kary, jaką poprzednio groził w podnieceniu. Nigdy nie wykreczał się od trudnych zadań i wysiłków, jakie podejmowali jego żołnierze, umiał być w stosunku do nich szczodry. Potrafił także śmiać się, a czasem nawet bawić się wesoło.

— Luque! — wykrztusił nagle Almagro, kiedy już dość długo siedzieli wraz z Pizarrem naprzeciw siebie bez słowa.

Pizarro uniósł brwi ze zdumienia. Ach, naturalnie, Luque! To było rozwiązanie!

Fernando Luque był kanonikiem w kościele panamskim, to jednak nie było ważne wobec innych jego cenniejszych właściwości. Przede wszystkim był świetnym znawcą skarbowości, spraw finansowych i wszystkiego, co się z tym łączy, po drugie dzięki tym umiejętnościom został mianowany administratorem „finansów państwowych” kolonii panamskiej, stanowisko to zaś zapewniało mu znaczny wpływ na sprawy publiczne.

Tylko Luque — obaj przedsiębiorcy oficerowie znali go już dawno — on jeden mógłby tu pomóc. Gdyby zechciał... A zechce na pewno, gdy się przekona, ile mu ta impreza przyniesie.

— Pójdźmy go zatem przekonać — uzgodnili Pizarro z Almagrem i natychmiast wybrali się do przyjaciela.

Luque od dawna był doskonale poinformowany o wszystkim, czego tylko można się było dowiedzieć o Peru. Obaj przyjaciele zjawiwszy się u niego nie musieli mu długo i szeroko tłumaczyć sprawy. Owszem, wierzył wszystkiemu, co mu mówili, lecz przede wszystkim potrzebne są pewne obliczenia. I dalej rozmowa toczyła się już tylko w cyfrach: ile wyniosą niezbędne koszty, ile kto może włożyć w przedsięwzięcie, skąd zdobyć brakujące sumy... To oczywiście miał już wziąć na siebie Luque. W końcu ciała

trójka ustaliła dokładnie, jaki będzie ich udział w zyskach. Dobre rachunki robią dobrych przyjaciół.

Zaraz nazajutrz pełen najlepszych nadziei Luque zwrócił się do hiszpańskiego gubernatora królewskiego w Panamie i zastosowawszy całą swą chłodną, rzeczową, a zarazem budzącą zaufanie retorykę starał się z kasy gubernatorstwa otrzymać potrzebne pieniądze. Mówił szeroko o gwarancjach, krótko, lecz z naciskiem, o spodziewanych rezultatach: poszerzeniu terytoriów hiszpańskich, nawróceniu dalszych pogan na prawdziwą wiarę, a dalej — i to przede wszystkim — o finansowej dochodowości tego rodzaju wyprawy.

Ale gubernator odmówił: nie chce tworzyć nowych państw ze szkodą dla macierzystego kraju, nie da się namówić na dalsze ryzykowanie życia ludzkiego. I tak już dość ludzi zmarnowano za te niezbędne złote i srebrne drobniaki, i kilka kóz indiańskich...

Luque zapewne z czasem potrafili by wykryć prawdziwe przyczyny odmowy gubernatora, kryjące się za owymi wniośnymi podobudkami. Może nawet udałoby się je obalić. To jednak spowodowałoby znaczną zwłokę, a rezultat tak czy tak był dość niepewny. Ostatecznie z tak kosztowną i odpowiedzialną sprawą słuszniej było zwrócić się do mistrza kowalskiego niż do kowalczyka. Luque zaproponował więc, by Pizarro udał się do Sewilli i prośbę o pomoc finansową przedłożył bezpośrednio na dworze królewskim. Nikt go tam nie zna? Będzie musiał więc postarać się o wpływowe kontakty! Okazało się przy tym, że panamski wikary ma w kraju wielu znajomych wśród wybitnych osobistości. Natychmiast wskazał ich Pizarrowi. Wolałby co prawda, by to Almagro pojechał do Hiszpanii, do jego uczciwości miał bowiem większe zaufanie. Ale wiele także zależy od pierwszego wrażenia, jakie wywierają będzie osoba petenta. Większe walory tego rodzaju miał olbrzym Pizarro, również sprytny jak uparty i skory do bitki. Więc Luque starał się na wszelkie możliwe sposoby uzyskać przynajmniej pewne gwarancje i zobowiązania, że Pizarro nie wykorzysta okazji wyłącznie dla własnej korzyści ze szkodą dla pozostałych współników.

Zebrawszy tyle pieniędzy ile tylko się dało Pizarro wsiadł na statek mając w bagażu kutą kasetkę ze złotymi klejnotami, wio-

ząc także czterech indiańskich niewolników oraz dwie lamy, zwierzęta, których nikt dotąd w Europie nie widział.

Pół roku musieli teraz czekać Luque i Almagro na powrót Pizarra. Długo to okres czasu, tym dłuższy, że stale ich nękała nieufność i złe przeczcucia.

Kiedy wreszcie Pizarro znów stanął przed obu przyjaciółmi, okazało się, że przewidywania ich były uzasadnione. Z dumą i entuzjazmem Pizarro zaczął im opowiadać o swych sukcesach na dworze. Zjawił się tam w wyjątkowo sprzyjającym momencie. Cesarz Karol V po niedawnym zwycięstwie nad Francją był właśnie w doskonałym nastroju i wybierał się na uroczystości koronacyjne do Rzymu. Miał moc przeróżnych planów, wiedział przy tym, że do ich przeprowadzenia będzie mu potrzeba ogromnych pieniędzy. W takiej właśnie chwili Pizarro zademonstrował mu okazy peruwiańskich klejnotów i z niesłychaną pewnością siebie zawczasu złożył całe Peru u jego stóp. A prócz tego miał szczęście, że w tym samym czasie zjawił się na dworze Cortez, a Cortez był żywym dowodem, że Hiszpanie potrafią zdobywać wspaniałe państwa, w których później złoto i srebro płynie strumieniem! Więc konkwestador i cesarz szybko uzgodnili: Pizarro dostał polecenie zdobycia Peru, a za to miał otrzymać godność i prawa wicekróla, a zarazem naczelnego wodza i sędziego w zdobytych krajach — i to do końca życia, z zastrzeżoną roczną pensją 725 000 marawędów. Almagro zaś został mianowany dowódcą głównej twierdzy hiszpańskiej, która powstanie z peruwiańskiego miasta Tumbes z przewidywaną roczną pensją 30 000 marawędów. Zaś kanonik Luque otrzyma biskupstwo ze stolicą również w Tumbes oraz pensją roczną tysiąc dukatów.

Pizarro udawał ogromnie zdziwionego, kiedy po tych wiadomościach nie dostrzegł na twarzach przyjaciół wyrazu zachwytu i wdzięczności. Almagro nie panując nad sobą gwałtownie wyrzucił Pizarrowi, że wykorzystał sytuację, nadużył pełnomocnictw i zawiódł ich zaufanie. Przecież wszelkie godności, prawa i korzyści zastrzegł wyłącznie dla siebie, im zaś pozostawił tylko nędzne okruchy! Pizarro wiedząc, jak dalece wyrzuty te są uzasadnione, z tym większą pasją się bronił. Może doszłoby nawet do całkowitego zerwania, gdyby w ostatniej chwili nie interweniował Luque. Bez względu na to, co zgotował im Pizarro, cała impreza

nie może na tym ucierpieć i „spółka trzech” nie może się rozpaść! Z wielkim trudem udało się kanonikowi chociaż na tyle uspokoić Almagra, że dalej mogli już we trzech rozmawiać o przyszłości zamiast robić sobie wyrzuty z powodu przeszłości. (Ale doznanej krzywdy Almagro nigdy Pizarrowi nie zapomniał.)

Wrócili do rozmów konkretnych. Okazało się, że prócz obietnic i wręczeń dwór królewski nie zamierza w czymkolwiek udzielić pomocy. To niedobrze, lecz mimo to — skoro mają zgodę cesarską w postaci pisma — kredyt jakoś się znajdzie. Jakże jeszcze warunki figurują w tym dokumencie? Na zdobytych terenach ma powstać solidny rząd, który przede wszystkim będzie dbał o dobro tubylców — przeszli nad tym do porządku bez słowa. Indianie będą nawracani na świętą wiarę chrześcijańską — to rzecz oczywista. Wolno będzie więźniom zaciągać się pod hiszpańskie sztandary, za co kara zostanie im darowana — no naturalnie, bo skądże by wzięli ludzi? Piąta część zysków będzie natychmiast odprowadzana dla korony.

Odłożwszy dokument rozpoczęli pertraktacje między sobą. Zyski będą dzielone na równe trzy części. To rzecz najważniejsza. Z kolei Pizarro zaczął zapewniać Almagra, że nowe tereny będą dostatecznie duże, by mogły zaspokoić ambicje ich obu, że swoją władzą będzie się z Almagrem dzielić, bo koniec końców są przecież przyjaciółmi, więc to, co zyska jeden, będzie zarazem i zyskiem dla drugiego. Almagro milczał, miał na ten temat własne zdanie. Luque wołał szybko przejść do sprawy istotnych przygotowań wielkiego przedsięwzięcia. Zagadnienia te tak ich zainteresowały, że pozornie odsunęły poprzednie nieporozumienia na plan dalszy. Główną troską okazała się kwestia zdobycia załogi. Wśród tych, którzy przybyli wraz z Pizarrem z kraju, byli oczywiście jego bracia — rodzina przecież zawsze powinna trzymać się razem, po cóż zyski pozostawiać innym? Najstarszy z braci, Hernando, ambitny, brutalny i bezwzględny, z góry stanowił gwarancję, że trudności na przyszłość nie ograniczą się tylko do rywalizacji między Franciskiem Pizarro i Almagrem.

W styczniu 1531 roku z portu panamskiego wypłynęły trzy statki wiozące stu dziewiętnastu żołnierzy, w tym dwudziestu

siedmiu z oddziału jazdy. Dowódcą był Francisco Pizarro, Almagro zaś zwerbował dalszych ludzi miał wyjechać później.

Po trzynastu dniach podróży na południe, stale wzdłuż zachodniego wybrzeża Ameryki Południowej, Pizarro zdecydował się zejść na brzeg i dalej posuwać się po lądzie, statki bowiem natrafiły na wyjątkowo nie sprzyjające wiatry, a zbyt długie bezczynne obijanie się po pokładach nie wpływało dobrze na załogę. Statki miały towarzyszyć wyprawie płynąc przy brzegu.

W jakiś czas Pizarro wraz ze swymi ludźmi dotarł do wielkiej, pełnej okazałości domów osady; nastroje zmęczonych długim marszem ludzi poprawiły się od razu. Wojsko bez namysłu, nie czekając nawet rozkazu, rzuciło się w uliczki, skąd mieszkańcy uciekali pośpiesznie nie myśląc nawet o ratowaniu dobytku. To właśnie miał na celu ten niespodziewany atak — przyniósł on napastnikom wiele znalezionych klejnotów, dość co prawda prymitywnej roboty, jednakże z czystego złota. Entuzjazm zdobywców wzmógł się znacznie. Pizarro rozkazał wszystkie łupy znieść na jedno miejsce i oddzieliwszy piątą część — należny dział królewski — resztę na miejscu rozdzielił między oficerów i żołnierzy, by każdy mógł się konkretnie przekonać, że wyprawa jest wspólnym przedsięwzięciem wszystkich, a w każdym wysiłku kryje się hasło: jeden dla wszystkich, wszyscy dla jednego. Pizarro nie zapomniał także odesłać natychmiast części królewskiej statkiem do Panamy, by w ten sposób odpowiednio przygotować grunt dla poczynąń Almagra i księdza Luque — jednemu przy werbunku żołnierzy, drugiemu przy staraniach o kredyty i pożyczki.

W dalszym marszu Hiszpanom dokuczają raczej przyroda — ulewny i upały na zmianę — niż tubylcy, którzy nim jeszcze zdążyli dojrzeć Hiszpanów, już uciekali w popłochu. A jeśli zdarzyło się, że żołnierze Pizarra natknęli się na jakiś bardziej bojowy szczep, który próbował maszerującym zagrozić drogę, wówczas następowała gwałtowna strzelanina z muszkietów i szarży jazdy. Oba te sposoby walki były dla Indian zupełnie nie znane, tym bardziej więc wydawały się straszliwe.

W tym czasie także Pizarro otrzymał znaczne posiłki, nadesłane statkami z Panamy: dalszych stu ludzi piechoty. Z tak powiększoną ilością wojska skierował się teraz wprost na bogate miasto Tumbes, znane mu już z poprzednich wypraw.

Tumbes — miasto złota, szmaragdów i niesłychanych bogactw. Wszystkie krążące o nim po Panamie wieści, wyolbrzymione teraz jeszcze przez niecierpliwość, przyśpieszały bicie serca i kroki maszerujących ludzi. Jakież wstrząsające było rozczarowanie, gdy weszli w ulice: wszystkie domy stały puste, pozbawione wszelkiego wyposażenia — nie było w nich dosłownie nic, co można by było zabrać! Pizarro zrozumiał wówczas, że to skutki dotychczasowego zachowania się żołnierzy, że wieści o rabunkach i grabieżach zmieniły się już bez wątpienia po całym kraju. Trzeba więc było zmienić taktykę.

Z wyludnionego miasta Pizarro ruszył dalej na południe. Znalazszy odpowiednie miejsce założył stały punkt oparcia dla wyprawy i wypadów — z pni drzew i wydobytych z kamieniołomów bloków powstała w ciągu paru tygodni nowa osada: twierdza San Miguel de Piura. Osiedlili się w niej ci wszyscy, którzy ze względu na odniesione rany lub choroby nie mogli brać udziału w dalszych wyprawach. Księży i urzędników przysłała teraz już chętna, olśniona dotychczasowymi przesyłkami złota Panama. Każdy z osadników otrzymał przydział bardzo urodzajnej ziemi, no i rzecz oczywista odpowiednią ilość Indian-niewolników do prac polnych i budowlanych.

Zbudowawszy mocną bazę wypadową, Pizarro udał się na dalsze przeszukiwanie okolicy wydawszy przedtem surowe zarządzenie, by żołnierze wystrzegali się jakichkolwiek gwałtów w stosunku do tubylców — wszystko, cokolwiek miano uzyskać na przyszołość od Indian należało zdobywać w drodze wymiany.

Równocześnie kazał gromadzić jak najwięcej informacji o państwie peruwiańskim.

Były one bardziej niż interesujące.

Hiszpanów bynajmniej nie zaskoczył fakt, że napotkali okazałe, murowane miasta: wiedzieli już o tym od wracających z Meksyku ludzi Corteza. Bardziej zdumiewała ich wszędzie, tam gdzie kryzysli — stan istniejących dróg. Cały kraj zdawał się być pokryty siecią szerokich, wygodnych szos z twardą nawierzchnią. Tam, gdzie przebiegały one przez jakieś osady, a także w miejscowościach wyżej położonych i w górach — były nawet wybruko-

wane! Przy szosach, w regularnych odstępach — około pół dnia marszu — stały kamienne budynki-zajazdy z zapasami żywności, przeznaczone dla posłów, urzędników i dygnitarzy. Podobnie rozwiązano i kwestię wody: doprowadzono ją po całym kraju długimi nieraz na setki mil kanałami i przepustami, doprowadzając w ten sposób wodę nawet do najbardziej odległych pól uprawnych. Dla ochrony przed niesionym od pustyni piaskiem pola grodzono niskimi wałami z gliny. Na terenach wyżej położonych było widoczne, że ziemia na pola została tam naniesiona z dolin. Tak nawadniana i starannie uprawiana gleba dawała obfite plony: zboża, fasoli, a w niektórych okolicach ziarna kakaowego, różnych korzeni, bananów i wielu rodzajów jarzyn.

Podobnie jak podawały informacje z Meksyku i tutaj także ziemia nie była własnością prywatną, lecz należała do państwa, a więc do władcy. Ludzie pracujący na roli odstawiali wszystko, czego nie zużyli sami, do olbrzymich spichlerzy, skąd w czasach nieurodzaju ziarno rozdawano mieszkańcom.

Jeszcze bardziej godna podziwu była administracja peruwiańskiego państwa. Nad grupą dziesięciu rodzin czuwał nadzorca państwowy, nad stu rodzinami — wyższy urzędnik, najwyższy zaś nadzorował tysiąc rodzin, a nawet i więcej. Taka służba nadzorcza dbała o właściwą uprawę ziemi, zarządzała i sprawowała sądy nad swymi ludźmi. Pilnowała, by synowie w rodzinach uczyli się rolnictwa lub wykonywanego przez rodziców rzemiosła, kojarzyła małżeństwa i czuwała, by nikt nie odszedł z osady, w której się urodził. Specjalnie uzdolnionych chłopców wysyłano do szkół dla urzędników państwowych. Każdy Peruwiańczyk obowiązany był pracować do pięćdziesiątego roku życia, za to mógł nie troszczyć się o swe utrzymanie i odpowiednie warunki życia.

Sprawne funkcjonowanie skomplikowanej administracji tak rozległego państwa kontrolowali „tajni inspektorzy”, którzy incognito krążyli po całym kraju.

Prawodawstwo rozwinęło się z dawnych obyczajów. Niektóre formy prawne tak dalece zdumiewały Hiszpanów, że nawet budziły w nich zawiść. Jedna z ustaw wymagała na przykład, by każda prowincja była samowystarczalna, i to także pod względem rzemiosła, co oznaczało, że wszystkie potrzebne przedmioty trzeba było wyprodukować na własnym terenie. Inny znów paragraf naka-

zywał, by każda wieś i każdy rolnik znał właściwości i charakter swej gleby i w zależności od tego dobierał rodzaje plodów rolnych do uprawy. Podobnie obowiązkiem rodziców było obserwowanie zdolności swych dzieci oraz budzenie w nich zamiłowania do pracy ojca. Ustawy dotyczące wymiaru kar miały na celu wyłącznie utrzymanie ładu i bezpieczeństwa zarówno w kraju, jak i w osadach. Prócz kary śmierci za morderstwo istniały także za cięższe przewinienia prace przymusowe w kopalniach. Pracowali ponadto w kopalniach jeńcy wojenni; do takiej pracy mógł zgłosić się również dobrowolnie każdy, a to na okres trzech miesięcy. Przymusową pracą karano włóczęgów i próżniaków. Natomiast kradzieże oceniane były specjalnie i karane rozmaicie. Ktoś, kto popełnił kradzież z niedostatku, nie podlegał karze, przeciwnie: otrzymywał to, co mu było potrzebne — żywność, ubranie i tym podobne. Ale za niego ponosił karę odpowiedni „nadzorca rodzin”, którego obowiązkiem z urzędu było dbanie o potrzeby swego podopiecznego. Kiedy jednak ten sam człowiek po raz drugi dopuścił się kradzieży, co potwierdzałoby jego złe skłonności, wówczas groziła mu kara śmierci.

Wszystko to obok świeżo przeżytych wrażeń budziło w Hiszpanach przekonanie, że wchodzą do kraju co prawda niezmiernie bogatego, ale wcale niełatwego do pokonania. Rzecz prosta, że w informacjach tych były także i elementy sprzyjające hiszpańskim planom, na przykład opisany system administracji państwowej. System ten wszystko za obywateli państwa zatapiał, stale nimi kierował, tworząc z nich tym samym nie tylko zadowolonych poddanych, ale w znacznej mierze ludzi biernych, nie odczuwających potrzeby kierowania się własną wolą. A przy tym wszelka decydująca władza skupiała się w osobie przedstawiciela państwa, monarcha, który dla Peruwiańczyków był nie tylko władcą, ale i uosobieniem bóstwa zarazem.

Wtedy to po raz pierwszy Pizarrowi przyszło na myśl, że kraj ten zdobędzie tylko wtedy, gdy odniesie zwycięstwo nad Inką — jak Peruwiańczycy nazywali swego władcę.

Dalszą sprzyjającą dla Hiszpanów okoliczność przedstawiała zakończona bardzo niedawno przed ich przybyciem niesłychanie wyczerpująca i mordercza wojna, jaką obecny Inka Atahualpa prowadził ze swym bratem przyrodnim Huascarem; odebrałszy

podległe mu tereny jego samego wzięło do niewoli. Nieco później Hiszpanie oglądali okolice, gdzie rozegrała się między wojskami Atahualpy i Huascara decydująca bitwa — to, co zobaczyli, napełniło ich odrazą i przerażeniem. Pobjawisko, na którym odrastające trawy nie zdołały jeszcze zatrzeć śladów tej straszliwej rzezi, pokrywały tysiące bielejących w słońcu szkieletów. Okrucieństwo Atahualpy wobec wziętych do niewoli jeńców przerosło się w umyśle Pizarra w załączek nadziei, że może uda mu się niedawną wojnę domową wykorzystać dla przyszłych planów.

Rozważania Pizarra doprowadziły go do decyzji: przede wszystkim jak najprędzej spotkać się z samym Atahualpą i wtedy za jednym zamachem szalę losu przechylić na swoją stronę.

Na czele stu piechurów i sześćdziesięciu dwu jeźdźców, prowadząc dwie niewielkie armaty, wyruszył w kierunku doliny Cajamarki, gdzie w pobliżu — jak mówiły wiarygodne informacje — obozował Atahualpa ze swym wojskiem.

Wyprawa do tego odległego celu była niesłychanie męcząca; by dostać się do wnętrza kraju, Hiszpanie musieli najpierw pokonać wysokie pasmo górskie, Kordyliery. Mimo że droga cały czas była dobra, rozrzedzone powietrze na znacznych wysokościach i wspinanie się po stromych zboczach znacznie utrudniało pochód. Jak potężne, skamieniałe fale rozpościerały się wydłużone grzbieziny górskie, pośród nich wznosiły się strome stożki wulkanów. Po urwiskach skalnych z szumem toczyły się rwące strumienie zasilane przez lodowce, potem szybko znikwały na zboczach i w porośniętych gęstą dżunglą dolinach. Najwięcej kłopotów sprawiały Pizarrowi przecinające łańcuchy gór ciasne wąwozy — tam kilku zaledwie ludzi strącając luźne głazy na maszerujące oddziały, mogłoby je na pewno łatwo zmasakrować. Miejscami żołnierze mogli posuwać się tylko szeregami, jeden za drugim, przedstawiali więc idealny cel dla łuczników — można było po kolei strzelać do nich jak do tarcz na strzelnicy.

Nic podobnego jednak nie zaszło, chociaż Hiszpanie słusznie przypuszczali, że są pod stałą obserwacją indiańskich wywiadowców.

Dopiero kiedy pewnego wieczora żołnierze stanęli na szczycie ostatniego już łańcucha górskiego i spojrzeli w dół, na dolinę Cajamarki, Pizarro domyślił się, dlaczego Peruwiańczycy nie próbo-

wali urządzać zasadzek i stawiać przeszkód tej nieznaczej garstce cudzoziemców. Daleko u ich stóp błyskały tysiące ognie obozowych — obozowisko Inki! (Dowiedzieli się później, że Atahualpa zgromadził tam blisko trzydzieści tysięcy wojowników!) Cóż wobec tego znaczyło tych stu sześćdziesięciu dwóch hiszpańskich żołnierzy? Równie obojętnie można patrzeć na łączącą po brzegu talerza muchę — wystarczy przecież ruszyć ręką, by ją odegnąć.

Ostatecznie Hiszpanie weszli do Cajamarki; miasto zastali puste, nawet pies nigdzie nie zaszczekał. Nie wróżyło to nic dobrego, natomiast utwierdziło Pizarra w przekonaniu, że trzeba działać szybko. Jeżeli Inka w ten sposób pragnie wciągnąć obce wojsko w pułapkę — to jedyną możliwością ratunku stanowi zdecydowane przeciwdziałanie.

Tego samego jeszcze dnia Pizarro zwołał oficerów na naradę. Wszyscy byli w pełni świadomi, w jak niebezpiecznej znajdują się sytuacji. Pizarro pozwolił najpierw wygadać się oficerom — kiedy ostatecznie zrozumieją, jak beznadziejne na pozór jest ich położenie, łatwiej zgodzą się na przygotowany przez niego plan. Rozmowa miała przebieg dość gwałtowny. Uderzyć z garstką zbrojnych na trzydziestotysięczne regularne, wyćwiczone wojsko? Toż to oczywiste samobójstwo! Próbować szybko się wycofać? Czyż Peruwiańczycy znając wszystkie górskie ścieżki nie dogonią ich i nie zastąpią im drogi? A wtedy w wąwozach górskich czeka ich nieuchronna śmierć — o ile wojownicy Atahualpy nie zmiażdżą ich swą liczebną przewagą już zaraz po wyjściu z miasta. Prócz tego ten rodzaj ucieczki byłby dla Indian dowodem słabości białych ludzi, którym dotąd przypisywano niezwykłe, nadprzyrodzone wprost właściwości, a co na tubylcach robiło wrażenie.

Wszyscy przemawiający na naradzie ostatecznie doszli do wniosku, że nie widzą drogi wyjścia czy ratunku. I wtedy dopiero wystąpił Pizarro. A gdyby tak przypisywano sobie Corteza? Co on uczynił, otoczony przez przeważające siły Azteków?

Olśnieni kuszącą wizją oficerowie milczeli chwilę, potem jednak wystąpili z nowymi zastrzeżeniami. To prawda, Cortez wzięło do niewoli władcę Azteków, ale to zdarzyło się w zupełnie innych, odmiennych warunkach — Montezumę łączyły z Hiszpanami przyjacielskie stosunki, nie przedstawiało więc specjalnych trudności

zwabienie go do ich obozu, gdyż przypuszczał, że udaje się tam jako gość!

Zniecierpliwiony Pizarro przerwał dyskusję. A tym razem sprawę załatwił się siłą! Sam osobiście zaprosił Atahualpę do Cajamar-ki, a dalsze kroki obmyślił już dokładnie...

I przedstawił towarzyszom przygotowany w najdrobniejszych szczegółach plan. Plan był szalenie odważny — lecz wszelkie inne możliwości prowadziły do oczywistej klęski i nieuniknionej zguby, a tymczasem projekt Pizarra zawierał co prawda niewielką, ale zawsze szansę szczęśliwego końca.

Tej nocy żołnierze otrzymali rozkaz, by raz jeszcze starannie naostrzyli miecze i groty dzid, przejrżeli kusze i muszkiety, przygotowali ładunki prochu do dział.

Rankiem dwaj najwyżsi oficerowie Pizarra, jego brat Hernando i de Soto, wyjechali na czele trzydziestu pięciu jeźdźców do obozu Atahualpy. Lśniący polerowanymi pancerzami, z powiewającymi nad głowami proporcami, wśród dźwięku hałaśliwych trąbek przypominali groźne, ruchome, spiżowe posągi.

Już z daleka dostrzegli ich Atahualpa, jego orszak i dziesiątki tysięcy peruwiańskich wojowników; widzieli jak połyskując nieznanym metalem, w którym odbijało się słońce, zbliżają się te dziwaczne, dwugłowe i sześcionogie zjawy... Peruwiańczycy także po raz pierwszy widzieli konie niosące ludzi na grzbietach.

Na rozkaz dowódcy oddział konny zatrzymał się na półdziiesiąt kroków przed Inką. Tylko Hernando Pizarro, de Soto i trzej adiutanci podjechali bliżej. Hernando nie schodząc z konia zaczął mówić; po wstępnych uprzejmościach zawiadomił Atahualpę, że Hiszpanie są poddanyymi najpotężniejszego władcy świata, cesarza Karola V, że przybyli zaofiarować peruwiańskiemu władcy swe służby, z których najważniejszą będzie nauka jedynej wiodącej do zbawienia wiary chrześcijańskiej. Potem de Soto przekazał w imieniu dowódcy zaproszenie do Cajamar-ki.

Daremnie oficerowie wypatrywali, jakie wrażenie wywarło na Ince ich pojawienie się i śmiało, przekładane przez tłumacza słowa. Kamenny i wyniosły Atahualpa nie zdradził się nawet drgnieniem mięśni. Na ich słowa nie było bezpośredniej odpowiedzi. Tylko jeden ze stojących najbliżej Atahualpy dworzan odpowiedział krótko: „Dobrze”.

Lecz wysłannicy nie mogli się tym zadowolić, poprosili więc przez tłumacza, by Inka sam dał im odpowiedź.

Atahualpa uśmiechnął się lekko i teraz dopiero przemówił:

„Powiedźcie swemu dowódcy, że jutro wraz z moimi wodzami odwiedzę go. Tymczasem urzędźcie się wygodnie w domach stojących w Cajamarce wokół placu, lecz do innych nie wchodźcie, chociaż kazalem całe miasto opróżnić, by nikt wam nie przeszkadzał. Kiedy przyjdę, wydam zarządzenia, co dalej czynić należy”.

Hiszpanie zawiedzeni byli takim przyjęciem. Oczekiwali nieco więcej przejawów szacunku albo też strachu. Z kolei de Soto próbował zadziwić ciemnoskórych widzów swą sztuką jeździecką. Spiał konia ostrogami i galopem zaczął objeżdżać łąkę przed Atahualpą: pochylony w siodle zataczał coraz ciaśniejsze koła rzucając przy tym wojenny okrzyk: „Sant Jago!” W końcu wypuścił konia na wprost, jakby chciał najechać na Inkę, w ostatniej jednak chwili zdarł konia uzdą — spłoszone zwierzę wspięło się na tylnych nogach i tuż przed Atahualpą opadło na ziemię. Ale i wtedy także Inka się nie poruszył, nawet głowy nie odwrócił.

Czas bardzo się Hiszpanom dłużył przed owym decydującym dniem.

Tej nocy Pizarro nie spał; trzymający straż przed jego drzwiami oficerowie słyszeli, jak chodził nieustannie z kąta w kąt, tam i z powrotem, jak dziki zwierz w klatce...

Ledwie słońce weszło — był dzień 16 listopada 1532 roku — rozpoczął ostatnie przygotowania. Otaczające miejski plac domy to obszerne parterowe budynki z wielkimi izbami, z szerokimi bramami na poziomie ulic. W dwóch największych, stojących naprzeciw siebie, umieścił Pizarro podzieloną na dwa oddziały jazdę. W trzecim ulokował piechotę — z wyjątkiem trzydziestu ludzi, których zatrzymał przy sobie. Oba działa kazał ustawić w wieżach obronnych fortu, skąd dzięki wysokości był dobry widok na całe miasto. Ustalił także sygnały: na znak chusteczką jedna z armat odpali, wówczas wszyscy mają wykonać rozkazy, które teraz dopiero im przekazał.

Nie pozostawało nic innego tylko czekać.

Mijały godziny, wciąż jeszcze nie widać było, że w obozie Inki gotują się do wymarszu. Dopiero kiedy słońce stanęło w zenicie przybył do miasta peruwiański poseł i oświadczył, że „Syn

Słońca" — tak poddani nazywali Inkę — wybiera się w odwiedziny do Pizarra i że przybędzie wraz ze swymi wojownikami, tak jak poprzedniego dnia Hiszpanie przybyli do jego obozu.

Pizarro musiał użyć całego wysiłku woli, by się opanować i nie dać poznać po sobie, jak dramatyczne znaczenie ma dla niego ta fatalna wiadomość. Udało mu się jednak odpowiedzieć z uśmiechem, że w każdym wypadku powita wielkiego Inkę jak przyjaciela i brata.

Lecz czekała go jeszcze dalsza niemiła niespodzianka...

Po południu co prawda rzeczywiście wyruszył z obozowiska Inki orszak zapewniający gościniec na całej jego szerokości oraz leżące dokoła pola, wnet jednak zatrzymał się około pół mili przed wałami Cajamarki. Atahualpa polecił zawiadomić, że postanowił rozbić na noc namioty przed miastem, by wobec tak wielkiej ilości ludzi uniknąć zbędnej ciasnoty. Białego naczelnika natomiast odwiedzi nazajutrz.

Dalsze przedłużanie nieznośnego napięcia było już ponad siły Pizarra, obawiał się także wpływu, jakie mieć ono mogło na żołnierzy. Wysłał więc do Atahualpy specjalnego posła z prośbą, by Inka nie odkładał wejścia do miasta, ponieważ poczyniono już na jego przywitanie wszelkie przygotowania — zgadzało się to z prawdą co do joty — sam zaś Pizarro byłby szczęśliwy mogąc dziś jeszcze zasiąść z peruwiańskim władcą do wspólnej wieczerzy.

Z górnego tarasu swej kwatery niecierpliwie spoglądał przez wały na indiański obóz. Jak jego poseł załatwi sprawę?

I wreszcie westchnienie ulgi — gościniec znów się ożywił, orszak Peruwiańczyków był coraz bliżej.

Było późne popołudnie, słońce powoli chyliło się ku horyzontowi. W czystym wieczornym powietrzu jego ukośnie padające promienie czyniły widocznymi najdrobniejsze nawet przedmioty, nieciły blaski w każdym okrucu metalu, gdziekolwiek go napotykały. Teraz Hiszpanie mieli wrażenie, że ku miastu płynię bogaty strumień złota upstrzony wszystkimi kolorami tęczy. Za tłumem sług, którzy zmiatali z drogi każde źdźbło, szły szeregami białe i barwne przebranych dworaków — każdy z nich niósł w ręce srebrny albo miedziany młot lub kij. Z użu ich wisiały długie, złote nausznice, złoto lśniło także w szerokich ogniach łańcu-

chów na szyjach, przeblyskiwało w bransoletach na przegubach rąk. Za nimi, nad ich głowami, unosiła się jakaś jasność — przybliżała się w miarę rozkołysanych kroków idących. To w promieniach zachodzącego słońca jaśniała blaskiem lektyka, w której najwyżsi peruwiańscy dostojnicy nieśli na ramionach swego władce, Inkę Atahualpę. Drażki i baldachim lektyki z czystego złota, zdobione drogimi kamieniami — wszędzie dokoła chwiały się barwne ozdoby z farbowanych ptasich piór. Przetykana złotem szata Atahualpy przybrana była szmaragdami, drogie kamienie błyskały także spoza czerwonych frędzli „borli”, diadem, symbolu najwyższej królewskiej godności.

Hiszpanie oczu wprost nie mogli oderwać od tego wspaniałego widowiska. Ale rozkazy Pizarra brzmiały surowo: nie pokazywać się przedwcześnie Peruwiańczykom na oczy!

Kiedy orszak Inki przeszedłszy przez bramę w wałach miejskich posuwał się powoli szeroką, główną ulicą na centralny plac Cajamarki, zdumieni Indianie nie dojrżeli nigdzie ani jednego Hiszpana. Jakkolwiek Atahualpa wydał rozkaz, by uzbrojone wojska pozostały przed miastem — Pizarro nie mógł wprost uwierzyć własnemu szczęściu — jednak orszak dworzan, dygnitarzy, służby oraz towarzyszących im tysiącniców Cajamarki wypełnił cały plac i przyległe ulice wielu tysiącami Peruwiańczyków. Wszyscy oni rozglądali się zaniepokojeni, kiedy nareszcie zjawiał się ci Hiszpanie... Tak nagle zagadkowo zniknęły z powierzchni ziemi.

Wreszcie i sam Atahualpa przemówił pytając o przybyszów. Jakby w odpowiedzi wyszedł w tej chwili z kogoś domu jeden człowiek: wysoki, chudy, w brązowym, przepasanym białym sznurem habicie. Z krzyżem w ręku szedł między rozstępującymi się Indianami prosto ku lektyce Atahualpy. Był to pater Valverde, dominikanin towarzyszący wyprawie Pizarra.

Podszedłszy do władcy wystąpił z dłuższym przemówieniem — tłumacz ledwie mógł za nim nadążyć. Warto i wymownie zaczął od stworzenia człowieka, jego grzechu pierworodnego w raju, który Chrystus dopiero swą śmiercią odkupił. Dalej tłumaczył, jak moc boska przeszła z Chrystusa na jego apostołów, z nich zaś na rzymskiego papieża, który postanowił, że odkryte przez Hiszpanów kraje mają stać się własnością cesarza i muszą przyjąć chrześcijaństwo.

Z tej dziwacznej mieszaniny zasad wiary i polityki, płynącej z namiętnych ust dominikanina, Atahualpa zrozumiał to tylko, co musiało urazić i obrazić jego godność i poczucie królewskiej suwerenności. Już tym razem nie zdołał się opanować. Wzburzonym i brzmącym donośnie głosem odpowiedział mnichowi:

„Nie chcę być i nie będę nigdy niczym poddanym. Jestem potężniejszy niż którykolwiek władca na świecie. Wasz cesarz jest chyba także potężnym władcą, jeśli mógł wysłać swych poddanych tak daleko za morze — chętnie go będę uważał za brata. Co zaś do papieża — bez wątpienia jest on szalony, skoro rozdaje ziemie, które doń nie należą. A wasz bóg? Sam mówisz, że ukrzyżowali go ci ludzie, których stworzył. Mój bóg natomiast żyje jeszcze na ziemi i spogląda stamtąd na nas, na swoje dzieci!”

Kiedy Valverde próbował coś jeszcze tłumaczyć, Inka krzyknął na niego surowo:

„Powiedz swoim współtowarzyszom, że odpowiedzą mi za wszystko, co uczynili w moim kraju. Nie ruszę się stąd, jak długo nie dadzą mi zadośćuczynienia za wszelkie zło, za wszystkie popełnione zbrodnie!”

Pizarro stał na tarasie domu po drugiej stronie placu, ukryty za wystającą ścianką. Nie słyszał, co dzieje się na dole, widział tylko morze ludzi stojących ciasno głowa przy głowie, ale czuł unosząc się nad tym tłumem i wzrastające stałe napięcie. Widział jak Valverde szybko przedziera się z powrotem. Reszty się domyślił. Dłużej już nie można było zwlekać — zapadał zmrok. Podniósł się i wysoko nad głową machnął białą chusteczką.

Natychmiast nad Cajamarką zagrzmiał wystrzał z działa. Umówiony sygnał!

Ze wszystkich stron placu wypadła teraz ze swych kryjówek hiszpańska jazda i piechota. Gnali przed siebie w stłoczone tłumy Peruwiańczyków. Konie wspinały się obalając Indian kopytami, jeźdźni cięli mieczami na lewo i prawo, w głowy, karki, ręce. Piechota nastawionymi do ataku dzidami torowała sobie drogę. Kuszownicy i muszkietierowie, a wraz z nimi i ludzie przy działach, nie mierząc nawet strzelali w tłum i trafiali do celu.

Zaskoczeni Peruwiańczycy dłuższą chwilę stali jak skamieniały. Klęska przyszła tak nieoczekiwanie, że jej działania nie umieli nawet pojąć. Gdy jednak stało się jasne, co się dzieje — tłumy ogar-



nęła jedna wspólna myśl: ratować się przed grożącą ze wszech stron śmiercią, rozsiewaną przez nieznaną broń, która wśród groków i błyskawic niesie zagładę gdzieś z daleka. Prerażone masy ludzkie rzucały się to w tę, to w inną stronę — wszędzie jednak natrafiały na krwiożerczych Hiszpanów, którzy w oparach krwi i rzezi robili wrażenie ogarniętych szałem.

Jeden Pizarro zachował jasny umysł. Otoczony oddziałem żołnierzy wśród straszego zamieszania przebiegał się ku środkowi placu, gdzie nad głowami Peruwiańczyków wciąż jeszcze widać było złotą lektykę Atahualpy. Mimo że Indianie byli bezbronni, grupy dworzan i dygnitarzy starały się wszelkimi siłami osłaniać swego władcę. Próbowali ściągać jeźdźców z koni, czepiali się końskich nóg, wieszali się na nich, obojętni na ciosy kopyt i mieczów spadające na ich głowy. Pizarro i jego ludzie nie mieli chwili do stracenia — wieść o bitwie mogła się lada chwila przedostać z miasta do obozu uzbrojonych wojsk indiańskich. Inka w żadnym wypadku nie może się wymknąć! To sprawa najważniejsza, dlatego tylko zaczęła się ta cała rzeź.

Hiszpański dowódca i jego drużyna dosłownie po trupach dotarli do lektyki Atahualpy, która w chwili gdy miecze Hiszpanów dosięgły niosących waliła się wraz z Inką na ziemię.

Czas już był najwyższy, w tym momencie bowiem inny także oddział hiszpański przebił się na środek placu. Byli to jeźdźcy pod dowództwem de Soto. Jeden z nich tuż w pobliżu Atahualpy, w gorączkowej atmosferze bitwy i mordu, wznosił już miecz do cięcia nad głową Inki w tym momencie, gdy z lektyki Atahualpa wypadał na ziemię. Pizarro w ostatniej chwili próbował udaremnić cios Hiszpana — miecz jeźdźcy odsunął się po pancerzu i odbiwszy się przeciął Pizarrowi ramię.

Była to zresztą jedyna rana, jaką przez cały czas rzezi odniósł Hiszpan!

Zabitych Peruwiańczyków naliczono później kilka tysięcy. Ale główny cel został osiągnięty: Atahualpa żywy dostał się w ręce Pizarra!

Cyniczne kalkulacje Pizarra nie zawiodły go: mając Inkę w ręku trzymał w garści jakby serce całego Peru — zależnie od tego, czy bardziej lub mniej garść zacisnie, zdławi cały kraj lub pozwoli mu odetchnąć.

Potwierdziło się to po raz pierwszy jeszcze tej samej nocy. Gdy wieść o wzięciu Atahualpy do niewoli dotarła do jego wojska, rozprzeczło się ono na wszystkie strony. Jak bezsilnie zataczający się kogut, gdy mu zetną głowę — brak już tego, co rządzi każdym jego ruchem... Teraz dopiero objawiły się konsekwencje peruwiańskiego systemu administracji państwowej, gdzie wszystko, od prowadzenia wojny aż po zasiewy na polach, zależne było od woli Inki, który dla swych poddanych był ojcem, władcą i wcieleniem bóstwa w jednej osobie.

Cóż miały począć jego dzieci, gdy ich głowa, źródło wszelkiej władzy, oderwana została od ciała narodu? Kiedy ów wszechmocny „Syn Słońca” stał się nagle nieosiągalny i niemy w rękach Hiszpanów? Kimże są i jacy są ci biali ludzie, że bogowie Peru nie zesłali na nich kary, że wszechmocny Inka nie umiał im się oprzeć?

Zrodzona z przechodzącej wszelkie wyobrażenia klęski obywatelska beznadziejność ogarnęła cały lud Inki.

Wszystko, co działo się potem, było już tylko rezultatem pierwszego i największego zwycięstwa Pizarra. Co więcej: było to systematyczne, coraz bardziej bezwzględne łąwienie kraju i jego narodu, który znalazł się w hiszpańskich kleszczach. Zaciskały się one coraz mocniej, by wydusić z bezbronnej ofiary ostatnią kroplę złota.

Nastał więc teraz dla Hiszpanów czas żniw. Musiały dać one obfite zbiory, by nasycić głód złota konkwistadorów, głód panamskich dygnitarzy, głód wreszcie królewskiego skarbcza w Hiszpanii. A złota było wszędzie moc, gdzie tylko spojrzeć! Zawieszone w uszach, na szyjach i nadgarstkach Peruwiańczyków, złotem wykładane ściany wewnątrz świątyń, zapasy złota przechowywane przez peruwiańskich kapłanów, złotem lśniące pałace i wille ogrodowe Inki... Lecz najwięcej bez wątpienia było go w stolicy Peru Cusco, do której dotrzeć Hiszpanie nie mieli jeszcze czasu.

Czas był najgorszym wrogiem zwycięzców — przyływ złota powinien ich wyprzedzać! Oczywiście, że kraj, który tak chwali się swym złotem na powierzchni ziemi, musi mieć całe złoża złota lub wielkie złote żyły pod powierzchnią. Ale drążyć ziemię, zakładać kopalnie? Miażdżyć skały, rozbić kamienie, wyplukiwać złoty

piasek? To proces zbyt powolny! Najpierw trzeba zgarnąć wszystko, co już wypłynęło na powierzchnię...

Wtedy właśnie Pizarro wpadł na wspaniały pomysł. Przecież w Peru wszystko dotąd działo się według woli i rozkazu Atahualpy! Wystąpił więc do Inki z propozycją: jeśli Atahualpa złoży mu odpowiedni okup, wypuści go na wolność. Ile tego ma być? Rzecz prosta, że okup musi odpowiadać godności i znaczeniu pojmanego Inki... Niechże więc Atahualpa wstanie i wyciągniętą w górę ręką dotknie ściany sali, która jest jego więzieniem. Otóż: jeśli sala do tej wysokości zapełniona zostanie złotem — wówczas Inka znow będzie wolny jak ptak. A słowo Hiszpana jest solidniejsze i trwalsze niż skała Kordylierów!

Inka propozycję przyjął.

Szybko rozbiegli się z Cajamarki posłowie Atahualpy z wzwaniem, by Peruwiańczycy, ludzie wszystkich stanów, zamieszkali we wszystkich częściach kraju, znieśli co prędzej wszystko, co jest ze złota. Jedynie w ten sposób mogą przysłużyć się „Synowi Słońca”.

Za jakiś czas do Cajamarki zaczęli się schodzić ze wszystkich stron świata Peruwiańczycy z węzłkami i workami. Niektórzy wieźli większe ładunki na grzbietach oswojonych lam. Kiedy później te paczki, worki i woreczki otwierano w sali Atahualpy, płynęło z nich złoto we wszystkich możliwych postaciach. Były tam kute wazy, puchary, klejnoty, złote płytki i płyty, ozdobne ornamenty, fontanny, sztabki i sztaby... Sterta rosła coraz bardziej, lecz w miarę tego rósł coraz bardziej „głód złota” Hiszpanów.

Pizarro rozmyślał dniami i nocami jak przyspieszyć przyrwyby skarbów. Aż wreszcie błysnęła mu nowa myśl: gdzieś w tym kraju — gdzie, tego nie wiedział — trzymany jest w ukryciu ważny więzień, przyrodni brat Atahualpy, Huascar, pozabawiony przez rządzącego Inkę ojcowskiego działu. Otóż to: Pizarro wystąpi jako arbiter w sprawie braci, a rzuciwszy jednego przeciw drugiemu, obu ich będzie mógł wykorzystywać... Wydał więc rozkazy, by odzszukano Huascara i sprowadzono go do Cajamarki.

Atahualpa łatwo rozszyfrował plan swego pogromcy. Wobec tego rozsyłani teraz posłowie — prócz normalnego apelu o gromadzenie złota — nieśli jeszcze drugi, tajny rozkaz. W parę dni po ich odejściu znaleziono Huascara utopionego w płytkiej rzeczulce.

Pizarro dowiedziawszy się o tym udawał, że wierzy wyjaśnieniom Peruwiańczyków, mówiących o nieszcześliwym wypadku. Lecz całą tę sprawę dobrze sobie zanotował w pamięci — z góry już wiedział, kiedy i jak ją wykorzysta, skoro jego pierwotny plan, na skutek szybkiej interwencji Atahualpy, chybił celu.

Tymczasem złota wciąż przybywało, sterła skarbów powoli podchodziła do wyznaczonej na ścianie ręką Atahualpy linii.

Prędzej, jeszcze prędzej!

W tym mniej więcej czasie Pizarro zmusił Atahualpę, by wysłał posłów do stolicy Cusco z oznajmieniem, że przyjedzie tam poselstwo hiszpańskie, aby przejąć w swoje ręce tamtejsze zapasy złota, przede wszystkim zaś skarbiec głównej świątyni. I to żądanie Atahualpa zgodził się spełnić w nadziei, że przyspieszy jego uwolnienie.

Wyznaczeni do tego zadania Hiszpanie znaleźli w Cusco tak niesłychane bogactwa, że nawet oni, tak już nawykli do złota, nie mogli opanować zdumienia. We wznoszącej się wysoko ponad domy miasta świątyni, w sali, której ściany od podłogi do stropu wyłożone były płytami złota, znaleźli siedzące na złotych tronach mumie zmarłych Inków. Tym razem jednak wysłannicy Pizarra kontentowali się żądaniem, by wydano im tylko owe złote płyty ze ścian; nie odważyli się domagać złotych tronów mumii. Oddział ich był stosunkowo nieliczny, bali się więc, by przez sprofanowanie śmiertelnych szczątków zmarłych Inków nie przebrali miary cierpliwości Peruwiańczyków. Powrócili zatem do Cajamarki przywożąc siedemset złotych płyt zdjętych ze ścian świątyni.

Dzień wypełnienia przez Atahualpę warunków Pizarra przybliżał się coraz bardziej. A wraz z tym i troska: czego można oczekiwać, gdy wolny Inka znajdzie się znowu wśród setek tysięcy swych poddanych.

Tymczasem zaszedł fakt, który wzmocnił nieco pozycję Pizarra w obliczu nadchodzącego momentu rozstrzygającego — z Panamy przybył Almagro na czele stu pięćdziesięciu pieszych i pięćdziesięciu konnych żołnierzy! Pizarro z nieklamaną radością ścisnął swego druha; także jego żołnierze z ulgą witali niespodziewane posiłki. Na ten raz dawne sprzeczki między obu dowódcami poszły w niepamięć — trzeba było solidarnie współdziałać w dążeniu do czekających ich celów. Niepodobna przecież tkwić wiecznie w Ca-

jamarce, pośród Peruwiańczyków, którzy z czasem mogą się opamiętać, doświadczając sobie, że tych białych w dalszym ciągu jest tylko marna garstka, a nieprawdopodobne, zgromadzone z całego państwa skarby czekają tylko na rękę, która po nie sięgnie!

Postanowiono więc usunąć przede wszystkim tę najbardziej bijącą w oczy pokusę. Do ustalonej ilości złota brak już było tak niewiele, że właściwie czekanie na resztę tylko niepotrzebnie przewlekło całą sprawę. Pizarro zdecydował natychmiast przystąpić do podziału skarbu. Przecież złoto było tylko jednym — co prawda bardzo ważnym — z dwóch przyswiewających mu celów. Drugim było opanowanie i podporządkowanie sobie państwa Peru — trzeba więc było ruszyć dalej i przede wszystkim zdobyć stolicę.

By wprowadzić do podziału łupu jakiś system, konieczne okazało się najpierw przekucie wszelkich nagromadzonych przedmiotów ze złota w sztaby jednakowej wielkości i wagi. Pizarro zażądał od swego królewskiego więźnia kilku miejscowych kowali, którzy wnet rozpoczęli nakazane dzieło zniszczenia. Teraz pod ich młotami najcudowniejsze artystyczne wyroby traciły swe kształty — znikaly subtelne kwiaty, cuda ze złotych drucików, złote klatki z ptaszarni Inki, dekoracje i przedmioty kultu zdarte ze ścian pałaców i świątyń, figury i figurki najróżniejszych ptaków i zwierząt. Całe piękno wytworzone od stuleci przez dziedziczone umiejętności obracało się znowu w bekształtną materię, formowaną przez kowalów w bezduszną postać cegły.

Tylko z piątej części skarbu przeznaczonej dla królewskiego skarbcza Hiszpanii, niektóre wyjątkowo pięknie wykonane przedmioty kazał Pizarro pozostawić nietknięte. Z częścią tą później wyjechał do Hiszpanii brat jego, Hernando — przede wszystkim dlatego, że ten wybuchowy i złośliwy przedstawiciel rodu Pizarrów stanowił nieustanne zagrożenie dla zgodnej współpracy z Almagrem: dręczony zazdrością podejrzewał go stale o najgorsze rzeczy. Natomiast Francisco Pizarro teraz najbardziej pragnął jednego: nie rozdrabniać swych sił i niczym ich nie osłabiać. Dlatego też przy podziale łupu poczynił sobie niezwykle ostrożnie i ogłędnie, chociaż właśnie wtedy znacznie więcej niż kiedykolwiek zdarzało się okazji do kłótni. Oto na przykład żołnierze Pizarra od samego początku nie chcieli się zgodzić na przy-

znanie takich samych działów żołnierzom Almagra, oni bowiem przeżywali wszelkie niebezpieczeństwa pierwszych walk z Peruwiańczykami i pojmania Inki, gdy tymczasem ludzie Almagra przyszli już na gotowe. Almagro protestował: gdyby nie przybycie jego oddziału — liczniejszego zresztą niż oddział Pizarra — cała wyprawa utknęłaby w Cajamarce i nie byłaby zdolna do żadnych dalszych poczynąń, które mają dopiero doprowadzić do ostatecznego zwycięstwa. Wówczas wystąpił Pizarro i z pozycji naczelnego wodza sam rozstrzygnął spór przyznając żołnierzom Almagra odskodowanie w tej wysokości, że ostatecznie wszyscy byli zadowoleni.

Hiszpańscy żołnierze ocenili wartość całego łupu na 1 326 539 złotych pesetów. Kronikarz ówczesny zanotował, że do tego czasu nigdy nikt z ludzi nie oglądał tak olbrzymiej ilości złota. Z tytułu podziału na Pizarra przypadało złoto wartości 57 222 pesetów, prócz tego także i złoty tron Atahualpy. Działy dalszych dowódców i oficerów były, odpowiednio mniejsze. Dla prostych żołnierzy dział wynosił 4 400 pesetów, kawalerzyści zaś dostawali stawkę podwójną. Wszystkie te sumy przedstawiały prawdziwie bogactwo — niejednemu z takich nowobogackich aż się zakreśliło w głowie. Obóz hiszpański przez dwa dni przypominał jakieś zbiegowisko pomyślników, upojonych marzeniami o beztroskiej, pełnej zbytków i luksusu przyszłości... Gdyby tak w tym momencie Peruwiańczycy dokonali ataku na Cajamarę...

Leżąc Peru i jego lud nie otrząsnęło się jeszcze z beznadziejnej rozpaczy, jaką wywołało pojmanie Atahualpy.

Atahualpa — oto kolejny, aktualny problem: co z nim począć?

Pizarro, Almagro i kilku dalszych oficerów zebrano się na pilną naradę: co zrobić z Atahualpą? Spełnił wymagane warunki, teraz więc Hiszpanie ze swej strony powinni dotrzymać słowa i uwolnić Inkę. Tylko — co stanie się wówczas? Przecież Hiszpanie dotąd robili wszystko, co może obudzić w ludziach wrogość i nienawiść. Rzecz oczywista, że gdy Atahualpa znajdzie się na wolności, znów stanie się władcą oddanych mu bez zastrzeżeń i karnych Peruwiańczyków — podporządkowali się jego woli nawet wówczas, gdy będąc jeńcem nakazał swym poddanym posłuszeństwo wobec nowych hiszpańskich panów. A teraz z czym się do nich zwrócić? Jakże wyda im rozkazy? Wystarczy jedno jego słowo...

Więc trzymać go nadal w niewoli? Nawet gdyby się znalazło jakieś uzasadnienie... Ale to znaczy zabrać go z sobą do Cusco! A gdzie gwarancja, że któregokolwiek dnia wyprawa nie zostanie zaatakowana przez mieszkańców Peru pragnących uwolnić swego władcę?

Każdy z tych wniosków nasuwał następny wniosek, każdy niepokój budził jeszcze większy niepokój. Wreszcie sam Pizarro prze-rwał rozmowę:

— Co dotychczas dawało nam sukcesy? Gwałtowny i bezwzględny atak. I teraz także nie możemy zrezygnować z zastosowania takiej metody. Nie wolno nam okazać ani braku decyzji, ani obawy. O jednym powinniśmy pamiętać: musimy złożyć u stóp cesarza i papieża ten nowo odkryty kraj, państwo peruwiańskie. Wszystko inne to sprawy drugorzędne. Sprawą drugorzędną będą także środki użyte do osiągnięcia tego celu.

Wprawdzie te stanowcze słowa ogromnie podniosły na duchu i wzmogły pewność siebie słuchaczy, wszyscy jednak zauważyli, że w mowie Pizarra czegoś brak: nie dał żadnych konkretnych wskazówek, wypowiedział się zbyt ogólnikowo.

Lecz jeden z obecnych dobrze rozumiał jego słowa. Był nim Almagro.

— Jesteśmy chrześcijanami — zaczął z powagą — a więc ludźmi o najwyższym poczuciu sprawiedliwości. Nikt z nas nie zgodzi się na to, by nie dotrzymać danej Atahualpie obietnicy. Oczywiście: tylko pod warunkiem, że i on także będzie w stosunku do nas postępował równie uczciwie. Otóż zapytam teraz panów: czy nikt z was nie słyszał, że w tajemnicy przygotowuje on wielkie powstanie przeciwko nam?

Zaskoczeni oficerowie podnieśli głowy. Nie, dotąd nikt o tym nie słyszał ani słowa.

Pizarro odszukał spojreniem oczy Almagra — zrozumieli się od razu. Zaraz potem Pizarro przerwał zebranie mówiąc, że najpierw każe dokładnie zbadać informację podaną przez jego przyjaciela i współdowódcę.

Nie wiadomo jak i skąd już następnego dnia zaczęły krążyć wśród żołnierzy hiszpańskich niepokojące wieści: Peruwiańczycy gotują atak na Cajamarę; wysyłani przez Atahualpę po złoto posłowie rozwołili jakoby także rozkazy królewskie wzywające do powszechnego powstania przeciw Hiszpanom; w Quito, rodzinnej

miejscowości Atahualpy, zbierają się potężne wojska peruwiańskie, to samo i w Huamachuco...

Nikt nie wiedział, jakie jest źródło tych wiadomości, faktem jednak było niezaprzeczone, że rozchodziły się one coraz szerzej i mocno niepokoiły załogę. Wnet też coraz częściej zaczęły się odbywać wśród żołnierzy głosy domagające się śmierci uciążliwego i niebezpiecznego królewskiego jeńca. Niewielu natomiast było takich, którzy nie dawali wiary tak zaskakująco nagle powstałym i szerzącym się groźnym plotkom. Jednym z tych, którzy podejrzliwie traktowali wieść o rzekomej winie Atahualpy, był oficer de Soto, a z nim i ludzie z jego oddziału kawalerii. Czyżby mieli robić jakieś trudności? Na wszelki wypadek Pizarro wysłał oddział kawalerii pod dowództwem de Soto do Huamachuco, by sprawdził, czy istotnie przygotowuje się tam jakiś bunt.

Po odjeździe oddziału de Soto Pizarro szybko przystąpił do akcji. Najpierw zaatakował Atahualpę bezpośrednim oskarżeniem.

Atahualpa uśmiechnął się tylko:

„Zartujesz — rzekł. — Jakże ja i mój lud moglibyśmy nawet pomyśleć o buncie przeciwko ludziom tak śmiałym jak wy? Czyż nie jestem bezsilnym jeńcem w twym ręku? Czyż mógłbym popierać plany, których sam byłbym pierwszą ofiarą? Za mało znasz mych poddanych, skoro sądzisz, że mogliby wystąpić przeciwko wam bez mego wyraźnego rozkazu. W moim państwie nawet ptaki nie pozwalają się latać wbrew mej woli.”

Obecny przy tym przesłuchaniu pisarz, który notował każde słowo, tutaj dodał uwagę: „Atahualpa mówił to najzupełniej spokojnie i naturalnie, nawet się przy tym uśmiechał, by ukryć swą chytrych. Zdumiewała nas wszystkich idealna obłuda u tak prostego dzikusia.”

Pizarro kazał szybko sporządzić akt oskarżenia. Zawierał on następujące punkty:

Atahualpa winien jest bezprawnego zagarnięcia terenów Huascara należnych mu z tytułu spadku po ojcu. Winien jest również śmierci Huascara, bowiem książę ten został zamordowany wyraźnie z rozkazu Inki. Winien jest dalej przygotowań do powstania przeciwko Hiszpanom. Winien jest również, ponieważ nie zgadza się przyjąć wraz ze swoim narodem wiary chrześcijańskiej, która jedynie może ochronić jego poddanych przed piekłem.

Pizarro kazał przeprowadzić proces sądowy według wszelkich reguł prawa, przy każdym punkcie oskarżenia powoływał świadków spośród Peruwiańczyków. Do protokołu procesu wpisywano rzecz prosta tylko to, co dyktowali tłumacze, a tłumacze byli na żołdzie Hiszpanów.

W ten sposób udało się bardzo szybko doprowadzić do wydania wyroku. Opiewał on: śmierć przez spalenie żywcem — tak bowiem w wypadku zatwardziały pogan wyrokowała w Hiszpanii święta inkwizycja, najwyższy sąd kościelny. Pizarro zarządził, by wyrok został wykonany natychmiast po ogłoszeniu, tej samej jeszcze nocy (ponieważ de Soto mógł wrócić lada chwila).

Atahualpa z chmurną twarzą wysłuchał wyroku. Miał dość czasu i okazji, by poznać charakter swych ciemieców, był więc na los swój przygotowany. Nie opanował się jednak i zwrócił się do Pizarra z wymówką:

— Czym zasłużyłem sobie na śmierć z twoich rąk, którego w państwie swym przyjąłem jak przyjaciela i z którym po bratersku podzieliłem się moimi skarbami?

Pizarro spuścił głowę — na to nie mógł nic odpowiedzieć. Szybko wyszedł z komnaty Inki.

W dwie godziny po zachodzie słońca wszyscy Hiszpanie, piechurzy i kawalerzyści, ustawili się w wielki czworobok na centralnym placu Cajamarki. Pośrodku tego ustawionego placu znajdował się stos wzniesiony z belek i obłożony suchym chrustem.

Atahualpa hardo przyjmował swój los, zapewne ani słowo już nie padłoby z jego ust, gdyby nie szok wywołany świadomością, w jaki sposób mają pozbawić go życia. Według wierzeń Peruwiańczyków spalenie ciała uniemożliwia duszy przybranie w życiu pozagrobowym dawnej ludzkiej postaci. Więc — nie myśląc nawet o jakichś próbach wyrwania się śmierci — Atahualpa w ostatnich momentach robił wszystko, co było w jego mocy, by wymóc inny sposób wykonania wyroku. W gruncie rzeczy Pizarro do tego już nie przywiązywał wagi, lecz ksiądz Valverde wykorzystał okazję, by osiągnąć swój własny cel. Zawiadomiono więc Atahualpę, że karę śmierci na pionącym stosie zamienia mu na śmierć przez uduszenie, o ile zgodzi się przyjąć uprzednio z rąk księdza Valverde chrzest. Lęk Inki przed zagładą duszy był tak wielki, że wszystko inne było mu już zupełnie obojętne, zgo-

dził się więc na przyjęcie chrztu i na wszystko, czego jeszcze biali ludzie zechcą się od niego domagać.

Przy dźwiękach trąbek i głośniejszych modlitwach księdza Valverde Atahualpę związano, wprowadzono na plac i posadzono na drewnianym stołku. Stojący za nim mnich wymachiwał krzyżem wymawiając najrozmaitsze, całkowicie dla Inki niezrozumiałe wyrazy, a z tyłu do skazańca podszedł kat z karotą, krótkim sznurem zakończonym dwoma kijami. Kiedy Valverde na znak zakończenia całego obrzędu zawołał: „Amen”, kat zarzucił szybko sznur na gardło Atahualpy i tak gwałtownie skreślił oba kijki, że natychmiast udusił swą ofiarę.

Tak zmarł wielki Inka, władca, który zjednoczył Peru, „Syn Słońca”, Atahualpa, ostatni król peruwiański.

Był to dzień 29 sierpnia 1533 roku.

Następnego dnia powrócił do Cajamarki de Soto. Nie pozostało mu nic innego jak przyjąć do wiadomości to, co się stało. Naturalnie w Huamachuco, dokąd go wysłano, nie stwierdził żadnych śladów jakiegoś spisku czy buntu.

Wkrótce potem Hiszpanie wtargnęli do Cusco i obrabowali je do ostatniego ziarenka złota. Nie oszczędzili tym razem nawet mumii zmarłych Inków w głównej świątyni.

Na centralny ośrodek hiszpańskich władz administracyjnych dla terenów peruwiańskich Pizarro wyznaczył Limę, miasto założone przez niego i wielkim nakładem kosztów zbudowane od fundamentów rękami peruwiańskich niewolników.

Taki był koniec Peru, państwa zorganizowanego, pełnego bogactw przyrody i dzieł rąk ludzkich do chwili, gdy wkroczyli doń biali ludzie.

A jaki był koniec konkwistadorów?

Najpierw spłynęła na nich sława, tytuły, listy dziękczynne i przywileje od samego cesarza — potwierdzały one i pomnażały ich prawa oraz nagrody w zdobytym Peru. Dotychczas Hiszpania wydawała olbrzymie sumy na wyprawy zamorskie, lecz zwracały jej się tylko obietnice lub najwyżej drobne próbki tego, co kiedyś w przyszłości ewentualnie mogły dać odkryte kraje. Nawet i Cortez niewiele więcej przywiózł. Teraz jednak, po raz pierwszy, na-

deszły z Peru wspaniałe przesyłki złota — w postaci złotych przedmiotów i sztab — i to w tak olbrzymiej ilości, że obudzili entuzjazm cesarza i dworu. Nareszcie znalazło się źródło, które napełni pustą kasę cesarską! I w oparciu o to źródło światowe plany cesarza Karola V nabiorą siły i rumieńców życia.

Pizarro otrzymał tytuł markiza, Almagro został mianowany gubernatorem wszelkich terenów do dwustu mil na południe od linii granicznej, na której kończył się zasięg władzy Pizarra. Powstały więc wszelkie warunki dla prawidłowego i spokojnego rozwoju na przyszłość obu prowincji.

A Cusco? Czy należy ono do terenów podległych władzy Pizarra, czy też wchodzi w skład posiadłości Almagra? Granica ustalona była tylko w przybliżeniu, nikt właściwie nie wiedział, gdzie dokładnie ona przebiega. Nie zdołał tego ustalić także mnich Francisco de Bobadilla, któremu polecono wytyczenie linii granicznej — bał się podjąć jakąkolwiek decyzję, by nie narazić się jednemu czy drugiemu z potężnych rywali. Więc też dawna, na czas jakiś przegasała zazdrość i niechęć Pizarra i Almagra znalazła nową pożywkę, tłąca iskierka mogła przerodzić się w płomień. Narastające, pełne podejrzeń napięcie udzielało się otoczeniu obu dygnitarzy, jeszcze czas jakiś, a konflikt dojrzeje i dojdzie do otwartego starcia. Tyle tylko, że tym razem obie strony zdecydowane były doprowadzić spór do końca — kto kogo zwycięży.

W takich wypadkach szybkość akcji decyduje. Pod tym względem lepsze szanse miał początkowo Almagro — wraz ze swymi żołnierzami zaatakował brutalnie Cusco, zdobył je i obsadził zalogą. Udało mu się przy tym zaskoczyć w tym mieście obu braci Pizarra: Gonzala i Hernanda, których kazał aresztować i wtroczyć do więzienia. Był to już przejaw otwartej wrogości, więc Francisco Pizarro wyciągnąwszy z tego wnioski zaczął przygotowywać regularną wyprawę wojenną, tym razem nie przeciw wrogim tubylcom, ale przeciwko swemu dawniejszemu koledze i współnikowi oraz przeciw własnym rodakom.

Bratobójcza walka zawsze jest najbardziej mordercza, sukces odnosi większe okrucieństwo. Almagrowi także jego zausznicy i przyjaciele doradzali stosowanie nadal metod gwałtu i brutalności. Przede wszystkim powinien pozbyć się obu jeńców, braci Pizarro. „Martwy wróg nie ugryzie” — przypominano mu stare

przysłowie. A jednak Almagro nie mógł się na to zdecydować. Nie chciał także, na wypadek przegranej, zamykać sobie wszelkiej drogi do ewentualnej ugody. Dlatego też darował obu braciom Pizarro życie, zatrzymał ich jednak w więzieniu, co prawda nawet dość dobrze wyposażonym.

Francisco Pizarro zgromadziwszy swe oddziały nie zwlekał już z decydującą rozgrywką. Doszło do niej dnia 26 kwietnia 1538 roku tuż koło Cusco, pod osadą Las Salinas. Siedmiuset ludzi Pizarra po ciężkiej walce pokonało pięciuset żołnierzy Almagra w pierwszej na ziemi peruwiańskiej regularnej bitwie białych z białymi. Niejeden Hiszpan wówczas wbił miecz w pierś swego krewniaka czy innego kolegi, walczącego po przeciwnej stronie.

Sam Almagro nie brał udziału w walce. Cierpiąc w tym czasie na bolesną podagrę kazał się zanieść na noszach w pobliże placu boju i stamtąd obserwował bitwę. Widząc klęskę i rozpraszanie się swych wojsk kazał natychmiast nieść się z powrotem do Cusco. Lecz już tam nie dotarł: kawalerzyści Pizarra dogonili go w drodze i wzięli do niewoli.

Teraz, za kratami więzienia i w kajdanach, dość miał czasu na rozmyślanie, czy jego ciemnicza okaże mu podobne względy, jakie on ukazywał mu kiedyś jako swemu więźniowi — bowiem komendantem więzienia, w którym znajdował się Almagro, był nie kto inny, tylko właśnie Hernando Pizarro.

Almagro był głęboko przekonany, że cała jego rywalizacja i walka z Pizarrem będzie traktowana jako współzawodnictwo dwóch szlachciców oraz że hiszpański hidalgo — prócz śmierci z ręki przeciwnika w bezpośrednim pojedynku — nie może ze strony innego hiszpańskiego hidalga spodziewać się czynu niehonorowego czy podstępny. Dobrą opinię Almagra o rywalu podtrzymywało także zachowanie się Hernanda — odwiedzał więźnia od czasu do czasu, zwracał się do niego z należnymi mu tytułami i zapewniał, że czeka tylko na powrót brata Franciszka, by Almagra wypuścić na wolność. Dopytywał się także, dokąd Almagro chciałby się po zwolnieniu udać i jakich ma zamiar użyć środków lokomocji — ze względu na związane z chorobą bóle.

W tym samym jednak czasie Hernando Pizarro gromadził dane do aktu oskarżenia — nie wspominając o tym więźniowi — celem wytoczenia mu publicznego procesu. W trzy miesiące później Al-

magro został niespodziewanie postawiony przed sąd i oskarżony o zdradę główną, ponieważ sprzeciwił się jakoby woli króla, zbuntował się przeciw niemu powodując przy tym śmierć wielu jego hiszpańskich poddanych. Wyrok przygotowany był z góry — kara śmierci.

Almagro szybko zorientował się, że cały ten proces to zainscenizowana komedia, lecz nienawiść jego przeciwników tak go zaskoczyła, że przestał panować nad sobą: padłszy do nóg Hernando błagał go o łaskę przypominając, jak to on sam obchodził się z nim wówczas, gdy miał go w ręku i łatwo mógł pozabawić życia.

— A ponieważ tego wtedy nie zrobiliś, więc dziś za to zapłacisz — uśmiechnął się jadowicie Hernando. Nigdy bowiem nie mógł zapomnieć własnej z Almagrem przegranej.

Następnie wydał rozkaz, by domy wszystkich zwolenników Almagra w Cusco otoczyły liczne oddziały straży. Gdy rozkaz ten wykonano, do więzienia Almagra udał się kat. W rękę trzymał karotę...

Wkrótce potem z więzienia czterej żołnierze wynieśli nosze, na których spoczywały zwłoki Almagra. Ustawili je na środku placu, bezwładne ciało wciągnęli na rusztowanie, gdzie kat mieczem odciął trupowi głowę, zaś pisarz Pizarra głośno odczytał uzasadnienie wyroku.

Wtedy dopiero śmiertelne szczątki Almagra oddano jednemu z jego przyjaciół, który nazajutrz wyprawił nieboszczykowi uroczysty pogrzeb w miejscowym kościele. W pierwszych szeregach konduktu pogrzebowego szli: Francisco, Gonzalo i Hernando Pizarrowie. Nieśli w rękę zapalone świece i wraz z innymi śpiewali żałobne psalmy.

A jak skończył Francisco Pizarro?

Teraz zajął się przede wszystkim dokończeniem swego dzieła — budowy miasta Limy. Resztą grupy Almagra nawet się nie zainteresował — uważał, że nie warto. Nie zwracał uwagi na to, że w Limie zamieszkał syn Almagra, u którego schodziło się coraz więcej jego przyjaciół i popleczników. Pizarro, człowiek, który nie obawiał się tysiakkrotnej przewagi wrogów w bitwie i zdobył olbrzymie państwo peruwiańskie, nie miał zamiaru zwracać uwagi

na brzęczenie komarów, chociaż przyjaciele przestrzegali go i raz po raz docierały do niego wieści, że partia Almagra przygotowuje albo spisek, albo atak na jego osobę. Lecz Pizarro nawet nie uważał za właściwe zwiększyć ilość straży przy swym pałacu i nadal bez zbrojnego orszaku poruszał się po mieście.

Nadeszła niedziela, 26 czerwca 1541 roku...

Pizarro miał właśnie wychodzić na poranne nabożeństwo, gdy jego pisarz zawiadomił go, że przybył do pałacu jakiś ksiądz z wiadomością, iż młody Almagro wraz ze swymi przyjaciółmi przygotowują zamach na życie namiestnika. Pizarro ruszył ramionami — tyle już słyszał takich informacji i nigdy nic z nich nie wyszło. Pewnie ten ksiądz coś zmyślił, by zwrócić na siebie uwagę i uzyskać jakąś nagrodę.

Jednakże wobec nalegań przyjaciół Pizarro ustąpił i zrezygnował z pójścia do kościoła. Z sędzią miejskim, jednym z biskupów i dwunastu chyba dalszymi dygnitarzami pozostał w domu — przez chwilę spacerował wraz z nimi po ogrodzie, potem całe towarzystwo zasiadło do gry w karty i kości aż do południa, kiedy w głównej sali pałacu podano obiad. Pod wysokim stropem sali panował miły chłód, na dworze natomiast upał i żar słonecznego południa.

Nagle z daleka dobiegł gwar i jakieś niezrozumiałe okrzyki. Słychać je było wyraźnie od bramy wjazdowej na podwórze pałacu. Nie wyglądało to zresztą na nic groźnego, sprawę pewnie załatwi służba. Mimo to paru z gości, po prostu przez ciekawość, wybiegło z jadalni. Pobledli i przerażeni natychmiast wrócili: ludzie Almagra wdzierają się do pałacu! W tej samej chwili sędzia, biskup i pozostali goście rzucili się przez ogród do muranego płotu i nie dbając o godność przelazli go jak kto umiał najprędzej, byle się tylko ratować.

Jeden tylko Pizarro zachował spokój. Przywołał oficera straży de Chavesa i kazał mu zamknąć wejście do pałacu. Potem z najmłodszym swym bratem, Alcantarą, który właśnie przyjechał doń z Hiszpanii w odwiedziny, przeszli do sąsiedniej sali, by nałożyć pancerze i wziąć broń. Obronić się w pałacu nawet małej garstce ludzi byłoby łatwo, gdyby nie to, że de Chaves popełnił fatalny błąd: licząc, że potrafi perswazyjnie powstrzymać napastników uchylił drzwi, by do nich przemówić. Odtrącony skrzydłem drzwi pchniętych przez nacierających ludzi Almagra — padł i zaraz przy

miecze przygwoździły go do podłogi. Teraz już wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Z okrzykiem „śmierć tyranowi” ludzie Almagra runęli do komnat pałacu i dopadli obu Pizarrów, nim ci zdążyli nałożyć pancerze.

Pierwsi od ciosów mieczów padli Alcantara i dwaj służący Pizarra. Francisco Pizarro szybko owinał lewą rękę płaszczem, by tak osłaniać się od ciosów, i z mieczem w prawicy bronił się uparcie. Wycofał się do wąskiego korytarza, w ten sposób miał przynajmniej boki kryte, walczył przeciw niemu mogło naraz tylko dwu ludzi. Walka przeciągała się nad miarę. Ludzie Almagra zmieniali się stale w ataku, w miejsce zmęczonych wstępowała następna dwójka, lecz sam Pizarro wcale nie okazywał zmęczenia, mimo że już dawno przekroczył sześćdziesiątkę. Wciąż równie gwałtownie odbijał ciosy, atakował, ranił, zabijał. Wielu jego przeciwników wycofało się już z walki krwawiąc z ran, wielu leżało bez ruchu na posadzce korytarza.

Wreszcie przywódca napastników Rada stracił cierpliwość i postanowił szybko zakończyć walkę. Schwycił więc stojącego najbliższej swego kolegę Narvaeza za pas, poderwał go i z całej siły rzucił na Pizarra. Pizarro zdążył tylko nastawić miecz — Narvaez opadając nadział się nań. Tego właśnie pragnął Rada — nim Pizarro zdolał wyswobodzić broń skoczył naprzód i błyskawicznie przebił odsoniętę gardło Pizarra. Miecz wypadł z rąk namiestnika Peru, on sam zatoczył się, potem obsunął się na kolana. Wówczas dopadł go drugi i trzeci cios — Pizarro zginął na miejscu.

Don Diego de Almagro, syn straconego rywala Pizarra, zginął później z ręki kata...

Gonzalo Pizarro zginął później z ręki kata...

Herando Pizarro po powrocie do Hiszpanii został wtrącony do więzienia, w którym przesiedział lat dwadzieścia...

Juan Pizarro zginął w bitwie...

Oto los konkwistadorów!

JAKIE znaczenie miały wyprawy zamorskie i odkrycia nowych lądów dla dziejów „białych ludzi”? Jaki wpływ wywarły na życie Europy?

Następstwa tych odkryć były olbrzymie — tak wielkie, że umysły współczesnych nie mogły ich ogarnąć, ani nawet ich sobie uświadomić. Przejawiały się zresztą w różny sposób — jedne wcześniej, inne później — w całej rozciągłości zaczęły się rysować jednak dopiero po wielu, wielu dziesiątkach lat.

Najwcześniejsze skutki te odczuły kraje leżące nad Morzem Śródziemnym — dotychczasowe centrum światowego handlu Europy ze Wschodem. Teraz ów środek ciężkości przesunął się znad Morza Śródziemnego na brzegi Oceanu Atlantyckiego — miejsce włoskich ośrodków nadmorskich, z całym handlem zamorskim i jego ogromnymi zyskami, zajęły: Portugalia i Hiszpania.

W początkach impuls wypraw zamorskich był w obu tych krajach ten sam — celem były Indie, ich bogactwo korzeni i metali szlachetnych. Ale dla ominięcia bariery turecko-arabskiej, jaka powstała między Indiami i Europą przy wschodnich i południowych brzegach Morza Śródziemnego, oba te kraje inną obrały drogę. Portugalczycy szukali bezpośredniej drogi do Indii przez opłynięcie Afryki — czego wreszcie (przy pomocy arabskiego sternika) w roku 1498 dokonał Vasco da Gama. Natomiast Hiszpanie zwrócili się w kierunku zachodnim próbując w ten sposób dostać się do Indii, by zarazem opłynąć też całą kulę ziemską. Przy tym właśnie natknęli się w połowie drogi na nową część świata — Amerykę — gdzie wprawdzie nie znaleźli indyjskich korzeni, znaleźli natomiast olbrzymie ilości złota i srebra.

Teraz, kiedy wszystko oczekiwane i nieoczekiwane zrealizowało się, oba europejskie mocarstwa zaczęły zabiegać przede wszy-

stkim o dwie rzeczy: po pierwsze — wydobyć najszybciej i najwięcej zysków z osiągniętych sukcesów, i po drugie — tam dokąd dotary zapuścić na trwałe korzenie swej władzy. Oczywiście: do celów tych zastosowano różne metody i różną taktykę, różne bowiem były warunki u celu ich dróg.

Póki Portugalczycy opływając wokół Afrykę lądowali na jej brzegach, mogli tam robić co im się podobało, ponieważ broń zapewniała im zdecydowaną przewagę nad tubylcami-Murzynami. W stosunku do Afryki nie mieli żadnych planów, zakładali tylko punkty zaopatrzenia i bazy niezbędne przy wydłużających się stałe wyprawach w kierunku na Indie. Oczywiście zabierali przy tym wszystko, co tylko dało się wziąć, więc też statki portugalskie regularnie przywoziły transporty czarnych niewolników, kości słoniowej, a czasem nawet i złota.

Sytuacja zmieniła się kiedy wreszcie Portugalczycy dotarli do Indii. Tu nie mieli do czynienia z krainą prymitywnych dzikusów, absolutnie bezbronnych wobec Europejczyków — na odwrót: księżstwa indyjskie osiągnęły wysoki stopień cywilizacji, częstokroć bardziej zaawansowanej i wyrafinowanej niż europejska. Zagospodarowane państwa o dawnej tradycji historycznej, z dobrze zorganizowanym handlem, sprawną administracją i wojskiem, to dla Portugalczyków coś więcej niż równorzędni partnerzy — przede wszystkim ze względu na ich siłę materialną. Przewagę po stronie Portugalczyków stanowiła jedynie broń palna oraz okoliczność, że Indie rozbite były na wiele państw i państewek, których współzawodnictwo łatwo było wykorzystać.

Lecz pierwsze lądujące na wybrzeżach Indii wyprawy były tak nieliczne i tak bez znaczenia, że nikomu z ich uczestników nie marzyło się nawet, by przewagę tę wykorzystać. Dlatego też początkowo Portugalczycy występowali na dworach indyjskich jako przedstawiciele dyplomatyczni swego króla, proponując zawarcie przymierza i nawiązanie kontaktów handlowych za pośrednictwem umieszczanych w portach agentów lub większych przedstawicielstw handlowych.

Ale i te skromne początki nie były łatwe — stosunkowo małe możliwości nielicznych wypraw portugalskich nie robiły na władcach indyjskich specjalnego wrażenia, a proponowane przez kup-

ców europejskich towary dla bogatych Indii wcale nie były atrakcyjne.

Uparci Portugalczycy nie myśleli jednak ustąpić, ponieważ wszelkiego rodzaju korzenie, sprzedawane w Europie niemal na wagę złota, można tu było nabywać w nieograniczonych ilościach.

Kiedy wieści o tym dotarły do Europy, wnet znalazło się wielu zainteresowanych, gotowych przyjąć z pomocą niezbyt zasobnej kasie korony portugalskiej przy organizowaniu handlu z Indiami na wielką skalę. Ze wszech stron docierały teraz do króla propozycje wkładów finansowych rozmaitych domów handlowych, pragnących wziąć udział w dalszych wyprawach do Indii. Proponowała pożyczki Genua, podobnie jak bogate rody kupców niemieckich, wśród nich znane nazwiska właścicieli wielkich domów handlowych, jak: Fuggerowie, Welserowie i inni. Jednakże dwór portugalski nie myślał wyrzec się prawa wyłączności (monopolu) handlu z Indiami: pozostawiał swym współnikom — prócz niezbędnych udziałów w zyskach — tylko możliwości zadowolenia się dalszą rozprzedażą towarów czerpanych z państwowych składów w Lizbonie i rozprowadzania ich po Europie. Dwór portugalski wcale nie miał zamiaru zakładać stałej sieci handlowej i tym samym liczyć na trwałe, mniejsze wprawdzie, lecz stale napływające zyski. Portugalia była państwem szlachty ziemiańskiej, feudalnej, której zupełnie obce były dalekowszroczone kalkulacje kupców-mieszczan. Pragnęła natomiast szybko i w możliwie najszerszym zakresie wydobyć z terenów wschodnich tyle bogactw, ile tylko się dało. A to można było uzyskać jedynie drogą gwałtu.

Portugalczycy nie przybyli do Indii, by zagospodarować się na stałe, przyszli — by grabić. (W istocie rzeczy na prawdziwe obsadzenie kraju, na kolonizację nie starczyłoby im sił). Dlatego też władze portugalskie wszystkie skrzętnie zbierane pieniądze obróciły na budowę statków i uzbrojenie załóg. Powoli zaczęły więc do brzegów Indii przybijać nie drobne grupki dwóch, trzech fregat, lecz flotylle składające się z dziesięciu, piętnastu statków, zaopatrzonych w liczne działa, z załogami po kilkuset uzbrojonych ludzi. Oto jakim językiem zaczęli później przemawiać Portugalczycy do miejscowych władców indyjskich i do Arabów, którzy dotąd mieli w rękę handel z Indiami. A jak sobie przy tym poczynali wskazuje dawne, z tamtych czasów przysłowie indyjskie:

„Jakie szczęście, że Bóg nie stworzył więcej Portugalczyków niż lwów i tygrysów, ponieważ wytraciliby całą ludzkość”.

Wzdłuż brzegów indyjskich, które kolejno penetrowali, Portugalczycy zakładali małe, ufortyfikowane faktorie, gdzie żołnierz pilnował i groził, a agent handlowy tanio kupował. Z czasem taką swą sieć eksploatacyjną przedłużyli aż do Syjamu i dalej na wyspy oceaniczne, Moluki. Portugalskie statki dotarły także do brzegów Chin i Japonii, tam jednak nie utrzymały się na stałe.

Z owych handlowych faktorii-fortów do portu w Lizbonie płynęły masy pieprzu, cynamonu i innych korzeni kupowanych w Europie „na wagę złota”. Istotnie z Lizbony drogocenne towary rozchodziły się wzdłuż i w szerz po całej Europie, a prócz garstki kupców portugalskich bogacili się na pośrednictwie handlowym głównie kupcy niemieccy, holenderscy, później także i angielscy. W tych bowiem krajach warstwy mieszczańskie były znacznie silniejsze i tradycyjnie bardziej na handel pastawione niż w feudalnej Portugalii.

Czy Portugalia wzbogaciła się jako całość, jako państwo?

Oczywiście. Nigdy dawniej kraj nie miał takich dochodów jak teraz, gdy ze wszystkich stron świata napływały pieniądze za dostarczone z Portugalii importowane z Indii korzenie.

Lecz była to sytuacja chwilowa, nienaturalna. A jej skutki?

Od tej chwili wyprawy zamorskie stanowiły ogromną pokusę dla tych wszystkich, którzy dotąd żyli z pracy własnych rąk. Chłopi, rzemieślnicy, biedota miejska i wiejska — wszyscy zaciągali się do oddziałów portugalskich, do marynarki czy do piechoty. Coraz więcej ludzi porzucało pola i warsztaty, opuszczało wsie i miasta. Produkcja krajowa, zarówno rolnicza jak rzemieślnicza, szybko zaczęła upadać — tak niskie przecież dawała zyski w porównaniu do udziałów w zyskach handlu zamorskiego. W miarę jak przybywało w Portugalii pieniądze coraz bardziej usychał pień, wraz z którym rozwija się lub ginie życie państwa — jego produkcja krajowa. Żądza łatwych zarobków i szybkich zysków wzmagała tylko gorączkową chciwość Portugalczyków, która podtrzymywała zamierający organizm rodzinnego kraju na tyle tylko, by kraj ten słabnącymi siłami mógł organizować i wyposażać nowe wyprawy w statki, ludzi i uzbrojenie, co wymagało znacznych kosztów. Wnet jednak szeroka sieć obsadzonych wojskiem faktorii,

baz, fortów i agencji kupieckich okazała się zbyt kosztowna dla małej Portugalii. Zbliżała się nieuchronna katastrofa — zbyt rozbudowany i nadmiernie przeciążony gmach portugalskiej chciwości już się nie utrzyma — musi runąć.

Już w wieku XVI grożące niebezpieczeństwo zaczęło osłabiać pyszne fundamenty Portugalii jako zamorskiego mocarstwa. Zbyt obszerne miało ono rozmiary na tak mały organizm państwowy. Cios padł nie z ręki napastników, którzy w walce sięgnęli po portugalskie pozycje — przyszedł z innej strony, był znacznie bardziej skuteczny i niebezpieczny. To kupcy holenderscy i angielscy — zamożniejsi i bardziej w handlu doświadczeni niż awanturnicy portugalscy powoli, krok za krokiem wścisnęli się tam, gdzie ich portugalscy poprzednicy przygotowali teren. Kupcy ci odrzucając brutalne metody i przemoc, bez armat i przelewu krwi zdobywali rynki indyjskie i oceaniczne, zakładali solidnie prowadzone faktorie, kładli powoli fundamenty pod trwałe zapuszczenie korzeni w nowy grunt. Z biegiem czasu na fundamentach tych wyrosły dobrze zorganizowane kolonie, ze stałą administracją, gdzie obywatele obu tych narodów chętnie lokowali wkłady finansowe, rozwijali inwestycje. Nie chodziło im przecież o szybkie zgarnianie łupów, lecz o regularne, stałe zyski, obliczone i na przyszłe generacje.

Inna nieco — chociaż pod wieloma względami podobna — była sytuacja Hiszpanów w Ameryce Południowej i Środkowej.

Natknąwszy się w swych wyprawach do Indii drogą zachodnią na niespodziewany ląd — okazało się z czasem, że w grę wchodzi cała nowa część świata — Hiszpanie stwierdzili, że od celu ich marzeń, Indii, dzieli ich jeszcze cała szerokość potężnego Oceanu Spokojnego. Dlatego też szukając nieustannie cieśniny czyli otwarcia drogi przez nowy ląd na zachód, do drugiego oceanu, zakładali na zdobytych terenach solidne, trwałe bazy — punkty oparcia dla dalszych wypraw. Okazało się przy tym, że już tam, na ziemi amerykańskiej, wpadli na trop krainy złota — Eldorado. Późniejsze ich łupy z Meksyku i Peru stokrotnie wynagrodziły im pierwotny zawód, kiedy to nie znaleźli drogi do Indii. Rozpoczęło się więc trwałe zasiedlanie nowych krajów, zdobytych przez

Hiszpanów z bronią w rękę. Wszędzie od samego niemal początku Hiszpanie zakładali prawdziwe miasta, zaprowadzali administrację cywilną i kościelną.

A przecież celem pierwszych konkwistadorów było zdobycie możliwie największej ilości metali szlachetnych. Zgarniali je „po wierzchu”, grabiąc majątek tubylców; znacznie później dopiero zaczęli wydobywać je z ziemi, wykrywać złotonośne rudy, wyplukiwać złoty piasek, zakładać kopalnie srebra, którego znajdowali nieprzebrane ilości.

Hiszpanie zagospodarowali się na stałe: rozdzielali między siebie ziemię, sprowadzali niektóre plody ziemne z własnego kraju, przydzielali sobie Indian do pracy na roli i eksploatacji kopalń. Nieprzywykłych do pracy tubylców zmuszali do niej w sposób bezwzględny, a ponieważ ciężka praca na polach i w kopalniach szybko wyczerpywała siły Indian, zastępowali ich sprowadzanymi z Afryki Murzynami. Następcy konkwistadorów w dalszym ciągu kontynuowali ten rodzaj rabunkowej gospodarki — zaborczość i chciwość największe zyski przynoszą najbardziej zaborczym i chciwym. Zyski z poszczególnych terenów łączyły je w całości kolonialne, jednoczone ochroną wojska, administracją i sądownictwem. Wspomagał je także Kościół, który tworzył tam stałą prowincjonalną organizację. Fundamentem i kośćcem tych wszystkich państw kolonialnych Nowego Świata była macierzysta Hiszpania. Podobnie jak w Portugalii i tu także rząd hiszpański był jedynym przedsiębiorcą: miał zastrzeżone udziały w zyskach wszelkiego rodzaju, zachował prawo mianowania namiestników lub wicekrólów, urzędników i sędziów.

O tym jak bezwzględne było wykorzystywanie tych krajów przez Hiszpanów mówią liczne ówczesne źródła, a wśród nich najbardziej szczegółowy i wstrząsający opis hiszpańskiego księcia, późniejszego biskupa, Bartolomeo de Las Casas, który daremnie zwracał uwagę władz na grabieżę i eksploatację krajów „indiańskich” przez hiszpańskich urzędników i kolonistów, na udręki ludności tubylczej.

„Hiszpanie rzucili się na Indian jak tygrysy, jak najokrutniejsze lwy, od owych czasów przez lat czterdzieści nic innego nie robili, nic innego robić nie chcieli i do dnia dzisiejszego nie zajmują się niczym innym jak mordowaniem tych nieszczęsnych,



których rozlicznymi, nie znanymi dotychczas metodami tortur tak gnębią i dręczą, że z trzech milionów tubylców, zamieszkałych na samej tylko wyspie Española, trzystu zaledwie pozostało... A co dotyczy samego tego kraju, to jesteśmy pewni, że nasi Hiszpanie bezbożnymi, okrutnymi czynami wyludnili, zniszczyli i zamienili w pustynię dziesięć państw większych niż cała Hiszpania wraz z Portugalią... Ci, którzy przypłyneli tu z dalekich brzegów Hiszpanii i szczycili się, że są chrześcijanami, zaczęli usuwać z powierzchni ziemi nieszczęśny naród indiański dwoma zwłaszcza sposobami: pierwszy z nich to niesprawiedliwa, okrutna wojna, jaką wiodli; drugi to ten, że mordowali wszystkich, którzy starali się zerwać pęta tej podłej niewoli i odzyskać dawną swobodę. Tylko kobiety i dzieci mogły pozostać przy życiu; potem jednak nakładali na nie takie jarzmo, że życie bydlęcia nie jest gorsze. Jedynym sensem i celem tego hiszpańskiego wyniszczania niezliczonych ilości owych ludzi było złoto i pragnienie Hiszpanów zubożenia się w krótkim czasie, tak jakby już jednym skokiem zdobyli pozycję wcale im nie należną."

Jak zachowywali się Hiszpanie po zakończeniu wojny i podboju, a więc już podczas „pakojowej” gospodarki?

„Gubernator hiszpański (urzędnik rządowy zarządzający krajem) zgadzał się, by nieustannie zmuszano Indian bezwzględnie i brutalnie do najcięższych prac. Otóż Hiszpanie, których władzy podlegali Indianie, wyznaczali okrutnych ślepaczy, ci zaś częstowali ich nożami, kopniakami i batami, wymyślając od psów. Przed straszną srogością *minierów* (właściciele kopalń) i *estancierów* (właściciele ziemskich) wielu Indian chroniło się w góry pragnąc już tylko śmierci. Na to Hiszpanie wyznaczali pewnego pacholka, którego zadaniem było polowanie na Indian w górach. Takich, których schwytano w górach, stawiano przed *visitadorami* (urzędnikami nadzoru), którzy nad wszystkimi innymi górowali okrucieństwem. Zjawiał się również i ten, któremu wyznaczony do pracy Indianin uciekł, występował więc teraz z oskarżeniem niewolnika: „Ten oto Indianin — czy Indianka — to pies, który nie chce pracować. Dlatego domagam się ukarania go!” Po takich słowach *visitador* przywiązywał Indianina do słupa i brał w rękę kawał liny namoczonej w smole, twardej jak pręt żelazny. I bił go tym, aż go krew oblała, a porzucał niemal martwego. Jako pracę

dla Indian wyznaczono dobywanie złota, a praca taka wymagała niemal ludzi z żelaza: muszę przecież po tysiąc razy przewracać całe góry, kruszyć skały i potem płukać złoto w rzekach. Pogańscy tyranie skazywali męczenników — prócz kary śmierci — właśnie na najgorsze udręki przy dobywaniu złota i srebra... Indianie nie wiedzą co to dzień świąteczny, praca bowiem jest ich wspólnym losem każdego dnia. A przy tej ciężkiej pracy nie otrzymują nawet dostatecznej ilości chleba...”

Niesłychany przypływ złota i srebra — co przy tego rodzaju rabunkowej gospodarce groziło szybkim wyczerpaniem źródła — zalał Hiszpanię nieoczekiwanym bogactwem. Podobnie jak miała się rzecz w Portugalii, także i tam zaczął się upadek produkcji krajowej — mało pociągającej, przynoszącej małe zyski. Wprawdzie Hiszpania początkowo dość szybko stała w rzędzie najbogatszych państw Europy, a w niedługim czasie stała się nawet pierwszym mocarstwem świata, ale wnet zaznaczył się ubytek jej sił wewnętrznych. Kiedy wypadło w koloniach podjąć walkę konkurencyjną z innymi państwami, przede wszystkim Anglią i Holandią, walkę tę przegrała, chociaż aż do XX wieku nie utraciła swych krajów zamorskich, wybudowanych swego czasu na silnej władzy i organizacji.

Jakie skutki i konsekwencje miały odkrycia zamorskie i konkwesta dla reszty świata?

Przed wszystkim stworzyły fundamenty pod powstanie kolonii, to jest krajów zagarniętych przez stojące na wysokim poziomie rozwoju państwa europejskie, które teraz nowi władcy eksploatowali, wykorzystując ich zasoby naturalne i bogactwa dla własnego bogacenia się i spychając zarazem pierwotną ludność tubylczą do poziomu pozbawionych wszelkich praw niewolników. Ta charakterystyczna cecha stosunku państw europejskich do kolonii utrzymała się bez zmian przez całe stulecia, ulegając nieznacznym tylko odchyleniom w zależności od metod stosowanych w eksploatacji krajów kolonialnych i ich mieszkańców.

Odkrycia krajów zamorskich wywołały w Europie całkowite przegrupowanie sił od chwili, gdy na arenie gospodarczej, a tym samym i politycznej, pojawiły się państwa leżące nad Oceanem

Atlantyckim. Po Hiszpanii i Portugalii przyszli Holendrzy, Anglicy, Francuzi.

Fatalne także skutki miał nagły napływ metali szlachetnych do Europy. Zmuszona złotem i srebrem płacić za import ze Wschodu — coraz kosztowniejszy skutkiem drogiego pośrednictwa kupców arabskich — Europa odczuwała występujący wyraźnie już brak tych kruszców szlachetnych. A przy tym w miarę jak srebro i złoto odpływało, wzrastała także ich cena. Aż tu nagle pojawiły się tak wielkie ilości złota i srebra! Na przykład: ilość dostarczonego w ciągu jednego roku złota i srebra do Hiszpanii była większa, niż roczne wydobycie tych metali ze wszystkich kopalń Europy! Skutkiem tego oczywiście ceny złota i srebra zaczęły spadać, kruszce szlachetne były coraz tańsze. W krajach europejskich zaczęto w tym czasie zamykać kopalnie złota i srebra, ponieważ były one nieopłacalne wobec obfitego napływu kruszców zamorskich. Zaznaczył się ogólny zastój i zubożenie, głównie wśród warstw żyjących z zapłaty za pracę.

Szybko natomiast rosła zasobność kas państwowych w tych przede wszystkim krajach, które potrafiły zapewnić sobie źródła zysków z kolonii. Przykłady Hiszpanii i Portugalii wskazują, że na koszty wypraw zamorskich nie wystarczała kasa królewska. Feudalni panowie posiadali co prawda duże majątki ziemskie, nie mogli jednak służyć królowi pożyczkami w gotówce. Natomiast wielcy kupcy i bankierzy, najzamożniejsze rodziny mieszczańskie zawsze gotowe były użyć gotówki skarbowi korony ze swych znacznych zasobów finansowych.

Przodująca dotychczas warstwa wielkich feudalów zaczęła tracić swą pozycję; ostatecznie szlachta została zepchnięta z areny politycznej. Z biegiem czasu sam władca stał się czynnikiem decydującym w państwie, skupiał w swym ręku całą władzę polityczną, sam o wszystkim decydował, sam wszystkim rządził. W ten sposób zrodził się w Europie absolutyzm.

Wprawdzie narastanie tych tendencji nie powstało pod bezpośrednim wpływem odkryć krajów zamorskich oraz ich skutków, powstawanie kolonii jednakże wzmocniło i przyspieszyło ich bieg.

Równoległe z podbojami zamorskimi i kolonizowaniem nowych krajów postępowało także szerzenie religii chrześcijańskiej. Interesy władców świeckich i Kościoła były zbieżne. Kościół z radością

witał powstawanie nowych prowincji, a więc nowych źródeł dochodów i terenów wpływów, świeckim władzom zaś pomocne były zasady wiary, wścieplające posłuszeństwo wobec władz, pokorę, cierpliwe znoszenie ubóstwa i cierpień — w zamian za obietnicę najcenniejszej nagrody: wiecznej szczęśliwości, tyle tylko że dopiero „na tamtym świecie”.

Papież z całym swym autorytetem głowy chrześcijaństwa od samego początku opowiedział się po stronie pierwszych kolonizatorów, królów Hiszpanii i Portugalii, a kiedy perspektywy krajów zamorskich zarysowały się nieco wyraźniej, ochotnie podzielił ten nowy świat między nich. Hidalgowie-konkwistadorzy — i to właśnie ci, którzy z lekkim sercem dopuszczali się najbardziej nieludzkich zbrodni przeciwko ludzkości — bez zająknięcia chlubili się mianem najwierniejszych bojowników za wiarę chrześcijańską, czasem nawet z najgłębszym przekonaniem.

Całość wszelkich materialnych korzyści i zapładniających skutków wielkich odkryć oraz podbojów zdobywców i odkrywców XVI wieku opłacona została życiem, krwią i pracą wszystkich „odkrytych” tubylczych narodów.

ODNALEZIONO już teraz, przepłynięto i zbadano dwie drogi z Europy do Indii. Jedną — w kierunku wschodnim dokoła Afryki, którą obrali Portugalczycy; drugą — na zachód, utworowaną przez Hiszpanów. Przy tej okazji odkryta została nowa część świata: Ameryka, składająca się z dwóch części, północnej i południowej.

W ten sposób Europejczycy zyskali wiele nowych, odkrywczych danych z dziedziny geografii. Wyprawa Magellana realnie udowodniła, że ziemia jest kulista, a europejscy żeglarze spenetrowali już także dwa wielkie oceany: Atlantycki i Spokojny.

Rzeczą oczywiście bardziej cenną od zdobyczy wiedzy był dla ówczesnych odkrywców-zdobyców fakt, że znaleźli przy tym także w obu Amerykach, w Meksyku i Peru niezmiernie ilości metali szlachetnych, a w południowowschodniej Azji, w Indiach, w Indonezji i na Malajach niewyczerpane wprost źródła cennych korzeni.

Pierwszeństwo w tych odkryciach, a tym samym i w zyskach, mieli jak wiadomo Hiszpanie i Portugalczycy. Oczywiście cały ten nowy, odkryty świat — łącznie z krajami, które miały dopiero być odkryte — uważali za swoją własność. By między obu zamorskimi mocarstwami nie powstało niebezpieczeństwo zatargów, zwłaszcza że obaj Najjaśniejsi Monarchowie byli żarliwymi i wiernymi sługami Kościoła — sam ówczesny papież doprowadził do tego, iż w 1494 roku Hiszpania i Portugalia zawarły w Tordesillas umowę, na mocy której rozdzieliły między siebie przyszłe kolonie i zyski z podbojów. Granica przebiegała mniej więcej wzdłuż południka przecinającego w jednej trzeciej wschodnią część Ameryki Południowej, po drugiej zaś stronie przez archipelag indonezyjski między Azją i Australią. Tak więc przechodząc

przez oba bieguny linia ta dzieliła kulę ziemską na dwie części, przy czym kraje leżące na zachód od tego południka na półkuli amerykańskiej miały przyspać Hiszpanii (a więc z wyjątkiem Brazylii obie Ameryki i Ocean Spokojny), ziemie zaś leżące od tej granicy na wschód — Portugalii (Brazylia, Afryka, jedno i drugie Indie oraz Indonezja).

Skoro podzielono świat w ten sposób, pozostawał już tylko drobniak: opanować te kraje i utrzymać je.

Z tym było już nieco gorzej.

Hiszpanie dość wcześniej wyruszyli poza granice zdobytych przez siebie krajów — więc z Meksyku, Indii Zachodnich (Ameryka Środkowa) i Peru — na ile pozwalała umowa w Tordesillas. Lecz w ich dalszych planach i próbach podbojów wciąż jeszcze utrzymywała się niejednolita i już znacznie przestarzała mieszanka bardziej postępowego kolonializmu (który opanowuje obce kraje, by korzyści gospodarcze ciągnąć z nich na dłuższą metę) z prymitywizmem rozbójniczych najazdów, a tych celem jest przede wszystkim grabież złota i odpowiadających mu wartością łupów. Że w hiszpańskich wyprawach XVI wieku ten drugi czynnik miał przewagę, dowodzą ogłaszane na początku takich wypraw ich cele. W gruncie rzeczy cel zawsze był jeden: Eldorado... Kraina, o której mówiły liczne miejscowe legendy, a przede wszystkim awanturnicze marzenia Hiszpanów, kraina, gdzie czekają jakoby olbrzymie, nieprzebrane ilości złota. Do tych prymitywnych romantycznych wyobrażeń o „złotym szczęściu” dołączył się także na przykład naiwny cel wyprawy Ponce de Leona, który w roku 1513 wyruszył z Meksyku na północ, na poszukiwania „źródła młodości”, wody życia zapewniającej wieczną młodość.

Temu ostatniemu urojeniu, wywodzącemu się z bają tubylców i namiętnych pragnień białych, zawdzięczamy odkrycie „kwitnącej krainy” — Florydy. Cóż jednak warte były dla Hiszpanów wspaniałości przyrody na Florydzie, skoro nie było tam ani złota, ani czarodziejskiego źródła młodości? Na Ponce de Leona czekała tam tylko śmierć od indiańskiej strzały; dosięgła ona także i jego następcę Narvaeza nad brzegami Mississipi w roku 1528. Aż tam dotarli bowiem Hiszpanie. Nad tą wielką rzeką w czternastym lat później zginął również Hernando de Soto, a w tym samym czasie Vasques de Coronado zniknął bez śladu gdzieś w Arkansas...

Śmierć kosiła raz po raz śmiałych konkwestatorów, których czyny z biegiem stuleci zmalały do jednowierszowych notatek w encyklopediach: ten i ten, wtedy i wtedy, zginął tam i tam... Bez względu jednak na intencje inspirujące tych awanturników, zagubione gdzieś w głębiach dżungli i prerii groby konkwestatorów stanowią świadectwo niesłychanej odwagi, która gnała swe ofiary z miejsca na miejsce, ciągle dalej, ciągle głębiej w nieznaną. Wizja szczęścia i dobrobytu jawiła się przed nimi niby błędny ogień, wciąż kusila i stale znikła, lecz dawała taką siłę ich zachłanności, namietności i wyobraźni, że ludzie ci umieli pokonywać nieprawdopodobnie wprost przeszkody i w najgroźniejszych nawet sytuacjach nie wiedzieli co to strach.

Chociaż Hiszpanie dotarli tak daleko na północ — Eldorada nie znaleźli. Nie znaleźli go także, gdy zwrócili się na południe, gdzie jedynym sukcesem ich wysiłków — jak i Portugalczyków — było zacieranie dalszych białych plam na mapie i tworzenie w miejscach dotąd nieznanych nowych baz mocarstw europejskich. I tak Ybanez Pinzon w roku 1500 odkrył ujście Amazonki, w dziewięć lat później wraz z Diazem de Solis dotarł do ujścia rzeki La Plata, gdzie w latach trzydziestych Pedro de Mendoza założył ufortyfikowaną osadę Buenos Aires.

Z wschodniego wybrzeża Peru Hiszpanie popłynęli z kolei na Ocean Spokojny, by tą drogą dobrać się do indyjskich korzeni. W istocie dotarli na Moluki, na Filipiny, odkryli Nową Gwineę, widzieli nawet wybrzeże ostatniej dotąd nie odkrytej części świata — kiedy to Luis de Torres w roku 1606 przepływał przez cieśninę, noszącą dziś jego imię, między Nową Gwineą i Australią. (Z notatki w jego dzienniku wynika, że wybrzeże australijskie uważał za brzeg jakiejś wielkiej wyspy).

Oczywistość, z jaką Hiszpania i Portugalia rozdzieliły między siebie świat istniejący poza Europą, nie budziła zastrzeżeń innych mocarstw tak długo, póki nie ujawniły się materialne zyski tych odkryć. Kiedy do kas Hiszpanii zaczęło napływać amerykańskie złoto i srebro, a do portów portugalskich indyjskie korzenie, inne leżące również nad Oceanem Atlantyckim państwa europejskie szybko zerwały z dotychczasową obojętnością. Rządy ich — i naturalnie kupcy — odczuły jako brutalną niesprawiedliwość fakt, że tylko i wyłącznie państwa Półwyspu Pirenejskiego mają

prawo ciągnąć zyski z zamorskich części świata. Tego rodzaju „święte oburzenie” zaznaczyło się przede wszystkim w Anglii i we Francji, gdzie w miarę rozwoju obu tych państw rosły ich siły. Trzecim rywalem, gotowym już również do ataku, były Niderlandy (Holandia), które w tym czasie wywalczyły sobie niepodległość.

Tak więc — bez jakichkolwiek oświadczeń czy umów — Anglii i Francuzi zaczęli zupełnie otwarcie egzekwować swe prawo do udziału w zyskach z hiszpańsko-portugalskich kolonii zamorskich, a to w imię zasady, że prawem jest to, co można własną siłą zdobyć i obronić.

Pierwszym i najprostszym — a także najłatwiejszym — sposobem dzielenia się już uzyskaną zdobyczą był po prostu rywal na morzu. Kiedy hiszpańskie i portugalskie statki solidnie wyładowane powracały z Meksyku, Peru czy Brazylii — cóż było łatwiejszego, jak zacząć się na nie, napaść i zagrabieć ładunek? (Z portugalskimi statkami początkowo sprawa była trudniejsza, spotykało więc je to rzadziej, ponieważ ich rejsy powrotne przebiegały poza zasięgiem angielskich i francuskich statków).

Rzecz prosta, że takich aktów rabunku na pełnym morzu nie podejmowała oficjalnie ani angielska, ani francuska flota — byłoby to przestępstwem wobec prawa międzynarodowego, i mogłoby się stać przyczyną natychmiastowego bardzo niepożądanego konfliktu wojennego. Na kontynencie europejskim mocarstwa i państwa, przeważnie chrześcijańskie, zachowywały się w stosunku do siebie tak, jakby wszystko było w porządku.

Taki czy inny statek hiszpański został napadnięty na otwartym morzu? Zrabowano mu ładunek? Ale przecież to zrobili piraci! Rozbójnicy morscy! Faktu, że piraci ci byli na angielskim czy francuskim żoździe, że ich statki i załoga otrzymywały zaopatrzenie i uzbrojenie w angielskich portach, nikt nigdy udowodnić nie potrafił. Kiedy czasem zdarzyło się, że statki hiszpańskie wzięły jakiś piracki statek do niewoli, wówczas Anglia i Francja ostentacyjnie i oficjalnie zaprzęcały, jakoby miały z tym coś wspólnego. Cóż z tego, że wzięci do niewoli piraci mówili co innego — kto by tam rozbójnikom wierzył? Rzecz prosta, że łąza, by ratować własne głowy... Tak przynajmniej wyglądały sprawy na początku.

Kim byli piraci?

Wyrzutkami społeczności ludzkiej. Ludźmi, którzy nie mogli

razem z innymi zarabiać na utrzymanie tak zwaną uczciwą pracą. Nie byli to zresztą tylko zbiegli więźniowie, galernicy czy przestępcy z powołania; wśród piratów znalazła się cała masa ludzi, którym społeczeństwo i jego system rządzenia same uniemożliwiły zdobywanie codziennego chleba normalną pracą. Przykład: jeńiec wojenny lub ktoś, kto w trakcie walk „religijnych” wpadł w ręce zwycięzcy i został sprzedany na galery jako niewolnik (do każdego wiosła było przykuty pięciu ludzi). Jeśli nawet udało się takiemu człowiekowi uciec z galery lub gdy komuś kończyła się galernicza służba (dotyczyło to tych, którzy najęli się na galery dobrowolnie — z największej nędzy), nigdzie już nie znalazł możliwości zarobku, bo byłego „galernika” nikt nie uważał za równego sobie człowieka. Coż więc takiemu człowiekowi pozostało? Szedł do takich, którzy nikogo o przeszłość nie pytali; na ich statkach — pod piracką banderą — od razu znajdował braci w cierpieniu.

Do piratów szli więc ludzie nieszczęśliwi, wyrzuceni poza margines życia, odrzucone ofiary ówczesnego ładu społecznego.

Dla wyniosłych i dobrze urodzonych mężów stanu w rywalizacji o zamorskie zyski byli pożądanymi sprzymierzencami. Oficjalnie nikt się zrazu do nich nie przyznawał — to przecież zbrodniarze, wyrzutki społeczeństwa. Ale ukradkiem dygnitarze, kupcy angielscy i francuscy chętnie żywili i uzbrajali takie gromady zbójców morskich, byle tylko chcieli utrudnić i niszczyć uprzywilejowany hiszpański i portugalski handel. Kiedy jednakże takie wyprawy pirackie okazały się skuteczne, Anglia i Francja bardzo szybko zaczęły już oficjalnie zapewniać ochronę korsarzom: zawierały z nimi umowy, wystawiały specjalne dokumenty, dekrety dające prawo do uprawiania ich zbrojeckiego procederu.

Zwłaszcza w okresie wzrostu potęgi Anglii — za czasów królowej Elżbiety — współpraca korony angielskiej z korsarskimi kapitanami urosła do niebywałych rozmiarów i znaczenia. Najstojniejszym z owych kapitanów był Francis Drake, który podczas swych korsarskich rejsów w roku 1577 opłynął całą kulę ziemską.

Mimo wielkiego zasięgu tych wypraw, korsarskie imprezy nie przyniosły konkretnych, odkrywczych sukcesów, ponieważ ich statki trzymały się wyłącznie już ustalonych, znanych hiszpańsko-portugalskich szlaków morskich — z bardzo zresztą zrozumiałych



powodów. Przecież celem wszystkich tych podejmowanych akcji było przede wszystkim utrudnianie i niszczenie hiszpańsko-portugalskiego handlu i grabież łupów pirenejskich przedsiębiorców.

Z tego względu nie przyniosła też jakichś poważniejszych odkrywczych osiągnięć kolejna metoda, za pomocą której Anglicy, Francuzi i Holendrzy starali się w sposób pasywny przyciągnąć zyski z kolonii Hiszpanii i Portugalii. Było nią bezpośrednie wdzieranie się nowych potęg morskich Europy na tereny obsadzone już przez Hiszpanów i Portugalczyków.

W pierwszym rządzie Holendrzy zaczęli w ten sposób przenikać do Indonezji, skąd powoli wypierali Portugalczyków; Francuzi natomiast lokowali się na wyspach Indii Zachodnich czyli w dzisiejszej Ameryce Środkowej.

Rzecz prosta, że przenikanie dalszych kolonizatorów na tereny pozaeuropejskie wiązało się ściśle z międzynarodową sytuacją polityczną w Europie i ze stosunkiem trzech mocarstw: Anglii, Francji i Niderlandów do Hiszpanii i Portugalii. Zależnie od tego, kto w Europie wzrastał w siłę lub tracił je, rosły także lub malały jego wpływy i sukcesy za oceanem.

Trudno rozważać tu skomplikowane powiązania, jakie istniały między historią szesnastowiecznej Europy i ówczesną zamorską polityką kolonialną. Wystarczy wspomnieć tylko najważniejsze punkty biegu wydarzeń w Europie, które miały bezpośredni wpływ na zamorską ekspansję państw europejskich. W roku 1581 Niderlandy oderwały się od Hiszpanii i uzyskawszy wolność utworzyły republikę. Jest rzeczą oczywistą, że rozwój republiki holenderskiej opierał się przede wszystkim na zyskach z handlu, w pierwszym rządzie handlu zamorskiego. Holandia więc szybko zaczęła budować flotę, której ilość i jakość postawiła ją wnet w rzędzie najsilniejszych państw morskich. Kolejna ważna data to rok 1588, kiedy Anglikom w jednej wielkiej bitwie morskiej udało się zniszczyć hiszpańską „niezwyciężoną armadę” — flotę liczącą blisko 150 uzbrojonych jednostek. Skutkiem tego hiszpańskie siły morskie uległy takiemu ograniczeniu, że z trudem tylko utrzymywały i ochraniały swe dotychczasowe mocarstwo kolonialne. W wyścigu do nowych podbojów terytorialnych teraz już Hiszpania, a wraz z nią i Portugalia, przestała być poważnym rywalem.

Istniały jednak kuszące możliwości, przede wszystkim w Ame-

ryce Północnej — właściwie nietkniętej dotąd stopą europejskich konkwistadorów. Ją właśnie brały pod uwagę plany żeglarzy, opierające się już teraz na realnych stwierdzeniach, że ziemia jest kulista. Portugalczycy osiągnęli swój cel płynąc w kierunku na wschód (dokoła Afryki), a Hiszpanie w kierunku na zachód (a potem dokoła Ameryki przez Ocean Spokojny także do indyjskich brzegów). Ale istniały przecież jeszcze i inne drogi morskie, którymi płynąc z portów europejskich można również opłynąć kule ziemską: choćby na północny wschód albo na północny zachód. Dlaczegoż nie można by opłynąć północnego przyłodka kontynentu amerykańskiego w kierunku zachodnim lub brzegów Europy w kierunku wschodnim i w ten sposób przedostać się na drugą półkulę?

Tego rodzaju próby przyniosły ważne odkrycia geograficzne, których jednak niepodobna przyrównać do tak rewelacyjnych faktów, jak niedawne odkrycie całych nowych części świata.

Pierwsze usiłowania skierowały się na północny zachód. Podjęli je Francuzi.

W roku 1523 król francuski Franciszek I przyjął do służby w swej flocie żeglarza z Florencji nazwiskiem Giovanni Verrazzano, polecając mu zbadanie wschodniego wybrzeża Ameryki Północnej, począwszy od Florydy. Miał szukać drogi wodnej, jakiejś cieśniny wiodącej do Oceanu Spokojnego, która otworzyłaby drogę w kierunku północno-zachodnim — do Indii i do Chin. Zadanie to było później także głównym celem wypraw następców Verrazzano.

Verrazzano dopłynął do ujścia rzeki Hudson, a więc do dzisiejszego Nowego Jorku. O terenach tych w swym sprawozdaniu z podróży zanotował: „Znaleźliśmy miejsce bardzo przyjemne między wzgórzami, wśród których płynie ku morzu szeroka a przy ujściu i głęboka rzeka... Wpłynąwszy na tę rzekę, by zbadać jej ujście, zastaliśmy brzegi jej dość gęsto zamieszkałe przez ludzi nie różniących się niczym od dotychczas spotykanych tubylców; ubrani byli w barwne materiały, przybrani w barwione na różne kolory ptasie pióra. Płynęliśmy pod prąd około pół mili... Kraj pięknymi widokami sprawiał miłe wrażenie; najprawdopo-

dobniej kryje on pod powierzchnią ziemi wielkie źródła bogactw, ponieważ sąsiednie góry wykazują wyraźnie ślady pokładów kruszców." Taki jest pierwszy opis miedzi, gdzie później Holendrzy założyli Nowy Amsterdam, miasto, które było poprzednikiem dzisiejszego Nowego Jorku.

Dalsze poszukiwania również w kierunku północnym prowadził Jacques Cartier, który w 1542 roku dotarł do ujścia Rzeki Świętego Wawrzyńca i przebadał ją daleko w głąb kraju. Po drodze zatrzymywał się w Quebecu i Montrealu — dzisiejszych wielkich miastach, lecz za czasów Cartiera wioskach indiańskich. Informacje Cartiera stworzyły podstawy do późniejszej francuskiej kolonizacji Kanady.

Wraz z Francuzami północno zachodniej drogi do Indii poszukiwali także Anglicy, chociaż próby wypraw morskich podjęli nieco później. Pierwszym z nich był Martin Frobisher: dotarłszy dalej jeszcze na północ wzdłuż wybrzeża dzisiejszego Labradoru i Ziemi Baffina był przekonany, że znalazł upragnioną cieśninę — przejście na Ocean Spokojny. Cieśnina jednak okazała się bardzo szeroką i głęboką zatoką morską, która do dziś nosi miano swego odkrywcę: Zatoka Frobishera.

W dziesięć lat później z angielskiego portu Dartmouth wypłynął następny sumienny zwiadowca, doświadczony kapitan żeglugi John Davis. Wyprawa jego składała się z czterech statków — dwa z nich wysłał na spenetrowanie Grenlandii, z dwoma pozostałymi ruszył wzdłuż wschodniego wybrzeża Ameryki Północnej. Dopłynął do 72° szerokości północnej ustalając szlak wodny w szerokiej cieśninie między Grenlandią i Ameryką Północną; część tej cieśniny do dziś nosi nazwę Cieśniny Davisa.

Henry Hudson natomiast przesunął kierunek badań w głąb łądu północnoamerykańskiego odkrywając w roku 1611 wielką zatokę noszącą jego nazwisko, która rozmiarami swymi przypomina raczej morze śródładowe. Dopiero w pięć lat później następny angielski kapitan William Baffin przebił się aż do 78° szerokości północnej przez zatokę, nazwaną później jego imieniem. Wracając z najgłębszym przekonaniem, że: „nie ma przejścia łączącego Cieśninę Davisa z Oceanem Spokojnym”. Ta konkluzja, obowiązująca później przez dwa stulecia, zahamowała na czas dłuższy

wszelkie próby znalezienia Przejścia Północno-Zachodniego na Ocean Spokojny.

Pierwszymi pionierami północno-wschodniej drogi do Chin i Indii — wokół północnych wybrzeży Europy i Azji — byli Anglicy: Hugh Willoughby, Stephen Burroughs i Richard Chancellor na statkach Moskiewskiej Spółki Handlowej. Statki te wypłynęły w roku 1533. Jedynie Chancellor i jego załoga ocaleli, mimo straszliwych warunków północnej zimy. Przedarłszy się na północ aż do Morza Białego Chancellor lądował w miejscu, gdzie później powstał Archangielsk; stamtąd powrócił do Moskwy. Jednak podczas drugiej wyprawy, która miała być dalszym ciągiem poprzedniej, Chancellor zginął.

Inicjatywę badania Przejścia Północno-Wschodniego przejęli z kolei Holendrzy, dla których od momentu oderwania się Niderlandów od Hiszpanii porty hiszpańskie były zamknięte. W ostatnim dziesięciu lat XVI wieku Holender Willen Barents trzykrotnie starał się sforsować zapory lodowe morza północnego. Najdalej położonym punktem, do którego dotarł, był wschodni cypel Nowej Ziemi na 76° szerokości północnej. Barents i jego towarzysze to pierwsi Europejczycy, którzy — z woli losu — spędzili całą zimę polarną na tych północnych krańcach ziemi (1596—97). Do sukcesów wypraw Barentsa zaliczyć trzeba odkrycie Wyspy Niedźwiedziej i Spitsbergenu. Sam Barents nie ujrzał już swej ojczyzny — zmarł nagle, niemal w pół wypowiedzianego właśnie zdania, ugodzony niby piorunem atakiem jakiejś nieznanej choroby.

Jak rozwijały się dalej poszukiwania północno-wschodniej drogi morskiej?

Sprawy te łączą się już z innymi wyprawami odkrywczymi, z odkryciami w Azji Północnej i Środkowej, dokąd w ostatnim ćwierćwieczu XVI stulecia zaczęli docierać Rosjanie, którzy już w połowie następnego wieku stanęli na brzegach Oceanu Spokojnego.

FUTRO z sobolii

Szarobrunatne, przechodzące na brzuchu w niebieskawopopielate — im ciemniejsze tym cenniejsze — najbardziej poszukiwane z kosztownych futer! Jeszcze w średniowieczu zdobyło stroje szlachty i płaszczki zamożnych mieszczan, nad wszelkie inne pożądane futro z sobolii!

Ongiś tereny łowne tych cennych kun sięgały od Skandynawii poprzez północną część Europy, północnej i środkowej Azji aż po Kamczatkę. Ale wiecznie nienasycony kupcy i bezwzględni łowcy szybko wyteplili całkowicie sobola w Europie, więc też handel futrami w pogoni za tym cennym towarem musiał sięgnąć do nieznanych dotąd krańców Azji za Uralem.

Pierwszy na krok ten zdecydował się bogaty ród kupiecki Stroganowów, zamieszkały w Sołwyczegodsku, w obwodzie północnodwiskim. W połowie XVI wieku wysłał Stroganow swych agentów i służbę z transportem zupełnie bezwartościowego towaru, jak dzwonki, zapinki, błyskotki z taniego metalu, dla zapoczątkowania handlu wymiennego z zauralskimi łowcami zwierząt futerkowych, przede wszystkim soboli. Handel ten dał świetne rezultaty i wnet rozrósł się tak dalece, że na przedsiębiorstwo Stroganowów zwrócił uwagę dwór carski, z którym zresztą ten bogaty kupiec miał stały kontakt jako „nadworny dostawca”. W jakiś czas później Stroganowowie otrzymali od moskiewskiego monarchy, cara Iwana Groźnego, specjalny akt nadania, mocą którego uzyskali prawa do krajów w dorzeczu Kamy, leżących co prawda jeszcze po zachodniej stronie Uralu, lecz już zaliczanych do „Syberii”. Akt ten dawał przedsiębiorstwu Stroganowów pełną swobodę działania i prerogatywy władzy oraz własności przy zachowaniu zależności od cara i jego zwierzchności.

Nie jest ważne to, co Stroganowowie stworzyli w tych swoich majątkach — a zakładali kopalnie, żarzelnie soli, budowali dwory, osiedla i miasta — ważna jest jednak ta strona ich działalności, która przyczyniła się do dalszej penetracji Rosji na olbrzymich połaciach Syberii.

Tymczasem handel wymierny Stroganowów działał już w dorzeczu wielkiej syberyjskiej rzeki Ob. W tym właśnie wschodnim kierunku rozszerzał się także zasięg ich posiadłości, które carowie stale wspomagali nowymi nadaniami. W Moskwie już teraz tyle przynajmniej wiedziano o Syberii, że to kraina bogata w futra, że zamieszkała jest przez jakieś nieznanne plemiona mongolskie, że niektóre z nich od czasu do czasu wysyłają nawet do cara poselstwa z darami, słowem — że są to tereny, których bogactwa i zasoby łatwo można będzie wykorzystać. W roku 1567 car Iwan Groźny wysłał za Ural dwóch atamanów kozackich z odpowiednią asystą i poleceniem, by starali się dotrzeć jak najdalej na wschód i przywieźć do kraju możliwie szczegółowe informacje. To pierwsze poselstwo carskie dotarło przez południową Syberię i Mongolię aż do Pekinu, powróciwszy zaś przedstawiło szczegółowy opis oglądanych krajów.

Zamieszkujące Syberię plemiona oraz Tatarzy, orientując się w przegrącym im niebezpieczeństwie, zawczasu zaczęli się bronić przed ekspansją rosyjską. Ataki na posiadłości Stroganowów mnożyły się i stawały się coraz bardziej krwawe. Lecz wtedy już w obronie swoich najdalej na wschodzie żyjących poddanych wystąpił z całą swą władzą car moskiewski.

Rozpoczął się podbój Syberii...

A rozpoczął się w ten sposób właśnie, że car Iwan uroczystym aktem nadania подарował rodowi Stroganowów „ziemię syberyjską”, której granic nie mógł nawet określić. Był więc to dar, który Stroganowowie sami dopiero musieli zdobyć. A do tego potrzebne im było wojsko. Skądże je wziąć? Gdzież łatwiej je znaleźć jak u „wojowników z powołania”, wspaniałych, walecznych kozaków dońskich!

W roku 1581 Stroganowowie zawarli umowę z atamanem kozackim Jermakiem, w której ten za odpowiednim wynagrodzeniem zobowiązał się obsadzić tereny między rzekami Toboń i Irtysz, a tym samym wcielić je do zauralskich majątności Stroganowów.

Jermak dowodził oddziałem złożonym z ośmiuset ludzi; Stroganowowie dostarczyli broni — prócz normalnych spis kozackich i szabel znalazło się tam także i kilka strzelb. Przekroczywszy Ural popłynęli rzeką Turą na wschód. (Oddział Jermaka to nie była konnica. Kozacy posuwali się naprzód przeważnie łodziami po płynących na wschód rzekach lub łądem na piechotę). Tam każdej chwili mogło już dojść do starcia z miejscowymi mieszkańcami, z Tatarami, poddanyymi „syberyjskiego cara”, chana tatarskiego Kuczuma, którego państwo rozpościerało się między Uralem i terenami obfitującymi w sobole, bobry i lisy. Do tego właśnie źródła obfitości futer mieli dla Stroganowów utorować drogę kozacy.

Wkrótce doszło do pierwszych utarzek z tatarskimi patrolami zwiadowymi. Kozacy odpowiadali na ataki płądrowaniem osiedli tatarskich. W maju następnego roku Jermak dotarł nad rzekę Toboł, gdzie natknął się wreszcie na główne siły wojsk tatarskich, wysłane przez Kuczuma przeciwko intruzom. Do zwycięstwa kozaków przyczyniły się głównie strzelby, mieszkańcy Syberii nie znali bowiem dotąd prochu strzelniczego i lecących wśród „gromów i błyskawic” śmiercionośnych pocisków ze strzelb.

Po pierwszej porażce wysłał Kuczum drugą, licznieszą jeszcze armię pod dowództwem jednego z swych synów, Mametkuła. Druga bitwa z Tatarami przedstawiała dla kozaków znacznie większe ryzyko, ale zakończyła się bez rozstrzygnięcia. Po całodziennym walce kozacy schronili się na łodzi. Mametkuła jednak nie pokonał, zaś Tatarzy nie mając łodzi nie zdołali powstrzymać płynącego dalej rzeką Toboł oddziału kozaków. Nie udało się im także rozgromić ostatecznie kozackiego wojska w chwili, gdy Jermak u ujścia Tobołu do Irtyżu wyładował swych ludzi na brzeg.

Gorzej było, że nadchodząca zima kazała szukać punktu oparcia, gdzie wojsko kozackie mogłoby ją bezpiecznie przetrwać. Jermak postanowił iść z swymi ludźmi w górę rzeki Irtysz, wiedział bowiem, że w tamtych stronach natrafi na tatarskie tereny rolnicze, gdzie łatwiej będzie o dach nad głową i żywność na zimę. Lecz na tej drodze leżała niebezpieczna przeszkoda — obóz wojskowy syberyjskiego chana Kuczuma, ufortyfikowany Isker.

Jednakże Jermak musiał postawić wszystko na jedną kartę, istniały bowiem dwie szanse przeciw jednej: albo kozacy zimują

przed Iskrem wyginą z zima i głodu, albo podejmą walkę i zostaną przez przeważające siły tatarskie pokonani... czy wreszcie — co wydawało się najmniej prawdopodobne — zdobędą Isker. Jermak więc nie miał wyboru: po kilku dniach wahania 23 października uderzył na twierdzę Kuczuma.

Trzeba by mieć wyobraźnię dawnych piewców bylin^{*)}, by opisać bitwę małej gromadki zgłodniałych i wyczerpanych kozaków z licznymi, dzikimi hordami Tatarów, ilościowo przewyższającymi ich wielokrotnie. Z jednej strony walczyła tu rozpaczliwa decyzja, stawiająca na jedną kartę wszystko: kuszącą wizję celu wyprawy z mirażami bogactwa i łupów, nadzieję zwycięskiego powrotu do własnego ogniska domowego, rozstrzygnięcie fatalnego „albo-albo”, życie lub śmierć, gdzie klęska, ucieczka, głód i mróz oznaczały pewną zagładę, zwycięstwo zaś — ratunek i dobrobyt. Po drugiej, tatarskiej stronie stawała do walki olbrzymia realna przewaga, wspaniała słuszność Tatarów, przodkowie Kuczuma bowiem zaliczali się do bezpośrednich potomków wodzów wielkiej „Złotej Ordy”, groźnych mongolskich chanów. Ale ręka w rękę z tymi tradycjami szła także odbierająca siły starość, wobec której zaborcza, lecz zarazem i technicznie lepiej wyposażona młodość kozackich napastników tym ostatnim dawała szansę.

Kto wie, jak by się skończyła ta wielka, decydująca bitwa pod Iskrem, gdyby nie fakt, że w trakcie walki dowódca wojsk tatarskich, syn Kuczuma książę Mametkuł, został ranny. W chwili gdy się obsunął, ogarnięci paniką inni dowódcy zaprzestali walki. Ogólny popłoch wśród wojsk tatarskich zmusił ostatecznie Kuczuma do odwrotu, groziła mu bowiem niewola.

Pod wieczór owego krwawego dnia Isker wpadł w ręce kozaków. Jermak za zwycięstwo zapłacił życiem ponad stu swoich wojowników, lecz Kuczum został pokonany, a jego państwo legło u nóg zwycięzcy — ściśle mówiąc: u nóg Stroganowów. Od tej bowiem chwili dawni poddani Kuczuma będą płacić daniny już nie bylemu „carowi Syberii”, lecz tym właśnie rosyjskim kupcom. A daniny te będą składane w skórach — przede wszystkim soboli.

^{*)} byliny — starorusyjskie ludowe pieśni bohaterkie, opiewające wybitne osoby lub zdarzenia historyczne

Pierwsza rata, dwa i pół tysiąca sobolich skór, wnet znalazła się u stopni tronu cara Iwana Groźnego... Stroganowowie to niezwykle wierni i pokorni poddani moskiewskiego władcy! Bardzo im się to opłaca! Teraz już bowiem sama Moskwa była tym zainteresowana, by ich syberyjskie przedsiębiorstwo kwitło.

Oczywiście zdobycie Iskeru i pokonanie wojsk Kuczuma nie załatwiało definitywnie sprawę. Wkrótce ponowiły się tatarskie ataki na uszczuplone siły Jermaka. Mimo iż kozacy skutecznie i stale je odpierali — kiedyś przy takiej okazji wzięli do niewoli samego księcia Mametkula i odesłali go do Moskwy — jednakże opór Tatarów dwukrotnie jeszcze podrywał do walki wielkie masy ludzi, prowokując bardzo niebezpieczne bitwy, w których kozacy z najwyższym wysiłkiem odnieśli zwycięstwo. Ponawiając się stale wybuchy tatarskiego oporu przeciw rosyjskiej przemocy sprawiły, że osiągnięte sukcesy były nadal niepewne; sytuacja stawała się tym gorsza, że tymczasem oddział Jermaka skutkiem stałych strat w walkach zmniejszył się o ponad połowę.

Trzy lata jeszcze spełniał Jermak ciężki i odpowiedzialny obowiązek „przedstawiciela władz moskiewskich” na Syberii. Z początkiem sierpnia 1584 roku, gdy podczas jednej z mniejszych wypraw nocą obozował nad brzegiem Irtyżu, został napadnięty przez Tatarów. Zaskoczyli go wraz z jego kozakami we śnie, wszyscy — z wyjątkiem jednego zbiega — zostali wymordowani.

Tak zginął pierwszy odkrywca i zdobywca Syberii, ataman kozacki Timofiejewicz Jermak, w służbie kupieckiej.

Tym razem nie tylko Stroganowowie, ale sama Moskwa, car i jego dwór, mocniej zainteresowała się Syberią. Następcy Iwana Groźnego raz po raz wysyłali za Ural nowe ekspedycje wojskowe, by umocnić opanowane tereny. Wówczas nadszedł także kres „syberyjskiego cara”, wielkiego chana Kuczuma.

Mimo iż odbiegamy od tematu, warto poświęcić chwilę na dzieje ostatnich lat tego nieugiętego przeciwnika „Moskali”. Koniec jego żywota zasługuje na pamięć ze względu na wielkość moralną, której tragizm przypomina ponurych bohaterów dramatów Szekspira.

Kuczum się nie poddał, mimo że pozostało mu już tylko życie

wraz z Tatarami w koczowniczych obozach na szerokich stepach, mimo że rosyjskich ekspedycji stale przybywało, ich zaś celem było: raz na zawsze zniszczyć państwo Kuczuma. W roku 1591, podczas jednej z kolejnych potyczek, stracił drugiego syna. Teraz już drugi jego potomek miał żyć na moskiewskim dworze — nie jako jeniec, lecz jako wybitny gość, otoczony wszelkimi staraniami, któremu wolno było wszystko prócz jednego — wrócić na syberyjskie stepy. Podobną gościnę zaproponowała teraz Moskwa także i samemu Kuczumowi: obiecano mu nawet, że będzie mógł zatrzymać tytuł wielkiego chana, byle tylko uznał zwierzchnictwo cara. A odpowiedź Kuczuma?... „Orzeł stepowy nie pójdzie dobrowolnie do psiarni!”

Po tych propozycjach znów do głosu doszła broń. Oddziały rosyjskich żołnierzy jak sfera psów gończych gnały za Kuczumem, gdziekolwiek tylko się ruszył, wnet szły jego śladem — a jeśli go stracili, zdradzali go przesłuchiwanie na mękach pojmani Tatarzy. Na Kuczuma spadał cios za ciosem: wykruszające się wojska ponosiły porażki jedną po drugiej, z ostatniej bitwy sam Kuczum cudem niemal uszedł cało — wraz z kilku wiernymi ludźmi przedarł się przez płomienie płonącego obozowiska.

Lecz były jeszcze gorsze ciosy od przegranej na polu bitwy, gdzie zawsze jeszcze pozostawała nadzieja, że może w przyszłej bitwie... Były ciosy boleśniejsze: rozczarowanie zdradą poddanych — tak to przynajmniej Kuczum nazywał, gdy coraz więcej osad, rodów i rodzin, godząc się z koniecznością, przechodziło pod władzę przedstawicieli cara. Pusto się robiło wokół Kuczuma, samotność rozgościła się w jego namiocie. Wiodła za sobą dalszych, ponurych gości: zgrzybiałość starości i coraz gęściejszą zasłonę ślepoty na oczach.

Lecz „nigdy” Kuczuma obowiązywało nadal. Obowiązywało jego i tych kilku jego najwierniejszych, którzy przy nim wytrwali. Walki toczyły się na zmianę z moskiewskimi próbami porozumienia. W archiwach rosyjskich zachowały się jakieś resztki korespondencji.

Jak odpowiadał Kuczum na wezwania do pertraktacji nadesłane przez wodzów rosyjskich, przedstawicieli cara?... „Człowiek wolny, car Kuczum, śle podzwolenia bojarom. O czym znowu chcecie mówić? Czy macie rozkaz od swego władcy, białego księ-

cia? Jeżeli macie rozkaz, jestem gotów do rozmowy. Moje słowo brzmi tak: proszę wielkiego księcia, by pozostawił mi kraj za Irtysem..." Oczywiście jako kraj wolny, nikomu nie podległy. Po-tem zaś następują wstrząsające słowa: „Lecz was, wodzowie, o to proszę: wielki bóg oddał w wasze ręce dwu ludzi, którzy byli w drodze do mnie. Zabraliście im to, co dla mnie nieśli — zatrzymajcie to sobie. O jedno was tylko proszę: czy mam chore, a posłowie ci nieśli zioła leczące. O nie was proszę!” Nie umiał jednak powstrzymać się od okrzyku, który także znalazł się w jego liście: „Ja wam Syberii nie dałem, sami ją sobie wzięliście!”

Na cóż się zdalo, że car rozkazał odpowiedzieć jak najbardziej łaskawie i że szczerze obiecywał wszystko, co tylko mógł obiecać! „Dam ci wie i miasta, jak przystoi twej godności... zwrócę ci miasto Irtysz...” Na cóż się to zdalo, skoro połączone było z warunkiem: „...jeżeli zechcesz mi służyć jako mój wierny poddany”. Nic to nie pomogło, podobnie jak nie pomogły przysłane Kuczumowi przez cara zioła lecznicze na chorobę jego oczu.

Nie dało się odegnać wiecznych ciemności sprzed oczu Kuczuma, nie dał się spętać najluźniejszymi nawet pętami — „syberyjski orzeł”.

Po siedemnastu latach nieustannych walk raz jeszcze zdołał ślepy starzec poderwać tatarskie wojska do rozprawy z rosyjskimi wojskami. Do spotkania obu wojsk doszło koło fortu rosyjskiego Tara. Bitwa trwała pół dnia i zakończyła się straszną klęską Tatarów. Kuczum wraz z blisko trzydziestu wojownikami wymknął się w ostatniej chwili i schronił się w lasach nad dolnym biegiem rzeki Ob. Lecz i tam wysłedzili go zwycięzcy — z rozkazu cara raz jeszcze proponowali mu ugodę, zapraszali na moskiewski dwór. „Nie poszedłem, kiedy byłem jeszcze człowiekiem — odpowiedział Kuczum. — Teraz jestem ślepy, głuchy i stary. Umrę na swojej ziemi.”

Jeszcze i wtedy nie myślał złożyć broni. Goniąc resztkami sil dotarł przez drogi i bezdroża do tatarskiego plemienia Nogałów. Starał się pozyskać ich dla swej sprawy: niechże chwycą za broń i wyruszą pod jego dowództwem przeciwko Rosjanom!... Wysłuchali go i odpowiedzieli, że w tej sprawie muszą się poradzić. Czas biegł, Kuczum nalegał na decyzję, a Nogałowie stale odpo-

wiadali: sprawa jest zbyt poważna, więc decyzja nie może być pośpieszna... Stary, ślepy, siwy „syberyjski car” wciąż jeszcze wzbrzdzał duży szacunek, trudno mu było czegoś odmówić. Ale zgoda na jego plany — to szaleństwo! Dosyć już tego, że przechowują go u siebie. Gdyby się tak rosyjskie dowództwo dowiedziało... Któż może zaręczyć, że o tym nie wie? Może nawet ekspedycja karna jest już w drodze? Oskarżą Nogałów o wrogie działania...

Nogajscy naczelnicy naradzali się długo i z rozważą. A kiedy Kuczum znów zaczął się domagać decyzji, kiwali głowami — tak, tak, już niedługo ją otrzymacie. Wyczekali momentu, gdy któregoś nocy Kuczum sam był w namiocie, wysłali czterech ludzi, a ci zakuli go nożami!...

Było to zimą 1598 roku.

Teraz nic już nie stało na przeszkodzie dalszej ekspansji Rosjan na wschód. Pod wodzą bojarów, carskich oficerów, rosyjscy łucznicy i kozacy zagarniali jeden obwód po drugim. I w każdym takim podbitym kraju ogłaszali, jaką która osada czy rodzina ma co roku złożyć daninę swemu dobrotliwemu panu, moskiewskiemu carowi. Rzecz oczywista, że mieszkańcy Syberii daninę tę musieli składać w skórach zwierząt futerkowych. Płynął więc do Moskwy coraz zasobniejszy strumień futer: soboli, lisów, bobrów i czarnych wiewiórek. Towar sprzedawany na wagę złota. Bogacił się car i jego dwór, bogaciła się Moskwa i całe państwo carów. Bogacili się przede wszystkim rosyjscy kupcy, którzy ciągnęli zyski ze sprzedaży i wywozu tych syberyjskich skarbów. Z własnej inicjatywy dodatkowo wysyłali agentów i przedstawicieli krok w krok za wojskiem, by na nowych terenach zdobywali drogocenne sobole futra drogą wymiany — za tytoń i wódkę.

W dziejach podboju Syberii napotykałyśmy dalsze sławne nazwisko: Siemion Iwanowicz Dieźniew. Kozak — podobnie jak przed pół wiekiem Jermak. Były to czasy, kiedy przekroczonej Ob pozostał już daleko w tyle, a kozacy pływali w swych łodziach po rzece Wschodniej Syberii, Lenie. Lecz dalszy jeszcze Wschód, skarbница kłów morsów, które świetnie uzupełniały zyski z łowów lisów polarnych i białych niedźwiedzi, kuśił nieustannie. Właśnie Dieźniew pierwszy wpadł na pomysł: skończyć z pływaniem po sy-

beryjskich rzekach, które tutaj płynęły wyłącznie na północ, zrezygnować z uciążliwych marszów po lądzie, co wcale nie było rzeczą łatwą, i ruszyć na Północny Ocean Lodowaty.

Dieżniew wraz ze swą grupą kozaków zdecydował się popłynąć rzeką Kołymą na północ do morza i tam skierować się na wschód. Jak postanowił, tak zrobił. Był rok 1648 — rok, gdy w skłóconej Europie kończyła się wojna trzydziestoletnia — kiedy Dieżniewowi udało się opłynąć najbardziej na północ wysunięty cypel Azji i wzdłuż jej wybrzeża zawrócić na południe — do Oceanu Spokojnego. Był to fantastyczny wyczyn żeglarski, którego w niczym nie umniejsza okoliczność, że ostatecznie miotaną burzą łódź Dieżniewa wyrzuciły fale na wschodni brzeg Azji, u ujścia Anadyru. (Więc już na wybrzeżu Oceanu Spokojnego.) Jest faktem niezaprzeczonym, że Dieżniew — nieświadomie — odkrył cieśninę między Azją i Ameryką. I to na osiemdziesiąt lat przed Beringiem, któremu odkrycie to przypisano, co znalazło swój wyraz w nazwaniu tego morskiego przesmyku Cieśniną Beringa.

Wschodnia Syberia leży daleko, bardzo daleko. Nim wiadomość stamtąd dotrze do Moskwy... Jeśli nawet dotrze, czy trafi do wiadomości tych, co potrafią ocenić jej znaczenie i zasięg? Pełna trzecia część obwodu kuli ziemskiej dzieli scenę tych wielkich wydarzeń od Europy i jej nieufnej, dumnej pewności siebie.

Stąd też zaistniała możliwość, a nawet fakt, że w XVIII wieku car Piotr I Wielki postawił sobie pytanie, czy przypadkiem Azja nie łączy się z dalszą częścią świata, z Ameryką? I czy rzeczywiście oba kontynenty dzieli morze? Chodziło bowiem nie o co innego, tylko o drogę morską — do Chin! A tak, znowu bowiem w pogoni za bogactwami Azji Wschodniej i Oceanu Spokojnego ożyło dawne marzenie o północno-wschodniej drodze morskiej.

Piotr Wielki, na krótko przed śmiercią, do rozwiązania tej zagadki wybrał kapitana Vitusa Beringa, Duńczyka w służbie carskiej. Załoga wyprawy morskiej Beringa liczyła czterdziestu jeden marynarzy i dwóch oficerów, zastępców dowódcy: jednym z nich był żeglarz również duńskiego pochodzenia, Martin Sponberg, drugim oficer rosyjski, Aleksiej Czirikow. Jeszcze na trzy dni przed śmiercią Piotr Wielki zdążył dokładnie sprecyzować



w rozkazie, jakie zadania wykonać ma wyprawa: 1 — na wschodnim wybrzeżu Syberii zbudować dwa statki; 2 — popłynąć nimi w kierunku północnym wzdłuż brzegów, które bez wątpienia zostaną rozpoznane jako wybrzeże amerykańskie; 3 — w trakcie tej podróży ustalić, czy Azja łączy się z Ameryką.

Trzy zadania wyznaczył car, umarł w trzy dni później, ale trzy lata przeszły zanim wyprawa Beringa dotarła z Petersburga na wschodnie wybrzeże Kamczatki. W kwietniu 1728 roku z portu Pietropawłowsk na Kamczacie wypłynął statek „Fortuna”, w czerwcu zaś statek „Światoj Gawrii”. Płynąc wzdłuż wybrzeża na północ opłynęli Przylądek Czukocki. Wtedy to Bering zauważył na zachodzie wielką wyspę, której Rosjanie nadali nazwę Wyspa Św. Wawrzyńca, od imienia świętego przypadającego w kalendarzu na ten dzień. Statki popłynęły dalej; wobec mgły i fatalnej pogody Bering nie przypuszczał, że znajduje się już w cieśninie między Przylądkiem Dieńniawa i wybrzeżem Alaski. Wokół statków coraz bardziej gęstniała drobna kra, coraz częściej ukazywały się także wielkie torosy — rosła obawa, że bariera lodowa zagrozi dalszą drogę i statki wmarzną w lód. Wtedy Bering wydał rozkaz powrotu. Statki rzuciły kotwice w Pietropawłowsku, Bering zaś wyruszył do Moskwy, ponieważ po śmierci Piotra Wielkiego dwór carski przeniósł się już z Petersburga. Bering miał szczęście: dwór jednak respektując życzenia zmarłego władcy zapewnił Beringowi wszechstronną pomoc i poparcie przy dalszych badaniach Azji Wschodniej. Konsekwentny Duńczyk wymógł także, że tym razem przydzielono mu całą sztab pracowników naukowych dla przeprowadzenia dokładnych badań naukowych i przygotowania wiarogodnych map zwiedzanych terenów. Znaleźli się tam wówczas: astronom francuski Louis Delisle, botanik G. Gmelin, historycy niemieccy J.E. Fischer i Gr. Fr. Müller, przyrodnik G. W. Steller, Szczepan Piotrowicz Kraszeninnikow, autor pierwszego opisu Kamczatki, dalej matematycy, geodeci, fizycy, mechanicy, malarze i tym podobni, dobrani spośród niemal wszystkich narodów Europy. Razem z marynarzami, rzemieślnikami i wojskiem cała ta ówczesna wyprawa liczyła kilkuset ludzi. I ta „naukowo-badawcza armada” znów powędrowała przez Syberię — na Kamczatkę.

Stamtąd już cała wyprawa wypłynęła — tym razem początko-

wo w kierunku południowo-wschodnim — na dwóch statkach noszących imiona najbardziej w Rosji czczonych świętych: „Światoj Piotr” i „Światoj Pawieł”. Pierwszym dowodził Bering, drugim znowu Czirikow.

Był początek lipca 1741 roku. Po kilku dniach podróży po wolnym od lodów morzu horyzont przesłoniły kłęby mgły, które wnet zgęstniały w mleczną ścianę. Gdy wreszcie Bering na „Św. Piotrze” wy dostał się z niej, po drugim statku nie było śladu. Natomiast przed dziobem statku gdzieś daleko zarysował się ląd. O przebiegu dalszych wypadków kilka wyraźnie pełnych oburzenia uwag zanotował ambitny Georg Wilhelm Steller: „Teraz — zgodnie z zasadą i ze względu na ważkość problemów — należałoby naradzić się wspólnie: co trzeba robić, co będzie trzeba na odkrytych terenach stwierdzić... czy lepiej będzie tu zimować, czy też wracać do kraju? Lecz widocznie wszystko to nie warte było zwoływania komisji... nie mogłem się więc powstrzymać i powiedziałem, że przybyliśmy tu widocznie tylko po to, by przewieźć amerykańską wodę do Azji”. Jedyny bowiem wydany przez Beringa rozkaz brzmiał: by z dostrzeżonego łądu przywieźć łożdżą na statek źródlaną wodę do picia.

Steller natychmiast zgłosił się na członka załogi łodzi. Gdy przybyli do brzegu zorientował się od razu, że w grę wchodzi wyspa niemal przylegająca do brzegów amerykańskiego kontynentu. Była to wyspa Kayak, leżąca w pobliżu południowo-wschodniego wybrzeża Alaski.

Płynąc dalej żeglarze z pokładu „Św. Piotra” dostrzegli majestatyczny szczyt jakiejś kanadyjskiej góry, więc górę już oczywiście amerykańskiego kontynentu. A ponieważ był to właśnie dzień św. Eliasza, więc marynarze rosyjscy ów masyw górski nazwali Górami Św. Eliasza.

Statek miał z daleka jedną wyspę po drugiej — większe i mniejsze — układały się szeregiem wzdłuż brzegów Alaski. Płynęły stale po wolnym od lodu morzu. Gdzież ten amerykański brzeg? Gdzie Kamczatka? Nieznane kształty wysp i wybrzeży, mgły i wczesne zapadanie zmroku zbliżającej się jesieni utrudniały ustalenie pozycji i wyznaczenie kursu statku. Wkrótce także dały znać o sobie skutki rozmaitych braków, jednostronnego odżywiania i wyczerpania fizycznego — osłabione organizmy

nie mogły skutecznie bronić się przed atakami chorób, z których najgroźniejsza, znana od dawna choroba żeglarzy — szkorbut, zaczęła wybierać ofiary. W dzienniku pokładowym „Sw. Piotra” pojawiły się regularnie notatki o śmierci jednego czy dwóch członków załogi dziennie.

Nie pozostawało nic innego, jak rzucić kotwicę przy którejś z wysp i przeczimować. Ciężko chorego Beringa zniesiono już ze statku na noszach. Było to dnia 8 listopada — dokładnie w miesiąc później zmarł. Sumienny „pisarz” wyprawy Georg Steller zanotował: „Pogrzebano go w pobliżu naszej chaty (prymitywnego zimowiska), gdzie leży wraz ze swymi adiutantami, jednym komisarzem i dwoma żołnierzami.”

(Sam Steller również zmarł przedwcześnie — prawdopodobnie skutkiem przebytych utrapień, w listopadzie 1746 roku, w drodze powrotnej do Rosji, tuż przy granicy Europy).

Drugi statek „Świętoj Pawieł” — pod dowództwem Aleksieja Czirikowa — straciwszy z oczu statek Beringa popłynął również w tym samym kierunku: na wschód, ku spodziewanemu lądowi amerykańskiemu. Ale podszedł do lądu znacznie bardziej na południu, w pobliżu wyspy noszącej dziś nazwę Wyspy Księża Walii. Działo się to dnia 15 lipca 1741 roku. Jedną z posiadanych łodzi, z załogą złożoną z jedenastu ludzi, wysłano w stronę archipelagu wysp, celem wyszukania odpowiedniego miejsca dla rzućnia kotwicy, zebrania informacji o pobliskim terenie i jego mieszkańcach. Gdy łódź podejrzanie długo nie wracała, Czirikow wysłał drugą łódź, tym razem z załogą czterech ludzi.

Na statku czekano — godziny, noc całą, jeszcze cały dzień. Żadna z łodzi nie wracała. Poprzedniego dnia ukazał się na wyspie bijący w górę ponad korony drzew jakiś dym. Później nie było widać już nic. Ani śladu na wybrzeżu, nigdzie nawet przez lunetę nie dostrzeżono łodzi, które mogły lądować gdzieś w jakiejś ukrytej zatoce... I wreszcie wszystko przesłoniła gęsta mgła.

Czirikow nie miał już łodzi; wyczerpawszy wszelkie możliwości sygnałów świetlnych i dźwiękowych, musiał wydać rozkaz wybrania kotwicy i ruszenia w dalszą drogę. „Świętoj Pawieł” utracił piętnastu ludzi załogi; teraz znów na pokładzie pojawił się nowy, groźny gość: szkorbut.

Nie pozostawało nic innego jak zawrócić w stronę Kamczatki.

Podobnie jak Beringa, także i Czirikowa na noszach zniesiono ze statku na ląd. Jeszcze czas jakiś organizm zwalczał chorobę, lecz potem zaatakowała ona groźnie płuca. Zmarł wkrótce po powrocie do kraju.

Dopiero w sto trzydzieści lat później Szwed, baron Adolf Eryk Nordenskjöld udokumentował istnienie przejścia z morza europejskiego wzdłuż brzegów Azji do Oceanu Spokojnego.

„Dwudziestego lipca 1879 o godzinie 11 przed południem znaleźliśmy się pośrodku cieśniny morskiej, łączącej Ocean Lodowaty Północny z Oceanem Spokojnym. Z pokładu „Vegi” (statek Nordenskjölda) gałą flagową i szwedzkim pozdrowieniem powitaliśmy Stary i Nowy Świat. Nareszcie został osiągnięty cel, do którego zmierzało tyle narodów... Wprawdzie droga ta nie ma właściwie żadnego znaczenia dla kontaktów handlowych Europy z Azją (co było pierwotnym założeniem poszukiwań Przejścia Północno-Wschodniego), mimo to jesteśmy szczęśliwi, że właśnie marynarka szwedzka zdołała udostępnić żegludze morskiej przejście na Ocean Spokojny i co najmniej połowie kuli ziemskiej umożliwić połączenie z morzami świata.” (Z notatnika podróży Nordenskjölda „Podróż Vegi”).

Teraz istnienie Przejścia Północno-Wschodniego zostało udowodnione w praktyce — mimo że Nordenskjöld nie przepłynął ani mili wodami, którymi nie przepłynęły już uprzednio statki jego poprzedników.

Z cieśniny między Azją i Ameryką „Vega” popłynęła dalej: dokoła Japonii, Singapuru, Cejlonu, przez Kanał Sueski, przez Morze Śródziemne, potem wzdłuż brzegów Hiszpanii i Francji, przez Kanał La Manche na północ, do rodzinnego kraju, gdzie ostatecznie rzuciła kotwicę w sztokholmskim porcie.

Ta kolejna „podróż dokoła świata”, finansowana przez rząd szwedzki i przedsiębiorców rosyjskich, trwała dwa i pół roku.

Odkrycia wiążące się z wyprawami morskimi Dieźniewa, Beringa i Czirikowa prowadzą nas wprost na kontynent amerykański.

ski, na Alaskę. Magnezem, który przyciągał tu pierwszych śmialców, były, jak i na Syberii, skórki zwierząt futerkowych.

Szlakami statków odkrywców ruszyły trop w trop ratki kupieckie z dobrze uzbrojonymi załogami. Kupcy wnet rozpoczęli ożywiony handel z mieszkańcami Wypł Aleuckich i dalszych, leżących na dzisiejszym Morzu Beringa. Jak ten „handel” wyglądał w rzeczywistości dowodzi fakt, że wyspiarze używali wszelkich sposobów — podstępny, zaskoczenia, oszustwa — by zamordować każdą ukazującą się na ich wyspach „bladą twarz”. Widocznie po gorzkich doświadczeniach doszli do przekonania, że „dobry Europejczyk — to martwy Europejczyk”. Rosyjscy łowcy zwierząt futerkowych byli przeważnie zarazem łowcami tubylców, co wprawdzie doprowadzało do szybkiego bogacenia się intruzów, z drugiej jednak strony najzupełniej przypominało średniowieczne metody Hiszpanów i Portugalczyków w odkrytej Ameryce: zdobywać jak najwięcej, zagrabić i zgarnawszy zyski co prędzej uciekać.

Zwrot w tej krwawej gospodarce nastąpił wówczas, gdy na scenie pojawił się Grigorij Iwanowicz Szelechow, który w stosunku do dawnych „rabusiów” okazał się kolonizatorem nowoczesnym.

Szelechow pochodził z niezamożnej rodziny kupieckiej ze środkowej Rosji. Już w pierwszych latach młodości wizja rentownego handlu futrami zwała go z zapadłej prowincji na Syberię. Lecz na Syberii handel trzymał mocno w rękę zasiedziało i licznie reprezentowane stare rody kupieckie. Trzeba było ruszać dalej — przez morze na ląd amerykański.

Za punkt wyjściowy swego przedsiębiorstwa obrał Ochock na zachodnim wybrzeżu Morza Ochockiego, mniej więcej naprzeciw południowego cypla Kamczatki. Ponieważ nie miał dostatecznych funduszy, jako wspólnika handlowego wziął Szelechow również młodego kupca z Kurska, Iwana Golikowa. Przedsiębiorstwo w Ochocku rozwijało się doskonale, magazyny futer szybko napępniały się i opróżniały, a w kasie gromadziły się ruble. Lecz na razie wszystko to były tylko zyski z pośrednictwa, z dalszej sprzedaży futer. Szelechow to nie zadowalało: postanowił sam dotrzeć do źródeł zakupu.

Latem roku 1783 popłynął z trzema statkami w stronę archipelagu aleuckiego, do leżącej nieco dalej dużej wyspy Kodiaku.

Począł tu sobie jednak zupełnie inaczej niż jego fatalni poprzednicy. Wydał surowy rozkaz załogom: pod groźbą najbardziej surowych kar nie wolno nikomu krzywdzić miejscowych mieszkańców. Rzecz prosta, że niełatwo było przełamać nieufność tubylców zrodzoną z długoletnich przykrych doświadczeń w stosunkach z Europejczykami. Lecz konsekwentne postępowanie Szelechowa dało ostatecznie dobre rezultaty. Udało mu się tyle uzyskać, że mieszkańcy Aleutów i Kodiaku uzbrojony własne oddziały przejęły na siebie odpowiedzialność za porządek i bezpieczeństwo. Ze swej strony Szelechow zbudował na Kodiaku fort, a pod jego osłoną także osadę mieszkalną dla swych załóg. Bo z Kodiaku był już krok tylko do Ameryki.

Lecz do tego trzeba było poczynić przygotowania. A przede wszystkim uzyskać pomoc carskiego dworu.

Wyprawił więc Szelechow swego wspólnika do Europy. Golikow sprawił, że caryca Katarzyna zainteresowała się tym dalekowschodnim przedsięwzięciem i Szelechow został wezwany na dwór. Kiedy stamtąd wracał na Wschód, wioził ze sobą pożyczkę rządową. Lecz pieniądze to jeszcze nie wszystko, znacznie ważniejsze były wpływowo stosunki. A o te Szelechow umiał się postarać i utrzymywać je. Kiedy umarł, kierownictwo spraw przedsiębiorstwa przejęła w mocne ręce wdowa po nim — Natalia. Największym osiągnięciem ostatnich miesięcy jej życia było zawiązanie Kompanii Rosyjsko-Amerykańskiej, akcyjnej spółki handlowej, która miała prawo do wszelkich zysków z handlu na Alasce „na północ od 55° szerokości północnej”. (Jako dodatek, dla uczynienia zadość dobrym obyczajom, spółka zobowiązywała się, że na zagospodarowanym terenie będzie szerzyć chrześcijaństwo.)

Okupowanie Alaski nie było wcale sprawą łatwą. Niejedną skalp białego człowieka zawisł znowu przy pasach alaskańskich Indian. Pożary drewnianych fortów i krew podstępnych mordów znaczyły czerwonymi śladami drogę rosyjskiego przenikania na ląd północnoamerykański. Teraz charakteryzowało je przede wszystkim doskonale uzbrojenie — działa siejące groźbę i śmierć w szeregach Indian, zatapiające ich łodzie, rozbijające wały i nasypany indyjskich umocnień. Czasem żołnierzy zastępowali sprytni i w odpowiednich momentach ugodowi gubernatorzy. I tak — raz gwałtem, to znowu po dobroci — umacniała się i rozszerzała wła-

dza rosyjska na zachodnim cyplu Ameryki Północnej. Zatrzymała się dopiero na granicy wyznaczonej na mapie linią 142 południka.

Państwo rosyjskie, mieszczące się dotychczas na terenach Europy i Azji, znalazło się teraz i w Ameryce. Lecz nie utrzymało się tu długo. W roku 1867 rząd carski sprzedał Alaskę Stanom Zjednoczonym Ameryki za sumę: 7 200 000 dolarów. Złożyło się na to kilka przyczyn: stały brak pieniędzy, ponieważ teren amerykański nie przynosił dostatecznych zysków — jak dotychczas zyski czerpano tylko z handlu futrami, potem dołączył się do tego połów fok — w latach sześćdziesiątych międzynarodowe znaczenie Rosji carskiej znacznie zmalało, utrzymanie i obrona tak odległej jak Alaska kolonii było kosztowne i dość niepewne: wreszcie powstanie Kanady jako dobrze zorganizowanego i uzbrojonego brytyjskiego „dominium” stworzyło groźbę niebezpiecznego sąsiedztwa.

Dzięki tej transakcji Stany Zjednoczone zyskały ponad pół miliona kilometrów kwadratowych, prócz tego korzystną pozycję strategiczną. Kwota z tej sprzedaży rozplynęła się w wiecznie pustej carskiej kasie jak kropla wody na rozpalonej ziemi. W sześć lat po nabyciu Alaski przez Stany Zjednoczone odkryto tam — złoto. I to złożyła tak bogate, że z najródniejszych części Ameryki zaczęły tam ścigać całe falangi poszukiwaczy złota, a także ogarnięci gwałtowną gorączką złota awanturnicy z całego świata. Zdawało się, że nareszcie odkryto owo Eldorado, krainę złota, o której w XVI wieku marzyli pierwsi konkwistadorzy.

NA ZACHÓDI NA AMERYKAŃSKI ZACHÓDI

W WIEKU XVIII dawno już znany był Meksyk i całe południe Ameryki Północnej, znane było także całe wschodnie wybrzeże aż po lodowe pola północy i głęboką Zatokę Hudsona oraz Morze Baffina. Lecz w tym samym czasie zachodnie części Ameryki, aż po najbardziej na północ wysuniętą Alaskę, były nadal krajem nie zbadanym.

Bardzo to już było dawno, gdy pierwszy Europejczyk stanąwszy na amerykańskiej ziemi spostrzegł przed sobą wody Oceanu Spokojnego. Zainteresowania jego następców skupiały się raczej na wnętrzu kraju — na Meksyku w Ameryce Środkowej i Peru w Południowej — gdzie nęciły bogactwa złota i srebra. Także i później, rzecz prosta, penetrowano i badano tę część Nowego Świata, która leżała bliżej Europy, skąd przyływały statki wiozące odkrywców i zdobywców.

Dopiero w latach 1791—1795 zachodnie wybrzeże Ameryki Północnej doczekało się także swego białego, europejskiego odkrywcy. Był nim angielski oficer żeglugi, George Vancouver. W wieku trzydziestu dwóch lat objął dowództwo wyprawy dwóch statków, której zadaniem było spenetrowanie i naniesienie na mapę zachodniego wybrzeża Ameryki Północnej między 30 i 60 stopniem szerokości północnej.

By dostać się na miejsce przeprowadzenia zadania, musiał opłynąć połowę kuli ziemskiej. Dnia 4 lutego 1791 roku wypłynął z angielskiego portu na południe, drogą swych dawnych portugalskich poprzedników opłynął Afrykę wokół Przylądka Dobrej Nadziei, stamtąd na północny wschód przez morze między Azją i Australią oraz przez Ocean Spokojny koło Wypś Hawajskich dotarł do zachodniego wybrzeża Ameryki.

Celem badań było znalezienie odpowiedzi na stawiane od daw-

na pytanie: czy istnieje połączenie między północnym Pacyfikiem i Oceanem Atlantyckim? Chodziło w dalszym ciągu o poszukiwania Przejścia Północno-Zachodniego, teraz jednak powstały możliwości zrobienia tego od przeciwnej strony. Szczegółowy opis wybrzeży sporządzony przez Vancouvera miał służyć specjalnym celom angielskiego handlu.

Ze swego drugiego zadania wywiązał się doskonale. Z jego obserwacji i pomiarów powstała szczegółowa mapa zachodniego wybrzeża Ameryki Północnej, od południowej Kalifornii aż po Alaskę; na mapie zaznaczone było wszystko, co potrzebne dla kapitana, nawigatora czy sternika kierującego po raz pierwszy swój statek na te wody. Prócz mapy spod pióra Vancouvera wyszło także obszernie sprawozdanie z podróży, wydane w Londynie w trzy lata po jego powrocie.

Rząd angielski i angielski handel wybrał do badań Ameryki Północnej prawdziwego marynarza z przygotowaniem fachowym, świetnego matematyka i kartografa, który mógł rzetelnie wykonać zlecone mu zadanie. Vancouver wywiązał się z niego z sumiennością, która powierzchownym obserwatorom mogła się wydawać wprost małą. Wartość jego dzieła tkwiła jednak w wiarogodnych danych i faktach, które wszechstronny Vancouver dzięki swym zdolnościom obserwacji i uczciwej pracy zgromadził.

A pierwsze zadanie, jakie podróż ta miała wypełnić? Wyjaśnia je wyraźnie już tytuł książki zaznaczając, że wyprawa podjęta została „na rozkaz Jego Królewskiej Mości” (króla angielskiego) celem przede wszystkim stwierdzenia, czy istnieje droga morską między północnym Pacyfikiem i Atlantykiem. Otóż badania Vancouvera dały na nie zdecydowanie przeczącą odpowiedź. (Trzeba sobie uświadomić, że ogólnie przypuszczano, iż z zatoki Hudsona na Ocean Spokojny znajdzie się jakaś droga wodna, ponieważ na razie już było wiadomo, że zatoka Hudsona sięga bardzo głęboko w kierunku zachodnim w głąb lądu Ameryki Północnej. Nie ma żadnego połączenia morską między obu oceanami na północ od lądu amerykańskiego? Można by twierdzić, że między Kanadą, Grenlandią i biegunem północnym jest ich bardzo wiele. Przecież w tych okolicach jest tak wiele rozrzuconych wysp, a niebieski kolor na mapie wskazuje między nimi

ciemniny i odnogi morza. Na mapie — tak. Ale chodziło nie o stwierdzenie morza na północy, lecz o fakt istnienia szlaku morską, dostępnego dla statków morskich. Lecz takiej wolnej i zawsze dostępnej drogi wodnej trudno przecież oczekiwać w okolicach, gdzie kry, pola lodowe lub torosy raz po raz uniemożliwiają ruch statków na szlakach, które pozostają zawsze niebieskie i wolne — tylko na papierze).

zupełnie odmiennym typem był Alexander Mackenzie — zwłaszcza dla tych, którzy specjalnie lubią romantyczne przygody. W życiu tego człowieka nigdy ich nie brakowało.

Sam się chwalił, że zawsze miał dużo wrodzonych sił i wytrzymałości. „Ponieważ od lat najmłodszych natura obdarzyła mnie zarówno dużą odpornością i solidną budową ciała, jak i przedsiębiorczością oraz ciekawością badacza, mogłem więc podejmować najtrudniejsze i najbardziej wyczerpujące przedsięwzięcia.” Człowiek ten posiadał zarazem wartościowe cechy charakteru: nie znał słowa „niemożliwe” i nie uznawał przeszkod. O ile natrafiał na nie wśród ludzi, umiał je przełamać, opór zmienił w uległość, tam zaś gdzie napotykał jawny sprzeciw lub wrogość — stawał do walki, z której zawsze wychodził zwycięsko. Nie musiał nawet podnosić ani natężyć głosu, każde wyrażone przez niego życzenie brzmiało jak oczywisty rozkaz, którego niepodobna było zlekceważyć. A jeśli trafiał na wrogość i przeszkody w przyrodzie?... I te także przewycięzał rozsądkiem, sprytem czy wręcz siłą.

Tyle pochwał dla tego człowieka o żelaznej woli i żelaznych mięśniach! Czas więc powiedzieć, dlaczego warto mu poświęcić tyle uwagi. Otóż był to człowiek, który udowodnił czynem, że możliwość połączenia Atlantyku z Pacyfikiem istnieje — lecz nie Przejściem Północno-Zachodnim, ale lądem. Przeszedł wraz ze swą wyprawą w poprzek Amerykę Północną przez tereny, których nigdy nie widziało nawet oko białego człowieka, a miejscowi czerwonoskórzy, ze względu na niedostępność i surowe warunki naturalne, starannie ich unikali.

Wyprawa Alexandra Mackenzie wyruszyła z kanadyjskiego fortu Chipewyan nad jeziorem Athabaska. Do tego punktu istnia-

to stałe połączenie z terenami wschodnimi — przechodziły tamtędy oddziały wojskowe, łowcy zwierząt futerkowych oraz kupcy znad Zatoki Hudsona lub z portów nad Atlantykiem. Lecz w kierunku zachodnim w stronę Pacyfiku — nie, tam nie było żadnej drogi. Autentyczna puszcza, kraj absolutnie niedostępny, pełen niebezpieczeństw ze strony żywej i martwej przyrody, gdzie przy tym czyhali zdradzieccy Indianie, a przed podróżnikami wyrastały przeszkody nie do przebycia: zwarte gęstwiny lasów, rwące, niespławne rzeki i strome, pokryte na szczytach śniegiem i lodem pasma gór.

Przeszkody nie do przebycia?

Mackenzie ruszał tylko ramionami: „Nie znam takich”!

I nawet o nich nie myślał — przynajmniej zawczasu. Co innego utkwilo mu w myślach: — przebiecie drogi łączącej oba oceany byłoby pożytecznym czynem.

Powód? Oh, wtedy na amerykańskiej północy powtarzało się niemal bez końca: — futra, nic tylko futra! Oczywiście: znowu chodziło o przetarcie nowej drogi dla handlu angielskiego — Mackenzie był z pochodzenia Szkotem — lecz zarazem o problemy geograficzne i podróżnicze, które Mackenzie postanowił rozwiązać w specyficzny sposób — z dala od morza i bez statków. W skutych lodem cieśninach morskich statkom zagrażała kra, ludziom zaś śmierć z zimna i głodu, chociaż wybrana przez Szkota wędrowka łądem wcale nie była łatwiejsza ani bezpieczniejsza.

Mackenzie wyruszył w drogę z początkiem października 1792 roku, by przed zimą dostać się do najdalej na wschód leżących osiedli nad Peace River. Tam oczekiwał wiosny i w maju następnego roku ruszył wraz ze swą wyprawą w drogę, której nigdy nie tknęła stopa białego człowieka i gdzie nigdy niemal nie zabłąkał się Indianin. Pierwotna, dziewicza przyroda, groźne, rwące rzeki, niezglębione lasy i surowe góry stawały bezwzględne i nieustępliwe przeszkody tym ludzkim mrówkom, które wdarły się w jej nietknięte królestwo. Przeszkody te taki budziły lęk, że „ze wszech stron odzywały się głosy, iż nie pozostaje nic innego jak zawrócić. Oczywiście zamiast wziąć pod uwagę te zastrzeżenia i przejały oporu, kazałem malkontentom wejść na piętrzący się przed nami górski szczyt i tam rozbić obozowisko na nocleg.”

Wyprawa stanęła więc twarzą w twarz z północną częścią Gór



Skalistych (Rocky Mountains). Warto przytoczyć opis dalszego biegu wydarzeń z notatnika Alexandra Mackenzie:

„Dnia 21 maja 1793 od ośmiu godzin padał deszcz, a ponieważ moi ludzie byli jeszcze bardzo zmęczeni i zniechęceni, pozwoiliłem im aż dotąd odpoczywać. Prąd na rzece był tu taki, że o ile chcieliśmy iść dalej naprzód, nie pozostawało nam nic innego, jak skierować się w poprzek przez góry, przez które w takim wypadku będziemy musieli rzecz prosta przetransportować canoe oraz cały nasz bagaż. Perspektywa ta wzbudziła ogólne przerażenie, więc przede wszystkim wysłałem naprzód pana Mackaya z trzema wioślarzami i obu Indianami z poleceniem, by doszli zboczami górskimi wzdłuż rzeki do takiego miejsca, gdzie dalej będzie ona już spławna. Gdyby miejsca takiego nie znaleźli i doszli do przekonania, że dalsza droga rzeką jest niemożliwa, dwaj członkowie patrolu mają powrócić z tą wiadomością... Pod wieczór wrócił pan Mackay z jednym z wioślarzy, a w dwie godziny później także i pozostali. Mieli za sobą męczącą drogę przez gęste lasy, wspinali się na wysokie góry, potem znów schodzili po ich zboczach w dół, aż wreszcie przedostali się poza progi wodne, które ciągną się według ich opinii przez trzy mile. Mimo że dostarczona przez nich wiadomość wyglądała na bardzo niepomyślną, nie odebrała im odwagi. A kiedy jeszcze spostrzegli przed sobą kocioł osłodzonego dzikiego ryżu i przeznaczoną dla nich porcję rumu, przybrali tak zdecydowaną postawę, jakby wszelkie przeszkody przestały dla nich istnieć; poszli spać z przekonaniem, że na pewno jutro je pokonają. Nie kładłem się pragnąc dokonać obserwacji Jowisa i jego księżyców, ale pochmurne niebo mi to uniemożliwiło.

O świcie 22 maja podjęliśmy naszą osobliwą wędrowkę. Ludzie bez ociągania się zaczęli torować sobie drogę w górę po zboczu, posyłym niezbyt grubymi drzewami. Polecilem ścinać drzewa w ten sposób, by ich pnie nie oddziaływały się całkowicie od pniaków i padały na ziemię równoległe do drogi, dzięki czemu po obu stronach powstawało właściwie coś w rodzaju jednolitej poręczy. Potem znad brzegu przeciągaliśmy do obozowiska nasz bagaż — była to dość niebezpieczna impreza, ponieważ na stromych urwiskach jeden fałszywy krok na śliskiej skale mógł stracić tragarza do rzeki.

Kiedy i z tym daliśmy sobie radę, wróciliśmy wszyscy na

brzeg, by w ten sam sposób i naszą łódź wciągnąć na górę. Było trochę strachu, ale na szczęście i to się dobrze skończyło. Przetransportowaliśmy canoe do obozu trochę odpoczęliśmy, potem zaczęliśmy ją wciągać w górę po zboczu okręcając wokół odpowiedniego drzewa linę, do której łódź była przywiązana. Kilku ludzi ciągnęło linę, inni pchali łódź z tyłu, podtrzymywali, hamowali, gdy groziło jej obsunięcie się, nadawali jej odpowiedni kierunek między drzewami. Taką to skomplikowaną i męczącą metodą wpakowaliśmy ostatecznie także i naszą łódź na szczyt góry... Potem posłałem ludzi, by przerąbali dalszy odcinek drogi...

Dnia 23 przy dobrej pogodzie ruszyliśmy wraz z naszymi bagażami już o czwartej godzinie rano. Teraz ja z panem Mackayem i dwoma Indianami torowaliśmy drogę. Teren wznosił się łagodnie, ale koło południa nagle pojawiły się ostre szczyty. Chociaż byliśmy już bardzo wysoko, widzieliśmy ze wszystkich stron jeszcze wyższe szczyty górskie pokryte już śniegiem. Po południu teren stale się zmieniał, góry i głębokie przepaście... O godzinie piątej rozbiliśmy obóz nad potokiem wypływającym spod zwałów lodu i śniegu...

Od następnego ranka trwała dalsza wyczerpująca wędrowka po stromiznach skał i przez wysokie jodłowe lasy. Dobywając ostatnich sił i wlokąc naszą łódź dotarliśmy wreszcie o czwartej po południu wraz z całym bagażem nad brzeg rzeki, tyle tylko że kilkaset sążni za progami i wodospadami."

Można by tak obserwować długi, bardzo długi łańcuch przeszkód, niebezpieczeństw i trudności zagradzających drogę do wytyczonego celu — wszelkiego rodzaju braki, przede wszystkim niepodobieństwo naprawy czy choćby konserwacji posiadanego wyposażenia: łodzi, ubrań i tym podobnych. Prócz tego nieoczekiwane napady indiańskich rabusiów, nocne kradzieże bagażu, no i nieustanne zasadzki wrogiej przyrody.

Ale ostatecznie Mackenzie zdołał napisać w swym dzienniku podrobę:

„Dnia 20 czerwca rano zanosła nas rzeka w okolicy ujścia, gdzie dzieli się ona na liczne wpadające do morza ramiona. Właśnie kończył się odpływ, głęboko na płaskim brzegu rozpościerała się zielona powłoka morskich wodorostów. Skały dokoła przysłała mgła. Ostry wiatr zachodni wiał nam prosto w twarz. Za-

toka mogła mieć trzy mile szerokości. Na brzegu widzieliśmy liczne wydry morskie, strzelaliśmy nawet do nich, lecz bez powodzenia — umiały bardzo szybko nurkować. Obserwowaliśmy także rozmaite drobne świnki morskie. Prócz orłów bielików przelatywały także mewy i czarne kaczki.

O godzinie drugiej dnia 22 czerwca wody przypiływu podniosły się tak wysoko, a atakujący nas wiatr był tak silny, że z uszkodzoną łodzią nie mogliśmy się posunąć ani o krok naprzód. Wyładowaliśmy więc w małej, dobrze osłoniętej zatoczce po prawej stronie zatoki... Kiedy już i te kłopoty były za nami, na południowo-zachodniej ścianie skały, pod którą spaliśmy ostatnią noc, wymalowałem wielkimi literami farbą z rozmeszanego w rozpuszczonym tłuszczu karminu krótki pamiątkowy napis: Alexander Mackenzie przybył tu łądem z Kanady 22 czerwca 1793."

Niewiele minęło czasu, a już z ludnych wschodnich brzegów przez wnętrze lądu Ameryki Północnej zaczęli przenikać na zachód nowi naśladowcy — jednostki, całe grupy i zorganizowane ekspedycje. Łowcy i wywiadowcy wdzierali się coraz głębiej w dziewiczą puszcze, tam zaś gdzie powstawały chaty pierwszych osiedleńców, lokował swe składy także i kupiec. Handel gnał głodnych ludzi ze strzelbą na poszukiwania futer, zachęcał „prospektorów” do poszukiwania złota w górach.

Któż zna dziś dawno zapomniane nazwiska ludzi, których kości przemieszały się z dziewiczą ziemią po raz pierwszy dotkniętą ich stopą? Nikt nie zapamiętał i nie mógł zanotować tysięcy tych drobnych odkryć. Dopiero ich podsumowanie dokumentowało w sposób widoczny przesuwanie się granicy cywilizacji białych na amerykańskim Zachodzie, gdzie milę po mili znaczyły już tory kolejowe, faktorie handlowe, miasta i forty wojskowe nowych państw ziemi Indian.

ODKRYCIE AUSTRALII

AUSTRALIA!... Terra australis!

Musi ona znajdować się gdzieś na wschodzie, na południe od Azji.

Dlaczego? — Po prostu dla równowagi. Od czasu, gdy Europejcy uczeni i żeglarze dowiedzieli się, że Ziemia jest kulista, gdy zauważyli rozłożenie Azji, Afryki i Ameryki na powierzchni kuli ziemskiej, wielu poważnych ludzi twierdziło, że gdzieś tam musi być jeszcze dalsza część świata, której ciężar jest jakoby potrzebny dla utrzymania równowagi Ziemi, na której lądy i oceany rozłożone są przecież równomiernie.

Mówiono o tym od początku XVI wieku, a już w sto lat później można by wymienić pierwszych „odkrywców” Australii. Oczywiście: odkrywców w cudzysłowie, ponieważ żeglarze, którzy pierwsi zauważyli australijskie brzegi, nie przecuwaliby nawet, że przed ich oczyma wynurzają się z fal morskich brzegi całej nieznannej części świata. Dlatego też skaliste wybrzeża Australii uważali za formacje górskie jakichś nieznanych wysp. Pierwsi byli to Portugalczycy i Hiszpanie, po nich Holendrzy. Lecz nie jest prawdziwym odkrywcą ten, kto stanąwszy pierwszy na nie znanym dotąd lądzie nie zdaje sobie sprawy z tego, gdzie się znajduje...

Znacie piękne opowiadanie Jacka Londona „Zółwie Tasmana”?

A może — co bardziej prawdopodobne — zauważyliście w atlasie nazwy: Morze Tasmana czy Tasmania, jak brzmi nazwa wielkiej wyspy na południe od Australii? Skąd te nazwy wspólnego pochodzenia? Odpowiedź na wszystko znajdujemy w życiorysie Holendra, Abla Tasmana.

Urodził się w roku 1603; kiedy tylko wyrósł z lat dziecięcych zaciągnął się na statek. Morze i jego przestrzeń oczarowały go. Dzięki zdolnościom marynarskim szybko zwrócił na siebie uwagę.

Przeszedłszy na służbę do Holenderskiej Spółki Wschodnioindyjskiej awansował wnet z prostego marynarza na oficera; w dwa lata później ostrożni kupcy holenderscy powierzyli mu samodzielne dowodzenie statkiem. Po dziesięciu latach objął stanowisko dowódcy wyprawy badawczej, złożonej z dwóch statków, której celem było znalezienie nowej drogi do Ameryki Południowej. Na czele małej floty w roku 1642 wypłynął z Batawii na Jawie i początkowo skierował się na zachód docierając aż do wyspy Mauritius; wobec nie sprzyjających warunków atmosferycznych skręcił na południe, a ponieważ pogoda się nie poprawiała, zdecydował się na powrót. Był wtedy już tak daleko na południu, że w drodze powrotnej natrafił na wybrzeże ogromnej wyspy, która do dnia dzisiejszego nosi nazwisko tego odważnego Holendra. W dalszej swej podróży powrotnej przepłynął obok zachodniego wybrzeża Nowej Zelandii. „To już drugi odkryty przez nas ląd” — zanotował w swym dzienniku pokładowym.

Ani razu dotąd nie padła nazwa Australii. Wprawdzie statki Tasmana płynęły niemal po wodach przybrzeżnych Australii, ale przedostały się daleko poza tę przeczuwaną część świata, a wobec dokonanych odkryć wysp zbadanie Australii właściwie uniemożliwiły. Trzeba było czekać przeszło całe stulecie, by zjawił się człowiek, który rzeczywiście i dosłownie odkrył Australię. Był nim oficer żeglugi angielskiej, James Cook.

Na jego przykładzie potwierdza się prawidłowość znanego zjawiska: kto naprawdę chce czegoś wielkiego dokonać, musi być opętany wyłącznie tą jedną pasją — osiągnięcia zamierzonego celu. I cel ten staje się głównym, centralnym marzeniem jego życia, wobec którego wszystko inne musi ustąpić, któremu wszystko trzeba poświęcić.

Cook był z rodzaju takich „opętanych.” Nie uznawał przeszkód w pogoni za swoim ideałem życia. Tym wymarzonym ideałem były podróże morskie, wyprawy w daleki świat, odkrycia...

Miał szczęście, że urodził się w czasach, gdy rozpoczynała się masowa produkcja, co prawda w postaci „rękodzielniczej” — skupiającej się w manufakturach — gdy jej wymagania zmuszały wynalazców do konstruowania pierwszych maszyn, kiedy wszystkie czynniki nadchodzącej ery przemysłowej odwracały współczesny świat umysłowy do przestarzałych, na wpół jeszcze śred-

niowiecznych spekulacji ku nowocześniejszym, bardziej światłym ideom. Zaczęły się więc rodzić także nowe postulaty w dziedzinie odkryć. Nie były to już wyłącznie zainteresowania gospodarczo-polityczne (mocarstwowe i handlowe) — jakkolwiek w społeczeństwach klasowych nigdy nie mogły one całkowicie zaniknąć. Teraz były to także problemy naukowe, doświadczalno-badawcze, które czekały na rozwiązanie przez podróżników-odkrywców.

Więc na przykład bodźcem do pierwszej podróży Cooka (która w konsekwencji doprowadziła do opłynięcia przez niego kuli ziemskiej) były problemy naukowe. Ich rozwiązanie zlecono grupie uczonych, znajdujących się na pokładzie statku, którym dowodził James Cook. Były to zagadnienia astronomiczne: obserwacje przejścia planety Wenus przez tarczę słoneczną, dokonane w najbardziej do tego celu nadającym się miejscu, na wyspie Tahiti. Pierwsza wyprawa Cooka, w latach 1768—1771, wiodła z Anglii wokół południowego cypla Ameryki Południowej na Tahiti, stamtąd zaś już wprost na wody australijskie. Tam Cook po raz pierwszy dokładnie określił położenie Nowej Zelandii i ustalił fakt, że nie tworzy ona całości, lecz składa się z dwóch wysp: „Część wschodnia półwyspu tego kraju — podsumowuje Cook swe notatki z Nowej Zelandii — ... została pierwotnie odkryta przez Tasmana w roku 1642 i nazwana Nową Zelandią. On sam jednak nigdy nie rzucił tam kotwicy zrażony faktem, że w miejscu, gdzie zatrzymał się po raz pierwszy tubylcy zabili czterech jego ludzi. Ziemia ta, do czasów dzisiejszych uważana za „ląd południowy” (ową brakującą część świata, która na południu równoważy inne kontynenty), składa się z dwóch wielkich wysp przedzielonych cieśniną szerokości pięciu mil.”

Ostatecznie 12 kwietnia 1770 roku zapisał w swym dzienniku: „Wiatr północno-wschodni. W południe na zachodzie dostrzegliśmy ląd.” Lądem tym była — Australia. „Wygląda bardzo przyjemnie i obiecująco: wzgórza, wyżyny, równiny, bogato rozczłonkowane i mocno zalesione.”

Aż do września badał Cook wschodnie i częściowo północne brzegi Australii. Zadanie to było dla żeglugi bardzo niebezpieczne, ponieważ całe wybrzeże było skaliste, wody raz głębokie to znów płytkie, dno pod powierzchnią pełne kamiennych iglic i ostrych raf koralowych. „Gdyby nie satysfakcja dla człowieka, któremu

przypada pierwsze odkrycie chociażby tylko ziemi i morza, praca ta byłaby wprost nie do zniesienia — zwłaszcza na terenach tak odległych, przy skromnych zapasach żywności i zaopatrzenia. Lecz świat nie wybaczy temu, kto nie przebada raz odkrytego wybrzeża. Gdy będzie się tłumaczył niebezpieczeństwami — zarzuca mu tchórzostwo i brak wytrwałości, ogłoszą go najbardziej niedoleżnym odkrywcą na świecie. A jeśli nie będzie zważał na czyhające niebezpieczeństwa i trudności, lecz przy braku szczęścia nie odnieś sukcesu — postawią mu zarzut braku rozważli i niewłaściwego postępowania. Ten pierwszy zarzut mnie nie może spotkać, a jeśli będę miał tyle szczęścia, że pokonam wszystkie zagrażające nam niebezpieczeństwa, to i ten drugi także mnie nie dotknie." Oto pełne pasji i zdecydowania słowa, jakimi Cook w dzienniku zakończył opis tego odcinka podróży, który przesądził, że stał się prawdziwym odkrywcą Australii.

W drugiej połowie września Cook opuścił australijskie wody, skierował się do Batawii na Jawie, skąd wokół Przylądka Dobrej Nadziei powrócił do Anglii, gdzie ostatecznie w lipcu 1771 roku wylądował w londyńskim porcie.

Znaczenie odkryć Cooka warte jest, by choć pobieżnie zapoznać się z dalszą drogą życiową tego namiętnego wielbiciela dalekich podróży. Od dzieciństwa w nędznej chacie, wyczerpującą pracą chłopca pokładowego na węglowcu przebił się do swego umiłowanego zawodu; później już nikt i nic, największe nawet niebezpieczeństwo, nie zdołało go oderwać od tej misji, w którą wierzył i której poświęcił się bez reszty. Dopiero śmierć okazała się tą siłą, która stanęła mu w poprzek drogi i zamknęła ją na zawsze.

Zaraz w następnym roku po powrocie wyruszył na nową wyprawę, w czasie której miał przeprowadzić badania geologiczne. Rząd angielski przeznaczył na wyprawę dwa statki, nad którymi Cook objął dowództwo, a w skład ich załóg weszło kilku uczonych światowej sławy, nie tylko Anglików. Wyprawa miała skontrolować morze południowe. Punktem wyjściowym był Przylądek Dobrej Nadziei, skąd statki popłynęły przez Ocean Indyjski do Nowej Zelandii. Dalszy odcinek podróży zakreślił na mapie południowej części Oceanu Spokojnego wielki nieregularny łuk rozpięty między brzegami Australii i Ameryki Południowej. Tam



16 Odkrywcy i zdobywcy

poczynił Cook największe odkrycia swej drugiej podróży: archipelag Tonga, Nowe Hebrydy i Nowa Kaledonia. Z wyprawy tej powrócił w 1774 roku. W trzy lata później poprowadził trzecią wyprawę, tym razem z zadaniem ustalenia możliwości drogi z Południowego Pacyfiku wzdłuż zachodnich wybrzeży Ameryki Północnej, przez cieśninę Beringa (między Azją i Ameryką) i dalej wzdłuż północnych brzegów Ameryki na zachód — do Europy.

W trakcie tej wyprawy Cook odkrył Hawaje, jakkolwiek nie był pierwszym żeglarzem, który tam lądował. Lecz jego poprzednicy podczas pobytu na wyspach wykorzystywali tylko porty nie interesując się samym krajem, natomiast Cook dokładnie zbadał wyspy, dokonał pomiarów i szczegółowo je opisał.

Stamtąd wyprawa ruszyła wprost na północ, gdzie Cook po raz pierwszy musiał zrezygnować, wyrzec się osiągnięcia celu — zwały lodów zagroziły statkom drogę... Trzeba było zawrócić. Wnet jednak ukazały się znowu znane kształty Wysp Hawajskich. Po pierwszym lądowaniu na wyspach Cook tak pisał o jego mieszkańcach: „Niezwykle łagodne usposobienie to główna cecha ich charakteru narodowego, rzucająca się w oczy przy każdym ruchu, każdym działaniu...”

Z tych właśnie łagodnych rąk dnia 13 stycznia 1779 roku spotkała Cooka — śmierć. Czyja to była wina? Według opowiadań towarzyszy Cooka okoliczności wypadku były następujące. Zdarzało się, że tubylcy nie umieli opanować żądzy posiadania pewnych przedmiotów stanowiących własność białych. Tak jak w wielu poprzednich wyprawach morskich dochodziło do prób kradzieży i do kradzieży — jak określają to rzeczowo zasady obyczajowe i prawne dojrzałych cywilizacji. Bez wątpienia w sposób znacznie prostszy, raczej na zasadach procesów uczuciowych niż rozumowych, kształtowały się te sprawy w pojęciach tubylców. Oczarowanie jakimś przedmiotem, wyciągnięcie po niego ręki i ucieczka z łupem następowało jedno po drugim — zanim jeszcze zdolał podzielać jakiś moralny czy też inny hamulec. Przecież ci sami tubylcy nie znali zamkniętych drzwi w swych chatkach, nie obawiali się o swe naczynia gliniane i ozdoby z materiałów naturalnych (piór, kości), które w ich oczach miały zapewne taką samą wartość, jak gdzie indziej każdy inny przedmiot prywatnej własności. Jak trud-

no mierzyć czyny i decyzje ówczesnych tubylców skalą tradycyjnych pojęć europejskich niech wykaże choćby taki przykład:

Kiedy w roku 1785 kapitan francuski La Perouse płynąc przez Ocean Spokojny przybił do Wyspy Wielkanocnej, spotkał się ze strony tubylców z najzłotliwszym, jakie tylko można sobie wyobrazić, przyjęciem. Największe wrażenie robiły na nich tekstylia, tkaniny. Otóż, gdy La Perouse odwiedził miejscowego naczelnika pragnąc go pozyskać darami — były to europejskie zwierzęta domowe: koza i prosiak — ów tubylczy naczelnik wykorzystał sytuację, szybko wyciągnął wystającą z kieszeni La Perouse'a chusteczkę do nosa i uszczęśliwiony ze zdobyczy umknął z nią w bezpieczne miejsce.

W takim oświeceniu bardzo trudno podobne czyny określać „kradzieżą”, słowem, jakie stosują europejskie kodeksy karne.

Alę wróćmy do Cooka i jego wyprawy. Cóż jednak innego pozostało białym jak obrona, kiedy hawajscy tubylcy samowolnie „zapragnęli”, powiedzmy, ich łodzi? Gdy rzecz taka się zdarzyła, Cook postanowił nakłonić miejscowego naczelnika, by przeszedł w charakterze zakładnika na angielski statek — do chwili, gdy jego poddani łódź zwrócą. Cook udał się więc do hawajskiego dygnitarza, z którym był dotąd w najlepszych stosunkach i zaproponował mu, by dobrowolnie udał się do więzienia. Trudno z drugiej strony dziwić się, że tego rodzaju apel miał się z celem. Cook dalej prowadził pertraktacje, gdy jego marynarze ostrzelali jedną z łodek krajowców. Nie było nawet czasu dochodzić powodu strzelaniny. Hawajczycy bowiem szybko już sięgnęli po broń i sam Cook zmuszony był do użycia pistoletu we własnej obronie. Kiedy zażegnał bezpośrednie niebezpieczeństwo, wydał rozkaz — według słów jego towarzyszy, a tym trudno nie wierzyć — wstrzymania ognia rozpoczętego przez Anglików z łodzi. W tej samej chwili, gdy odwrócił się w stronę łodzi, cios noża zważył go na ziemię. Zginął na miejscu. „Kilku marynarzy podzieliło los swego kapitana — mówią ówczesne dokumenty — rozwścieczony tłum rozszarpał ich ciała.”

Przeglądając ostatni zapis Cooka w dzienniku pokładowym, napotykamy takie słowa: „...niepowodzeniu naszej wyprawy zawdzięczamy (to znaczy nie znalezieniu przejścia przez cieśninę Beringa na zachód), że mogliśmy raz jeszcze odwiedzić Wyspy

Hawajskie i wzbogacić naszą podróż odkryciem (Cook odwiedził jeszcze dalsze wyspy archipelagu hawajskiego nie umieszczone podczas pierwszej bytności na mapie), które chociaż jest naszym ostatnim odkryciem, będzie może jednym z najważniejszych, jakie Europejczycy zrobili w rejonie Oceanu Spokojnego."

Proszę słowa... Cook nie dokonał już żadnego dalszego odkrycia.

Przy pobieżnym przeglądaniu zapisów dzienników pokładowych Cooka, przy wyznaczaniu na mapie kursów jego rejsów przecinających wszędy i wzdłuż Ocean Spokojny, może się wydawać, że wszystkie te jego działania były zupełnie proste. Zwłaszcza że dziś nielatwo nam odbiec myślą od współczesnej zaawansowanej techniki morskiej zarówno w budownictwie okrętowym, jak w dziedzinie nawigacji, pomiarów, radia, radaru i tym podobnych. By w pełni uświadomić sobie wielkość dokonanych w XVIII i na początku XIX wieku odkryć, trzeba nieustannie mieć przed oczyma ówczesne możliwości budownictwa okrętowego — żaglowce bez maszyn parowych — oraz znacznie mniejsze umiejętności obrony przed rozmaitymi innymi pułapkami, jak choćby choroby zakaźne czy inne niesprzyjające warunki życiaowe, których pokonanie dziś nie stanowi już dla nikogo problemu.

Wystarczy choćby wspomnieć rzecz tak drobną jak to, że wówczas nie znane były konserwy! Jakże wtedy inaczej zrozumiemy notatkę Cooka w dzienniku pokładowym z którejś podróży, gdzie jako jedną z największych klęsk, jakie spadły na wyprawę, określiła zmycie przez burzę z pokładu klatek z drobiem... Z dreszczem grozy czytamy notatki z końca pierwszej podróży dookoła świata, w drodze powrotnej z Archipelagu Małańskiego do Przylądka Dobrej Nadziei: „24 stycznia (1771 r.) zmarł John Trusslow, starszy marynarz... wielu naszych ludzi leży ciężko chorych na malarię i biegunkę. Składamy tu na karb wody z Wysp Książęcych (gdzie statek przed dwoma tygodniami stał na kotwicy)... W niedzielę 27 stycznia zmarli: mister Sydney Parkinson, przyrodnik i malarz... a wnet po nim John Ravenhill, marynarz, człowiek starszy. We wtorek 29 stycznia w nocy zmarł mister Green, wysłany przez Królewskie Towarzystwo celem obserwowania planety Wenus... 30 stycznia na biegunkę zmarli..." I tak zestawienie ciągnie się dalej wymieniacząc nazwiska siedemnastu marynarzy.

Pod innymi względami podróż morską wcale nie była idyllą. Na przykład notatka z 23 listopada 1773 r. brzmi: „Po południu paru oficerów zeszło na ląd, by porozmawiać z tubylcami. Widzieli leżącą na brzegu głowę i wnętrzności niedawno zabitego młodego tubylca, a jego serce wbite na widelki przymocowane do kłosa rejs z łódek. Jeden z oficerów zabrał tę głowę i przyniósł na statek. Któryś z krajowców odciął z niej kawałek mięsa, upiekł i zjadł. Na kilku naszych ludzi tak to podziało, że się pochorowali." Był to tyłko ponury wstęp do losu, jaki spotkał statek „Adventure” z flotyli Cooka (druga wyprawa), który zoczył z kursu i zniknął z oczu załogi kapitańskiego statku „Resolution”. Dopiero w marcu 1775 roku dowiedział się Cook o tragicznych przeżyciach załogi drugiego statku: „Zagnani przez burzę daleko od „Resolution” skierowaliśmy się do Cieśniny Charlotty, gdzie rzuciliśmy kotwicę; bardzo ucierpieliśmy od burz i deszczów. Większość załogi skarżyła się na reumatyzm. Na Nowej Zelandii zaatakowali nas na lądzie dzicy, kilku z naszych współtowarzyszy potwory te zabiły i zjadły. Byliśmy bezsilni wobec ich licznej przewagi, nie mogliśmy nawet pomóc śmierci naszych towarzyszy. Byli to: M. Rove, M. Woodhouse, F. Murphy, G. Facey, T. Hill, N. Bell E. Jones, J. Cavenaugh, Th. Milton, F. Milton i J. Saville. (Po cóż wyliczać obce nazwiska? By lepiej unaoocnić, że każdy z nich był człowiekiem jak my, z nazwiskiem, rodziną, matką, osobistymi marzeniami, uczuciami i tęsknotami żywego człowieka...) Wróciwszy po tej nieludzkiej uczcie na miejsce orgii znaleźliśmy tylko kości — uratowała się tylko głowa Sevilleya oraz ręce: Rovego i Hilla. Pozostałości te wraz z kośćmi pogrzebaliśmy."

Nielatwo nam wyobrazić sobie bohaterstwo ludzi odkrywających świat dostępny naszej dzisiejszej cywilizacji. Lecz gdyby nie ich odwaga, przedsiębiorczość i ciekawość, ileż wolniej i leniwiej postępowałyby poznanie naszego świata i życia. Podobnie warunki obowiązują i we wszystkich innych dziedzinach przy poznawaniu i przyswajaniu sobie rzeczywistości: potrzeba do tego przede wszystkim światłych mózgów i namiętnych serc. Bez pasji nie uda się nic osiągnąć ani w dziedzinie wiedzy, ani w sztuce, ani w żadnym innym rodzaju twórczości.

W ten sposób został odkryty ostatni z wielkich kontynentów. Wyprawa Cooka zbadała tylko wschodnie i północno-wschodnie wybrzeża Australii. Inne części, a także i całe wnętrze kontynentu, pozostały nadal nieznanne, okryte tajemnicą.

Dalsze przenikanie Europejczyków do wnętrza Australii zależne było od sytuacji na międzynarodowej arenie politycznej. Kiedy po ogłoszeniu niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki Anglia utraciła między innymi teren do osiedlania więźniów skazanych na deportację do krajów zamorskich, niejaki pan Joseph Banks wystąpił z mądrą radą spożytkowania do tego celu nowo odkrytego kraju. Banks czuł się tym bardziej do tego uprawniony, ponieważ jego przede wszystkim zasługą było wysłanie wypraw odkrywczych Cooka. Teraz nadarzyła się znakomita okazja do wykorzystania odkrycia Cooka — można zasiedlić nowe tereny i w ten sposób związać je z koroną brytyjską, a równocześnie pozbyć się z kraju niepożądanych ludzi.

Tak więc podstawą australijskiej imigracji białych stała się uzupełniania nieustannie kolonia karna, a wraz z nią odpowiednia załoga wojskowa. Rozwój prawdziwej kolonizacji Australii rozpoczął się dopiero z chwilą, gdy ustalono, że nowa kraina świetnie nadaje się do hodowli owiec i produkcji wełny. Pastwiska na wybrzeżach nie były zbyt dobrej jakości, przede wszystkim rzadkie, więc też pod wypas swych stad musieli hodowcy zagarniać coraz większe tereny i w ten sposób posuwać się w głąb kraju, dalej od morskich brzegów. Penetracja wnętrza kraju utknęła jednak na pozornie niedostępnym łańcuchu gór, piętrzących się z północy na południe na całej długości nadbrzeżnego pasma.

Przed dotarciem do wnętrza kraju zbadano i naniesiono na mapy pozostałe wybrzeża australijskie na południu, zachodzie i północy. Teraz już cała Australia tkwiła solidnie na mapach świata.

Dopiero z początkiem ubiegłego stulecia kroki nowych osiedleńców skierowały się w głąb kraju. Już na pierwszy rzut oka za barierą gór odsłonił się niespodziewanie ponętny widok: rozległa kraina pastwisk mogąca wyżywić największe nawet stada. Pierwszą połowę wieku charakteryzują ciągle wyprawy w głąb kraju, zapoznawanie się z jego najważniejszymi okręgami. „Nareszcie odkryliśmy ziemię gotową od razu przyjąć cywilizowanych

mieszkańców... pola urodzajne, klimat łagodny... Płyną tu potężne rzeki, ich liczne dopływy nawadniają tereny... Raj ten posiada wielkie walory naturalne, ogromnie ważne w najbliższej przyszłości dla nowych mieszkańców.” (Thomas Mitchell, jeden z australijskich podróżników-pionierów.)

Odkryciem bogactw naturalnych kraju rozpoczęły się dzieje Australii białych.

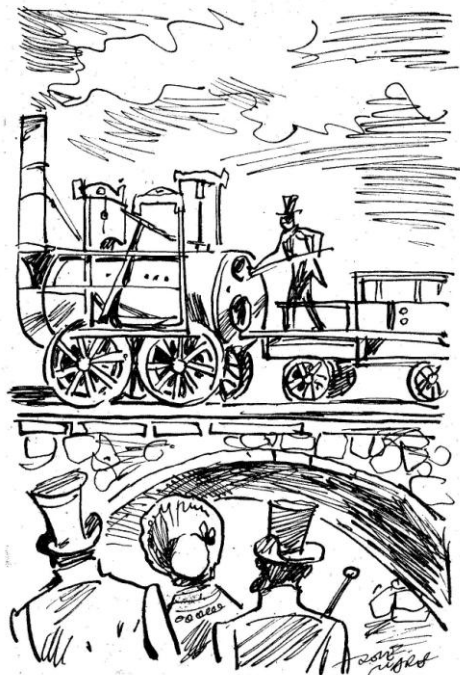
STOIMY u progu dziewiętnastego stulecia, w którym tak głęboko tkwimy korzeniami naszych dni wczorajszych, że już to samo jest sprawą decydującą o naszej dzisiejszej rzeczywistości. Wystarczy uświadomić sobie, że właśnie wiek dziewiętnasty jest okresem powstającego przemysłu i techniki, których liczne gałęzie rodziły się w tym czasie.

Warto więc zatrzymać się chwilę przy tym ubiegłym stuleciu zanim wyruszymy na szlak jego odkrywczych podróży. Bo i one także — podobnie jak inne zjawiska tego czasu — nosiły charakterystyczne piętno nowych i specyficznych cech rozwoju społeczności ludzkiej w okresie między wojnami napoleońskimi (początek XIX w.) i pierwszym rokiem naszego wieku.

Kiedy właśnie zbliżała się owa druga granica, czyli rok 1900, jedno z wielkich niemieckich wydawnictw wydało duże, trzytomowe dzieło noszące tytuł: „XIX wiek w słowie i w obrazie”, zawierające przegląd wszelkich zdobyczy, wynalazków i osiągnięć, jakie przyniosło ubiegłe stulecie.

We wstępie autorzy stwierdzili:

„Jest już za nami wielkie stulecie — największe chyba od początków naszych dziejów. Osiągnęło ono wartości niewymierne i niewymiernym wartościom utorowało drogę. Tysiąc lat ubiegłych nie wniosło tyle do postępu ludzkości na całym świecie co ten właśnie okres... Nigdy jeszcze nie doszło do tak rewolucyjnych zmian we wszelkich dziedzinach życia materialnego i duchowego... Każda epoka dziejów nosi jakieś charakterystyczne piętno — wiek XIX przeszedł pod znakiem wykorzystania nauk przyrodniczych. Przyszłe pokolenia za znamienne cechy dziewiętnastego stulecia będą uznawały nie genialną strategię Napoleona czy mistrzostwo



dyplomacji Bismarcka^{*)}, ale uruchomienie pierwszej linii kolejowej, pierwsze połączenie telegraficzne, warsztat tkacki i dalsze cuda techniki, dla której nie ma rzeczy niemożliwych."

A tak, wiek XIX przewalał się po arenie świata wśród świstu pary i blisków elektryczności — nowych sił poruszających parowce, parowozy, kotły parowe, lokomobile i maszyny, żarówki elektryczne wyganiały ciemności z laboratoriów chemików i fizyków, telegraf i telefon łączyły najbardziej nawet odległe miejsca, by szybciej można było załatwiać transakcje handlowe i zarabiać pieniądze. A rzecz oczywista, że technika równie szybko rozbudowała niezwykle niszczące bronie, by jeszcze bardziej wzmocnić potęgę moźnych tego świata.

Cóż więc dziwnego, że tempo, zasięg podróży i wypraw odkrywczych analogicznie mnożyły się i wzrastały. „Nigdy, nawet w okresie wielkich odkryć (mamy tu na myśli odkrycie Ameryki), zainteresowania kulturalnych narodów świata nie dotyczyły równocześnie tak licznych dotąd nie zbadanych terenów. Zwłaszcza od połowy XIX wieku organizowano tak wiele wypraw geograficzno-badawczych, że można mówić o nowej epoce całkowitego przebadania kuli ziemskiej." I ten cytat pochodzi także z wymienionego dzieła o XIX stuleciu.

Istotnie, gdyby tak zestawić statystykę wypraw odkrywczych, największa ich ilość przypadłaby na wiek XIX. Słuszne również jest twierdzenie, że badania te obejmowały wszystkie części świata, mimo że ze zrozumiących względów Afryka zajmowała w nich pierwsze miejsce jako kontynent dotąd najmniej znany.

Na rozwój tej akcji podróżniczej bez wątpienia miała wpływ dodatni także rozwijająca się stale technika. Rzecz zrozumiała, że nie bezpośrednio — ludziom udającym się do nieznanych, pierwotnych krańców technika mogła zaoferować jedynie bardziej udoskonaloną broń i lepsze niż dotąd instrumenty pomiarowe. Lecz znaczny postęp techniczny wywierał w sposób pośredni decydujący wpływ na inicjatywę badawczą i odkrywcze. Rodzący się z techniki przemysł wymagał znacznych ilości surowców organicznych i nieorganicznych, a także materiałów pędnych. Trzeba

było szybko rozglądać się: gdzie co można dostać, gdzie co rośnie i co kryje się w ziemi! Zanim jeszcze uda się sprawy te zbadać, najpierw trzeba przede wszystkim dotrzeć do wszelkich nie znanych, nie odkrytych i nie zbadanych zakątków świata.

Takie same zainteresowania od strony badań naukowych zdradzał świat wiedzy. Nietrudno więc było obie te sprawy połączyć — czasem nawet niepodobna było określić, gdzie przebiega między nimi linia podziału. Sprawa zresztą obojętna, czy jakaś spółka przemysłowa lub handlowa typowała podróżnika i ponosiła koszty jego wyprawy, czy też instytucja naukowa delegowała w podróż kogoś ze swych pracowników — zawsze krok w krok za nim zjawiał się kupiec i żołnierz. Przecież „dojrzałym" cywilizacjom ludzi białych nieodzowne było zagarnięcie zewsząd wszystkiego, co nie mogło się bronić i przynosiło zyski.

By zrozumieć rozwój geografii politycznej XIX stulecia — intensywność swą zawdzięczał on między innymi i wyprawom odkrywczym — trzeba spojrzeć na koniec tego wieku. Tam znajdziemy wyniki.

Oto jakie obszary — poza Europą i Ameryką — dalszych części świata były w roku 1900 własnością „białych" mocarstw kolonialnych, to znaczy, państw europejskich i północnoamerykańskich:

- 90,4% Afryki,
- 98,9% Polinezji (Ocean Spokojny),
- 56% Azji,
- cała Australia.

Na przełomie XIX i XX wieku nigdzie już nie było ani skrawka terenu — prócz miejsc całkowicie niedostępnych, jak np. bieguny — który nie miałyby swego pana. Takie właśnie były zakończenie często czysto naukowych wypraw geograficznych.

Porzućmy już tych „zdobywców", których nazwiska czas na pewno kiedyś wtrąci w otchłań zapomnienia, i powróćmy do „odkrywców" godnych naszej pamięci i szacunku.

^{*)} Otto Bismarck — kanclerz i znany polityk Rzeszy Niemieckiej w XIX wieku.

PODCZAS drugiej wojny światowej, prócz wielu innych wysp na Oceanie Spokojnym, Japończycy zajęli także i Nową Gwineę. Kiedy w roku 1943 Amerykanie wraz z Australijczykami odbili znów tę wielką wyspę, natknęli się tam na pewną zagadkową sprawę, której przez czas dłuższy nie umieli sobie wytłumaczyć. W rozmowach z tubylcami — Papuasami — z ust ich słyszeli jakiegoś dziwnie brzmiące słowa, najzupełniej odmienne od języka tubylców. Otóż Papuasi prosząc żołnierzy o zapalki określali je jako „spiczki”, siekierę natomiast nazywali „topor”, motykę — „zastup”, buciki — „sapogi”, gwoździe — „gwozdi”. A przecież do wszystkiego były rosyjskie słowa! Któż ich Papuasów nauczył?

Znamienne było, że wszystkie używane przez tubylców rosyjskie wyrazy odnosiły się do narzędzi lub takich wytworów „cywilizacji, których Papuasi sami wyprodukować nie mogli, ponieważ do niedawna jeszcze stopień ich rozwoju nie wyszedł z epoki kamiennej. Wszelkie przedmioty określane na Nowej Gwinei nazwami rosyjskimi mogły być przywileżone na wyspę jedynie przez obcych marynarzy. Lecz stwierdzenie tego faktu także nie przyniosło odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób wyrazy rosyjskie dostały się do mowy tubylczych Papuasów.

Odpowiedź na to pytanie da nam tylko baczne spojrzenie w przeszłość, od której dzieli nas całe stulecie.

Początek tej historii to lata sześćdziesiąte XIX wieku. Wtedy to przekroczył granice Rosji młody, zdolny student, Nikołaj Nikołajewicz Miklucho-Makłaj. Dlaczego opuścił swój kraj ojczysty? Nie zrobił tego dobrowolnie — został usunięty z uniwersytetu petersburskiego, ponieważ brał udział w demonstracjach studenc-

kich, co w oczach rządu było ciężkim, zatracającym rewolucją przestępstwem. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak kończyć studia za granicą.

Wybór Miklucho-Makłaja padł na Niemcy, znane wówczas z wysokiego poziomu nauki. Młodego Rosjanina najbardziej pociągała przyroda, badania przyrodnicze. Istotnie, zakres wiedzy, jaką zdobył na wyższych uczelniach niemieckich, bynajmniej go nie rozczarował. Gorzej przedstawiała się kwestia wniosków teoretycznych, jakie niektórzy panowie profesorowie wysnuwali ze swych badań. Ich zdaniem: ludzie o innym, nie białym kolorze skóry — a więc żółtym, czarnym czy czerwonym — to przedstawiciele ras niższych, które nigdy nie osiągną tej dojrzałości i doskonałości, co uprzywilejowana rasa biała. Kolorowi to po prostu „dzikusy”, brak im w ogóle zdolności, by mogli stać się ludźmi cywilizowanymi, tworzącymi wartości kulturalne. Jest więc rzeczą słuszną i sprawiedliwą, że owe niższe rasy muszą pogodzić się ze swym losem, przystosować się i kontentować rolą służebną i pracą dla przodującej rasy białej.

Przeciwko zwolennikom tej teorii o rasach „niższych” i „wyższych” wystąpiło wówczas wielu uczonych niemieckich, a do ich głosów dołączył także i swój młody uczonek rosyjski, Miklucho-Makłaj. Był z góry przekonany, że teoria rasistowska jest błędna, ale przy tej okazji wpadł na pomysł, by błędność jej naukowo udowodnić.

Jak to zrobić?

Jedyny sposób to znaleźć jakichś prawdziwych „dzikusów”, absolutnie nie tkniętych cywilizacją, badać ich i obserwować, by stwierdzić, czy mają te same warunki do dalszego rozwoju co nacje stojące już dziś na wyższym szczeblu rozwoju.

Tylko gdzie szukać takich ludzi?

Nad tym Miklucho-Makłaj nie zastanawiał się długo. Najlepiej na którejs z wysp Oceanii, na Oceanie Spokojnym. Pozostało już tylko przygotować się do podróży.

Miklucho-Makłaj miał wówczas dwadzieścia pięć lat. Mimo to jednak posiadał tak duże doświadczenia badawcze i podróżnicze, że większość starszych badaczy mogła mu ich pozazdrościć. Miał już za sobą kilka podróży i wypraw geograficznych, z których

najciekawszy zapewne był dość długi pobyt wśród Arabów na zachodnim wybrzeżu Półwyspu Arabskiego — Maklaj przebywał tam w roli arabskiego lekarza, a język i obyczaje miejscowej ludności znał tak dobrze, że nikt z Arabów nie domyślił się nigdy jego europejskiego pochodzenia.

Gożej było z wyposażeniem jego nowej wyprawy. Sam nie posiadał żadnych środków materialnych, musiał więc zadowolić się przyznaną mu przez Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne dotacją w wysokości... 1350 rubli. Szczególnie jeszcze, że prócz tego instytucja ta załatwiła mu bezpłatną podróż okrętem wojennym „Witiaz”, który dnia 27 października 1870 roku wyruszył z Kronsztadu w podróż dokoła świata i szedł kursiem przez Pacyfik.

Miklucho-Maklaj zszedł z pokładu okrętu na wybrzeżu Nowej Gwinei, wyspy leżącej nad północnym cyplem wschodniej Australii, o powierzchni siedmiokrotnie większej od Czechosłowacji. Wybrał ją dlatego, że praktycznie — jako niezwykle trudno dostępna — była dotąd nie znana i nie zbadana. Całą jej powierzchnię pokrywał jednolity, zwarty gąszcz bujnej, tropikalnej roślinności. Potężne pnie olbrzymich drzew dźwigały swe korony nad nieprzenikniętą gęstwiną dżungli, gdzie pędy lian zastawiały sieci i pułapki na każdego, kto chciałby wtargnąć w głąb szmaragdowego półmroku, przesyconego zielenią palm, bananowców, drzew chlebowych i mocno w wilgotnej ziemi rozkrzewionych paproci. Tylko tu i ówdzie przelatujące jak barwne błyskawice kolibry i rajskie ptaki załśniły czasem klejnotami tęczy i natychmiast gasły, a daleki krzyk ptaków i brzęczenie owadów świadczyło o bujnym życiu tającym się za kotarami liści, gałęzi i pędów.

Grupki tubylczych chat porzucane były z rzadka albo na piaszczystych skrawkach wybrzeży, albo na porębach lub polach w głębi dżungli, a wiodły do nich wąskie, nieustannie na nowo przecinane ścieżki i przejścia. Górskie szczyty żyły u podnóża i na zboczach olbrzymich masywów skalnych, wznoszących się w głębi wyspy aż do tej wysokości, gdzie na kamiennym podłożu nic już nie rośnie i tylko nagie, szare głazy pną się ku granicy śniegów i lodów na szczytach.

Na Nowej Gwinei mieszkali Papuasi. Nie znali oni obróbki metali, więc broń i narzędzia sporządzali z kamienia łupanego i ostrych kości, najzupełniej tak samo, jak pracłowicze sprzed

wielu, wielu tysięcy lat. Nigdy też nie zetknęli się z białym człowiekiem.

Jakież musiało być ich przerażenie, gdy pewnego dnia do wybrzeża Gwinei podpłynęła olbrzymia łódź, jakiej nigdy jeszcze nie widzieli. Nie przypominała w niczym tubylczej pirogi. Była to raczej jakaś pływająca wyspa — po jej powierzchni chodzili ludzie, na jej gruncie wyrastały potężne pnie obwieszone wzdymającymi się plachtami materiału i oplecione lianami, po których wspinali się ludzie... Największą jednak grozę budził stercający pośrodku tej pływającej wyspy olbrzymi ściepy pień, z końca którego wzbijały się w górę ciemne kłęby złowieszczego dymu... To straszliwe widmo zbliżające się na falach morza ku przerażonym Papuasom to nie co innego, tylko żaglowo-parowy „Witiaz”.

Miklucho-Maklaj poprosił kapitana, by wysadził go na ląd w północno-wschodniej części wyspy, w dzisiejszej zatoce Astrolabe. By nie utknąć na mieliźnie „Witiaz” rzucił kotwicę w dość znacznej odległości od brzegu. Kapitan kazał spuścić na wodę szalupę wiosłową, której załoga przewiozła młodego rosyjskiego uczonego na ląd. Tutaj, w pobliżu wioski tubylców, marynarze zbudowali mu z kłoców, gałęzi i liści bananowych taką samą chatkę, jakie widywali we wszystkich innych osadach krajowców. Potem złożyli w niej niewielkie zapasy żywności oraz niezbędne wyposażenie, pożegnali Maklaja i powrócili na okręt. „Witiaz” zaś wybrał kotwicę i zaczął się oddalać — stawał się coraz mniejszy, mniejszy, wreszcie zniknął na krańcach horyzontu...

Nie, takie wypatrywanie nie ma sensu, trzeba powrócić do wyspy, pomyśleć o zadaniach, jakie młody uczonec sam sobie postawił.

A co robili tymczasem Papuasi?

Jakby ich ziemia pochłonięła. Nigdzie nie widać nikogo. We wsi nie było żywego ducha, chaty puste, a jednak Maklaj widział na każdym kroku ślady, że jeszcze przed chwilą toczyło się tu codzienne życie: tu nie ostygłe jeszcze ogniska, tam świeże resztki jedzenia, gdzie indziej znów nie wypite mleko w kokosowej skorupie...

Mimo tej ciszy i pustki dokoła Maklaj miał pełną świadomość, że skądś go obserwują, pilnują, śledzą. Wieś leżała na skraju lasu,

straże Papuasów mogły spoza pni drzew doskonale obserwować białego intruza.

A oglądanie go budziło zrozumiałe przerażenie. Ten stwór, który szedł z pływającej wyspy, miał wprawdzie wszelkie cechy człowieka, a jednak wszystko w nim było jakieś inne, nieznanne — blada, sinawa twarz, jak twarz księżycy, nogi natomiast czarne i bez palców, ciało zaś okrywała jakaś druga, dziwaczna skóra: luźna, brzegami nie przyrośnięta do ciała. Niezwykłe i niepojęte było także i to, że ten człowiek nie miał żadnej broni: ani oszczepu, ani łuku. Bez wątplenia musiał być uzbrojony w coś znacznie lepszego. Zważywszy to wszystko cóż innego można przypuszczać, jak nie jakieś straszliwe czary?

Wreszcie za jakiś czas kilku najsmielszych wojowników papuaskich odważyło się wyruszyć ze swych kryjówek leśnych w stronę wsi. A jednak przed tym zagadkowym białym stworzeniem zatrzymali się w dość znacznej odległości — mimo że sami uzbrojeni byli po zęby. Pełni napięcia czekali, co będzie dalej: oszczepy w pozycji do rzutu, mięśnie gotowe w każdej chwili usłużyć rozkazu — cisnąć, uderzyć, zabić!

Lecz biały człowiek — lub raczej ktoś, kto wyglądał jak biały — nie zdradzał groźnych czy niebezpiecznych zamiarów. Powoli jak dotąd szedł ku Papuasom, a kiedy przy kolejnym jego kroku broń ich uniosła się nieznacznie, jakby w następnym sekundzie już miała lecieć w gwałtownym wyrzucie, zatrzymał się i wyciągnął przed siebie puste dłonie. Ten gest Papuasi mogli zrozumieć tylko jednoznacznie: Patrzcie, nie mam broni, przychodzę do was w pokoju i z dobrą wolą.

Potem biały mężczyzna wyciągnął spod swej zwierzchniej skóry kilka kawałków czerwonego materiału i położył je na ziemi. Wskazawszy palcem poszczególnych tubylców, potem zaś leżące u jego stóp chusteczki, zawrócił i spokojnie poszedł w stronę swej chaty, nie dbając o to, że odwraca się plecami do papuaskich oszczepów, których lotu już by nie dostrzegł...

Tymczasem ciemnoskórzy wojownicy wpatrywali się w co innego: w kawałki materiału, skrzące się czerwienią na piasku. Ten niepojęty przybysz najwyraźniej je im darował! Widocznie nie ma złych intencji. Odwrotnie — okazał się przyjacielem.

To pierwsze spotkanie Makłaja z Papuasami z Nowej Gwinei

charakterystyczne było dla wszystkich jego przyszłych kontaktów z tubylcami — zawsze były pokojowe i przyjazne. Pod jednym względem Papuasi mieli rację: rosyjski uczonego posiadał niezwykły czar — było nim usposobienie i charakter. Nie dał nigdy odczuć tubylcom, że uważa ich za coś niższego: po prostu nie mógłby tego zrobić, był przeciw głęboko przekonany o równorzędnej wartości wszystkich ras ludzkich. Serdeczność i szczerza, przejawiająca się nieustannie życzliwość Makłaja wypływała z bezpośredniego, otwartego i bezinteresownego stosunku do wszystkich ludzi, a tym samym i do tych najnowszych „bliźnich”. Dalszą zasadą, jaką zawsze kierował się w stosunku do tubylców, było mówienie prawdy: nigdy, w żadnych okolicznościach ich nie okłamał, nawet wtedy, gdy mogły w ten sposób poprawić swą sytuację. (Np. gdy pewnego razu Papuasi prosili go — jako potężnego czarownika — by powstrzymał deszcz, Makłaj odpowiedział im po prostu, że tego zrobić nie potrafi.)

Wiedza lekarska zyskała mu jeszcze większą życzliwość tubylców — kilku z nich wyleczył, w paru wypadkach goił rany i łagodził bóle. W sytuacji przymusowej nie cofał się nawet przed dokonaniem operacji.

Wszystko to umacniało Papuasów w przekonaniu, że biały człowiek to istota niezwykła, władająca wielu czarami, że musi więc być niezmiernie pochodzenia. Przyczynił się do tego fakt, że Makłaj pewnego razu — by zabawić tubylców — zapalił „ogień bengalskie” jaskrawo niebieskiej barwy. Błękitne światło, powstałe za dotknięciem ręki Makłaja, wystarczająco przekonało krąjowców, że tę jasność biały czarownik przyniósł z sobą z Księżycy, że tam jest jego ojczyzna. Od tego czasu nazywali go „Karam-tamo”, człowiek z Księżycy.

Lecz mimo wszystko w wioskach papuaskich tu i ówdzie trafiali się ludzie, którzy bali się białego człowieka, oczekując, że sprowadzi nieszczęścia i klęski na nich i na całe ich plemię. Dochodziło czasem do prób spisku mającego na celu usunięcie niepokojącego przybysza z terenu wyspy. Na szczęście zawsze znalazł się ktoś ze zwolenników Makłaja, który zdołał na czas uprzedzić go o niebezpieczeństwie. Kiedyś np. Makłaj dowiedział się, że wojownicy z pewnej wsi mają go napaść i zamordować. Natychmiast udał się do owej wsi, oczywiście bez broni, i polecił zwołać

wszystkich mężczyzn. Kiedy się zebrali, oznajmili im, że wie o ich planach, a potem dodał: „Teraz kładę się spać. Jeśli chcecie mnie zabić, to zróbcie to jak najprędzej, póki sen nie przywróci mi sił.” I jak zapowiedział, tak zrobił. Po takim apelu już nikt z tubylców nie poważał się pomyśleć nawet o wykonaniu poprzedniego planu.

„Mój wpływ na tubylców był tak duży — zanotował Miklucho-Makłaj w swym dzienniku podróży — że udało mi się przez czas mego pobytu całkowicie powstrzymać stałe bratobójcze wojny. Jedną z ich głównych przyczyn była wiara tubylców, że śmierć człowieka sprowadzają czary. Dlatego też w wypadku śmierci któregoś z tubylców zbierali się jego krewni oraz przyjaciele i zastanawiali się, kto mógł życzyć sobie śmierci ich krewniaka — aż w końcu uzgodnili wieś, w której żyje nieprzyjaciel, domniemany sprawca tej śmierci. Potem już tylko omówienie planu wyprawy, szukanie sprzymierzeńców i — zaczyna się wojna!”

Jakże wzruszająco brzmiało westchnienie żądnego walki Papuasa, członka plemienia, któremu Makłaj wyperswadował niepotrzebne wyprawy wojenne: „Chcemy bić naszych nieprzyjaciół, ale nie możemy. Bo Makłaj nie chce!”

Pokoju oddziaływanie Makłaja zataczało coraz szersze kręgi obejmując dalsze tereny nadmorskie, leżące w głębi wyspy wieś dzikich i okrutnych górali, a nawet krwiożercze szczepy z okolicznych wysp. Ze wszech stron tubylcy przychodzili i przyjeżdżali do „człowieka z Księżycą”, by go zobaczyć i złożyć mu dary. Odchodzili również obdarzeni podarunkami, które miały dla nich podwójną wartość: po pierwsze — bezpośrednią wartość użytkową, bo były to przeważnie praktyczne przedmioty metalowe i narzędzia, po drugie — uczyli się pracować za pomocą bardziej nowoczesnych środków niż te, jakie znali dotychczas.

Kiedy czasem Makłaj opuszczał swą chatę, by odwiedzić pobliskie czy dalej położone wsie, wszędzie znajdował już przygotowany nocleg, a poszczególne rody prześcigały się w gościnności. Jeśli jakiś ród czy szczep urządzał większą uroczystość, gońcy rozbiegali się po kraju, by odnaleźć „człowieka z Księżycą” i zaprosić go na ucztę z tańcami.

Ten właśnie bliski, serdeczny stosunek Makłaja do Papuasów



umożliwił mu szczegółowe poznanie ich zwyczajów, wiary, zabo-
bonów, tradycji i praw, a zarazem i warunków, w jakich wszystko
to się rodziło. Tak jak przypuszczał, znalazł u tubylców te sa-
me podstawowe właściwości, uzdolnienia, cechy charakteru, pro-
cesy myślowe i reakcje uczuciowe jak u przedstawicieli każdego
innego narodu, każdej innej rasy. Zdolni byli do tych samych
szlachetnych uczuć: ofiarności, wierności, miłości czy przyjaźni,
które biali przypisują tysiącletniemu oddziaływaniu swej kultu-
ry. To, co chciał uzasadnić, mógł teraz poprzeć niezliczonymi do-
wodami — wszystkie rasy ludzkie są równorzędnej wartości, cho-
ciaż w danym okresie znajdują się na innym stopniu rozwoju.

Miklucho-Maklaj, wykorzystując swój pierwszy półtoraroczny
pobyt na Nowej Gwinei, podjął prócz głównego tematu naukowe-
go dalsze prace z zakresu nauk przyrodniczych: zgromadził duże
zbiory botaniczne (zielniki) i zoologiczne (wypchane zwierzęta
i preparaty w spirytusie). Podobnie bogate były jego zbiory etno-
graficzne obejmujące okazy papuaskiej broni, narzędzi, ozdób
i przedmiotów domowego użytku.

Pod jednym tylko względem los nie sprzyjał dzielnemu rosyj-
skiemu badaczowi: stan jego zdrowia — niezbyt mocnego od lat
najmłodszych — w tropikalnym klimacie pogarszał się stale skut-
kiem częstych ataków malarii. Więc też gdy u brzegów Nowej
Gwinei pojawił się statek „Izumrud”, wysłany przez Rosyjskie
Towarzystwo Geograficzne dla odszukania Maklaja, z uczuciem
głębokiej ulgi powitał możliwość zmiany na jakiś czas klimatu
i podratowania zdrowia.

Wiadomość, że „człowiek z Księżyca” chce odjechać, lotem
błyskawicy rozniosła się po papuaskich wioskach. Przyjacieli, któ-
ry leczą choroby, radzi w rozmaitych trudnościach, a nawet po-
trafi zapobiegać wojnie — odjeżdża! Z najrozmaitszych wsi zbie-
gali się do chaty Maklaja tubylcy z prośbami i obietnicami, które
miały na celu ubłaganie białego przyjaciela, by pozostał tam,
gdzie jest tak bardzo potrzebny. Papuasi obiecywali mu nawet,
że w każdej wsi urządzią mu oddzielną chatę, żeby wszędzie mógł
mieć swój dom.

Ale Miklucho-Maklaj zbyt był rozsądny, by nie liczyć się ze
swym stanem zdrowia. Nie mógł pozostać na Nowej Gwinei, cho-
ciażby nawet sam tego pragnął. Kiedy wchodził na pokład „Izum-

ruda”, ulgą w żalonym pożegnaniu z papuaskimi przyjaciółmi
była mu tylko jego własna obietnica, że do nich powróci. A po-
niważ Papuasi wiedzieli z własnego doświadczenia, że nigdy nie
kłamał, uspokoił się pod wpływem tego słownego zobowiązania,
że przyjaciel nie porzuci ich na zawsze.

„Izumrud” podniósł kotwice, skierował się dziobem na pełne
morze, a na wybrzeżu Nowej Gwinei odezwał się głuchy warkot
„barumów”, papuaskich bębnow drewnianych. Grały na pożegna-
nie „człowiekowi z Księżyca”.

Od tego czasu odcinek wybrzeża Nowej Gwinei, na którym
Miklucho-Maklaj wylądował i mieszkał, nosi nazwę „Wybrzeża
Maklaja”.

Maklaj i tym razem także dotrzymał słowa. Trzykrotnie jesz-
cze powracał na Nową Gwineę, w latach: 1876, 1879 i 1883. Z tym
wypraw badawczych, zarówno z dziedziny nauk przyrodniczych
jak i etnografii, napisał — podobnie jak i ze swej pierwszej podró-
ży — wiele wartościowych prac naukowych i książek.

Ale życie na wyspach Oceanu Spokojnego, z chwilą gdy stały
się one dostępne dla białych i ich cywilizacji, szybko ulegało zmia-
nie. „Skutkiem częstych odwiedzin statków europejskich życie
codzienne mieszkańców wybrzeży Nowej Gwinei straciło swój pier-
wotny charakter, który tak bardzo mnie zachwycił” — zapisał
Miklucho-Maklaj w dzienniku podczas jednej z swych później-
szych bytności w Oceanii. — „Spokojne życie tubylców, skutkiem
pojawienia się statków handlowych, zmieniło się w gorączkową
pracę. Każdy z nich starał się złowić jak najwięcej trepanatów
(raki) lub muszli perłopławów, by zdobyć za to jakieś szklane cac-
ka, kawałek zwykłego żelaza czy też czerwonego kretonu. Na ra-
zie tubylcy tym się zadowalają, ale wnet zaczną domagać się no-
ży, stalowych siekier, potem strzelb i prochu. Rozmaici kapita-
nowie mają ochotę nauczyć tubylców picia i palenia, bo gorzałka
i tytoń to tani towar, dogodny do sprzedaży dla Europejczyków.
A że to niszczy tubylców, to tym brutalnie nie przeszkadza.”

Tak jak wszędzie indziej, tak jak zawsze przedtem, także i na
wyspach Oceanu Spokojnego powtórzyło się to samo: najpierw
zjawił się pierwszy biały — odkrywca. W ślad za nim popłynęły

przez ocean statki handlowe i okręty wojenne, na poszczególne wyspy wtargnęła wspaniała europejska cywilizacja: z strzelaniem z muszkietów i armat, z rabunkowym handlem, w którym za istotnie cenne przedmioty tubylcy dostawali lusterka, szklane koraliki i blaszane, błyszczące „klejnoty”. W jakimś czasie później biali ludzie stali się także panami ciał, mięśni i czasu tubylców — zrobili z nich niewolników. I to nie tylko w Oceanii...

Z żalem i goryczą obserwował Miklucho-Makłaj ten rozwój zdarzeń, którego żadna siła powstrzymać nie mogła. A już najmniej mogli mu się opierać sami tubylcy ze swą tak niedoskonalą bronią. Ilekroć próbowali gwałtem odpowiedzieć na gwałt, ścigało to na ich głowy stokroć większe okrucieństwa.

Miklucho-Makłaj, wybierając się na swą trzecią wyprawę, zawarł uprzednio z kapitanem umowę, ustalającą — jak to było powszechnym zwyczajem — jego wymagania z jednej strony oraz wynagrodzenie i obowiązki drugiej umawiającej się strony. Jednakże jeden z punktów tej umowy, jaki na żądanie Makłaja został włączony do aktu, był zupełnie niezwykły. Brzmiał on:

„W wypadku, gdyby na którejś z wysp tubylcy zabili Miklucho-Makłaja, kapitan Webber zobowiązuje się niniejszym nie dokonywać na nich pod pozorem ich ukarania żadnych aktów przemocy”.*)

Gdzie indziej tę swą etyczną decyzję uzasadnia wyraźnie:

„Wina białych wobec wyspiarzy Oceanu Spokojnego jest tak ogromna, że każda tak zwana «kara» zwiększa tylko liczbę dokonywanych na nich przestępstw.”*)

W tych zdaniach dopiero ujawniają się wątpliwości co do równorzędnych wartości ras. Wcale bowiem nie jest rzeczą pewną, czy z punktu widzenia ludzkości rasa biała nie jest mniej wartościowa niż rasy kolorowe.

Ostatnia wyprawa Miklucho-Makłaja na Ocean Spokojny zawiodła go do Australii, stanowiącej jakby granicę południową badanych przez niego terenów, które od północy sięgały aż po wyspę Luzon na Filipinach, zaś w kierunku wschód-zachód granice

*) M. Miklucho-Makłaj: *Podróż*. KiW 1952. Przekład: Andrzej Miłosz.

jego wyznaczały: Półwysp Malajski oraz Wyspy Banksa w archipelagu Nowe Hebrydy. (Zasięg tego „warsztatu morskiego” rosyjskiego naukowca odpowiadał w przybliżeniu powierzchni Australii.)

Lecz Makłajowi groziła inna jeszcze linia graniczna, która miała położyć kres jego pogoni za wiedzą. Stanowiła ją postępująca choroba. Pierwszy atak na organizm tego człowieka wykonała jeszcze gdzieś w tropikach, a teraz, gdy Makłaj na czas dłuższy powrócił do kraju, do Rosji, wykorzystana nagłą zmianą klimatu, by poczynić dalsze postępy w swym niszczącym dziele. W rok po ostatnim powrocie z Oceanii, w kwietniu 1888 roku, „człowiek z Księżyca” umiera w Petersburgu w wieku 42 lat.

Ten „człowiek z Księżyca” był zasadniczo i przede wszystkim człowiekiem. Człowiekiem w najgłębszym, najpiękniejszym tego słowa znaczeniu. I to jest chyba jego najwspanialszy pomnik, większy niż cenne i wartościowe wyniki jego badawczej i odkrywczej pracy.

NAJWIĘKSZY Z PODRÓŻNIKÓW

CZY w ogóle można określić, kto był lub jest największym spośród odkrywców nieznanych krajów? Czy można porównywać i oceniać wartości odkryć geograficznych?

Dni naszej kuli ziemskiej nie są jeszcze zamknięte, kto wie co jeszcze i kiedy zostanie odkryte lub co nowoczesna wiedza wykorzystająca choćby z dawniejszych odkryć, które nadal czekają jeszcze na ustalenie ich prawdziwej wartości.

Mimo wszelkich zastrzeżeń podaną w tytule godność można chyba przyznać podróżnikowi rosyjskiemu, Nikołajowi Michajłowiczowi Przewalskiemu — w prymitywnych warunkach połowy XIX wieku spędził w podróżach dwa dziesiątki lat, przeszedł ponad trzydzieści tysięcy kilometrów przez nieznanne zupełnie kraje. I każdy krok tych jego wędrówek został oznaczony, oceniony z naukowego punktu widzenia i naniesiony na mapę.

Kto poświęci trochę czasu, by w dziennikach z podróży, raportach i notatkach wskrzesić i ożywić obraz jego podróżniczej i odkrywczej działalności, ten zapewne przyzna uczciwie, że wielkość tego człowieka kryje się nie w ilości przebytych kilometrów, ale w odkrywczym walorach jego prac, a co więcej i to przede wszystkim: w ludzkiej wielkości tego człowieka, który wytyczył sobie cel tak dalekosiężny, że walka o jego osiągnięcie doprowadziła go do nadludzkich czynów odwagi, wytrzymałości, dyscypliny wewnętrznej i wierności przyświecającej mu idei.

Często pierwiastki cechujące w przyszłości dorosłego człowieka rysują się już w żywiołowych poczynaniach młodości. Marzenia i pragnienia chłopca czy młodzieńca czasem bardzo wyraźnie zapowiadają powołanie mężczyzny...

Przewalski urodził się w 1839 roku w guberni Smoleńskiej, w rodzinie oficerskiej. To przesądziło początek jego życiowej dro-

gi, która miała wieść śladami ojca. Czy jednak ktoś może wiedzieć, mieć pełną świadomość tego, co w rzeczywistości jest czynnikiem decydującym o wyborze przyszłej drogi życia? To prawda, wykazywał się świetnymi postęпами w gimnazjum; lecz znacznie większy i mocniejszy wpływ na młodego ucznia miały — wakacje! Wakacje przeżywane na wsi, gdzie matka miała małą posiadłość ziemską. (Ojca stracił we wczesnej młodości.) Tam dopiero serce młodego chłopca biło żywszym tętnem, tam jarzyły się radością oczy miłośnika żywej przyrody i namiętneho myśliwego.

Od lat najmłodszych wabiła go barwna różnorodność przyrody, migocząca w trzepotaniu motyli skrzydeł, skrząca się w tęczy w barwach kwiatów, w płynnych ruchach umykającej zwierzyny, w locie ptaków drapieżnych, skamieniałych nieraz na chwilę gdzieś wysoko w błękitach... Wszystko to upajało oczy, szumiało w uszach, napelniało rozkoszą serce — wywoływało z opotków domu w wiejskie wąwozy, w brzozowe zagajniki, w rozległe przestrzenie pól, łąk i stepów...

Podczas wakacji pokusy takie dzień w dzień nawiedzały młodego Przewalskiego. Skupiony, by nic nie uszło jego uwagi, ze strzelbą, która nigdy prawie nie chybiała, wychodził z domu o różnych porach dnia i nocy — a potem po wielu, wielu godzinach wracał zmordowany, podrapany cierniami, lecz obwieszony trofeami i bardzo szczęśliwy! Dwie cechy charakterowały moralną sylwetkę Przewalskiego: od pierwszych przeżyć myśliwskich za młodych lat, aż po słynne później wyprawy dojrzałego wieku — nigdy nie zabłądził i nigdy nie bał się niegocia.

Kiedy wakacje powoli dobiegały kresu i z raju wolności trzeba było wracać „na wygnanie” do miasta, wtedy także umiłowanie życia i energia Przewalskiego nie wygaszały. W martwym środowisku książek równie namiętnie garnał się do wiedzy, jak to czynił wśród wolnej przyrody idąc po tropach zwierząt. Literatura z dziedziny geografii, zoologii, botaniki — a także historii — stała się bogatym terenem łowieckim, gdzie wyprawy w pogoni za wiedzą przynosiły coraz to nowe zdobycze. Logiczny i zdyscyplinowany umysł chłonał wszystko, znajdował powiązania i starannie układał w pamięci. Gimnazjum wiejskie okazało się jednak zbyt skromną skarbnicą dla spragnionego wiedzy ucznia. Egzaminy zdał bez wszelkich trudności, potem zgłosił się do wojska. To prze-

cież zrozumiałe — był synem oficera. W czas jakiś jednak, już jako oficer, postanowił uwolnić się za wszelką cenę od ówczesnej bezdużnej, codziennej służby wojskowej, wejść znowu na ścieżki wiedzy. Skoro nie chciał zdjąć munduru — tego właściwie zrobić nie mógł — jedna pozostała możliwość: dostać się do Akademii Sztabu Generalnego. Była ta akademia zarezerwowana wyłącznie dla wyborowych oficerów-fachowców, dla najlepszych z najlepszych... Dowiedział się dokładnie, czego wymaga się od kandydatów, rok przygotowywał się solidnie i egzamin wstępny złożył z wynikiem celującym. Podczas studiów jeszcze napisał swą pierwszą pracę naukową: „Wojskowo-statystyczny opis kraju nad Amurem”. Studium to oceniło wysoko Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne i zaliczyło jego autora w poczet swych członków.

Ukończenie Akademii Sztabu Generalnego stwarzało szansę dalszego awansu. Przewalski obrał zawód profesora historii i geografii, objął pracę w szkole junkierskiej w Warszawie. Choć i tam miał znaczne sukcesy, jednak od teorii w ławach szkolnych, od katedry nauczycielskiej odrywała go nieustannie chęć bezpośredniego zapoznania się z tym, co wykładał z książek. Podróżować, docierać do nieznanych krajów, wydzierać im ich tajemnice! Czy było to co innego niż zew owych brzoźowych zagajników i stepów we wczesnej młodości, który kusił go wtedy, a teraz znów zachęcał do porzucenia spokojnych warunków codziennego życia, do ruszenia w świat nieznanych przetrzezi i przygód? Może to ostatnie określenie jest właściwe, a może i nie... Nurtowały zapewne Przewalskiego wspomnienia licznych zaskakujących i dramatycznych przeżyć wśród wypraw młodzieńczych, a zarazem i świadomość: o ileż donioślejsze i poważniejsze mogą być przeżycia podczas prawdziwych wypraw badawczych w nieznanne okolice. Wszystko to miało swoje znaczenie. Ale głównym i decydującym motywem było gorące pragnienie poznania nieprzebranych skarbów przyrody, pragnienie uczonego, pragnienie miłośnika życia. Łączyło się z tym bez wątpienia pragnienie mężczyzny dokonania wielkiego dzieła.

Jeżeli ktoś z całą energią do czegoś zmierza — przeważnie cel swój osiąga. Otrzyma od losu niezwykle zbieg okoliczności, może nawet i przypadek stanie na jego usługi. Tak właśnie się stało. W roku 1866 dwudziestoosmioletni Przewalski został wysłany

w podróż służbową na wschodnią Syberię, a Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne fakt ten wykorzystano, zlecając mu zarazem zbadanie Kraju Ussuryjskiego. Było to więc pierwsze zadanie badań geograficznych. Wprawdzie nie w całkowicie nieznanych częściach świata, ale zawsze w takich, co do których brak było konkretnych, naukowo uzasadnionych danych. Że tak było naprawdę, wynika z wyznaczonych Przewalskiemu do opracowania zagadnień. Przede wszystkim miał przeprowadzić spis ludności tego regionu, co nie znaczyło wcale, by miał ustalić ich ilość, ale ich przynależność plemienną ze wszystkimi charakterystycznymi cechami (pochodzenie rasowe, specyficzne cechy, sposób odżywiania, zatrudnienie itp.) Miał także opisać florę i faunę tych terenów, oznaczyć drogi łączące je z jednej strony z Mongolią, z drugiej — z Koreą.

By wyrobić sobie pojęcie o olbrzymich rozmiarach Kraju Ussuryjskiego, który zbadać miał młody naukowiec, trzeba spojrzeć na mapę. Już sama droga z Rosji europejskiej do punktu wyjściowego prawdziwej wyprawy badawczej wystarczałaby na opis pełnej przygód i wrażeń podróży. Znaczyło to ni mniej, ni więcej tylko przejechać całą południową Syberię, wokół jeziora Bajkał, potem przeciąć Zabajkale, przedostać się przez Góry Jablonowe i Tunguzję, aż nad brzegi Amuru. Była to podróż bardzo długa, przy użyciu wszystkich niemal istniejących środków lokomocji, od „trojki” poczynając, a na statku parowym kończąc. Takim właśnie statkiem płynął Przewalski w górę rzeki Amur, by dotrzeć do miejsca, gdzie doń wpada rzeka Ussuri, od której wzięła nazwę wyznaczona do badań kraina. Znajdowała się tam osada Chabarowka — dzisiejsze olbrzymie miasto Chabarowsk.

Był środek lata gdy Przewalski zszedł z pokładu pływającego po Amurze parowca i skierował się do Chabarowki — w nieznanne. Miał świetnie wyposażenie do pomiarów geodezyjnych i astronomicznych, niezbędne zapasy i broń. Do pomocy przydzieliło mu Towarzystwo Geograficzne dwóch współpracowników, których sam uprzednio wybrał i wypróbował.

Ussuryjskie badania Przewalskiego nie należą ściśle mówiąc do działu prac odkrywczych. Warto jednak choć pobieżnie wspomnieć miejscowości, przez które przeszedł czy przejechał. Najpierw na południe wzdłuż jeziora Chanka do granic Korei, stamtąd zaś drogą powrotną wzdłuż wybrzeży Morza Japońskiego —

stanowiącego część Oceanu Spokojnego — przez góry Sichote-Aliń do pierwotnego punktu wyjścia, do Chabarowki.

Ważniejsze niż wyliczenie znanych już miejscowości są obserwacje przyrody i ludzi Kraju Ussuryjskiego. Może ciekawe byłoby podać, ile miejscowości istotnie badacz odkrył i po raz pierwszy opisał, ile wniósł nowych informacji z zakresu zoologii, botaniki i etnografii. Wiele tam szczegółów ogromnie potrzebnych dla fachowców. Lecz bardziej chyba interesujące będzie przytoczenie pewnych fragmentów z jego notatnika, który jest i zawsze będzie dokumentem naprawdę odkrywczą działalnością.

„Trzy miesiące wędrowałem po tutejszych lasach, górach i dolinach, płynąłem łódką po wodach — nigdy nie zapomnę tego okresu przeżyć wśród dzikiej, dziewiczej przyrody tchnącej pełnym czarem życia: najpierw na wiosnę, potem w pełni lata. Całe tygodnie jedynym dachem nad głową było mi szeroko rozpostarte niebo, jedynym otaczającym mnie środowiskiem — świeża zieleń i kwiaty, jedyne chwytałe uchem dźwięki to śpiew ptaków ożywiający łąki, moczary i lasy. Wspaniałe to było i cudowne życie, pełne swobody i rozkoszy! Jakże często je teraz wspominam! Mogę stwierdzić z najgłębszym przekonaniem, że człowiek, który raz zaznał tej pierwotnej swobody, nigdy już o niej zapomnieć nie potrafi — nawet w najpiękniejszej chwili swego żywota...”

Nie znaczy to wcale, że dziennik podróży Przewalskiego zawiera tylko opisy przyrody i osobiste wynurzenia. Brutalnego, bezlitosnego realizmu życia, grożącego w każdej chwili niebezpieczeństwem, było w ussuryjskiej podróży aż za wiele; w notatkach stale odbijają się ślady przynajmniej najbardziej emocjonujących z tych przeżyć. Nic jednak nie dorówna najbardziej wstrząsającej przygodzie — spotkaniu podróżnika z ussuryjskim niedźwiedziem. Był to olbrzymi okaz — najzupełniej niespodziewanie wysunął się nagle z leśnych gąszczy w odległości zaledwie niecałych czterdziestu metrów. Dla tak doświadczonego strzelca zarepetowanie broni i strzał to kwestia sekundy. Ale pierwsza kula nie zdołała zważyć z nóg bestii. Ciężko ranny zwierz usiłował potężnym skokiem rzucić się na człowieka. Z odległości pięciu kroków Przewalski strzelił po raz drugi — tym razem kula trafiła niedźwiedzia w głowę i roztrzaskała mu czaszkę. „Trwało to zaledwie kilka sekund, ale pozostaną one w mej pamięci na całe życie. Uply-

nie wiele lat, a ja wciąż będę widział przed sobą rozwartą paszczę, krwawy jeźor i olbrzymie żęby niedźwiedzia.”

Z dzienników podróży trudno ustalić, co swą niezwykłością i nowością bardziej czarowało pełnego ciekawości podróżnika: ussuryjska flora czy fauna. I jedno, i drugie miało cechę wspólną: niezwykłą różnorodność i różnorodność, bo zarówno świat zwierzęcy jak roślinny reprezentowany był tam przez przedstawicieli rozmaitych stref klimatycznych: od polarnych po tropikalne. Rósł więc w puszczy ussuryjskiej dąb obok orzecha włoskiego, oba oplecione mocnymi pędami dzikiego wina, rosły zgodnie obok siebie: północne jodły i drzewa korkowe, także dzikie maliny i występujące w krajach chłodniejszych poziomki — pod koronami pochodzącej z Afryki akacji. Wyraźniej jeszcze cęcha ta występowała w ussuryjskim świecie zwierzęcym, gdzie ten sam las, skały, rozpadliny i zarośla stanowiły schronienie i tereny łowieckie olbrzymich tygrysów, a także niedźwiedzi, soboli, bażantów, japońskich ibisów — krewniaków ibisów egipskich — jak i polarnych sów śnieżnych. W ussuryjskich jeziorach pływały obok siebie ryby północy i tropików.

Równie różnorodna była także dość nieliczna ludność Kraju Ussuryjskiego, trudniąca się polowaniem, połowem ryb i rolnictwem. Byli to w części przesiedleńcy z Syberii i terenów zabajkalskich, przeniesieni tu przez władze carskie i pozostawieni całkowicie własnemu losowi, dalej Chińczycy, Koreańczycy, Góldowicze (Nanajowie), Oroczenie i Udechejczycy. Rzecz charakterystyczna: z jakim wyraźnie ludzkim zainteresowaniem pisze o nich Przewalski, podkreślając wszelkie ich dodatnie cechy, z jakim rozgoryczeniem wypomina władzom ich zaniedbania, a rosyjskim kupcom zarzuca przesadną żądzę zysku, wykorzystywanie i obdzieranie miejscowej ludności.

Warto może epizod ussuryjski zamknąć jednym z marzeń Przewalskiego: „Usiądziesz kiedyś na skale i zapatrzysz się w sinawą dal... — notował wrażenie na widok Morza Japońskiego — ...ileż przeróżnych myśli snuje się po głowie! Naraz oczyma wyobraźni dostrzeżasz nieznanne kraje, nieznanych ludzi, odmienną całkowicie przyrodę. Panuje tam wieczna wiosna, a fale tego samego nad którym siedzisz oceanu oblewają otoczone chmurnymi lasami

brzegi. Chciałbyś tam przelecieć lotem strzały, spojrzeć na wszystkie te nieznanne, pełne życia i harmonii uroki...”

Lecz to tylko marzenia! Nie dane było Przewalskiemu udać się do Japonii. Jak dotąd nawet ussuryjska impreza wykraczała poza ramy jego życiowej misji. Może było nią zbadanie Azji Środkowej?... A Kraj Ussuryjski? To dopiero wstęp — zaledwie próba.

Badaniom Azji Środkowej i jej odkryciu w prawdziwym, naukowym tego słowa znaczeniu, poświęcił Przewalski wszystkie dalsze lata swego życia. W połowie XIX wieku były to tereny ciągnące się mniej więcej od Himalajów po Altaj, oznaczone na mapach wielką, białą plamą. Wysokie tamtejsze pasma górskie ledwie z grubsza były zaznaczone kreskami. Pod koniec stulecia — właśnie za sprawą Przewalskiego — owa biała plama na mapie zniknęła, miejsce schematycznie tylko zaznaczonych przypuszczalnych danych geograficznych zajęły precyzyjne wykresy licznych łańcuchów górskich rozdzielonych głębokimi kotlinami oraz starannie wymierzone wyżyny i jeziora. Niemal na naszych oczach pobieżny szkic terenowy zmienił się nagle w szczegółową mapę plastyczną.

Na pierwszą swą wyprawę do Azji Środkowej wyruszył Przewalski w roku 1870 z jednym tylko towarzyszem, M.A. Pylcowem, sekretarzem i współpracownikiem zarazem, w asyście dwóch kozaków. Dlaczego ta odpowiedzialna wyprawa była tak skromna? Zestawiona na miarę funduszy, jakimi mógł dysponować Przewalski, czyli niewielką tylko dotacją z Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego; resztę musiał sam dołożyć ze skromnej gaży podpułkownika. Wszelkie braki materialne starał się uzupełnić solidnym i fachowym przygotowaniem ekspedycji. Dwa lata trwały przygotowania do tej podróży; długo i z namysłem — po wielu próbach — dobierał także współtowarzyszy.

Czterooosobowa wyprawa rosyjska wyruszyła z Kiachty z ośmiu wielbłędami, które niosły olbrzymie zapasy, amunicję, przyrządy naukowe i ciągnęły arby — kryte wózki na dwóch wysokich kołach — w których siedzieli podróżnicy. Kozacy jechali na koniach.

Pierwsza część drogi prowadziła przez górzyste tereny północnej części Mongolii do Urgi, dzisiejszego Ulan Bator. Trwała siedem dni. Dalszy jej odcinek był znacznie trudniejszy: przez Pu-

stynię Gobi do Kałganu. Od czasów Czang Ciena, który przez tę samą pustynię w drugim wieku przed naszą erą wędrował na zachód — nic się tu nie zmieniło. Całe ubiegłe dwa tysiące lat lodowaty wichur wciąż gnał kłęby ostrego piasku w beznieżnym, mroźnym powietrzu lub latem dawał żarem, który z wzbijanego stopowego pyłu tworzył ze strugami potu na ludzkich twarzach palącą maskę brudu. Upał i pragnienie, pragnienie i upał w tej bezwodnej krainie, wśród wyschłej, spalonej na brąz trawy, zamęczały ludzi i zwierzęta. Czego nie dokonały mężarnie fizyczne, to pogłębiał jeszcze niepokój i bezradność. Monotonne płaszczyzny pustyni ciągnące się setkami kilometrów we wszystkich kierunkach, wiecznie jednakowe, dzień po dniu takie same...

Tylko niesłychana wytrzymałość wielbłędów — którym dość było od czasu do czasu garstki suchej trawy, a bez wody wytrzymały siedem dni — umożliwiła pokonanie dwóch i pół tysiąca kilometrów tej koszarnej wędrowki. (Ciekawe, że wielbłądy Mongołów wprowadzone na bujne pastwiska — chudną.) Wytrzymałość uczestników wyprawy — o której trudnościach wszyscy wiedzieli — sprawdzona już podczas przygotowań, opierała się na solidnych cechach charakteru. To dlatego Przewalski tyle poświęcał uwagi doborowi towarzyszy podróży.

Podróż z Kałganu — w pobliżu trzeba było przejść przez jedną z bram Wielkiego Muru Chińskiego — do Pekinu była już dużo łatwiejsza: prowadziła przez znacznie bardziej cywilizowane tereny chińskie. O starej tradycji państwa chińskiego pewne pojęcie może dać fakt, że Pekin, późniejsza stolica cesarstwa — założony został jedenaście wieków przed naszą erą.

Po uzyskaniu od władz chińskich pozwolenia na wyprawę badawczą i paszportów dla uczestników, ekspedycja ruszyła na zachód, ku źródłom rzeki Huang-ho, Żółtej Rzeki.

Nawet tej pierwszej wyprawy w głąb nie zbadanego wnętrza Azji dość byłoby na dzieło całego życia. Jakie przyniosła ona rezultaty naukowe? Dokładne oznaczenie położenia wielu pasm górskich, błędnie dotąd zaznaczanych na mapach lub wcale nie znanych. Dotyczyło to przede wszystkim takich pasm górskich, jak: Jin-szan, Nan-szan i Wielki Chingan. Prócz tego wszystkie inne dane naukowe, które śmiało ocenić można jako rezultat nauko-

wego przebadania całego terenu w zakresie geografii, zoologii, botaniki i etnografii.

Już przy ussuryjskiej wyprawie Przewalskiego warto było przytoczyć antenyczne brzmienie jego notatek, ze względu na rzeczowość obserwacji i zarazem dużą wrażliwość wyobraźni. Ileż bogatszy naukowo-literacki charakter mają jego zapiski z Azji Środkowej! Można by cytować obszerne partie, konieczność ich ograniczenia budzi żal — pozwala tylko pobieżnie ukazać pewne barwne przeżycie Przewalskiego podczas tej wyprawy.

A jednak trzeba wyrzec się najbardziej nawet atrakcyjnego opisu tej podróży: raz stepem bardzo przypominającym pustynie mongolskie, to znów przez góry jakby siostrzyce europejskich Alp, dalej koło obozowisk plemion koczowniczych lub pasterskich, przez fortyfikacje i ulice miast, czy wokół klasztorów tkwiących na zboczach skał jak gniazda jaskółcze, lub wreszcie koło stojących gdzieś na uboczu świątyń. Dalej znów stroma ścieżyna pięła się na grzbiet górski, tak charakterystyczny w swej nagiej, wrogiej surowości tylko dla potężnych spiętrzeń skalnych Azji Środkowej, pełen ostrych, pokrytych lodem iglic i pionowych urwisk, otaczających niedostępnymi ścianami kaniony kotlin.

Były też inne jeszcze trudności, jakie wroga przyroda stawiała nieustannie na drodze podróżników. Może nawet nie specjalnie wroga, ale na pewno nieżyczliwa nieufność krajowców, podejrzewających rosyjskich badaczy o szpiegostwo. Nikt nie chciał uwierzyć, że ich ciekawość to zainteresowanie naukowców — geografów i przyrodników. W miarę posuwania się wyprawy w głąb Azji, napotykanne trudności mnożyły się. Coraz trudniej było dostać przewodników — jeśli nawet się to udało, nigdy nie było pewności, czy przewodnik-tubylec nie udziela świadomie błędnych informacji obcokrajowcom, skoro podejrzewa ich o tak odmiennie od ich zainteresowań cele.

Istniały także przez nikogo nie zawinione kłopoty, wynikające... z systemu waluty chińskiej. W wielkim państwie chińskim właściwie nie było ustalonego systemu pieniężnego. Jedynym powszechnym i wszędzie uznawanym środkiem płatniczym był specjalny typ monety: okrągły pieniądz ze stopu miedzi i cyny, z czworokątnym otworem pośrodku. Otwór ten służył do nawle-



kania monet na sznurki lub rzemyki po pięćset sztuk — taką odliczoną ilość mógł właściciel nosić zawieszoną na szyi. Wartość tych monet była rzecz prosta nieznaczną: rubel srebrem wart był 3,25 kilograma takich monet, suma stu rubli przedstawiała więc ciężar, który musiałyby dźwigać — trzy wielbłądy! Przy zakrojonej w planie Przewalskiego na długi czas wyprawie niepodobna było obciążać się takim bagażem pieniędzy — przecież cena wielbłądów byłaby znacznie wyższa od wartości niesionych przez nie pieniędzy! Przewalski znalazł zupełnie proste rozwiązanie tej sprawy: kazał odlać pręty ze srebra, z których później odkrawał takie ilości, jakich wartość stanowiła cenę potrzebnej żywności czy innych towarów.

Wyprawa znalazła się na szczycie grzbietu górskiego Jin-szan — podróżnicy nareszcie dostrzegli u stóp zboczy potężny nurt Huang-ho. Lecz był to dopiero jej środkowy bieg — teraz trzeba było zejść nad rzekę, przepłynąć się na drugi brzeg i wędrować dalej przez nieogószoną wyżynę Ordosu w stronę pasma górskiego Ala-szan, gdzie groźne stromizny skalnych zboczy wcale nie były przyjemniejsze od męczarni na rozpalonym stepie Ordosu. Ale tam właśnie wyczerpały się już możliwości wyprawy — pokonawszy dwie trzecie drogi do jeziora Kuku-nor musiała zawrócić. Zmuszały ją do tego dwie konkretne przyczyny: skończyły się zasoby finansowe Przewalskiego i kończył się okres czasu, na jaki władze chińskie wydały pozwolenie pobytu. Nie było rady, trzeba było przez Kałgan wrócić do Pekinu. Ekspedycja dotarła tam zaraz po 1 stycznia 1872 roku.

Okres przerwy i wypoczynku Przewalski wykorzystał przede wszystkim na przygotowania do kolejnej próby dotarcia do wyznaczonego celu. Zabezpieczeniem finansowym była subwencja, jaką zastał w rosyjskiej ambasadzie. Władze chińskie zgodziły się także przedłużyć pozwolenie na dalszą działalność wyprawy.

Po ukończeniu przygotowań — trwały one dwa miesiące — Przewalski dał rozkaz wymarszu. Nie wolno było ani dnia zmarnować, by okres letni wykorzystać dla sforsowania najtrudniejszego odcinka obranej drogi. Najpierw przez piaszczystą pustynię, którą przebyli jeszcze w czasie ostrych mrozów, lecz od połowy kwietnia już zadreślał ich niezdolny upał. Wszystko to pogarszał

nieustannie wiejący wicher niosący raz lodowaty, to znów rozpalony piasek.

W połowie maja Przewalski wraz z swymi ludźmi dotarł do miasta Ting-yuanying, gdzie przyłączył się do mongolskiej karawany prowadzącej pątników do miejscowości Czejb-sen w pobliżu jeziora Kuku-nor. Warto tu zacytować uwagi z dziennika podróży Przewalskiego:

„Wobec braku przewodników i nieufnego stosunku krajowców do obcych, wspólna podróż z karawaną stanowiła szczęśliwy przypadek, przynajmniej w tym sensie, że pozwalała uniknąć błędzenia i uciążliwego poszukiwania właściwej drogi. Ale miała także i swoje złe strony: niezmierną ciekawość Mongołów w stosunku do wszystkiego, co robili Rosjanie. Wystarczyło zerwać źdźbło trawy do zielnika, już spylała się cała masa pytań: dlaczego to zrobił, co miał na celu, czego chciał się dowiedzieć? Praktycznie uniemożliwiała to zbieranie materiału naukowego. A już absolutnie niepodobna było cokolwiek zanotować: każdy ruch ołówka po papierze w podejrzliwych spojrzeniach wszystkich członków karawany natychmiast urastał do dowodu szpiegostwa! Takiego rodzaju stosunek do Europejczyków celowo narzucali i podsycali chińscy funkcjonariusze państwu.”

Sytuacja stawała się tym bardziej napiętą i niebezpieczną, że właśnie podczas podróży Przewalskiego na całym terenie Mongolii Wewnętrznej trwały niepokoje, coraz częściej wybuchały bunt i powstania poszczególnych plemion przeciwko centralnym władzom chińskim. W każdym miejscu, w każdej chwili mogli pojawić się powstańcy, a niepodobna było przewidzieć, jak postąpią z ludźmi posiadającymi „listy żelazne” właśnie od władz chińskich.

Trwała także w kraju walka podziemna; jednym z najniebezpieczniejszych jej przejawów było zatrutowanie studzien lub jeszcze częściej ich zanieczyszczanie. Na bezkresnych, bezwodnych stepach studnie były niezmiernie rzadkie, kiedy do którejś z nich dotarła karawana, bardzo trudno było zrezygnować z niebezpiecznego często łyku wody.

„Dotąd nie mogę spokojnie myśleć o wypadku, kiedy piliśmy herbatę z takiej właśnie studni, a potem poiliśmy z niej wielbłądy. Gdy wyczerpalimy już wszystką wodę, na dzień spostrzeżliśmy zwłoki ludzkie w zupełnym rozkładzie.”

Po długiej i wyczerpującej drodze przez pustynię gdzieś daleko ukazały się wreszcie potężne kontury masywu górskiego Nan-szan. Już i krajobraz przybrał inną postać: łąki pokryte kwiatami, pola uprawne ciągnące się wokół osad rolniczych i pasterskich.

Liczniej występujące osiedla tyle tylko zmieniły, że czterej Europejczycy stali się ośrodkiem jeszcze bardziej dokuczliwej uwagi. Wieść o ich przybyciu wyprzedzała ich znacznie, zbiegali się więc i zjeżdżali tubylcy z bliższych i dalszych osad, by obejrzeć te „zamorskie diabyły” (z dziennika Przewalskiego).

Podróżnikom nie pozostało nic innego jak zrezygnować z drogi przez kraj zamieszkały. Przewalski postanowił rozstać się z mongolską karawaną i iść samotnie w niezamieszkałe górskie okolice. Za przewodników musieli mu służyć: kompas, gwiazdy i instrumenty do pomiarów astronomicznych.

W górach na znacznych wysokościach już we wrześniu padał śnieg; niełatwo było określić, co bardziej utrudniało drogę: zadymki śnieżne czy przelotne letnie ulewy górskie. (Przewalski zetknął się z koczującymi tubylcami, których ciekawie opisuje: mieszkali w czarnych namiotach, których płachty zrobione były z wełny jaków, mongolskich bawołów).

Tam natknęli się także podróżnicy na wypadek znamieny dla sytuacji powstań w tym kraju. Przybyli do klasztoru, którego wszystkie budynki zostały zburzone przez powstańców — z wyjątkiem głównej świątyni; gdzie wznosił się ogropany posąg Buddy z pozłacanej miedzi. Trudno przypuścić, by powstańcy ze względu na religijnych oszczędzili świątynię — przyczyna wyjaśniła się przy okazji: w świątyni schroniło się i ukryło dwa tysiące chińskich żołnierzy. Budynek miał więc bez wątpienia wszelkie cechy fortecy, tym bardziej, że napastnikami byli jeźdźcy. Fakt ten wskazuje również na taktykę chińskich wojsk rządowych, które najspokojniej pozostawiały powstańcom tereny odosłonięte, skupiały się natomiast w dobrze ufortyfikowanych bazach obronnych.

Nic więc dziwnego, że w tej świątyni nie było już miejsca dla czterech Europejczyków. Chińscy wartownicy pod bramą świątyni obojętnie przyglądali się małej grupce białych, obozujących wraz z wielbłądami na dworze, narażonych na możliwy w każdej

chwili atak w otwartym terenie. Trwało to kilka dni — konie i wielbłądy musiały odpocząć — aż wreszcie wartownicy wyzbyli się obojętności. Odwaga Europejczyków wzbudziła w nich taki szacunek, iż wnet zaczęła krążyć opinia, że ci obcy są nietykalni.

Dalsza droga doprowadziła Przewalskiego i jego towarzyszy do jeziora Kuku-nor. Dawną, na wpół już zapomnianą „tybetańską” ścieżką zesłi z górskich wyżyn na stepowy płaskowyż sięgający brzegów jeziora.

„Spełniło się pragnienie mego życia... Stoimy nad brzegiem wielkiego jeziora zachwycając się widokiem jego pięknych, ciemnoniebieskich fal.” Istotnie, była to godna szacunku przestrzeń wodna, obwód jej liczył około trzysta kilometrów. Bardziej jeszcze niezwykły był fakt, że to olbrzymie jezioro rozpościerało się na górskiej wyżynie tybetańskiej, na wysokości trzech tysięcy dwustu metrów.

Miesiąc wrzesień dobiegał końca, czas był najwyższy ruszać w dalszą drogę. Tym razem jednak nie z powrotem, ale dalej na południowy zachód, przez północnotybetańskie pasmo górskie Burchan Budda dzielące dorzecza Jangcy i Huang-ho. Przez trzy miesiące pokonywała wyprawa wszelkie przeszkody tego wysokogórskiego masywu, gdzie rozrzedzone powietrze utrudniało oddychanie, a mroźne lub śnieżne burze paliły usta i płuca. Ubranie i obuwie Europejczyków nie wytrzymało uciążliwej wędrówki w ciężkich warunkach atmosferycznych, po ostrych, niszczących urwiskach skał. W świąteczny dzień noworoczny 1873 roku Przewalski zanotował:

„Jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło mi się witać Nowego Roku w tak absolutnej pustyni, w jakiej znaleźliśmy się teraz. I jakby do uzupełnienia tej całkowitej pustki nie mieliśmy już także żadnych zapasów, prócz dzamby (zasmażona mąka) i odrobiny zwycaijnej maki! Okropne przechodzimy udręki, lecz musimy je pokonać w imię wielkiego celu naszej wyprawy. O tak, starczy nam jeszcze sił i woli, by dzieło doprowadzić do końca... To najlepsze życzenia, jakie możemy sobie nawzajem składać na progę Nowego Roku.”

Wszystkie męczarnie fizyczne, o jakich mówią zapisy z notatnika, nie zdołały w najmniejszym stopniu osłabić ducha badacza-

-przyrodnika. Obok stwierdzenia rozpaczliwych trudności znacznie więcej pojawia się tam notatek z przyrody północnego Tybetu: o stadach kulanów, dzikich osłów, (krzyżówka osła i dzikiego konia), o jakach, których sierść użyteczniejsza jest niż wlna owiec, a mleko smaczniejsze i pożywniejsze od mleka krowiego, o skowronkach naśladowujących głosy innych ptaków, o antylobach długorogich i wielu innych przedstawicielach tamtejszej fauny.

Wreszcie wyprawa stanęła u źródeł Huang-ho. Mogłaby już stąd zawrócić, osiągnęła przecież swój cel. Ale był tam jeszcze łańcuch górski Bajan Chara-uła, dzielący górny bieg Huang-ho od górnego biegu i źródeł rzeki Jangcy (Błękitnej), należącej do dorzecza wielkiej Huang-ho tuż u jej źródeł. Przewalski zdecydował się zbadać i nanieść na mapę cały ten system wodny. A to znaczyło znowu forsować wysokie góry i z wielkim trudem schodzić w dół po ich zboczach.

Później pojawiła się nowa pokusa: Lhasa*, stolica Tybetu, niedostępna, tajemnicza, osnuta legendami, gdzie — jak wierzą powszechnie — nie wszedł jeszcze żaden Europejczyk.

Otwierały się tu zupełnie nie znane geografii i wiedzy krańce świata. Z miejsca pobytu wyprawy do Lhasy była jeszcze jedna piąta drogi, licząc przebytą już przez podróżników odległość od Pekinu.

* Lhasa została „odkryta” już w roku 1826, kiedy do surowo strzeżonej przed obcymi stolicy Tybetu przedostał się Anglik Moorcroft. Zrobił to w przebraniu, język i wszelkie zwyczaje tybetańskie znał tak doskonale, że odważył się nawet zamieszkać w tym mieście. Zakupiwszy stada kóz i jałków uchodził za hodowcę bydła. Zył w Lhasie przez lat dwanaście jako „bogaty Mongoł”, lecz czasami opuszczał swój dom dla skontrolowania pastery swych stad. Owe podróże wykorzystywał do rysowania map i badań naukowych kraju. Plan badań udało mu się doprowadzić z powodzeniem do końca, potem majątek swój sprzedał i wyruszył w drogę powrotną do kraju. Na nieszczęście jednak w górach tybetańskich napadli go rabusie i zamordowali. Dopiero w ten sposób wyszła na jaw jego tajemnica, ponieważ Tybetańczycy ścigający rabusiów znaleźli notatki i mapy Moorcrofta. W obawie, że w grę wchodzi szpiegostwo służące przygotowaniom do okupacji przez mocarstwo europejskie, od tego czasu władze tybetańskie wprowadziły jeszcze surowsze obostrzenia uniemożliwiające niepożądanym cudzoziemcom przedostanie się do Lhasy. Z tej także przyczyny wiadomości i szczegóły o działalności Moorcrofta dotarły do Europy dopiero wiele lat po jego śmierci.

Ostatecznie rozważa i realne warunki odniosły zwycięstwo. Przecież droga powrotna to tyle tysięcy kilometrów. Wymagać będzie takiego samego wydatkowania sił jak podróz do źródeł Huang-ho — a nawet więcej, bo organizmy podróżników nie miały na pewno tyle fizycznych rezerw. Prócz tego zupełny brak pieniędzy. Doszło nawet do tego, że sprzedawali krajowcom wszystko, bez czego mogli się obejść, w końcu nawet i broń. Mongołowie wszędzie okazywali zdumienie, że wyprawa Przewalskiego dotarła aż do Tybetu.

Jaki był ten powrót! Przy czterdziestu pięciu stopniach upału — rozpalone słońcem kamienie i piasek wykazywały do sześćdziesięciu stopni Celsjusza! Wobec stałego braku wody, zaschnięte gardła i spękane usta można było orzeźwić zaledwie jakąś kropelką...

Gdy wreszcie we wrześniu wyprawa doszła do Urgi, uczestnicy jej mogli stwierdzić, że o włos tylko uniknęli śmierci. „Wszystko, co za nami — kończy Przewalski sprawozdanie z tej podróży — wydaje się koszmarnym snem.”

Trzy lata opracowywał wyniki swej badawczej imprezy, która wymagała przebycia jedenastu tysięcy kilometrów, a dała w rezultacie dokładne wymierzenie i naniesienie na mapę najbardziej niedostępnego rejonu pustyni Gobi oraz nie zbadanych dotychczas łańcuchów górskich i płaskowyżów Tybetu. Dalszym jej rezultatem były olbrzymie zielniki (zbiór 4000 zasuszonych roślin), 130 skór zwierzęcych (do wypchania), zbiory owadów (około 3000), preparaty ryb, płazów i liczne okazy minerałów.

W kraju powitano Przewalskiego odpowiednio do znaczenia jego wielkiego dokonania, lecz bardziej niż wszelkimi oficjalnymi uroczystościami ucieszył go serdeczny telegram, w którym gratulowali mu sukcesu jego dwaj wierni kozacy-przewodnicy:

„Pamięć o was przechodzić będzie z rodu na ród,
z wami gotowiśmy iść w ogień i głębie wód!”

Już podczas opracowywania materiału naukowego Przewalski przygotowywał dalszą wyprawę dla dokończenia badań Azji Środkowej.

Ta druga wyprawa trwała krócej, tylko rok. Zmierzała bardziej na zachód: wzdłuż rzeki Tarym do jeziora Łob-nor.

W stosunku do poprzedniej ta impreza miała jeszcze jedną nieprzyjemną stronę: w tym czasie stosunki polityczne Rosji z Chinami były dość napięte, więc władze chińskie bardzo niechętnie potraktowały wizytę dociekliwego, doświadczonego naukowca. Udzielili wprawdzie pozwolenia na pobyt, ale robili wyprawie wszelkie możliwe trudności i utrzymywały ją stale pod nadzorem.

Ekspedycja otrzymała od władz chińskich „straż ochronną”, której istotnym zadaniem było pilnowanie cudzoziemców. „Przewodnicy” dostali polecenie prowadzenia intruzów najmniej dostępnymi drogami, by zniechęcić ich do kontynuowania i przedłużania wyprawy; mieli też dopilnować, by Europejczycy nie nawiązywali kontaktów z miejscową ludnością, której zabroniono rozmawiać z obcymi i udzielać im jakichkolwiek informacji.

W sierpniu 1876 roku wyprawa Przewalskiego opuściła bazę wyjściową, którą tym razem było miasto Kuldża (Yining), leżące na terytorium chińskim w pobliżu granicy Kazachstanu.

Posuwając się wzdłuż rzeki Tarym, zasilającej wodą jezioro Łob-nor, Przewalski obserwował przede wszystkim faunę tych terenów. Znalazł tam mnóstwo najróżniejszych drapieżników, zwierzyny łownej, ptaków i ryb ożywiających bieg rzeki Tarym, szuwarę, zarosła nad jej brzegami i w całym dorzeczu. Złoło tam wiele okazów ciekawych zarówno dla myśliwego jak i dla przyrodnika: tygrysy, żbiki, dziki, dzikie wielbłądy, jelenie, zajace, bażanty, kaczki i in. Jeszcze bardziej interesujące było samo jezioro Łob-nor zmieniające miejsce na stepie zależnie od tego, w które z koryt skierowały się wody Tarymu. Przy tym w grę wchodziło jezioro nie było jakich rozmiarów: 100 km×20 km.

Tam także Przewalski zanotował ciekawą uwagę dotyczącą wiosennego przelotu ptactwa wodnego. Kiedy przed wiosennymi roztopami jezioro pokryte było jeszcze całkowicie lodem, w ciągu dnia zlatywały się kolejne olbrzymie stada kaczek, liczące i po pięć tysięcy sztuk. Wreszcie cała lodowa tafla jeziora aż po krańce horyzontu zrobiła się czarna. Nagle to mrowie kaczek poderwało się, łopot milionów skrzydeł zagrział odgłosem burzy.

Najcenniejszym rezultatem tej podróży było odkrycie łańcu-

cha górskiego na południe od jeziora Łob-nor, o nazwie Aityn-tagi wysokości 6400 metrów, oraz naniesienie go na mapę. Teraz dopiero uzyskano całkowity obraz wielkiego masywu łańcuchów górskich i płaskowyżów, którego granice od północy stanowił Aityn-tag, od południa zaś góry Kunlun.

Trzecia, planowana przez Przewalskiego wyprawa azjatycka miała w dalszym ciągu badać Tybet. Była znacznie lepiej wyposażona — w tym czasie Przewalski był już oficjalnie uznanym i sławnym podróżnikiem — miała do dyspozycji trzydzieści pięć wielbłądów i pięć koni, nie odczuwała także braków finansowych. Prócz Przewalskiego brało w niej udział dwóch jego współpracowników-oficerów, z których jeden, Roborowski, późniejszymi swymi odkryciami również zapisał się w szeregi znanych podróżników.

Już na pierwszym odcinku drogi przez Kotlinę Dżungarską Przewalski dokonał odkrycia, które rozślawiło jego nazwisko poza kręgiem zainteresowanych fachowców. Znalazł tam okaz nieznanego dotąd konia, nazwanego później jego nazwiskiem. Jest to jedyny dziś żyjący przedstawiciel dawnych przodków konia, spokrewniony oczywiście z koniem domowym, lecz nie jego przodek bezpośredni.

Oprócz tego wyprawa przyniosła wiele interesujących informacji, oglądała na przykład niezwykle jaskinie, wyciosane w zboczach urwiska skalnego na wysokość dwóch, trzech pięter, we wszystkich mieściły się posągi Buddy różnej wielkości — największy z nich miał wysokość dwudziestu pięciu metrów.

Najcenniejszy i trwały sukces wyprawy to wyniki badań geograficznych i kartograficznych. Tybet, „od strony kartografii mniej dotąd znany niż widzialna część Księżyca”, został dokładnie nakreślony na mapie — dalsza wielka biała plama zniknęła z powierzchni Azji. Ukazał się jako precyzyjny w szczegółach obraz płaskowyżu sięgającego wysokości 5000 m, z którego wyrastają wielkie masywy górskie do wysokości dalszych 3000 metrów. Północną granicę Tybetu tworzą góry Kunlun, południową — olbrzymi masyw Himalajów.

Czwarta i piąta wyprawa Przewalskiego miały na celu zbada-
nie Tybetu właściwego. Zarówno Przewalski, jak i cały świat fa-
chowców przywiązywał do tej sprawy wielkie znaczenie, co sam
podróżnik podkreślił w przemówieniu do swych współpracowni-
ków:

„Koledzy! Zadanie, które podejmujemy, to wielka rzecz. Idzie-
my zbadać nieznaną Tybet, uostępnić go wiedzy. Nie wolno nam
szczędzić swych sił ani zdrowia, nie wolno nam, jeśli zajdzie po-
trzeba, szczędzić nawet życia, byle tylko wykonać nasze olbrzymie
zadanie, przysłużyć się w ten sposób wiedzy i zarazem rozśla-
wić naszą ukochaną ojczyznę.”

Dwukrotnie używał Przewalski wszelkich sposobów, by do-
trzeć do samego serca Tybetu, do jego stolicy, Lhasy. Wtedy
oznaczało to: walczyć z sumą wszelkich możliwych przeszkód, sta-
wianych zarówno przez ludzi, jak i przez przyrodę.

Kiedy władze chińskie odmówiły Przewalskiemu przewodni-
ków, zdecydował, że sam będzie przewodnikiem wyprawy. Gdy
urzędnicy zabraniali krajowcom jakichkolwiek kontaktów z obcy-
mi, Przewalski umiał ich pozyskać uprzejmością, życzliwością
i serdecznością. Podobnie cały czas musieli podróżnicy walczyć
z wszelkimi przejawami wrogości przyrody — z upałem, zimnem,
trudnościami bezdroży, głodem i pragnieniem.

Mimo całego wysiłku woli nie ustrzegli się podróżnicy wielu
przykrości. Każde zabiadanie, a tego czasami nie udało się unikać,
oznaczało nie tylko stratę czasu, lecz także i sił. Raz po raz
straszyły ich bielejące przy drogach ludzkie i zwierzęce szkielety,
jakby przestroga dla zbyt śmiałych wędrowców.

Z obu tych podróży ważniejsza okazała się druga, trwająca
dwa lata (1884—85). Wiodła ona z Kiachty nad górny bieg Hu-
ang-ho, dalej znów obok jeziora Łob-nor i u podnóża długiego
łańcucha gór Ałtyn-tag na południe, do wnętrza Tybetu.

Podczas żadnej jednak z tych wypraw nie udało się Przewal-
skiemu dostać do Lhasy. Pobytu wyprawy niepodobna było ukryć
przed oczami władz tybetańskich — w obu wypadkach posłowie
ze stolicy tybetańskiego państwa apelowali do rosyjskiej wypra-
wy, by wyrzekła się odwiedzin Lhasy. W takiej sytuacji nie po-
zostawało nic innego jak podporządkować się tym życzeniom.

Zresztą znaczenie wyprawy na czym innym polegało — prze-
de wszystkim na wynikach badań z zakresu geografii i przyrody.

Zasługi Przewalskiego zostały wysoko ocenione zarówno w ko-
łach fachowców, jak i przez ogół społeczeństwa. Jeden z najbar-
dziej znanych naukowców niemieckich, geograf August Peter-
mann słusznie stwierdził, że odkrycia Przewalskiego należą do
kategorii tak sławnych czynów, „jak przejście przez Australię,
zdobycie bieguna północnego, odkrycie źródeł Nilu czy zbadanie
biegu Konga przez Stanleya”.

Nazwiskiem Przewalskiego oznaczono na mapach jeden z łań-
cuchów górskich w Azji Środkowej (dawniej Arka-tag).

Otrzymawszy awans na generała Przewalski zajął się przygo-
towaniami do kolejnej planowanej podróży. Postawiono mu do
dyspozycji potrzebne środki. Tym razem wyprawa liczyła już
dwudziestu siedmiu ludzi. Prócz Roborowskiego dalszym asynten-
tem Przewalskiego był Kozłow, przyszedł następca generała na
drodze badań naukowych. Wyznaczonym celem była Lhasa.
Osiągnięcie jej uważał Przewalski za punkt honoru. Tym razem
zrezygnował z poprzedniej bazy wyjściowej na północ — jaką
była na przykład Kiachta — i postanowił wyruszyć najprostszą
drogą: przez wschodni Turkiestan. Ostatnie przygotowania czyni-
onno w mieście Piszpek (obecnie Frunze) w Kirgizji.

Jak zawsze tak i tam Przewalski wykorzystywał wolne chwile
na polowania. Po powrocie z kolejnych łowów spragniony napił
się nie przegotowanej wody i zachorował. Choroba była poważna
— tyfus brzuszny. Czy nie zdawał sobie z tego sprawy, czy nie
myślał się nią przejmować, dość że nie wezwał lekarza i pierwszy
atak choroby przechodził. Kto zwycięsko odparł tyle ataków na
swój organizm i zdrowie, nie miał zamiaru poddawać się niedys-
pozycji, która pojawiła się w doskonałych warunkach zdrowo-
tnych, można ją więc będzie pokonać siłą woli. Dlatego też przy-
gotowania do wyprawy zakończono i Przewalski wydał rozkaz do
wyruszenia do miejscowości Karakuł, która miała być bazą wyj-
ściową wyprawy. Tam dopiero na nalegania przyjaciół zgodził się
wezwać lekarza.

Za późno...

Ostatnie godziny zamieniały się w sekundy. Przewalski zdołał

jeszcze wyrazić życzenie, by pochowano go nad brzegiem cudownych wód jeziora Issyk-kul.

Kiedy zmarł dnia 1 listopada 1888 roku, pochowano go istotnie na brzegu tego wysokogórskiego jeziora. Pod ochroną niebotycznych wierzchołków olbrzymów Tien-szan wznosi się teraz wysoki pomnik z dużych płyt tienszańskiego granitu, a na nim w brzoje płaskorzeźba głowy Nikołaja Michajłowicza Przewalskiego.

Miasto Karakuł otrzymało nazwę od nazwiska słynnego podróżnika — Przewalski.

BIAŁY CZŁOWIEK NA CZARNYM ŁĄDZIE

AFRYKĘ długo nazywano — „czarnym łądem”. Czarnym albo też ponurym.

Dwie były przyczyny uzasadniające takie określenie. Przez wiele stuleci Afryka była właściwie dla Europejczyka nie znanym krajem: wzrok białego człowieka nie sięgnął dalej jak na wąskie pasmo jej wybrzeża. Kiedy Europejczycy — przede wszystkim Portugalczycy — usiłowali przedostać się do Indii płynąc przez morza na wschód, musieli płynąć wokół Afryki. Stanowiła ona wówczas dla nich jedynie przeszkodę; przedłużała drogę do oznaczonego celu. Z konieczności więc żeglarze europejscy zakładali na afrykańskich brzegach niezbędne bazy pomocnicze, gdzie mogli zaopatrzyć się w wodę i żywność na dalszą podróż.

Dopiero odkrycie Ameryki ujawniło dalszą wartość afrykańskiego kontynentu — „czarną kość słoniową”. Tym pojęciem określano Murzynów, którzy z czasem stali się dla Europejczyków coraz bardziej poszukiwaną zwierzyną łowną. W zagarniętych przez Hiszpanów krajach, Meksyku i Peru, odkryto istniejące kopalnie metali szlachetnych, do których potrzeba było kopaczy; prócz tego potrzebowano również robotników do budowy hiszpańskich osad i fortyfikacji oraz do pracy na plantacjach należących do hiszpańskiej szlachty i urzędników. Okazało się bowiem, że Indianie meksykańscy i peruwiańscy nie są przyzwyczajeni do ciężkiej pracy i że nie wytrzymują wysiłku, jaki narzucali im ich europejscy panowie. Murzyni na odwrót: wykazywali znacznie większą wytrzymałość, wytrzymałość i siły fizyczne. Z tą chwilą zmienili się w pożądaną zwierzynę łowną. W ten właśnie sposób Afryka stała się magazynem „czarnej kości słoniowej”, po którą mógł sięgnąć każdy, nie oddalając się wiele od brzegów, nie wdzierając się w głąb ciemnej gęstwiny afrykańskiej dżungli. Oblicza się, że europejscy kolonizatorzy w ciągu niecałych trzech

stuleci wywieźli blisko 150 milionów Murzynów do swoich — przeważnie amerykańskich — posiadłości, do przymusowej, niewolniczej pracy.

Przy dzisiejszej ilości czarnych mieszkańców obu Ameryk ilość ta wydaje się ogromna, przesadzona. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, jak olbrzymi procent deportowanych ze swej afrykańskiej ojczyzny Murzynów w ogóle nie dotarł do wyznaczonego im przez europejskich „rabusiów żywego towaru” celu! Dawne cyfry wykazują, że ledwie co szósty Murzyn docierał żywy na miejsce przeznaczenia. Reszta marła z głodu i szerzących się straszliwie wśród nich chorób zakaźnych. Przewożono ich jak drapieżne zwierzęta: w kajdanach i klatkach, słoconych pod pokładami statków, bez dostępu powietrza.

To właśnie jest druga przyczyna, dlaczego Afrykę nazywano ponurą częścią świata. Na ten kontynent bowiem istotnie padł ponury cień zbrodni białych! Wiecznie chciwi i nigdy nie syści, drapieżnie wyrwali żywą ludzką substancję z afrykańskiego kontynentu, byle tylko nasycić swą żądzę zysku. Oto jak biali chrześcijanie umieli dopuszczać się zbrodni na „czarnych poganach”!

Dopiero kiedy handel czarnymi niewolnikami ogłosił już wszystkie nadbrzeżne okolice afrykańskiej części świata, zainteresowanie Europy zwróciło się na głębiej leżące tereny tego „ponurego” kontynentu.

Dyktował je przede wszystkim interes, zarówno gospodarczy jak polityczny — wysuwając swe macki w głąb Afryki. Rzecz rozumiała, że do swoich celów używał on — i nadużywał — zainteresowań i poszukiwań wiedzy, badań naukowych i odkrywczych przyrodników i geografów, często nawet organizował je i finansował. Powstawały „towarzystwa i spółki Afrykańskie”, naukowe i handlowe, w Anglii i Francji, później także i w Niemczech — wszystkie one wspierały badania nieznanego, czarnego kontynentu Afryki. Teraz w grę wchodziła już nie dawna „czarna kość słoniowa”, ale źródła skarbów innego rodzaju: afrykańska flora (roślinność i rolnictwo) i fauna — prawdziwa kość słoniowa i skóry zwierząt, a przede wszystkim cenne złoża minerałów, w tym rudy uranu. Eksploatacyjne tendencje mocarstw euro-

pejskich, prawdziwy imperializm kolonialny, bynajmniej nie umniejsza podziwu dla wielu wybitnych badaczy, których zdobywcze wykorzystywał. Byli to przeważnie uczeni kierujący się pragnieniem dokonania nowych odkryć z dziedziny przyrody i geografii, ludzie, którzy dla tego celu zdolni byli poświęcić nawet własne życie. Jedni korzystali z pomocy swego państwa, inni z poparcia zainteresowanych spółek handlowych, niektórzy z funduszy towarzystw naukowych lub geograficznych. W większości wypadków nie uświadamiali sobie, że wypełniając swe zadania naukowe ułatwiali grabienie afrykańskiego ładu. Do ostatecznego, bezwzględnego rozparcelowania Afryki przez mocarstwa kolonialne doszło w roku 1885 na międzynarodowej konferencji „białych państw” w Berlinie. Jakby to była rzecz najzupełniej oczywista: najpotężniejsze państwa europejskie rozdzieliły między siebie ziemie należące do czarnych synów Afryki nie biorąc absolutnie pod uwagę ich interesów i życzeń. Wystarczy spojrzeć na mapę kontynentu afrykańskiego — w każdym atlasie z pierwszej połowy naszego stulecia łatwo zauważyć znaczną ilość państw kolonialnych o niezwykle regularnych kształtach. Nie ulega wątpliwości, że granice te wyznaczone były „pod linijkę” — byle wykroił ustaloną powierzchnię! Tak mechanicznie wytyczane granice musiały przecież rozdzielać jakiś naród czy plemię między dwa sąsiadujące państwa, niszczyć i przecinać naturalne środki komunikacji, drogi i rzeki — słowem: nie liczyły się zupełnie z potrzebami miejscowej ludności ani z istniejącymi warunkami naturalnymi.

Wraz z przyjściem białych zaczął się upadek dojrzałej kultury Afryki i jej sztuki — dziś nędzne okrucy dawnych dzieł średnio-wiecznych artystów murzyńskich stanowią cenną część zbiorów europejskich muzeów.

Zanim wypadnie odwrócić tę ponurą kartę czarnego ładu, zapisaną przez białych pogromców, warto przypomnieć: to poczyna- nia kolonizatorów stały z oblicza Afryki całą koloryt i urok. Dziś dopiero, gdy narody afrykańskie znów stają się panami we własnych krajach, powraca barwa i blask na afrykański kontynent, powraca światło wolności i bujny koloryt własnego wyrazu w kulturze i sztuce. Wraz z białym ciemną, kolonizatorem-lupieżcą znika ponury cień z tej dotąd „ponurej” Afryki.

W głąb Afryki wiodą także ślady tych odkrywców, którzy obojętnie kierowali się przede wszystkim zamilowaniem naukowców, badaczy i odkrywców. Zamilowanie w ludziach tych było tak silne, że nic nie mogło utrzymać ich w spokojnych gabinetach i laboratoriach; raz po raz nie bacząc na bezdroża, niebezpieczeństwa i groźbę zabłądzenia wyruszyli w drogę, gdzie prócz tysięcy wysiłków i udręczeń często czekała ich śmierć.

Znamienną dla początków badań Afryki datą był rok 1788, kiedy w Londynie powstało *Association for Promoting the Discovery of the Interior Parts of Africa* — towarzystwo popierania badań wnętrza Afryki. (Było to w pięć lat od chwili, gdy Anglia zmuszona do uznania niepodległości „Unii” Stanów Zjednoczonych Ameryki, dawnych swych kolonii, zaczęła popierać badania Afryki, by tam znaleźć zastępcze źródło kolonialnych zasobów i zysków). W służbie angielskiego „Towarzystwa Afrykańskiego” dokonano w sumie najwięcej podróży badawczych i odkrywczych we wnętrzu „czarnej” części świata. Prócz Anglików brali w nich udział także liczni badacze innych państw. Równocześnie w tym samym kierunku szły wyprawy podróżników i badaczy innych narodowości, działających na zlecenie i za fundusze swoich władz czy też instytucji gospodarczych lub naukowych.

Wiek XIX zaatakował tajemnice Afryki ze wszystkich stron: Friedrich Hornemann zbadał Saharę, John Henning Speke dotarł do źródeł Białego Nilu, Mungo Park odkrył Niger — w którego nurtach zresztą znalazł śmierć; w dziedzinie etnografii odegrały wielką rolę badania Heinricha Bartha. Długo można by wliczać szeregi zasłużonych podróżników w tej części świata, której mapaapełniała się teraz nowymi liniami rzek, jezior i gór w regionach coraz bliższych centrum kontynentu.

Południe Afryki, gdzie żeglarze portugalscy przybijali już w XV wieku, niewiele więcej było znane do XIX wieku niż pozostałe brzegi Afryki. Holendrzy zaczęli się tam osiedlać dopiero w XVII wieku, w wieku XIX już wypierali ich stamtąd Brytyjczycy. Dla tych najsprytniejszych kolonizatorów południowa część Afryki stała się niezwykłą atrakcją, zwłaszcza gdy się okazało, że jest ona jedną wielką kopalnią złota. I nie tylko złota! Z końcem lat sześćdziesiątych sekretarz kolonialny Southey przedstawił parlamentowi angielskiej kolonii w Kapsztadzie nie-

zwykły, przejrzysty i skrzący kamień, znaleziony w piasku Afryki Południowej, mówiąc: „Panowie, oto jest kamień, na którym zbudowany zostanie dobrobyt tego kraju!” Tym błyszczącym kamieniem był diament.

Złóża złota i najbogatsza na świecie kopalnia diamentów ściągnęły do Afryki Południowej kapitał angielski, który szybko oparował wszelkie źródła świeżo odkrytych dochodów. Holendrowi wypierano coraz bardziej na północ, ostatecznie opór ich został złamany przez wojska angielskie w tak zwanej wojnie burskiej w latach 1899—1902. W konsekwencji granice posiadłości białych przesunęły się od Przylądka Dobrej Nadziei daleko na północ, fakt ten trzeba koniec końców zaliczyć także do europejskich „odkryć” nie znanej dotąd Afryki. Ten fragment historii odkryć wcale nie kryje swego drapieżnego, zaborczego charakteru.

Warto choć pobieżnie przyjrzeć się postaciom dwóch ludzi, których odkrycia dokonane na „czarnym lądzie” znacznie przewyższają wszystkie inne zdobycze geografii. To David Livingstone i Henry Morton Stanley. Rzadko kiedy dwóch tak różnych od siebie ludzi zmierza do tego samego celu. Przy tym ich drogi warunkowały się wzajemnie, jedna wyznaczała drugą...

Zasadniczym ideałem życia Livingstone'a była — praca misjonarza (krzewienie chrześcijaństwa wśród pogan). Wilhelm Treu, autor książki o odkryciach nowych kontynentów, mówi o angielskich misjonarzach — a odnosi się to także do innych, wcześniejszych i późniejszych — „Już w wieku XVIII, gdy angielska ekspansja w krajach zamorskich rosła, gdy zrodziła się koncepcja angielskiej władzy nad światem, rozpoczęła swe działanie nowa misja anglosaska, realizowana przez angielskich i szkockich misjonarzy. Stali się oni przednią strażą zdobywców wojskowych i gospodarczych, oddawali nieocenione wprost usługi angielskiej ekspansji starając się przysposobić krajowców do potrzeb angielskiego sposobu myślenia i życia... Misjonarze ci niewiele zrobili dobrego, mimo iż ich działania pochodziły z najszlachetniejszych intencji i przeważnie z dobroci serca. W większości wypadków wynikiem ich akcji było obalenie tradycyjnej i rozwijającej się w sposób naturalny pierwotnej obyczajowości, przełamanie spo-

sobu i organizacji życia, które, jakkolwiek nie bez wad, od dawna jednak odpowiadały miejscowym warunkom życia. Przez wyłom w wiekowych tradycjach, dokonany przez misjonarzy, wcisnęli się później kupcy i awanturnicy, zjawily się gwałty i nadużycia, alkohol, choroby i eksploatacja wszelkiego rodzaju. Bardzo często misje te wiodły do zguby tych, których misjonarze starali się doprowadzić do lepszego, szlachetniejszego życia."

Nie ma wątpliwości, że Livingstone należał do tego gatunku ludzi, których nazywamy idealistami: wierzył we wzniosłość swego misyjnego powołania — chciał walczyć przede wszystkim z handlem niewolnikami — nie wyobrażał sobie i nie przewidywał dalszych konsekwencji swych odkrywczych planów. Dopiero gdy w praktyce przekonał się, jak dalece przeceniał znaczenie swego misjonarskiego posłannictwa i jego skutków, powoli, nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął się przeistaczać w podróżnika-geografa i odkrywcę. Nowym zadaniom poświęcił się później z bezprzykładną wprost wytrwałością i ofiarnością — widocznie najgłębszą potrzebą jego ducha było namiętne poświęcenie się jakimś wyższym celom. Tej właśnie ofiarnej działalności oddał dwadzieścia osiem lat, bliższą połowę całego życia.

Jednym z jego najważniejszych odkryć — które przesunęło zasięg handlu angielskiego, a w ślad za tym polityki kolonialnej, najdalej na północ — było odkrycie wielkiej rzeki Zambezi, Wodospadu Wiktorii oraz olbrzymich jezior: Niasa i Tanganika.

Realizację dalszych zamierzeń uniemożliwiła mu choroba. Początkowo nie uświadamiał sobie tego, potem siły swe dzielił między walkę z chorobą i uparte wędrowki w pogoni za wytkniętym celem: ustaleniem, czy istnieje jakaś łączność między rzeką Zambezi i Nilem. Na takiej wędrowce napotkał go Stanley, wysłany do Afryki celem odszukania i przywiezienia chorego Livingstone'a. To niezwykle spotkanie Livingstone opisał w notatniku:

„Pewnego dnia (w październiku 1871 roku) wbiegł z największym pośpiechem mój służący, krzyzcząc: „Anglik! widziałem go!...” Amerykańska chorągiew na czele karawany zdradzała narodowość przybysza. Paczki towarów, wanny do kąpieli, olbrzymie kotły i garnki do gotowania, namioty i wszystko inne budziło we mnie przekonanie, że to jakiś chyba bardzo zamożny podróżnik, który jest w znacznie lepszej sytuacji niż ja — już u kresu swoich

możliwości. Był to Henry Morton Stanley, korespondent gazety New York Herald, wysłany przez Jamesa Gordona Bennetta młodszego — z dotacją ponad 4000 funtów szterlingów! — dla sprawdzenia, czy doktor Livingstone żyje jeszcze, a jeśli może zmarł, Stanley miał zabrać jego zwłoki do kraju."

Stanley zastał Livingstone'a przy życiu, ale w takim stanie zdrowia, że uważał za swój obowiązek namówić go do powrotu do kraju. Próbował to zrobić przez parę tygodni — daremnie. Ostatecznie Stanleyowi nie pozostało nic innego jak zostawić Livingstone'a, którego żadne argumenty nie mogły zmusić do porzucenia swego celu — prócz dalszych badań geograficznych była to walka z handlem niewolnikami.

Dalsza droga Livingstone'a wiodła uparcie w głąb czarnego lądu, gdzie ostatniego kwietnia 1873 roku zakończyła się śmiercią podróżnika. Wówczas doszło do niezwykłej oceny jego dobrych chęci i bezgranicznej ofiarności. Ocena ta była tym bardziej szczerą, że wyszła od krajowców, towarzyszy jego wędrowek. Zabalzamowawszy ciało Livingstone'a przetransportowali je na noszach bardzo długą, męczącą i pełną niebezpieczeństw drogą z głębi kraju do Zanzibaru, skąd zwłoki zostały przewiezione do Anglii...

Wspomniany Henry Morton Stanley był człowiekiem zupełnie innego pokroju. Dziennikarz z krwi i kości, którego jedynym celem było zmusić czytelnika do fantastycznego podziwu dla wszystkiego, co mu Stanley i jego gazeta podają do wiadomości. Tendencja do sensacji i przesady, brak skrupulatności w przedstawianiu rzeczywistych faktów łączyły się w nim z bystrością umysłu, wybitną spostrzegawczością, darem obserwacji i niezwykłą gętkością języka i stylu. Oczywiście jest rzeczą zrozumiałą, że dziennikarz Stanley bardzo chętnie pisał szczegółowo o podróżniku Stanleyu, a wszystko, co się wokół niego działo, oceniał przede wszystkim od tej strony, czy da się to wykorzystać w prasie. Jako przykład posłużyć może wypadek kilku łodzi krajowców, należących do wyprawy Stanleya, na wodospadach rzeki Kongo. Jedną z nich porwał prąd w groźny wir, a wtedy Stanley i jego towarzysze zrobili wszystko, by uratować nieszczęsnego wiosłarza, co w jednym przypadku przy sprzyjających okolicznościach rzeczywiście się udało. W drugim jednak wypadku, gdy wszelkie próby ratun-

ku okazały się daremne, reportaż Stanleya z rzeczową dramatyżnością uchwycił każdy szczegół strasznego widowiska — wszystko dla swych amerykańskich czytelników.

„Z wielkim trudem udało nam się ostrożnie opłynąć cypel i dotrzeć łodzią do małej zatoki tuż nad wodospadami, gdzie znaleźliśmy piękne i wygodne miejsce do rozbicia obozu na piaszczystym wybrzeżu. Jedna, druga i trzecia łódź naszej wyprawy wnet podpłynęła za nami. Już miałem ochotę pogratulować sobie, że dzisiaj dzień zakończył się tak szczęśliwie, gdy naraz zauważyłem, że „Krokodyl” (łódź) opływa cypel w dość znacznej odległości, niemal środkiem nurtu rzeki płynie prosto na wodospady! Szybkość łodzi rosła w oczach — kanoe leciała już lotem strzały. Interwencja i siły ludzkie na nic by się tu już nie zdały, pozostało tylko ścigać łódź spojrzeniem ze smutkiem w duszy, w łodzi byli bowiem moi trzej ulubieńcy: Kalulu, Mauredi i Feradzi, z pozostałej załogi dwaj jeszcze — Nehani Makan i Wadi Dżumah — to bardzo dobrzy ludzie. Łódź bardzo szybko podpłynęła do małej wysepki wychylającej się nad powierzchnię pośrodku szerokiego grzębiu rozdzielającego wodospad na połowę. Prąd zepchnął łódkę w bok gnając ją po lewej stronie wysepki ku przepaści. Wdzieliśmy jeszcze jak trzy, cztery razy okręciła się wkoło i runęła rafa... Ale widzieliśmy, że Kalulu i jego towarzyszy nie ma już wśród żywych.”

Aczkolwiek można krytycznie oceniać wypowiedzi czy aż na zbyt praktyczne tendencje i zapatrywania Stanleya, to jego odkrywczym dokonaniem niepodobna odmówić wielkości: odkrył największy szlak wodny Afryki, rzekę Kongo i jej dorzecze. (Później Stanley bardzo energicznie włączył się do gospodarczej i politycznej okupacji kongijskiego państwa.)

Tak przedstawia się bardzo pobieżny przegląd dziejów odkryć afrykańskich. Warto jednak przyjrzeć się z bliska i zapoznać szczegółowo z jedną chociażby taką wyprawą badawczą, która posłuży nam jako przykład wielu innych. Nie musi to konieczniej być wyprawa wybrana ze względu na ważkość rezultatów czy też ilość przebytych kilometrów lub pokonanych niebezpieczeństw.

Jest rzeczą zrozumiałą, że wobec tego wybór padnie na podróżnika-odkrywcę, którym był nasz rodak *).

Jednym z Czechów, który zdecydował się na badania „czarnego ładu” był Emil Holub; odbył on dwie podróże do Afryki. Drugą z nich słusznie może być zaliczona do istotnie odkrywczych podróży geograficznych. Wartość jej kryje się nie w rozmiarach po raz pierwszy odkrytych terenów — nie były one zbyt wielkie — ale w odwadze, wytrwałości i całkowitym oddaniu się obronemu zadaniu, bez względu na niebezpieczeństwa i trudności, mimo bardzo skromnych środków, jakimi ten czeski badacz przyrody i podróżnik rozporządzał.

Holub był z zawodu lekarzem. Już podczas studiów zainteresował się badaniami geograficznymi. Dzienniki podróży Livingstone'a w znacznej mierze także jemu wyczylić cel podróży — Afrykę.

Tegoż jeszcze roku, gdy otrzymał doktorat (1872), wybrał się do Kapsztadu — pieniędzy miał tyle tylko co na drogę — i tam w różnych miastach Afryki Południowej zaczął zarabiać praktyką lekarską, by zdobyć środki na realizację najgorętszego marzenia — wyprawy na północ, w głąb Afryki. Do roku 1875 przeprowadził trzy takie wyprawy — z najniezbędniejszą obsługą i wyposażeniem — nie przekraczając tymczasem granic znanych już terenów. Dalsze cztery lata wykorzystał Holub znowu na gromadzenie środków finansowych zarówno na podróż powrotną, jak na wysłanie do kraju zebranych eksponatów przyrodniczych. Skuteczniejszym bez wątpienia sposobem niż praktyka lekarska były odczyty, jakie urządzał w miastach Afryki Południowej, opowiadając o swych podróżach aż po Zambezi i Wodospad Wiktorii.

Ledwie w roku 1879 powrócił do kraju, znowu zaczął przygotowywać następną wyprawę, która tym razem miała zaprowadzić go już poza granice terenów odkrytych przez Livingstone'a. Początkowo bujna i śmiała imaginacja podsuwała mu możliwość przejścia Afryki z południa na północ aż do Egiptu (w parę lat później także trzejwi angielscy politycy będą się zastanawiali nad możliwością budowy linii kolejowej, która połączyłaby południowe terytoria angielskie z Egiptem), ale ostatecznie plan swój roz-

* Autor jest Czechem.

sądnie ograniczył do bliższych celów, jak stwierdza jego dziennik podróży, najbardziej rzeczowy materiał informacyjny.

Jest to dokładna kronika Holuba z drugiej podróży po Afryce Południowej; rozpoczął ją 22 listopada 1883 roku z Hamburga, w towarzystwie żony i sześciu pomocników. Rzecz charakterystyczna dla usposobienia Holuba: do zespołu nie zaangażował żadnego badacza czy naukowca-specjalisty, lecz tylko fachowców z potrzebnych w wyprawie rodzajów rzemiosła. „Natomiast rzeczcy dotąd im nie znanych, jak np. rusznikarstwo, budowa łodzi itp. (wypychanie skór zwierzęcych, pomiary meteorologiczne) kazałem im nauczyć się w ciągu kilku miesięcy przed wyjazdem.”

Wśród owych sześciu ludzi było trzech Czechów, dwóch austriackich Niemców i jeden Węgier.

Jaki był cel geograficzny wyprawy Holuba?

„... dojdzie do brzegów jeziora Bangweulu. Ale cel ten łączy się z przebadaniem dalszych terenów. Jako główny kierunek wyprawy na północ od Zambezi obrałem przejście przez kraj Matoków i Szukolombuejów*. Na pytanie, co mnie tak zainteresowało w tym właśnie odcinku drogi... musiałbym odpowiedzieć, że urok, jaki ma dla każdego badacza kraina zupełnie nie znana... Prócz rozwiązania zagadek geograficznych na północ od Zambezi, w trakcie samej wyprawy zależało mi głównie na gromadzeniu możliwie największej ilości zbiorów naukowych i wzbogaceniu nimi instytucji naukowych w ojczyźnie.”

Książka Holuba to właściwie opracowany jego dziennik podróży. Jest ogromnie obszerny i szczegółowy — w druku obejmuje blisko tysiąc dwieście stron — lecz tak interesujący i pełen przygód, że każde skrócenie byłoby zarazem jego zubożeniem. A jednak trzeba się ograniczyć do najistotniejszych wypadków i tylko od czasu do czasu przytoczyć jakiś szczegół z dziennika, co pozwoli bliżej naświetlić charakter wyprawy Holuba i osobę podróżnika...

Z Kapsztadu wyprawa Holuba wyruszyła w trzy wozy, każdy z nich ciągnęło 16 wołów. Następny wóz w 8 wołów ciągnął żelazną łódź pontonową. Kierunek — północ. Podczas przejazdu przez Wolne Państwo Orańskie — wówczas jeszcze pod panowaniem

* Maszukolombue.

Holendrów — z notatek Holuba odzywa się niezmordowany, entuzjastyczny badacz przyrody i etnograf: „Najbardziej interesującym i bardzo już rzadkim zjawiskiem, z jakim zetknąłem się na farmie pana Miltitza, była autentyczna staruszka Pigmejka wzrostu poniżej 1,5 metra, jej jasnobrązowożółtawą barwę cery najłatwiej porównać... do pomarszczonego kawałka skóry... Pan Miltitz obiecał mi, że po jej śmierci zwłoki staruszki przechowa dla celów naukowych i przekaże je dr. Knoblowi, by mi je przesłał do Europy.”

Holub posuwał się dalej na północ przez Transwał, dolinami rzek Mariko i Limpopo. Tam spotykał już plemiona krajowców i ich naczelników, z którymi nawiązał kontakt podczas pierwszej afrykańskiej podróży. Znad brzegów Limpopo wyprawa skręciła w głąb łąd na północny zachód, gdzie rozległe moczary, długie bezwodne przestrzenie i kolczaste zarośla leśne sprawiały, że podróż była bardzo uciążliwa i trudna. W październiku 1885 roku Holub dotarł do Wodospadu Wiktoria na rzece Zambezi. „Najwięksi nawet mistrzowie słowa zamilkliby w obliczu tej wspaniałej, nieustannie zmieniającej się scenerii...” Zrzekł się więc i Holub przybrania w słowa wrażenia, jakie wywiera ten olbrzymi wodospad „...który jest jedynym na całym świecie rywałem potężnej Niagary”. Mimo iż nie był pierwszym Europejczykiem, który stanął przed tym cudem przyrody, jednak w ciągu trzech tygodni pobytu nad wodospadem Holub poczynił liczne obserwacje geofizyczne, dokonał precyzyjnych pomiarów.

W dalszej podróży do zespołu Holuba po raz pierwszy wtargnęła śmierć, dnia 23 marca 1886 zmarł na tyfus brzuszny Antoni Spiral. Następnego dnia przy pogrzebie Holub żegnał go takimi słowami: „Zmarłeś przy sumiennym i solidnym pełnieniu obowiązków...” Lecz to jeszcze nie był koniec: dnia 10 maja zmarł drugi z pomocników Holuba, zaledwie dwudziestoosmioletni Karol Bukać. „Jakież to niezwykłe uczucie, gdy podróżnik w dalekiej Afryce musi białemu współtowarzyszowi oddawać ostatnią posługę miłości i obowiązku... Taki wypadek poruszy najsilniejszego i najobojętniejszego człowieka, jeżeli pozostała w nim choć isierka uczucia” — zanotował Holub w notatniku w dzień pogrzebu.

W tym czasie zdecydował, że wszystkie nagromadzone dotąd zbiory przyrodnicze odeśle do Czech. Wraz z licznym transportem

skrzyń wyprawili do kraju Antonina Haluškę, w ten sposób ilość białych uczestników wyprawy znalazła o trzech ludzi, samych Czechów. Pozostali już tylko: Ignacy Leeb, Janosz Fekete, Oswald Söllner i żona Holuba.

Aż wreszcie nadszedł ów dzień, który „był spełnieniem naszych pragnień — nad ich zrealizowaniem od roku 1872 pracowałem ze wszystkich sił”. Był to dzień, gdy wyprawa Holuba oderwała się od koryta rzeki Zambezi i skierowała się na północ.

Początkowo droga wiodła przez tereny zamieszkałe przez plemię Matoków. Z każdą chwilą stawała się trudniejsza. Oprócz pułapek zastawionych przez przyrodę zaczęły się dalsze i bardziej niebezpieczne trudności: wzrastające nieporozumienia z krajowcami, których trzeba było najmować jako tragarzy, dalej bowiem wozy iść już nie mogły. Tragarze szybko zorientowali się, że biali są całkowicie od nich zależni; dochodziło do licznych prób szantażu i buntów, o których dziennik Holuba wspomina coraz częściej. W okolicach, gdzie mimo wszystko niekiedy zjawiał się biały kupiec lub jego agent czy naganiacz, krajowcy mieli już doświadczenie z kontaktów z białymi, a były one tego rodzaju, że wywoływały tylko nieufność i wrogość. Prócz tego wojna między szczerpami murzyńskimi Afryki Środkowej była tam chlebem powszednim — każdy przedstawiciel innego, obcego szczerpu był traktowany jako wróg. Dłaczegóż więc ich stosunek do białych miałby być inny? Wyprawa Holuba coraz częściej popadała w zatargi, czasem nawet groźne dla życia, które doktor musiał rozstrzygać w bardzo różny sposób: raz surową stanowczością, kiedy indziej darami, czasem bardzo prostym przeważnie podstępem. Tak na przykład w jednym wypadku uratował swój autorytet w ten sposób, że na oczach tubylców zapalił „wodę” — odrobinę spirytusu wylanego na talerz. Przy innej okazji zabieg lekarski wywołał wielkie uznanie i przywrócił posłuszeństwo tragarzy.

Wyprawa doszła wreszcie do granicy „koszmarne sfinksu Afryki Południowej, który już dwóch sławnych podróżników zmusił u swych progów do odwrotu. Jeszcze tylko parę dni i będziemy mieli okazję uchylić rąbka tajemnicy osłaniającego dotąd te okolice ... Nadchodził czas, kiedy mieliśmy zdobyć oczekiwane laury podróżniczej sławy, dla której już tyle ponieśliśmy ofiar!” Holub zatrzymał się przy granicy kraju, do którego nie wszedł jesz-

cze biały człowiek, ziemi zamieszkałej przez dzikich Szukolombuejów.

Ostatnim „pokojowym” miejscem pobytu przed skokiem w nieznaną był postój wyprawy u „króla” szczerpowego Mo-Panzy, którego niewielkie tereny rozciągały się w bezpośrednim sąsiedztwie Szukolombuejów. Ten władca krajowców, człowiek już stary, niespodziwanie zyczliwie przyjął białych. „Tak długo czekałem — mówił — że może przecież jakiś mahoa (biały) wybierze się w drogę do mnie! Słyszałem, że Monari (Livingstone) przeszedł przez wielką rzekę (Zambezi) i zbliża się do naszych osad — a jednak do nas nie przyszedł! Już myślałem, że umrę, nim kogoś z was zobaczę, a teraz przecież mahoa przyszedł!” Nie tylko okazał się aż nadto gościnny, ale dał Holubowi to, co dla niego największą miało wartość — odpowiednią ilość tragarzy, którzy zobowiązali się doprowadzić wyprawę do środka państwa Szukolombuejów. Lecz równocześnie Mo-Panza wyraźnie ostrzegł Holuba przed tym odważnym przedsięwzięciem: „Przecież Szukolombueje to nawet nie są ludzie tak jak ja czy pan!”

Holub jednak nie brał i nie mógł brać pod uwagę znamiennych przestroż czarnego przyjaciela. To przecież oznaczałoby wyrzeczenie się upragnionego od tak dawna celu, zdradę jedynych życiowych pragnień!

Dnia 17 lipca 1887 roku Holub jako pierwszy biały podróżnik-odrywca wszedł na ziemię Szukolombuejów. Bramę wejściową tworzył gaj wspaniałych palm — lecz dla wędrowców, jak się to wnet okazało, mimo że cała kraina roztaczająca się przed ich oczyma była urodzajna i pełna spokoju, nie były to palmy pokoju. Już po paru chwilach od czoła wyprawy rozległ się okrzyk: „Hela! Hela batu, batu ahacho, hela hi — Maszkolombue!” (Spójrzcie, patrzcie, ludzie, tam ich widać, to Szukolombueje!)

Spotkanie z groźnymi krajowcami było lodowate. Już sam fakt, że dotąd wyprawie Holuba towarzyszyli tragarze z plemienia Matoków, przesądził sprawę: wszelkie próby ze strony Holuba nawiązania przyjaznych stosunków zawiodły. Nie pomogła nawet pomoc lekarska, przy pomocy której doktor gdzie indziej zyskiwał zyczliwość krajowców. Nastrój niepewności oddziaływał destrukcyjnie na tragarzy-Matoków, ogarniał ich coraz większy strach przed gospodarzami. Holub wówczas zanotował: „Wnioskując

z obecnej sytuacji doskonale rozumiem, dlaczego Livingstone, człowiek z wielkim doświadczeniem i tak przez Murzynów lubiany, nie zdecydował się na wejście na tereny Szukolombuejów.”

Potem nadszedł dzień, którego Holub obawiał się od dawna... W pobliżu rzeki Luangy, do której Matokowie zobowiązali się donieść bagaże wyprawy, odmówili dalszej współpracy: częściowo zastraszeni, częściowo namówieni przez Szukolombuejów zbiegli razem z Murzynami — służącymi wyprawy — do najbliższej wioski gospodarzy, koło której obozowała wyprawa. Pozostali oboje Holubowie i ich pomocnicy: Fekete, Leeb i Söllner, pięcioro białych i jeden tylko czarny służący, który przy nich pozostał, Mużemani — ze wszech stron otaczała ich niczym już teraz nie maskowana wrogość.

Szukolombueje dlatego zmusili dawnych służących i tragarzy do ucieczki, by biali pozostali skazani całkowicie na ich łaskę i niełaskę. Ale strach przed bronią palną powstrzymywał ich przed bezpośrednim atakiem na obcych. Dlatego też chwycili się innego sposobu. Wiedzieli, że Holub nie mając innego wyjścia musi nająć spośród nich tragarzy, zażądali więc wielokrotnie wyższej niż ich poprzednicy zapłaty: 4 metry materiału dla każdego z tragarzy za jedno- lub dwudniowy marsz!

Wobec przymusowej sytuacji trzeba było te warunki przyjąć. Dalszy marsz wyprawy przypominał raczej wędrówkę ślimaka, co doktora doprowadzało wprost do rozpacz. A przy tym, na ile drobnych kradzieży i oszustw musiał przymknąć oczy! Gdy Szukolombueje wieczorem składali bagaże, podróżnicy sami musieli znieść paczki na jedno miejsce, otaczać je zagrodą z trzciny lub gałęzi dla ochrony bagażu i ludzi przed niespodziewanym napadem. Nawet nosząc paczki krajowcy nigdy nie wypuszczali z rąk swych długich, trzymetrowych dzid zakończonych ostrym, metalowym grotem. A przy tym takich tragarzy Szukolombuejów było ponad siedemdziesięciu! Czyli znaczyło to, że nocą stale trzeba było pełnić straż z bronią w ręku. Przy małej ilości białych taki obowiązek spadał nawet i na żonę Holuba.

Trudno było ustalić, kiedy groziło większe niebezpieczeństwo — w nocy, gdy każdej chwili mogło dojść do nagłego ataku na obozowisko, czy za dnia podczas marszu. Stale wysiłki tragarzy Szukolombuejów zmierzały do rozrywania wyprawy na kilka części

— gdy jedna część szła szybciej naprzód, inna umyślnie zwalniała kroku lub nie chciała iść wcale. Utrudniało to nadzór nad nimi, stwarzało okazje do ucieczki z paczkami lub prób otwierania paczek, wyciągania zawartości, zastępowania jej trawą i powtórnego zamykania tak, że robiły wrażenie nietkniętych. Prócz tego tragarzom stale towarzyszyły kobiety — kryły się w wysokich trawach, w każdej chwili gotowe zabrać kradzione rzeczy i odnieść je do wsi.

Nieziemnie uciążliwa i wyczerpująca droga doprowadziła pewnego dnia wyprawę do wielkiej osady, siedziby naczelnika Szukolombuejów, Niambu. Zaraz w pierwszej chwili zaskoczył podróżnych straszliwy widok: przy drodze do wsi stało uschnięte drzewo, a na jego rozłożystych, martwych gałęziach wisiały zbiele ale od słońca — ludzkie czaszki. Były wśród nich także głowy niedawno pomordowanych dzieci — na których dopiero kończyły swą uciążliwą sepy. „Krwiożerczość szczyrzyła na nas zęby z tego drzewa i mówiła wyraźnie, że wśród tych ludzi — jeżeli nie będziemy mogli sami się obronić — czeka nas nieuchronna zguba.” (Z notatnika Holuba).

Aż zbyt wymowna zapowiedź tego, co jeszcze czekało wyprawę.

Audjencja, jakiej sam Niamba udzielił podróżnikom, w pierwszej chwili zrobiła dodatnie wrażenie. Wdigniarz obiecał dostarczyć nowych tragarzy, a kiedy dostrzegł wyczerpanie i pragnienie białych, ofiarował im naczynie z chłodnym mlekiem, pozwalając zabrać je sobie do obozowiska. Całe szczęście, że doktor zauważył zielonkawy odcień napoju. Podejrzanie wkrótce się potwierdziło: jeden z psów wypił przypadkowo trochę mleka i niedługo w kurczach zdechł.

Teraz jasne już było, że doktora i jego grupę nic innego nie czeka ze strony Szukolombuejów prócz jawnej wrogości i że znikąd nie może spodziewać się żadnej pomocy. Lecz nagle zabiłyśło nagle światło nadziei: z rozmów Szukolombuejów czarny służący pochwylił stale powtarzające się słowa o jakimś białym, portugalskim kupcu, który ma posiadłość na północnym krańcu państwa Niambu, u podnóża grzbietu górskiego, tworzącego jakby granicę płaskich terenów państwa. Plan podróży Holuba i tak sięgały na północ, powstała więc nadzieja, że Europejczyk na

pewno udzieli podróżnikom pomocy w stosunkach z krajowcami, wśród których stale przebywa, jest przez nich tolerowany i uznawany. Oto gwiazda, która wskazywała kierunek wyczerpanym wędrowcom i obiecywała ratunek! Zniecierpliwiony Holub tym mocniej nastawał, by co prędzej ruszać w dalszą drogę.

Teraz Niamba oświadczył, że obiecanych tragarzy dać nie może. Nie pomogły żadne namowy ani podarunki. Doktor zorientował się w końcu, że Szukolombueje Niambu mają zamiar nie wypuścić już wyprawy z osady i zagarnąć cały jej dobytek. Wyglądało na to, że rozwiązanie kwestii przyszłości podróżników nieubłaganie się zbliża. Holub polecił jak najsolidniej „umocnić” małe obozowisko z dwóch stron rzędami paczek, ponieważ pozostałe dwie otwarte strony dostatecznie chroniły głębokie bagna. I w tej wątlej fortцы sześcioro podróżników spędziło noc, wyznaczoną przez Szukolombuejów na ostatnią w ich życiu.

Jeszcze z wieczora współtowarzysze Holuba zauważyli, że koło wsi Niambu zbierają się tłumy uzbrojonych Murzynów. Groty dzid, gdy padał na nie blask od wiejskich ognisk, lśniły wysoko nad głowami. Wszystko to odbywało się w ciszy, nie było słychać żadnych odgłosów. Widocznie Murzyni czekali, aż wszystko ostoni głęboka ciemność nocy i podróżnicy usną, by wtedy ze wszystkich stron zaatakować obóz białych.

Lecz raz jeszcze przypadek zrzucił o uratowaniu się wyprawy. W pokrytym trawą stepie, dość daleko za obozem, jakiś pasterz zapalił ognisko, potem odszedł i widocznie o nim zapomniał. Nie pilnowany ogień przeskoczył na okoliczne suche trawy, płomienie rozprzestrzeniły się coraz dalej, nabierały siły. Koło północy za obozem stała już potężna ściana ognia. Holub i jego współtowarzysze szybko wyrwali szeroki pas trawy między swoją „fortecą” i zbliżającymi się płomieniami, by ogień nie ogarnął obozowiska. Ale blask ognia popsuł Szukolombuejom ich plany niespodziewanego napadu — na atak przy świetle nie zdecydowali się widząc, że biali nie śpią, a strzelby mają przygotowane.

Następnego dnia Holub już nie zwlekał. Ponieważ Niamba znów odmówił tragarzy, wyruszył z żoną i czarnym służącym Mużemanim ku góróm na północy, by bez bagażu jak najszybciej dostać się do siedziby portugalskiego kupca i tam zdobyć tragarzy oraz pomoc dla wyprawy. Leeb, Fekete i Söllner mieli przez ten

czas próbować dostać od kacyka tragarzy, by móc później iść w tym kierunku — a przede wszystkim wyostać się z tych nieszczesnych terenów Szukolombuejów. Nadzieja na pomoc ze strony białego człowieka, mieszkającego u podnóża gór, które w przejrzystym afrykańskim powietrzu wydawały się tak bliskie, stanowiąła dla nich wszystkich ostatnią podzię.

Nadzieja ta wzmagała siły Holuba i jego żony: nadludzkim wysiłkiem pokonywali przeszkody piętrzące się już od początku na drodze. Po pierwszych dziesięciu kilometrach natknęli się na moczary. By nie tracić czasu na obchodzenie ich wokoło, Holub postanowił brnąć na wprost przez błota. Za tę decyzję podróżnicy omal nie zapłacili życiem. Miękki, porośnięty trzcina grunt rozstepował się pod nogami, z każdym krokiem ludzie zapadali coraz głębiej. O szybkim posuwaniu się naprzód nie mogło być mowy — po pewnym czasie brodzili już po pas w gęstym, cuchnącym błocie. Holub, jego żona i czarny służący, posuwając się w takiej kolejności, nie tylko że z trudem wyciągali nogi z lepkich wiewiór bagna, ale musieli jeszcze wyciągać dwa osły, które zabrali ze sobą z najniezbędniejszym bagażem. Małe kopytka zwierząt zapadały coraz głębiej w kleiste błoto — ostatecznie nie było rady: trzeba było osły pozostawić własnemu losowi. Holub zdjął ze zwierząt bagaże i ułożył na pierwszym napotkanym na mokradle suchym miejscu, którym był kopiec termitów.

Wyczerpanie i zmęczenie wywołało u Holuba atak serca, potem rozpoczął się atak malarii. Na próżno żona i służący pomagali mu, podtrzymywali, odebrali cały niesiony bagaż — w tym dwie strzelby — Holub dowłókł się do kolejnego kopca termitów i nie mogąc iść dalej zachęcał współtowarzyszy, by ratowali się sami.

Nagle w największej już rozpaczy żona Holuba dostrzegła dość daleko trzy sylwetki krajowców. Szli swobodnie, energicznie, najwyraźniej po twardym gruncie — brzeg mokradła musiał być już niedaleko! Przywołani krzykiem weszli w błoto do uwikłanych w palupkę; w chwilę później przy ich pomocy oboje biali i ich czarny służący wylądowali bezpiecznie na brzegu. Ich wybawcami okazali się również Szukolombueje! Nieoczekiwani pomocnicy wysobodzili także z bagna oba osiołki i przenieśli na brzeg pozostałone na kopcu termitów bagaże.

Radość z ocalenia nie była wolna od skazy: wprawdzie grupka Holuba wyrwała się z bagna, ale gdy znalazła się na „łądzie” okazało się, że są w pobliżu wielkiej, większej jeszcze niż wieś Niambu, osady Szukolombuejów — Galulonga. Nie było żadnych danych, by oczekiwać bardziej życzliwego przyjęcia wyprawy białych tutaj, gdzie wiadomości o jej przybyciu na pewno także dotarły. Ale ominąć tej osady teraz już nie było można — za nią zresztą czekało wybawienie: portugalski kupiec.

Ku niezmiernej radości doktora także tego samego dnia dołączyli do niego: najpierw Leeb, potem także Fekete i Söllner, którzy wraz z czarnymi tragarzami obesli bagno wokół. Co takiego? Więc Niamba dał im jednak tragarzy? A tak, naturalnie, ale bez wątplenia i obawy, by całej wyprawy, a przede wszystkim jej bagaży, nie zagarnęli Szukolombueje z Galulongi. Niamba wysłał swych tragarzy z białymi tylko dlatego, by zawartość paczek w żadnym wypadku nie wymknęła się z jego rąk i rąk jego poddanych. Tragarze Leeba wykradli zawartość paczek już w drodze, tragarze Feketego i Söllnera rozbiegli się po drodze — z wyjątkiem pięciu ludzi noszących rzeczy nieprzydatne dla krajowców: instrumenty pomiarowe, amunicję i dzienniki Holuba. „Strasliwie fatum wypełniło się do końca — pisał wtedy Holub — każdy krok na północ był dla nas nieustanną walką z coraz większymi trudnościami; teraz, gdy ograbiono nas niemal ze wszystkiego, stanęliśmy tuż nad brzegiem przepaści.”

Najbliższy problem to urządzenie „umocnionego obozowiska” dającego jaką taką chociaż ochronę przed mieszkańcami wsi. Przypadek podsunął do tego celu resztki jakiegś dawno już chyba opuszczonej zagrody, z której właściwie pozostał tylko płot z łądyg kukurydzy. „Zagroda” była na tyle duża, że mogła pomieścić podróżników i resztki ich bagaży.

Aż oto nagle — ku najwyższemu zdumieniu wszystkich członków wyprawy — przed kukurydzianym płotem pojawiło się ośmiu Murzynów. Nie mieli włosów mocno splecionych w metrowej wysokości piramidę, jaką nosili Szukolombueje, nie trzymali w ręku jak tamci długich dzid. To po prostu Matokowie, poddani króla Mo-Panzy! Doktor natychmiast rozpoznał w nich swych dawnych tragarzy, którzy dość dawno opuścili go i uciekli do domu. Z opowiadania ich dowiedzieli się teraz podróżnicy, że król bardzo źle

przyjął zbiegów i że na jego rozkaz część z nich przynajmniej musiała wrócić i odszukać wyprawę Holuba.

Wieś Szukolombuejów — Galulonga, jej naczelnik i mieszkańcy, odnosili się do wyprawy z nie maskowaną wrogością — z jednym tylko wyjątkiem: pewien naczelnik mniejszej, odległej wioski zdawał się być usposobiony do białych życzliwie, opowiadał bowiem bardzo szczegółowo o kupcu portugalskim spod niedalekich gór. „By zarządzić możliwie najszybciej niepewnym stosunkom z Szukolombuejami postanowiłem dzisiejszej jeszcze nocy wyruszyć w drogę do Portugalczyka. Prócz żony i Leeba wybrałem jeszcze siedmiu służących (z ludzi Mo-Panzy) jako przewodników i zdecydowałem zabrać ze sobą paczki z kretonem oraz worki ze szklanymi paciorkami, by nie stały się niepotrzebnie łupem krajowców, natomiast amunicję, instrumenty naukowe i inne przedmioty, bezwartościowe dla Murzynów pozostawić w obozie. W Galulongie mieli zostać: Fekete i Oswald (Söllner) oraz dwaj Murzyni, Mapani i Mużemani, mając do obrony cztery strzelby. Taką samą ilość strzelb wzięła na drogę nasza grupa.” (Z dziennika Holuba).

Cel marszu — łańcuch górski ze zbawczą przełęczą — spowiadały co prawda nocne ciemności, lecz one tały także moment odejścia grupki Holuba. Doktor wiedział tylko tyle, że od góru dzieli go odległość już tylko dwudziestu ośmiu kilometrów, a od domu Portugalczyka jeszcze ponadto godzina drogi. Wtedy to włączył do swych zapisków zdanie, z którego tragicznej treści nie zdawał sobie sprawy: „Każdy z nas odchodzących czuł, że nadszedł decydujący moment dla losów wyprawy: albo ten nocny marsz przyniesie nam pomoc i ratunek, albo mimo wszystko Szukolombuejom uda się wykończyć nas tuż przy granicy, za którą nie grozi już niebezpieczeństwo...”

Rozdział swej książki, mówiący o tym nocnym marszu, zamiast tytułem zaopatrzył tylko datą: „Dnia 2 sierpnia 1886.” Data ta nigdy nie zatarła się w pamięci pisarza, oznaczała bowiem dramatyczne zakończenie całej wyprawy...

Cicho i bez słowa Holub z żoną i dobranymi ludźmi opuścił oboz. Ostrożnie, by trzaskaniem zdeptanej gałązki nie zwrócić na siebie uwagi, przemykali się koło uspiętej Galulongi. Kiedy już szczęśliwie mieli ten niebezpieczny odcinek drogi poza sobą i ru-

szli w uprzednio określonym kierunku, w stronę gór, znowu natrafili na rozległe bagno — nie było innej rady jak czekać do wczesnego świtu. Ledwie tylko trochę rozproszyły się ciemności, ruszyli naprzód, tu jednak się okazało, że niedawne doświadczenia bynajmniej nie wyczerpały serii wszelakich trudności i pułapek, jakie może kryć w sobie bagnisko. Mało tego, że było znacznie głębsze, ale grząskie dno zmusiło podróżników do zmiany znaczącego obuwia na lżejsze, które — nim zdążyli się zorientować — kleiste błoto zdarło im z nóg. Dalej więc grupka Holuba brnęła bosą. Ostre liście szuwarów i ciernie ukrytych pod wodą roślin kaleczyły w nie chronione nogi, które obrzękły, sprawiając dokuczliwy ból. Czas włókł się nieznośnie godzina za godziną, osłabienie i wyczerpanie wroszało. Blisko sześć godzin trwał ten rozpaczliwy marsz!

Kiedy wreszcie podróżnicy stanęli znów na twardej ziemi i weszli na pobliski wzgórek — już po raz trzeci na terenach Szukolombuejów dostrzegli wielką osadę krajowców. Co tu czeka jąka wyprawa?

Tego jednak żaden z uczestników małej grupy się nie spodziewał... Czekano ich coś gorszego jeszcze niż to, na co byli przygotowani. Dowiedzieli się od tubylców, że nigdy żaden portugalski kupiec ani inny biały człowiek tam nie był ani nie mieszkał!... „Prosty, lecz szatańsko uknuty plan Szukolombuejów z Galulongi ukazał się nam w całej rozciągłości... Portugalczyka nigdy nie było!... Po prostu Murzyni z Galulongi chcieli rozdzielić nasz zespół, by równocześnie zaatakować: nas na bagnisku i załogę pozostałą w obozie.”

Teraz, gdy początkowe podejrzenia zmieniły się już w pewność, Holub wydał rozkaz natychmiastowego powrotu do obozu. Straszny niepokój ścisnął serca i dławił oddech — czy zdązą na czas, czy zastaną współtowarzyszy żywych? I czy sami zdołają dotrzeć do Galulongi? Czy Szukolombueje, ciągnący za nimi dużymi gromadami od chwili gdy grupa opuściła wieś, nie zaatakują ich po drodze?... Trzeba było nie zwracać uwagi na czarne cienie sylwetek przemykające z daleka po obu bokach i na tyłach wyprawy. Nie było czasu na wypatrywanie grotów dzid błyskających od czasu do czasu wśród trzcin. Naprzód, tylko naprzód — to było jedyne hasło. „Z poranionymi nogami wpadliśmy w bagno i przebrnęliśmy je w ciągu dwóch godzin...” Czyli niemal w jedną trzecią cza-

su zużytego na poprzednie przejście. W parę chwil później idąca na przędzie Holub dostrzegł już Galulongę.

Naprzeciwko szła ku niemu zataczając się jakaś postać — na jej widok Holubowi i jego towarzyszom krew zastygła w żyłach. Był to biały człowiek, ubranie na nim zwisało w strzępach, po ciele spływały z wielu ran czerwone strugi krwi. Holub ledwie rozpoznał — Feketego. Za rannym obszarpanym człowiekiem szli dwaj czarni służący, Mapani i Mużemani: trzymając w rękę strzelby rozglądali się przerażeni na wszystkie strony. Nim jeszcze Fekete się odezwał, Holub już wiedział, co się stało. Fekete potwierdził jego domysły. Zwołani przez Niambę z dalszych okolic Szukolombueje napadli oboz i rozgrabili, Söllner otrzymawszy śmiertelną ranę dzidą zginął.

Wiadomość była wstrząsająca... Grupa Holuba przybyła za późno, kolejny z podróżników zginął, o stratach materialnych nie było co nawet mówić. Fekete przede wszystkim ostrzegał przed drogą powrotną na południe — podobno jest ona obsadzona przez uzbrojone gromady Szukolombuejów — i zaklinał Holuba, by natychmiast ruszali na północ, gdzie „jest ten Portugalczyk”! Teraz z kolei Holub musiał rozczarować i pozbawić złudnych nadziei Feketego.

Trzeba było działać szybko i próbować zaskoczenia; Szukolombueje zapewne nie spodziewają się, że grupa Holuba powróci tak szybko. Naładowali strzelby i ostro ruszyli ku obozowi pod Galulongę.

Plan się powiódł — zaskoczeni Szukolombueje szybko i bez walki wycofali się poza zasięg europejskich strzelb, Holub mógł wreszcie wejść na teren obozowiska. To, co tam ujrzał, stanowiło dla niego ostateczny cios: wszystkie pozostawione w obozie rzeczy, które krajowcy — jako im niepotrzebne — powinni byli pozostawić w spokoju, zniknęły lub leżały porozbijane, potłuczone, poniszczone i porzrzucone. Wszystko to jeszcze można by odzłować, ale teraz doktor z największym przerażeniem stwierdził, że dobrali się także do paczek zawierających jego dzienniki, najrozmaitsze notatki oraz wszelkie obserwacje z całej drugiej części podróży. Wszystko to przepadło.

W samym obozie odszukał zaledwie pięć porzuconych zeszytów dziennika, potem przybyło do nich jeszcze kilka dalszych. Ho-

lub był szczęśliwy, gdy udało mu się gdzieś znaleźć jakąkolwiek podartą kartkę. Ale dziesiątki zeszytów dziennika i notatek naukowych zniknęło bezpowrotnie.

Z rozpaczliwego nastroju wyrwał doktora krzyk pełniących straż przed obozem czarnych służących: „Szukolombueje wracają!” Istotnie: przed wsią zgromadziło się około stu wojowników — krzykiem i wymachiwaniem dzidami dodawali sobie odwagi. Była to niezawodna zapowiedź ataku.

Holub zdecydował się tym razem ich uprzedzić. Dał rozkaz i jego ludzie pierwszy rozpoczęli akcję — grupy nieprzyjaciół rozpierchły się od razu. Różac potem Holub wycofał się do obozu, lecz niedługo tam zabawił: wyprawa szybko ruszyła na południe — byle dalej od Galulongi. Ten jeden kierunek im tylko pozostał, prowadził ku bardziej gościnnym terenom, do państwa króla Mo-Panzy. Przemawiał za nim także inny jeszcze powód: oto Szukolombueje z okolicznych wsi, oblegający dotąd obóz od południa, uszczęśliwieni zdobyczą rozeszli się do domów. Aby jeszcze choć na czas jakiś powstrzymać prześladowców Holub zostawił w obozie wszystkie pozostałe paczki z materiałami i szklanymi koralikami. Słusznie liczył, że Szukolombueje z Galulongi całą uwagę zwrócą przede wszystkim na ten łup.

Wyprawa wykorzystała ten czas do jak najszybszego marszu na południe, gdzie w odległości 30—40 kilometrów płynęły wody znanej już im rzeki Luanguy.

Lecz był to powrót bez osiągnięcia choćby w części zakreślonego celu. Powrót przedwczesny, rezygnacja czy nawet przegrana... Ta droga powrotna — jakkolwiek uzasadniona i najzupełniej oczywista — stanowiła dla Holuba znacznie większą udękę niż wszystkie najgorsze nawet cierpienia fizyczne. A tych było już po kres ludzkiej wytrzymałości.

Na terenach Szukolombuejów dawała się we znaki ich bezustanna obecność, „asysta” czarnych wojowników grożąca nieprzewidywanym niebezpieczeństwem. Członkowie wyprawy musieli być w nieustannej gotowości do obrony, co powodowało napięcie i wyczerpanie tak fizyczne, jak psychiczne. Każda chwila osłabienia uwagi mogła dla wszystkich oznaczać zgubę. W pewnym momencie doszło do tego, że Holub po raz pierwszy musiał dać rozkaz strzelania nie „ponad głowy” Szukolombuejów.

Gdy ostatecznie wyprawa znalazła się poza zasięgiem groźby śmierci, zaczęły dawać się we znaki skutki nadmiernego wysiłku — wyczerpanie fizyczne. Oczywiście, że najmocniej odczuwała je żona Holuba. Lecz wszystkie te sprawy to już ludzkie dzieje Holuba, a nie prace odkrywcy.

Te dokonania — w porównaniu z czynami szczęśliwszych odkrywców — nie miały w geografii wielkiego znaczenia. A jednak Holub jako pierwszy przeszedł kilka dziesiątków kilometrów po kraju Szukolombuejów. W osobie tego czeskiego podróżnika godna szacunku jest przede wszystkim jego wytrwałość i odwaga. Dysponował tak małymi środkami materialnymi, że muszą one wydawać się żebraćze w stosunku do subwencji rządów, kół handlowych i instytucji naukowych, które stanowiły podstawę poczynania wielu współczesnych mu badaczy innych narodowości. I jeśli na tym tle mierzyć będziemy wielkość wyników badawczych i przyrodniczych, ilość i różnorodność przysyłanych do kraju zbiorów zoologicznych i botanicznych, musimy jednak oddać cześć pamięci tego człowieka, który zawsze i wyłącznie polegał na samym sobie. Jeżeli można mu coś zarzucić, to właśnie tę jego cechę charakteru, która — konsekwentnie praktykowana — czasem przestaje być zaletą.

ARKTYKA – BIEGUN PÓLNOCNY

WSZYSTKIE podróże odkrywcze mające na celu znalezienie przejścia między powierzchnią lodową bieguna północnego a lądem azjatyckim i amerykańskim, wszystkie badania północnej Grenlandii, Spitsbergenu, Nowej Ziemi, Wysp Nowosyberyjskich stanowiły przygotowanie do bezpośredniego ataku na biegun północny.

Doszło do tego w XIX wieku.

Długi szereg takich prób rozpoczyna już w 1827 roku Anglik W. Edward Parry (cóż za podobieństwo do nazwiska prawdziwego odkrywcy bieguna północnego); po nim Niemiec Petermann i Austriak Payer na dwóch statkach usiłowali przedostać się przez zamrażające dokoła morze, potem zaś w latach dziewięćdziesiątych Norweg Fridtjof Nansen przedarł się aż poza 86 stopień szerokości północnej. Na przełomie XIX i XX wieku wyruszyła także wyprawa włosko-norweska — żeby wymienić chociażby tylko najważniejsze i najbardziej udane.

W roku 1909 szereg ten zamyka Robert Peary, odkrywca bieguna północnego. Był oficerem marynarki Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej; wyruszając w drogę, która miała doprowadzić go do celu, miał ponad pięćdziesiąt lat, czyli był znacznie starszy niż przeciętnie wszyscy inni badacze polarni. Ale też posiadał znacznie więcej doświadczenia niż każdy z nich — zdobył je na swych wyprawach badawczych i odkrywczych na Grenlandię (Peary odkrył, że Grenlandia jest wyspą), a jego zwycięski marsz do bieguna był ukoronowaniem wielu poprzednich prób.

Tego dnia, gdy stanął na biegunie północnym zanotował: „Wszystko wydaje się takie proste i takie oczywiste.” No tak, porównując jego przeżycia z tej wyprawy z pełnymi przygodami mniej szczęśliwych poprzedników, istotnie można odnieść



wrażenie, że cała ta wyprawa, co prawda bardzo sumiennie przygotowana, była w zasadzie zupełnie łatwa. Ale czyż nie wszystko, co się udało, wydaje się zupełnie łatwe? Zwłaszcza wtedy, gdy już się udało?

Ze przedsięwzięcie Peary'ego wcale nie było lekką przechadzką świadczy krótki przegląd najróżniejszych trudności, niebezpieczeństw i niepowodzeń, z jakimi musieli walczyć wszyscy podejmujący takie próby jak ta, z której Peary wyszedł zwycięsko.

Oto pierwsza: W. E. Parry wycofał się dlatego, że ruch pływających lodów, po których szedł, był tak silny w odwrotnym do jego marszu kierunku, że wyprawa musiała przejść ponad 290 mil, by w istocie znaleźć się o 172 mile na północ od punktu wyjścia. Okazało się mianowicie, że na biegunie północnym i wokół niego nie ma ładu, natomiast biegun północny pokrywa warstwa lodów, których część jest w nieustannym ruchu, gnana prądem morskim płynącym mniej więcej od Morza Wschodniosyberyjskiego do wschodnich wybrzeży północnej Grenlandii. (Nawiasem mówiąc Peary pierwszy wprowadził stosowany później tradycyjny polarny środek transportu: sanie ciągnięte przez psy. Z tą tylko różnicą, że na płozach ułokował lodzie i dzięki temu uzyskał środek lokomocji do poruszania się zarówno po lodzie, jak i po wodzie — tam, gdzie wśród lodów powstawały kanały.)

Ze stałym ruchem pokrywy lodowej na północy miała również największe trudności dalsza, niemiecko-austriacka wyprawa polarna pod dowództwem Petermanna. Wypłynęła ona na dwóch statkach, „Hansa” i „Germania”, z których pierwszą spotkała wyjątkowo groźna przygoda. Kiedy wmarzła w lody, załoga musiała na zimowanie przenieść się na pole lodowe (statek w jakiś czas później naciskające lody zmiażdżyły i zatopiły). Polarnicy sklecieli sobie jednak sześciometrową „chatkę”: służyła im do czasu, gdy pole lodowe pękło i „chatka” przestała istnieć. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności nikt wtedy życia nie stracił, lecz odłamek kry, na którym prąd polarny niósł rozbitków, zmniejszał się nieustannie i groził katastrofą. W ciągu dwustu dni przepłynął ze swym żywym ładunkiem dwa tysiące kilometrów, w kierunku południowym.

Nansen zrezygnował pod 86 stopniem. „Im dalej, tym ład jest gorszy, nie możemy posuwać się naprzód. Zwały kry lodowej

piętrzą się jeden za drugim, wszędzie tylko bloki lodowe, iglice i torosy, przez które musimy przechodzić. Dziś rano wyruszyliśmy około godziny drugiej, szliśmy naprzód, póki mogliśmy, a przez cały ten czas musieliśmy łódź prawie nieść. W końcu było to ponad nasze siły. Poszedłem na nartach trochę dalej; z najwyższego punktu widziałem stale tylko ten sam rodzaj lodu. Przed nami aż po same krańce horyzontu rozpościerała się płatanina kry i bloków lodu. Nie ma sensu przedzierać się dalej, marnujemy tylko drogocenny czas i nic przez to nie osiągniemy. Dlatego zdecydowaliśmy się zawrócić.”

Jeszcze tragiczniejszy był los wyprawy włosko-norweskiej, której statek przybił do jednej z wysp polarnych (w archipelagu Franciszka Józefa) i która w marcu 1900 roku zesłała na lód, by grupami na saniach wyruszyć do bieguna. Pierwsza grupa, wracająca zgodnie z planem po przejściu pierwszego etapu, nigdy już swego statku nie zobaczyła ani też jej — mimo wszelkich poszukiwań — nikt nigdy nie ujrzał. Dopiero trzecia grupa dotarła aż do 86°34' szerokości północnej, gdzie drogę jej zagroził szeroki kanał wodny. „Za kanałem — zanotował wtedy dowódca wyprawy Cagni — ciągnął się bardzo daleko szerokie pola świeżo nagromadzonej kry, spiętrzone, niedostępne, poprzecinane licznymi kanałami. Gdybym nawet mógł się tam dostać, dwa razy bym się namyślił, zanim bym się na to odważył... Za najrozsądniejsze uważam wstrzymanie dalszego marszu.”

A przy tym we wszystkich przytoczonych zapiskach i notatkach nie ma w ogóle mowy o pogodzie, o mrozie 40—50 stopniowym, ani o codziennych trudnościach wędrowki.

Na tym tle dopiero czyny Peary'ego i jego współtowarzyszy rysują się we właściwym świetle, czyny, które on w swym notatniku opisał jako zupełnie proste i oczywiste. Statek jego dopłynął do Przylądka Sheridana na północ od Grenlandii, skąd z początkiem marca 1909 roku Peary z saniami i psami eskimoskimi ruszył piechotą na północ. W miarę coraz dalszego posuwania się ku północy odsyłał małe grupki swej wyprawy z powrotem na statek, zależnie od tego, jak miał wyliczone zapasy, które wiózł na saniach i które w określonych odległościach lokował w składach pomocniczych, zbudowanych z bloków lodowych. Ostatnią taką grupę odesłał spod 87°48' szerokości północnej, stamtąd poszedł dalej już

tylko ze swym służącym Murzynem Hensonem i czterema Eskimosami

Według przybliżonych obliczeń miała wyprawa 6 kwietnia wczesnym rankiem stanąć u celu. Kiedy Peary dokonał pomiarów okazało się, że istotnie znajdują się na 89°57' szerokości północnej. „Chociaż biegun był już w zasięgu spojrzenia, zaadano byłem zmęczony, by przejść jeszcze tych ostatnich parę kroków. Gromadzące się w ciągu ostatnich dni i nocy wyczerpanie, kiedy to sześliśmy pośpiesznym marszem, brak snu przy stale grożącym niebezpieczeństwie, obawa — wszystko to nagle zważyło się na mnie. Zbyt byłem osłabiony by zrozumieć, że cel mego życia właśnie został osiągnięty.” Oto w zapiskach Peary'ego jedyne wyznaczenie mówiące o trudach i niebezpieczeństwach wyprawy polarnej.

Po krótkim odpoczynku Peary wraz ze swymi ludźmi tego samego dnia jeszcze ruszył dalej. Dokonane około północy pomiary wykazały, że nie tylko doszli do bieguna, ale nawet przekroczyli go o kilka kilometrów. Zapisał wtedy ciekawe uwagi:

„Wszystko, co nas teraz otaczało, wydawało się tak niezwykle, że nie mogliśmy tego pojąć. A już najbardziej niezwykle wydawał się fakt, że w ciągu paru godzin marszu przeszliśmy z półkuli zachodniej na półkulę wschodnią. Znaleźliśmy się więc na wierzchołku świata! Trudno to przecież było zrozumieć, że w pierwszych kilometrach tego krótkiego marszu sześliśmy prosto na północ, a przy ostatnich — na południe! I cały czas sześliśmy w tym samym kierunku. Niełatwo byłoby znaleźć lepszy przykład tak jasno wyrażający względność większości spraw...

Kiedy później wracaliśmy tą samą drogą, której nikt z nas przedtem nie widział i w przeszłości także nigdy nie zobaczy, narzucało nam się dość wyjątkowe moim zdaniem stwierdzenie: wszystkie strony świata — wschód, zachód, północ właściwie zniknęły, pozostał nam tylko jeden kierunek: południe. Każdy wiatr jaki do nas docierał, był zdecydowanie wiatrem południowym, obojętne z którego krańca horyzontu nadlatywał...

Ustawiliśmy na tym szczycie świata pięć flag. Pierwszą była jedwabna flaga amerykańska, którą przed piętnastu laty podarowała mi żona. Flaga ta przewędrowała więcej krajów na szerokościach północnych niż którakolwiek inna. Miałem ją ze sobą na wszystkich wyprawach polarnych owiniętą wokół ciała i zawsze,

na każdym z najdalej na północ wysuniętych punktów, jakie udało mi się osiągnąć przy mych podbiegunowych wędrówkach, zostawiałem w takich miejscach kawałek tej flagi. Więc też teraz, kiedy dotarła do bieguna północnego, była już trochę podarta i wyrudziła. Szerokie wycięcie na przekątnej tej flagi oznacza teraz najdalszy docelowy punkt kuli ziemskiej, na którym stanąłem wraz ze swymi ciemnoskórymi współtowarzyszami.”

Dnia 23 kwietnia grupa Peary'ego zdrowo i cało powróciła do swej bazy wyjściowej, gdzie na kotwicy stał statek. I to było wszystko.

Czy istotnie największym bohaterem jest ten, kto także i własne życie składa w ofierze?

„Co zmusza ludzi do tego, że raz po raz wracają na Antarktydę i wreszcie tam giną... To choroba, która wchodzi w krew odkrywcy. Nikt jeszcze nie wyprodukował skutecznego leku przeciwko tej chorobie. Bowiem wzruszenie, jakie powoduje spojrzenie na coś, czego przedtem nikt inny nie widział, jest przeżyciem znanym tylko odkrywcy.”

(B. Britton i W. H. Kearns)

KIEDY żeglarzom europejskim udało się dotrzeć do południowych krańców Afryki i Ameryki, zaczęło ich wtedy dręczyć pytanie: co jest dalej na południu, tam gdzie klimat jest jeszcze bardziej surowy i chłodny, gdzie statki napotykają pływającą krę? Od czasów starożytnych przetrwały pogłoski, że gdzieś tam na zimnym południu rozciąga się nieznany ląd — nikt go dotychczas nie oglądał, dlatego właśnie ludzie mogli snuć wokół niego najbardziej niezwykle legendy, zarówno kuszące, jak i odstraszaające. Żąda przygód awanturników, zaciekawienie naukowców i ambicje doświadczonych żeglarzy dostrzegały w Antarktydzie ciekawy obiekt, ale szybko także znajdowały sprzymierzeńców i sojuszników w zainteresowaniach kół handlowych i pewnych rządów, których cele były już całkowicie praktyczne.

Do pierwszej takiej finansowanej przez państwo wyprawy na nieznaną zimną południe doszło w roku 1772, kiedy rząd angielski wysłał doświadczonego żeglarza Jamesa Cooka z dwoma statkami, celem ostatecznego rozwiązania problemu: czy na południu istnieje jakiś ląd, czy też go nie ma. Instrukcje, jakie otrzymał Cook od urzędników królewskich, zlecały mu przy tym dalsze zadania badawcze (geograficzne, astronomiczne, etnograficzne) oraz aby: „w miarę możliwości z obcymi narodami nawiązywał przyjazne stosunki obdarzając je niezbędnymi im przedmiotami i w ogóle demonstrując im wszelkie korzyści płynące z kontaktów z naszą cywilizacją” — czyli powiedziałszy wyraźniej: potwierdził istnienie nowych terenów i, o ile się da, włączył je w zasięg angielskiego handlu.

Była to druga z trzech wielkich, odkrywczych wypraw Cooka. Powróciwszy z niej po trzech latach dał na pytanie, czy w ogóle istnieje legendarna „terra australis”, ląd południowy, odpowiedź przeczącą: „Pływałem dokoła morza południowego na dalekich szerokościach, krążyłem po morzu tak, że niepodobna, bym nie dojrzał lądu, jeśliby tam był... I tak pochlebiam sobie, że cel mej podróży został pod każdym względem osiągnięty, półkula południowa dokładnie przebadana. Nadszedł kres poszukiwań lądu południowego, który przez dwa wieki przykuwał uwagę mocarstw morskich i był ulubioną teorią geografów wszech czasów.”

Mimo tej omyłki Cook dokonał znamenitego czynu — nawet i w tym zakresie: opłynął biegun południowy tak ciasnym kręgiem, jak żaden żeglarz dotychczas. Rejs statku Cooka wiódł mniej więcej wzdłuż południowego koła podbiegunowego, parę razy nawet je przekroczył, sięgając 70° szerokości południowej, gdzie przed Cookiem nigdy jeszcze nie zjawił się człowiek. Lecz poza tą granicą Cook i jego żeglarze widzieli tylko krę i pokryte śniegiem pola lodowe, to znów ostre groty zmasowanych bloków lodowych i torosów. „Próbować brnąć dalej przez te ogromne ilości lodów to rzecz tak niebezpieczna, że ja — Cook — nie waham się i nie wstydzę powiedzieć: dalej niż ja nikt i nigdy pójść się nie odważy, a tereny wokół bieguna południowego pozostaną na zawsze nie odkryte i nie zbadane.”

Na zawsze?

Nie minęło od tego czasu lat pięćdziesiąt, gdy z rosyjskiego portu Kronsztad wypłynęła korweta „Wostok” wraz z towarzyszącym jej statkiem towarowym. Cel — biegun południowy. Dowodził wyprawą kapitan rosyjski Bellingshausen. Rząd carski wytypował go nie tylko dla jego zalet osobistych, ale i dlatego, że w latach 1803—1806 brał udział w pierwszym rejsie statków rosyjskich dokoła świata płynących pod dowództwem admirała Krusensterna.

Wyprawa Bellingshausena, opłynawszy biegun południowy jeszcze cenniejszym pierścieniem niż statek Cooka, tym się upamiętniła, że pierwsza wykryła na biegunie południowym — ląd

stały! A więc nie tylko śnieżne przestrzenie i spiętrzenia bloków lodowych, ale prawdziwy nowy ląd.

„Dnia 17 stycznia 1821 roku, o godzinie 11 przed południem — zanotował Bellingshausen w dzienniku pokładowym — ujrzelśmy ląd. Przed nami na północy wznosił się wysoki skalny szczyt, oddzielony od innych niższymi przełęczami. Dzień był właśnie przepiękny i tak jasny, że nie mieliśmy takiego dotąd przez cały czas podróży... Odkrycie to określałm nie jako wyspę, lecz jako ląd, ponieważ jeszcze znacznie dalej, w głębi, widzieliśmy dalsze wolne od śniegu szczyty, skąd zupełnie uzasadniony wniosek, że daleko na południu rozpościera się rozległy ląd, rozciągający się znacznie dalej niż można sięgnąć wzrokiem, mimo że w znacznej części pokryty jest lodem i śniegiem... Bliżej do ładu tego podplłynąć nie mogliśmy ze względu na masy kry lodowej.” Odkrytą ziemię nazwał Bellingshausen Ziemią Aleksandra I, na cześć cara rosyjskiego, z którego rozkazu wypłynęła cała wyprawa.

Od tego czasu nie ustawały już próby rozwiązania tajemnicy bieguna południowego. Nie powstrzymało ich nawet drugie twierdzenie Cooka, że niegościnna Antarktyda nie może przedstawiać żadnych korzyści ani dla nauki, ani dla handlu. Na odwrót: ostatnią nie zbadaną częścią świata zaczęły się coraz liczniej interesować, oprócz państw i towarzystw naukowych, przedsiębiorstwa handlowe, przede wszystkim te, które zajmowały się przerobem zdobyczy łowisk polarnych: fok i wielorybów.

Z wielu najrozmaitszych źródeł pochodziły rosnące stale zainteresowania najdalej na południe wysuniętym lądem, co do którego charakteru wiele jeszcze było niepewności: czy to istotnie zwarty ląd, czy też tylko grupa mniejszych i większych wysp i tym podobne. Teraz tylko nasuwało się pytanie: kto pierwszy stanie na biegunie południowym.

Można by wymienić cały szereg nazwisk ludzi, którzy wdzierali się coraz dalej, coraz głębiej poza południowe koło podbiegunowe, krok za krokiem zbliżając się do bieguna.

Warto przytoczyć chociażby jednego z wielu, Ernesta Shackletona. Ten angielski polarnik — z pochodzenia Irlandczyk — do-

tarł wraz z towarzyszami poza 88° szerokości południowej (ściślej: 88° 23' — wystarczyło więc przejść tylko 1° 37'). Był dzień 9 stycznia 1909 roku, kiedy Shackleton zapisał w dzienniku: „Tylko 180 km i zwycięstwo jest nasze... Na pewno można by osiągnąć biegun — ale już nikt z nas do domu by nie wrócił.” Świadomy odpowiedzialności przede wszystkim za współtowarzyszy, tego samego dnia wydał rozkaz do odwrotu.

Mińeły jeszcze dwa lata, zanim biegun południowy doczekał się swego odkrywcę. Doszło do tego w niesłychanie dramatycznych okolicznościach, kiedy walcząc o osiągnięcie tego celu szli w zawody dwaj najbardziej doświadczeni polarnicy: Anglik Scott i Norweg Amundsen.

ROBERT SCOTT

Urodził się dnia 6 czerwca 1868 roku w zamożnej rodzinie, w Outlands koło Devonport w południowo-zachodniej Anglii.

Od lat najmłodszych wszystkie okoliczności sprzyjały mu w osiągnięciu obranego celu: podjęciu w służbie angielskiej marynarki wypraw badawczych, przede wszystkim w Antarktydzie.

W możliwie najmłodszym wieku Scott wstąpił do akademii morskiej, po jej ukończeniu szybko awansował. W roku 1900 był już kapitanem fregaty.

W tym samym roku rząd angielski uchwalił zorganizowanie wyprawy badawczej na Antarktydę. Dowódcą wyprawy mianowano Roberta Scotta — dnia 6 sierpnia 1901 roku statek „Discovery” (Odkrycie) z pięćdziesięciu ludźmi załogi odplłynął na zimne południe.

Wyprawa badawcza trwała trzy lata. W sierpniu 1904 roku Scott wraca do kraju zdobywając sławę historycznym wyczynem: dotarł do

najdalej na południe wysuniętego punktu, 82° szerokości południowej, gdzie nie stanęła jeszcze noga człowieka. (Pięć lat przed rekordem Shackletona, zresztą Shackleton był jednym z członków pierwszej wyprawy Scotta.)

Od roku 1909 Scott zaczyna systematycznie przygotowywać się do drugiej wyprawy antarktycznej, tym razem z mocnym postanowieniem dotarcia do bieguna południowego i zdobycia dla siebie oraz dla Anglii pierwszeństwa jego odkrycia.

Przy pełnym poparciu finansowym władz oraz pomocy ze strony wielu towarzystw naukowych mógł Scott otrzymać dla swej wyprawy wszystko, czego tylko było potrzeba: zapasy żywności i paliwa, świetne wyposażenie osobiste i użytkowe, wiele instrumentów naukowych. Na morską część drogi wybrał Scott wypróbowany i pojemny statek wielorybniczy „Terra Nova” (Nowa Ziemia), o napędzie żaglowo-parowym. Do transportu po lądzie zabierał zamiast psów polarnych — wziął ich zresztą kilka — kucyki szkockie i trzy pary sani motoro-

wych, ostatni wynalazek młodej techniki samochodowej.

W skład wyprawy wchodziło siedmiu oficerów marynarki, dwunastu naukowców i czternastu ochotników do prac marynarskich i rzemieślniczych. Razem ze Scottem — 34 ludzi.

Bogato zaopatrzona i starannie

ROALD AMUNDSEN

Urodził się 16 lipca 1872 roku w Borge, w Norwegii, lecz wnet po jego narodzinach rodzina przeniósła się do Oslo, gdzie ojciec Roalda pracował w stoczni.

Po wczesnej śmierci ojca Amundsen dał się namówić na studia medyczne i wytrwał przy nich do dwudziestego pierwszego roku życia, kiedy zmarła matka. To dla niej wyrzekł się swych najdroższych marzeń z lat jeszcze dziecięcych, obudzonych pod wpływem lektury o losach wyprawy Johna Franklina. (Franklin w 1845 roku wyruszył wraz z 138 ludźmi załogi do Arktyki na poszukiwanie drogi wodnej między lodami polarnymi i północnym wybrzeżem Ameryki Północnej. Z wyprawy tej nikt nie ocalał.)

Amundsen teraz szybko zajął się zdobywaniem wiedzy żeglarskiej: służył na statkach dalekomorskich, w roku 1903 odbył pierwszą polarną wyprawę badawczą na północ, podczas której odkrył Przejście Północno-Zachodnie i jako pierwszy przez nie przepłynął. (Było to właśnie przejście poszukiwane przez Franklina.)

Komu innemu wyczyn ten przyniósłby dość sławy i zasług na całe

przygotowana „Terra Nova” wypłynęła 15 czerwca 1910 roku z londyńskiego portu na południe, wokół Przylądka Dobrej Nadziei, ku brzegom Australii.

W porcie australijskim Melbourne Scott otrzymał telegram od Amundsena: „Płynę na południe — Amundsen.”

życie, dla Amundsena była to tylko wstępna próba w pogoni za istotnym celem życia: zdobyciem bieguną północnego.

Marzenia lat chłopięcych i staranne przygotowania z lat dojrzałych teraz zaczęły urastać w konkretny plan — wstęp do właściwego czynu.

I wtedy zaskoczyła Amundsena wiadomość, że Robert E. Peary zatknął flagę Stanów Zjednoczonych Ameryki na biegunie północnym.

Cóż pozostało polarnikowi, którego całe życie związane było z pragnieniem ofiarowania ludzkości wielkiego geograficznego odkrycia?...

Jeszcze biegun południowy nie został odkryty!

Nie można było zwlekać, o tym wiedział doskonale. Scott zmierzał do tego samego celu.

Amundsen szybko zakończył przygotowania wyprawy polarnej. Jego statek „Fram” był dobrze wyposażony — chociaż znacznie mniejszymi środkami niż „Terra Nova” Scotta — załoga niesłychanie starannie dobrana: ośmiu doświadczonych polarników. Prócz niezbędnych zapasów i sprzętu, zwłaszcza lekkich, specjalnych sań, Amundsen zabrał ze sobą ponad setkę polarnych psów pociągowych.

Gdy „Fram” 7 czerwca 1910 roku

wypływał z Oslo, nikt jeszcze na świecie nie wiedział, że Amundsen zmienił plan. (Słusznie obawiał się, że Anglii w ostatniej chwili poruszą wszelkie sprężyny, by dopomóc zwycięstwu swego rodaka.) Dopiero

w czasie pierwszego postoju na Maderze Amundsen ogłosił załozce cel podróży: biegun południowy! Stąd także wysłał telegram do Scotta uczciwie komunikując mu swe zamiary.

Od tej chwili obie strony zdawały sobie sprawę, że w grę wchodzi nie tylko dotarcie do bieguny południowej, ale i współzawodnictwo: kto na biegunie południowym stanie pierwszy. Nie była to wyłącznie kwestia ambicji osobistej — obaj polarnicy wiedzieli, że reprezentują swój kraj. Która flaga powiewać więc będzie pierwsza na biegunie południowym?

SCOTT

„Terra Nova” przebijając się przez gąszcz drobniejszej i grubszej kry morza południowego ociera się o przymarznąłą do antarktycznego lądu, zwartą barierę lodową, znaną już Scottowi z pierwszej wyprawy do bieguny południowego — wreszcie 4 stycznia 1911 roku rzuca kotwicę. (W pobliżu miejsca, gdzie ongiś stał na kotwicy statek Scotta „Discovery”) Pagórkowaty, skalisty, wybiegający w morze cyfel Scott nazwał Przylądkiem Evansa na cześć dowódcy statku.

Na dobrze ostoniętym od wiatrów miejscu wyprawa Scotta urządziła lądowy obóz zimowy. Obok obszernego, chroniącego przed zimnem baraku postawiono przybudówki na stojnie dla kucyków, składowe, pracownię fotograficzną itp. Tu miała wyprawa zimowca czekać na „powrót słońca”, kiedy temperatura podniesie się na tyle, by nie utrudniała marszu do bieguny.

Ten czas wykorzystano na solidne przygotowania. Prócz tego ludzie Scotta w określonych odległo-

ściach na szlaku urządzili szereg składów, z których mieli korzystać zarówno w drodze do bieguny, jak i w marszu powrotnym. Ostatni z tych wysuniętych składów mieścił się na 79° 29' szerokości południowej.

Wtedy także dowiedział się Scott, że Amundsen wylądował na Antarktydzie, w Zatoce Wielorybkiej. „Bez wątplenia pojawienie się Amundsena na Antarktydzie jest poważnym zagrożeniem mych planów. Jest on o sto kilometrów bliżej bieguny niż ja; nigdy by mi na myśl nie przyszło, że uda mu się tak łatwo przetrzeć na barierę lodową tak wielę psów. Jego plan wyprawy z psami jest doskonały. Przede wszystkim może rozpocząć marsz wcześniej, niż można to zrobić z kucykami. Przecież ja jeszcze nawet nie wiem, w jaki sposób zdołam bezpiecznie wyprowadzić stąd konie. Ale mniejsza z tym, nie mogę dać się zbić z tropu postępowaniem Amundsena, będę się nadal trzymał pierwotnego planu, jakbym o Amundsenie w ogóle nie wiedział.”

Istotnie: od tego czasu pamiętnik Scotta — z wyjątkiem jednej drobnej wzmianki — przez cały czas marszu do bieguna południowego nigdy już do Amundsena nie wraca.

Pozostawało już tylko czekać, aż minie okres zimy, podczas którego temperatura spadała do 60 stopni poniżej zera, a słońce było dawnym wspomnieniem.

Nareszcie 22 sierpnia powróciło światło dnia. W cztery dni później zapisał Scott w dzienniku: „Wczoraj w południe wszedłem na wał, ale trzeba było iść daleko na pole lodowe, by po raz pierwszy zobaczyć słońce.”

Kiedy podejmie decydujący marsz? To już kwestia najbliższych tygodni. Optymizm Scotta wzrastał; motorowe sanie — pierwsze zatone przy próbach egzamin, a kucyki „są po prostu w świetnym stanie”.

Jeszcze dalszy antrakc je śnieżna burza i fatalna pogoda. Ostatecznie 1 listopada Scott i jego ludzie wyruszyli. O trzynastcie dni później niż Norwegowie, którzy byli o sto kilometrów bliżej bieguna.

W stosunku do małej grupki Norwegów stawiających wszystko na szybkość marszu, grupa Anglików była liczna, lecz miała zmniejszać się powoli przez odsyłanie małych zespołów z powrotem, w zależności od obliczeń zużywanego provisionsu.

Metoda ta była mniej szybka, ale wydawała się bezpieczniejsza, a w wypadku zrealizowania wszystkich zaplanowanych z góry założeń — wróżyła sukces.

Już w pierwszych dniach wy-

stąpiły nieprzewidziane trudności: idące po śniegu i lodzie kucyki ogromnie się męczyły, motorowe sanie miały częste awarie. „Rozwiałoby się marzenie — zapisał Scott już trzeciego dnia marszu — że motory będą dla nas wydatną pomocą. Najwidoczniej silniki nie są przystosowane do pracy w tym klimacie.”

Ale i kucyki także okazały się nie przystosowane do tak surowych warunków życia. W dzienniku Scotta coraz częściej znajdują się uwagi, jak który kucyk się czuje, a także notatki o ich chorobach i wyczerpaniu.

Scott 21 listopada podejmuje decyzję: „Grupa motorowa będzie nam towarzyszyć piechotą jeszcze trzy dni, potem wraca.” Dalej pojawiają się notatki, gdzie który kucyk został zastrzelony — wobec niezdolności do dalszej drogi skutkiem wyczerpania, a także wobec braku paszy dla koni i żywności dla psów (zabijane kucyki służyły jako żywność dla psich zaprzęgów i dla ludzi).

Wreszcie 4 grudnia zatrzymała polarników straszna pogoda: szalona zadymka z wichurą — musieli rozbić obóz i beczynnie czekać. Lecz burza śnieżna nie pozwoliła wyjść z namiotu nazajutrz, ani trzeciego i czwartego dnia. „Dlaczegoż ta moja grupa natrafia wszędzie na przeciwności, podczas gdy inni (to bez wątpienia aluzja do Amundsena) idą naprzód, jakby sobie szli na spacer! Żadne przewidywania, żadne przygotowania nie mogły nas zabezpieczyć przed takim stanem rzeczy...”

Cały dzień znów szalała burza. Śnieg tak obfity, jakiego nigdy jesz-

cze nie widziałem. Wszystko to jeszcze można by znieść, gdyby nie tak poważna strata czasu, na którą nie możemy sobie pozwolić!”

Kiedy wreszcie pogoda poprawiła się trochę, grupa Scotta 9 grudnia rano wyruszyła w dalszą drogę. „Kolejny postój tegoż wieczora wypadł w obozie nazwanym Obozem Jatek... Zastrzeliliśmy tam wszystkie pozostałe kucyki. Biedne stworzenia!” (Dziennik Scotta, notatka pod tą samą datą.)

Dnia 11 grudnia Scott odsyła jedyny psi zaprzęg towarzyszący dotąd polarnikom. Nigdy nie liczył na psy na całej trasie, dlatego też nie zabrał dla nich wystarczającej ilości pożywienia (zapasy dla nich na drogę powrotną znajdowały się w składach).

Odtąd całe wyposażenie mieli ludzie Scotta ciągnąć sami. Namioty, żywność, paliwo i materiał na oświetlenie załadowano na troje sań, do których zaprzęgi się ludzie: Scott i jego jedenastu współtowarzyszy.

(W planie swoim Scott przewidywał, że na ostatnim etapie sanie będą ciągnąć sami polarnicy.)

Ciągnięcie sań obmarzających lodem hamującym ich ruch okazało się ogromnie wyczerpujące.

AMUNDSEN

Na wodach południowych Amundsen kieruje swego „Frama” do Zatoki Wielorybiej, gdzie bariera lodowa mocno tkwi na skałach gwarantując, że nie oderwie się i nie spłynie w morze.

„Fram” rzuca kotwicę. Amund-

Potem 13 grudnia Scott notuje: „Przekleły i ohydny dzień! Wyruszyliśmy o godzinie 8 rano, ledwie mogliśmy uciągnąć sanie”. Później obliczając wyniki tego całodziennego, morderczego marszu, dodaje: „...posunęliśmy się zaledwie o 7 kilometrów naprzód.” Utrudnieniem była śliska, cienka skorupa zmarniętego śniegu, która pod nogami i nartami pękała odsłaniając głęboki, puszysty śnieg.

W dzień, gdy Amundsen osiągnął już biegun południowy, 15 grudnia, Anglicy wciąż jeszcze mordowali się ze swoimi saniami. „Zrobiliśmy dziś około 18 kilometrów, ale już przed piątą chmury sygnęły śniegiem... Ależ przesładuje nas pechl!”

Z czasem ludzie przyzwyczaili się do fatalnego terenu, nauczyli się radzić sobie z raz twardym, raz miękkim lodem, z pokonywaniem szczylin i pęknięć, w których grzęzły narty i nogi. Trasa dzienna dochodziła już do 22–25 kilometrów. „Takie dni jak dzisiejsze ogromnie mi dodają otuchy” — zanotował Scott wieczorem 19 grudnia.

Nie przeczuwał, że jest to zarazem pierwszy dzień marszu powrotnego Amundsena po triumfalnym zdobyciu bieguna południowego.

sen decyduje się tu zimować. Jest dzień 14 stycznia 1911 roku.

Ludzie natychmiast zajęli się urządzeniem zimowego obozu mieszkalnego. W konsekwencji stanęła grupa dobrze od zimna izolowanych domków, składów i piwnic, nazwana Framheim (dom Fram).

Skontrolowano wszystko, co by-

ło przygotowane do marszu, jeśli było potrzeba — przystosowano do miejscowych warunków. Okazało się na przykład, że na nierównym, pofalaowanym lodzie terenów podbiegunowych potrzebne są sanie lżejsze od solidnych, mocnych sani Amundsen. Fachowiec spośród członków załogi oheblował i przebudował sanie na miejscu, zmniejszając ich wagę o jedną trzecią. Podobnie poprzerabiano ubrania, bieliznę, zrekonstruowano namioty.

Amundsen nie dowierzał obrabnym przez Scotta środkom transportu. Motorowe sanie to przecież nowość, nie wypróbowana, nie sprawdzona. A kucyki? Chociaż Scott ma dla nich specjalne rakietki śniegowe, które założył im na nogi, by nie zapadały się w śnieg, to jednak te zwierzęta nie są przyzwyczajone do warunków polarnych.

Kiedy do obozu zimowego Amundsen w Zatoce Wielorybów dotarło kilku ludzi z wyprawy Scotta Amundsen nie krył przed nami swych wątpliwości. Był zbyt uczelwy, by chciał wyciągać korzyści z błędów, jakie w jego przekonaniu popełnił rywal.

Amundsen polegał na wypróbowanych psich zaprzęgach. Podczas gdy Scott chciał pierwszą część drogi przebyć na saniach motorowych, drugą przy pomocy kucyków, a na ostatnim etapie sanie mieli ciągnąć już tylko ludzie — Amundsen planował marsz w obie strony tylko przy pomocy psów. A ponieważ wśród okrutnej, bezlitosnej przyrody i ludzie także muszą być bezlitośni, Amundsen wyliczył dokładnie, że psy — w zależności od ich sił — w późniejszych etapach

posłużą swym mięsem zarówno ludziom, jak i pozostałym czworonożnym towarzyszą.

W okresie przygotowań także Amundsen i jego współtowarzysze założyli szereg składów: co sto kilometrów, od 80° szerokości południowej począwszy — skład pierwszy, drugi i trzeci. Połączono je gęstym łańcuchem wieżyczek lodowych, z flagą, deską czy nawet suszonym dorszem na szczycie, gdy zapas flag i desek się wyczerpał. (Bardzo im będą te dorsze w drodze powrotnej smakowały.) Wieżyczki były stawiane na szlaku co kilometr.

Potem miesiące oczekiwania na przejście zimy, miesiące ostatnich drobnych przygotowań. „Zwyczajowo będzie po stronie tego, kto ma wszystko w porządku” — notował Amundsen w swym dzienniku.

Dnia 20 października — było przeciwieństwo 22 stopnie poniżej zera — grupa Amundsen wystartowała do wielkiego marszu. Dla ludzi i psów pogoda była znośna. Dla kucyków Scotta mróz zbyt wielki.

Dobrze i lekko szło się Amundsenowi i jego towarzyszom. Dnia 24 października dotarli do pierwszego składu. Drogę odnajdywali łatwo, ale dla większej pewności w drodze powrotnej polarnicy ustawiali jeszcze dalsze drogowskazy — co każde osiem kilometrów dwumetrowe lodowe „latarnie morskie”.

„Gdyby nas kto widział — zanotował Amundsen na pewno by pomyślał, że droga do bieguna to bardzo atrakcyjna przejażdżka.”

Łatwo można by wziąć to zdanie dosłownie! Lecz ta „przejażdżka” to wyczyn wymagający najwyższego wysiłku od żelaznych ludzi. Do-

skonałe przygotowanie, przewidywanie wszelkich możliwych trudności, niespodzianek i przeszkód, nadaje wyprawie Amundsenowi pozory przedsięwzięcia prostego, bez przygód. A przecież wielka, bohaterska praca mózgu wymagała również niezbędnego wysiłku fizycznego, odporności, woli i energii.

Przekroczywszy 85° szerokości południowej Norwegowie znaleźli się przed wysokim łańcuchem górskim otaczającym płaskowyż biegunowy. Ale i ta przeszkoda nie powstrzymała wyprawy. Kiedy ją pokonali, od bieguna dzieliło ich już tylko — 1000 km.

Obóz z dnia 14 grudnia wypadł na 89° 45' szerokości południowej. Do bieguna już tylko jeden dzień marszu.

„Tego wieczora — pisał Amundsen — panował w namiocie nastrój jak w wigilię święta. Czulo się, że nadchodzi coś wielkiego. W nocy budziłem się kilkakrotnie z uczuciem znanym z dzieciństwa przed wielkimi świętami”.

Przebieg dnia następnego zapisał ze zrozumiałą, wyjątkową dokładnością: „Rankiem dnia 15 grudnia przywitała nas wspaniała pogoda, jakby stworzona do wejścia na biegun. O ile się nie mylę, śniadanie zjedliśmy trochę szybciej niż zwykle i trochę wcześniej wyszliśmy z obozu. Słishy w tej samej kolejności jak zwykle. Koło południa doszliśmy według wskaźników aparatów pomiarowych do 89° 53' szerokości południowej i postanowiliśmy resztę drogi pokonać bez zatrzymania. Nie rozmawialiśmy prawie wcale, za to oczy były tym bardziej czujne. Szyja Hanssetena wy-

dużyła się chyba dwukrotnie, tak ją wyciągał, by sięgnąć wzrokiem choćby o kilka milimetrów dalej. Chociaż tak się wysilał, nie dostrzegł nic prócz bezkresnej, monotonnej równiny wokół. Psy nie zdradzały specjalnego zainteresowania okolicami wokół ziemskiej osi.

Koło godziny trzeciej po południu nagle z ust wszystkich prowadzących sanie odezwało się niemal równocześnie: Stój! Bacznie wpatrywali się w aparaty pomiarowe — zgodnie z ich wskaźnikami zatrzymali się teraz — na biegunie południowym! Cel został osiągnięty, nasza wędrówka się skończyła...

Szczerze i uczciwie przyznaje, że nikt chyba nie znalazł się na tak wyraźnie odwrotnym krańcu swego celu całego życia jak właśnie ja w tej sytuacji. Od lat dziecięcych czarował mnie i wabił biegun północny, a teraz znalazłem się na biegunie południowym! Czy podobna wyobrazić sobie większy kontrast?

A więc dotarliśmy jednak do bieguna. Oczywiście każdy z nas wiedział, że nie stoimy dokładnie w punkcie bieguna geograficznego, dlatego postanowiliśmy obejść obóz wokół w promieniu osiemnastu i pół kilometra.

Przedtem jeszcze podeszliśmy i złożyliśmy sobie wzajemnie gratulacje. Wszyscy mieliśmy powody do szczerzego szacunku dla każdego, za wszystko, co zostało dokonane. I to właśnie wyrażały wymieniane przez nas mocne, serdeczne uściski rąk... Po tym pierwszym przejawie uczuć przytłąpiliśmy do drugiego, największego, najbardziej uroczystego momentu naszej wyprawy: zatknięcia naszej flagi.”

Amundsen postanowił, że linkę wciągającą sztandar Norwegii na maszt pociągną ręce wszystkich pięciu uczestników marszu do bieguna, ponieważ — jak zaznaczył — „był to na tym odludnym pustkowiu jedyny sposób okazania wdzięczności współtowarzyszom.”

Na biegunie i w jego okolicy polarnicy zabawili 36 godzin. W pozostawionym na biegunie namiocie przed odejściem zostawili dwa listy: raport dla króla norweskiego o zdobyciu bieguna południowego oraz

list do Scotta, który, jak przypuszczał Amundsen, również dotrze do bieguna. W liście tym Amundsen prosił Scotta, by w wypadku, gdyby polarnikom norweskim nie powiodła się droga powrotna, doręczył wiadomość o wyprawie.

Dnia 18 grudnia 1911 roku Amundsen wraz z przyjaciółmi rozpoczął drogę powrotną. Udało im się dotrzeć do pierwszego składu, a stąd już czekała ich starannie i gęsto oznaczona trasa, prowadząca do ich polarnego domu Framheimu...

Zaraz następnego dnia Scott pisze: „Zdaje się, że szczęście zaczyna nam sprzyjać. Zrobiliśmy dziś 37 kilometrów!” Tego samego wieczora Scott z 85° szerokości południowej odesłał dalszych czterech ludzi. Doszło do tego 22 grudnia. Dalej pójdzie już tylko ośmiu ludzi i dwoje sań. Zapasy zaplanowano tylko na taką ilość ludzi. Czterej przeznaczeni do powrotu ludzie opanowując uczucie zawodu usłuchali rozkazu, chociaż cel był tak blisko. Nie przeczuwali, czego dzięki temu uniknęli.

W tym czasie polarnicy byli już na płaskowyżu biegunowym, droga zapowiadała się lepsza, tempo szybsze. „Dziś wieczorem wszystko przedstawia mi się w jaśniejszym świetle i po raz pierwszy odnoszę wrażenie, że cel widzę już blisko przed nami.” (Dziennik, 23 grudnia.) Lecz wiele jeszcze miało minąć dni, zanim Scotta u celu spotka największy w jego życiu zawód.

W dzień Nowego Roku 1912 Anglicy byli o 310 kilometrów od bieguna. Dnia 4 stycznia zgodnie z planem odszedł dalszy trzyosobowy oddział pomocniczy, który miał dojść do przedostatniego etapu. Ci trzej ludzie to ostatni, którzy ocalili z wyprawy Scotta.

Ale marsz po płaskowyżu wcale nie jest łatwy — 10 stycznia, kiedy są już tylko o 157 kilometrów od bieguna, siły polarników tak słabną, że Scott notuje w dzienniku: „Jeszcze wczoraj przysięgałbym, że osiągniemy swój cel, dziś jednak droga jest tak zła, że strach pomyśleć...”

Mimo że ani pogoda, ani stan drogi nie uległ poprawie, ludzie



wyęzają wszystkie siły na każdy następny krok do bliskiego już celu. Dnia 13 stycznia dzieli ich od bieguna 94 kilometry, a 15 stycznia „już tylko tych marnych 50 kilometrów! Musimy dojść za każdą cenę! Teraz przeraża mnie jedna tylko straszna możliwość: może norweska flaga już przed naszą powiewa na biegunie południowym!”

Momentu, gdy Scott z towarzyszami stanął na biegunie południowym, niepodobna opisać bardziej celnymi i szczerymi słowami, niż zwięzła i szorstka informacja, podana przez Scotta w dzienniku w dniu 16 stycznia:

„Stała się rzecz straszna... Spotkało nas najgorsze, co spotkać mogło!...

Marsz od rana był dobry, zrobiliśmy 14 kilometrów. Ostatnie pomiary wykazały 89° 42' szerokości południowej. Po południu wyruszyliśmy pełni dobrej myśli, że jutro na pewno z dumą osiągniemy nasz cel.

Z końcem drugiej godziny marszu bystre oczy Bowersa wykryły coś, co uważał za oznakowanie drogi. Zaniepokoiło go to, ostatecznie powiedział sobie, że to jakieś pęknięcie lodu. W milczącym skupieniu powlekliśmy się dalej, wszyscy ogarnięci tą samą straszną myślą, tym samym strasznym podejrzeniem...

Serce mi biło, omal nie pękło!

W pół godziny później Bowers dostrzegł przed nami czarną plamę. To nie było naturalne zjawisko lodowe... wiedzieliśmy to od razu. Szliśmy w tę stronę... I co znaleźliśmy? Czarną flagę przymocowaną do drążka od sań!

Obok puste obozowisko, koleiny sań, ślady nart w różnych kierunkach, wyraźnie widoczne odciski psich łap — wiedzieliśmy już wszystko!

Norwegowie nas uprzedzili! Amundsen pierwszy stanął na biegunie południowym!”

Następnego dnia Scott przeszedł ostatni odcinek drogi. Szli już pewnie po śladach nart i sań wyprawy Amundsena. Ślady te istotnie doprowadziły Anglików do celu, tylko że cel ten przed nim osiągnął kto inny. Było to rankiem 18 stycznia 1912 roku.

Namiot Amundsena, jego wiadomość dla norweskiego króla

i list do Scotta — wszystko to czekało na zawodnika, który wprawdzie doszedł do celu, lecz jako drugi. Tutaj dopiero Scott się dowiedział, że jego szczęśliwy poprzednik był na biegunie już 14 grudnia ubiegłego roku, a więc o 35 dni wcześniej.

Z ostatniej grupy wyprawy Scotta nie powrócił nikt. Zmarznięte zwłoki kapitana Scotta, porucznika Bowersa i przyrodnika dr. Wilsona odnaleziono dopiero w listopadzie 1912 roku, o 20 zaledwie kilometrów od wielkiego składu w pobliżu 80° szerokości południowej. (Zwłok oficerów Oatesa i Evansa, którzy zginęli wcześniej, nigdy nie znaleziono.) W torbie pod głową Scotta były jego listy: kondolencyjne do żon Wilsona i Bowersa, do żony i kilku przyjaciół oraz trzy dzienniki. Ostatni zapis z 29 marca:

„Od 21 szaleje nieustannie południowo-zachodni wicher. 20. mieliśmy jeszcze tyle paliwa, żeby ugotować dwie filiżanki herbaty dla każdego, a żywności wszystkiego na dwa dni. Co dzień gotowi byliśmy wyruszyć do składu oddalonego zaledwie o 20 kilometrów, lecz poza namiotem cały świat przesłania nieprzenikniona szalejąca zadymka. Nie sądzę, by można było liczyć na jakąś poprawę. Wytrwamy do końca. Tyle, że jesteśmy coraz słabsi — śmierć nie może być daleko.

Szkoda, ale nie mogę już dalej pisać...

R. Scott

Na Boga, zajmijcie się naszymi bliskimi...”

Czy istotnie polarników Scotta zgnębił tylko mróz, wichura, wyczerpanie oraz zewnętrzne, fizyczne trudności? Notatki dzienników Scotta takie wymieniają przyczyny i to bardzo szczegółowo, przekonywająco. Wyliczają, jak piętrzyły się groźne zmiany pogody i klimatu, jak wiele wysiłków kosztowało pokonanie każdego kilometra drogi powrotnej.

A jednak najwięcej sił zabrała polarnikom — świadomość przegranej. „Jeżeli stracisz pogodę ducha, stracisz wszystko” — brzmiało mądre powiedzenie rywala Scotta, Amundsena. Anglicy wracając od bieguna mało mieli powodów do zachowania pogody ducha, a nawet przeciwnie — Scott bowiem zanotował:

„Ogromnie upadliśmy na duchu... Nikt z nas nie wspomina o tym ani słowa, między sobą zachowujemy się jak najweselsi, ale nie-
trudno odgadnąć, co każdy z nas czuje w sercu.” Na temat Edgara
Evansa, który z grupy Scotta zmarł pierwszy — zmogło go cał-
kowite wyczerpanie już 17 lutego — Scott zapisał: „...ostatecznie
zupelna utrata wiary w siebie podkopała jego zdrowie.”

Zawód z powodu przegranej nieustannie nurtował dusze po-
larników. Charakterystyczne, jak często Scott w swym dzienniku
powraca do tej sprawy i to w miejscach, gdzie mówi o czym in-
nym. Na przykład 7 lutego, gdy opisuje stan zdrowia Evansa,
potem zupełnie bez przejścia i powiązania przekonuje samego
siebie: „Dla mnie to wielka satysfakcja, że zawsze i nieustannie
mogę twierdzić, iż podane przeze mnie fakty stanowią absolutny
dowód, że zarówno moja wyprawa jak i wyprawa Amundsen
osiągnęły biegun południowy i że problem pierwszeństwa to spra-
wa uboczna.”

Jakże wymowne jest przyznanie Scotta, że polarników ogar-
nęła „obawa i strach przed powrotem” właśnie w obwili, gdy 16
stycznia dojrżeli pierwsze dowody obecności Amundsen w rejo-
nie bieguna.

Gdy załamała się siła ducha, wiara w siebie, chęć życia, gdy
świadomości niepowodzenia nie zdołały obalić najbardziej rozsąd-
ne i uzasadnione kontrargumenty, wtedy skończyła się odporność
na cierpienia i ochota do życia — droga dla śmierci stała się
worem.

A dalsze losy Amundsen?

Już 25 stycznia 1912 roku Amundsen wraz ze współtowarzysza-
mi zdrowo i cało powrócił do Framheimu. W pięć dni później
wyprawa odplynęła z Zatoki Wielorybów. Norwegia bardzo szlus-
nie witała Amundsen jak bohatera narodowego.

Zaledwie powrócił z południa, gdzie odniósł bynajmniej nie
planowane zwycięstwo, znów odezwały się jego dawne tęsknoty
— zew północy. Nie przeszkadzało mu to, że biegun północny
został już odkryty — miał teraz w planach dokładne przebadanie,
pomiar i opis północnych okolic podbiegunowych, czego odkrywa-
czka wyprawa Peary'ego dokonać nie mogła, a nawet nie zamierza-
ła.

Kilkakrotnie Amundsen zbliżał się do bieguna północnego, ale
go nie widział. Po raz pierwszy na statku w latach 1918—1920,
po raz drugi i trzeci samolotem w 1923 i 1925 roku z bazy na
Alasce i Spitsbergenie. Dopiero czwarta próba — w maju nastę-
pnego roku — dała mu okazję spojrzenia na biegun północny. Było
to z okna kabiny sterowca „Norge”, który przeleciał nad biegu-
nem w drodze, ze Spitsbergenu na Alaskę. Jednym ze współtowa-
rzyszów Amundsen w tej podróży był Włoch, Umberto Nobile.

W roku 1928 Nobile zorganizował własną wyprawę do bieguna
północnego, także na sterowcu. Wkrótce jednak po przelecie nad
biegunem sterowiec „Italia” uległ katastrofie. Skutki jej były
straszne: jeden z członków załogi, mechanik, zginął, dziewięciu
ludzi znalazło się na lodzie, Nobile ze złamaną nogą, sześciu po-
zostało w rozbitej gondoli sterowca, który wiatr poniosł w nie-
znanym kierunku. (Nikogo z tych sześciu członków załogi nigdy
nie odnaleziono.) Lecz to jeszcze nie koniec żniwa zniszczenia
i śmierci.

Na pomoc podbiegunowym rozbitkom ruszyło wielu ratowni-
ków. Szwajcarski lotnik Lundborg odnalazł i zabrał Nobilego, resz-
tę załogi, siedmiu ludzi, uratowała radziecka wyprawa ratunko-
wa, prowadzona przez prof. Samołowicza, na łodołamacza „Kra-
sin.”

Wśród zgłaszających się do akcji ratunkowej znalazł się także
Amundsen. Dnia 18 czerwca wraz z pięciu ludźmi załogi odleciał
z lotniska w Troms na samolocie „Latham”. Był to hydroplan
dwuplątowy, mocna, solidna maszyna. Lot z portu na Spitsbergen
obliczony był na pięć do sześciu godzin. Podczas lotu nadeszła
z samolotu przez radio wiadomość, że wszystko w porządku. Po-
tem łączność radiowa się urwała. Minęło sześć godzin — żaden
samolot na Spitsbergenie nie wylądował! Nie przyleciał także
później, ani dni następnych.

Była jeszcze nadzieja: może samolot lądował gdzieś przymu-
sowo... I załoga zjawi się nagle żywa i zdrowa...

Nie zjawiła się nigdy. Ani załoga, ani Amundsen.

Minął miesiąc i więcej, ludzie z „Italii” dawno już byli w do-
mu, kiedy na morzu północnym znaleziono szczątki „Lathama”:
jeden z pływaków i osmolony zbiornik na benzynę.

Tak zginął Amundsen w lodowych objęciach bieguna północ-
nego.

nego. Kusila go od lat najmłodszych, aż przywabiła na zawsze — ta jego największa miłość.

„Od tych czasów wszystko się zmieniło, wtargnął tu nieubłagany postęp techniki i wiedzy. Tam, gdzie ginęły kucyki Scotta, dziś przecierają szlaki ciągniki śniegowe. Na polach lodowych bieguna północnego, które groziły zagładą całej wyprawie Nobilego, lata całe obozują teraz naukowcy radzieccy. Międzynarodowy Rok Geofizyczny przypuścił skoncentrowany atak na lądolód bieguna południowego. Oba bieguny, które kiedyś były sceną tyłu wysiłków i walk, dziś stanowią wielkie obserwatoria naukowe. Romanetyka Amundsenowskich wypraw skończyła się bezpowrotnie.” (František Běhounek, uczestnik wyprawy Nobilego.)

EPILOG

KOŃCZY się księga przygód — przygód ludzi, którzy odkryli nowe światy, lądy i kraje...

Powinna przechować pamięć czynów pełnych bohaterstwa i namiętności, aż po ofiarę z własnego życia odkrywców. Zarazem powinna przechować pamięć przelanej krwi i mąk wielkich ilości — odkrytych.

Nie jest ona kompletna — bo i być nie może. Główne szlaki odkrywcze rozgałęziały się wielokrotnie w wyprawach następców i kontynuatorów, tak jak rozgałęzia się korona drzewa. Owe coraz dalsze podróże, poszukiwania i badania obejmowały coraz więcej nie znanych dotąd terenów, stale ubywało „białych plam” na mapach, w miarę jak wokół nich gęstniała sieć poszczególnych odkryć.

Książka świadomie ogranicza się do odkryć geograficznych, nie obejmuje badań i istotnie odkrywczych prac przyrodników, tak ściśle z badaniami geograficznymi związanych.

Warto tu wspomnieć chociażby dwa nazwiska z najsłynniejszych przedstawicieli tego działu wiedzy: Aleksandra von Humboldta (1769—1859) i Charlesa R. Darwina (1809—1882).

Podczas gdy zakres nie zbadanych dotąd terenów na Ziemi szybko się zmniejsza, stale zacieśniany przez ciekawość podróżników i badaczy — wiedza i technika weszła na drogę odkryć znacznie już przekraczającą granice kuli ziemskiej.

Po raz pierwszy człowiek otworzył wrota kosmosu i przekroczył jego próg. Wysłał najpierw w przestrzeń międzyplanetarną

aparaty uwolniwszy je z pęt przyciągania ziemskiego, potem zaś sam wzniósł się na szlaki planet.

Nie mniej fantastyczne są odkrywcze drogi do wnętrza komórki i atomu! Każde odkrycie odsłania tu możliwości dalszych.

A jest ich i będzie bez końca...

OD WYDAWCY

Ciekawa książka Miloša V. Kratochvíla „Odkrywcy i zdobywcy”, która opowiada o wybitnych i śmiałych ludziach morza — żeglarzach, naukowcach i podróżnikach, przemierzających wszystkie kontynenty i odkrywających świat, bardzo niewiele mówi o licznych przecież wyprawach Polaków.

Dlatego uważaliśmy za słuszne wydrukować — w charakterze uzupełnienia — szkic Wacława Stanisza zatytułowany „Polacy na drogach świata”.

POLACY NA DROGACH ŚWIATA

W polskiej świadomości pozostanie na zawsze odważny żeglarz, Jan z Kolna, domniemany odkrywca Ameryki przed Kolumbem, który z polecenia króla duńskiego, Chrystiana I, przepłynął ocean i w 1476 roku dotarł do Labradoru. Naszą wyobraźnię rozbudził holenderski historyk, Cornelius Wytfiet, który w dziele „Descriptionis Ptolemaicae augmentum” (Rozszerzenie opisanie ziemi Ptolomeusza) napisał dosłownie: „Zaszczyt drugiego odkrycia należy Polakowi Joanneowi Scolvuowi, który w roku 1476, osiemdziesiąt sześć lat po pierwszym odkryciu braci Zeno, pożeglował w tamtą stronę przez Norwegię, Grenlandię i Fryzlandię, dotarł do północnej cieśniny pod kołem polarnym i został zanieiony do ziemi Labrador oraz Estotiland”.

Na podstawie tego krótkiego łacińskiego zapisu, nieoceniony Joachim Lelewel, stworzył frapującą opowieść, której głównym bohaterem był właśnie nasz rzekomy rodak, Jan z Kolna. Bardzo przypadł nam do gustu ten szlachetny i odważny żeglarz, będący

wyrazicielem tych wszystkich Polaków, którzy tęsknili do dalekich podróży, do szerokich przestrzeni oceanów, do wolności.

I chociaż nie bardzo wiemy, jaka jest właściwa prawda historyczna, jednak kreowanie Polaka na przywódcę morskiej wyprawy odkrywczej i to do tego przez holenderskiego uczonego — posiada swoistą wymowę. Widocznie od czasu naszych rozlicznych kontaktów z Wikingami lubiliśmy się włożyć po świecie — dalszym i bliższym — zawsze niespokojni, żądni przygód. A że tak było świadczą dokumenty historyczne i podróżnicze wynurzenia na kartach ksiązek i pamiętników.

Wiaomości o dalekich krajach, nieznanach kulturach, ludach i dziwach przyrody szerzyli w odległej przeszłości przede wszystkim kupcy i handlarze. Ale także i dyplomaci mieli czasami możliwość dość swobodnej penetracji nawet wrogich ośrodków.

Pięć lat po bitwie pod Legnicą w 1246 roku, pierwsze poselstwo papieskie dotarło do rezydencji Wielkiego Chana Mongołów w Karakorum i mogło się przekonać o bogactwie, przepychu oraz mnogości ludów, kultur i religii tajemniczej Azji. Na czelę delegacji stał Jan de Plano Carpini, któremu towarzyszył polski zakonnik, Benedykt Polak, rodem z Wrocławia. Tym szlakiem podążył później słynny Marco Polo, którego barwne i niezwykle opisy spotkały się z mieszanymi odczuciami.

Relację ze swej podróży złożył Benedykt Polak na dworze papieskim w Rzymie, należała ona — obok dzieła Carpinięgo — do najważniejszych źródeł wiadomości o państwie mongolskim w XIII wieku.

Innym śląskim podróżnikiem w średniowieczu, o którym zachowały się zapisy, był rycerz z Popielowa, Mikołaj Wiktor Soński w swoich szkicach „Z przeszłości Śląska”, powiada: „Otrzymał listy polecające do rozmaitych królów i książąt popłynął Mikołaj w 1484 roku do Anglii. Wylądowałszy odbył najprzód pielgrzymkę do grobu św. Tomasza z Kantebury, gdzie podziwiał rozmaite klejnoty, mianowicie karbunkuł wielkości włoskiego orzecha, poczem pojechał do Londynu.”

Podjeżdżany przez króla Ryszarda III i innych znamienitych mężów Albionu, popłynął następnie na wyspę Wight, a stamtąd do Yarmouth. Kolejnym etapem podróży miała być Hiszpania, ale złe wiatry zapędziły go do brzegów Szkocji, następnie do Irlandii.

Z uporem dążył dalej i w konsekwencji dotarł nawet do Jerozolimy. Niestety w drodze powrotnej zmarł w Aleksandrii.

Podróże na Bliski Wschód stały się bardzo popularne w kręgach polskiej szlachty. Przy okazji peregrynacji do Ziemi Świętej można było zawrzeć znajomości z obcymi kulturami, można było „nadyszeć” się egzotyką i napatrzeć świata. I ta „świecka” warstwa obserwacyjna bardzo często brała górę nad medytacjami natury religijnej. Tak było również w przypadku Mikołaja Krzysztofa Radziwiła zwanego „Sierotką”, który zostawił nam znakomity i jedyny w swoim rodzaju raptularz zatytułowany „Podróż do Ziemi Świętej, Syrii i Egiptu: 1582—1584”.

Zadziwiają nas jeszcze dzisiaj opisy ludów i krajów, przez które ten magnat przejeżdżał. Tyle w tych jego obserwacjach blasku, barwności, wiedzy i ciekawych wniosków! Jak powiada Leszek Kukulski, który czuwał nad powojenną edycją „Podróży”: „Radziwił był pierwszym i na bardzo długo jedynym podróżopisarzem, którego barwne życie mahometarskiego Lewantu zafrapowało jako rzecz sama w sobie interesująca. Stosunkowo dokładnie zdołał się zorientować w układzie stosunków politycznych i społecznych, umiał nazwać każdą grupę ludnościową jej właściwym mianem i dostrzegał odmienność tradycji i obyczajów. Co więcej, właśnie te charakterystyczne różnice najbardziej go ciekawiły. Do najświetniejszych kart »Podróży« należą obrazki malujące orientalny folklor Syrii, Palestyny, a zwłaszcza Egiptu. Dość wspomnieć opisy uroczystości związanych z wylewem Nilu, opisy wiejskich obrzędów weselnych i kairskiego targu niewolników.”

Poza tym z prawdziwą satysfakcją odnotowuje każde spotkanie z rodakami w tych dalekich stronach. Aż dziw bierze, że się ich tylu po świecie włożyło. Między innymi znaczny Radziwił „Sierotka” dzielił przygody z Jerzym Kosem, Michałem Konarskim (późniejszym wojewodą pomorskim), Andrzejem Skorulskim, Piotrem Byliną (późniejszym starostą osieckim i podstolim krakowskim), a nawet z Hanusem Szolcem z Wrocławia, który do ekipy księcia przystał jako cyrulik.

Dodajmy jeszcze, iż wśród pielgrzymów tego czasu byli także: hetman Jan Tarnowski (1517), kasztelan Andrzej Tęczyński (1533), wojewodzie Jan Goryński (przed 1570), którzy także swoje wrażenia z tych podróży spisali.

W innym kierunku penetrował świat Maciej z Miechowa (1457—1523), zwany Miechowitą — polski historyk, lekarz i geograf. Badał on wnikliwie ziemie rosyjskie, ziemie za nimi położone i obszary Azji. Głównie jego dzieło „Tractatus de duabus Sarmatiis Asiana et Europiana” — tłumaczone na języki: niemiecki, włoski, holenderski i rosyjski — doczekało się 20 wydań. Ostatnie ukazało się bодаj w 1936 roku staraniem Akademii Nauk Związku Radzieckiego.

W tych niespokojnych wiekach XVII i XVIII, w których odważni ludzie przenikali do odległych zakątków świata, polscy podróżnicy znajdują się także w szeregach żeglarzy, próbują — wraz z innymi — podbojów, a potem, kiedy Rzeczpospolita zaczęła tracić swoją niezależność państwową, twardy los zmusił do banicji, do dalekich wędrówek i osiedlania się na różnych kontynentach.

Najpierw jest zatem okres dumnych wypraw. Spośród XVII-wiecznych polskich podróżników, najbardziej sławnym jest niewątpliwie Krzysztof Arciszewski (1592—1656) — wybitny żołnierz i żeglarz. Po studiach w Holandii służył w różnych armiach. W roku 1629 wyruszył do Brazylii z wyprawą wojenną zorganizowaną przez holenderską Kompanię Zachodnioindyjską. Jego waleczność w wojnie z Hiszpanami i Portugalczykami stała się przysłowiowa. Arciszewski doszedł do stopnia zastępcy naczelnego wodza i na czele podległych sobie oddziałów przemierzył rozległe obszary północno-wschodniej Brazylii, tworząc równocześnie dokumentację poznawczą.

Odnosił wiele zwycięstw (zdobył m.in. Olindę oraz twierdzę Reale) — nic więc dziwnego, że po powrocie w 1637 roku do Holandii powitany został jak bohater oraz mianowany generałem i admirałem. Wkrótce odbył jeszcze drugą podróż do Brazylii, ale na skutek nieporozumień z generalnym gubernatorem porzucił służbę holenderską i wrócił do Polski na zaproszenie Władysława IV. Niestety większość jego szkiców i notatek zaginęła. Zachowało się jednak kilka listów (m.in. do polskiego króla), w których obszernie pisze o swoich wyprawach i poczynionych obserwacjach.

Michał Boym (1614—1659) był natomiast sługą bożym, a jego podróże wiążą się ściśle z pracą misyjną. Do Chin dotarł drogą morską. Wsiadł na statek w Lizbonie i opłynął Afrykę. W ciągu

siedmioletniego pobytu w tym kraju, dokładnie zwiedził południową część Chin wraz z wyspą Hainan oraz Tonkin (północny Wietnam). Boym prowadził rozległe badania naukowe nad roślinnością oraz medycyną. Sporządził słownik języka chińskiego oraz mapę Chin (Mappa Imperii Sinarum). Wydał bardzo cenione dzieła: „Clavis medicina an Chinarum doctrinam” oraz „Flora sinensis” (Wiedeń, 1656).

Do Europy powrócił w 1652 roku, przy czym z Goa wędrował drogą lądową przez Indie, Persję, Syrię i Azję Mniejszą. Ten pracowity misjonarz opisał swoje podróże po łacinie. Skróót tej relacji wydano po francusku w roku 1654 („Briève relation”).

Jedną z najbardziej fascynujących postaci XVIII wieku był Maurycy Beniowski. Po dziś dzień pobudza on wyobraźnię artystów i pisarzy — tak intrygujące miał bowiem życie. Jego niezwykłe przygody rozpoczęły się od walki w szeregach Konfederacji Barskiej. Wzięty w 1770 roku do niewoli rosyjskiej, zesłany został na Kamczatkę. Niespokojny temperament każe mu stanąć na czele zbuntowanych więźniów, a kiedy udało im się zawiązać dwoma statkami, pożeglował wraz z towarzyszami drogą koło Wysp Kurylskich, Japonii, Taiwanu (Formozy) i wzdłuż wybrzeży chińskich.

Dotarł wreszcie do Makao, a stamtąd — płynąc dookoła Afryki — przybył do Francji, gdzie jego wyczyn oceniono niezwykle wysoko. Tak bardzo spodobał się rządowi ten odważny Polak, że zaproponowano mu kierownictwo wyprawy na Madagaskar. Beniowski panował na tej wyspie trzy lata (1773—1776) i właściwie ją odkrył dla białego człowieka. Potrafił widocznie także współżyć z krajowcami, bo obwołali go nawet królem Madagaskaru. Ten fakt zaniepokoił rząd francuski i odwołano Beniowskiego.

Rozpoczyna teraz żywot awanturnika. Podróżuje po wielu krajach Europy, dociera nawet do Ameryki. Służy w różnych armiach, walczy. Wreszcie w 1784 roku postanawia wrócić na Madagaskar, by upomnieć się o swoje prawa. W walce z francuskimi wojskami ginie w pobliżu zatoki Antongilskiej, nie zdążywszy zrealizować swoich planów.

Pozostawił po sobie interesujący pamiętnik, który — po jego śmierci — tłumaczono na języki: angielski, francuski, niemiecki, holenderski, czeski, szwedzki, węgierski, słowacki. Historyk fran-

cuski, L. Pouliata, charakteryzując życie i śmierć Maurycyego Beniowskiego, powiedział: „Tak zginął nieszczęśliwie Beniowski, jedna z najbardziej niezwykłych postaci i — kto wie — może jeden z wielkich charakterów XVIII wieku”.

Maurycy Beniowski otwiera wielki szereg polskich zesłańców i wygnańców, którzy tak znacznie zasłużyli się nauce światowej i samej Rosji. Nieco później podobny los spotkał polskiego generała, Józefa Kopcia (1762—1827). Wzięty do niewoli po bitwie pod Maciejowicami w 1795 roku, zesłany został do Irkucka a później na Kamczatkę. Poznał ten półwysep dokładnie, przebywając tam kilka dobrych lat. Po ułaskawieniu przez cara, Pawła I, wraca do kraju i publikuje swój rewelacyjny pamiętnik, który jest bodaj najwcześniejszym opisem Kamczatki i czynnych tam wulkanów. („Dziennik podróży brygadiera Józefa Kopcia przez całą wzdłuż Azję lądem do Ochocka, oceanem przez wyspy Kurylskie do niższej Kamczatki...”).

Nasi wielcy zesłańcy badali florę i faunę Azji rosyjskiej. Zajmowali się folklorem tubylców oraz językami różnych małych narodów. Wśród skazanych na zsyłkę po powstaniu styczniowym byli m.in.: Benedykt Dybowski (1833—1930), Jan Czernski (1845 do 1892), Aleksander Piotr Czekanowski (1833—1876).

Pierwszy dokonał rewelacyjnych odkryć dotyczących fauny Bajkału, a następnie fauny rzeki Amur, które zjednały mu światowy rozgłos. Gromadził cenne zbiory przyrodnicze i studiował język Ajnów, Kamczadłów i Korjaków. Opublikował 175 prac naukowych, a imieniem Dybowskiego nazwano przeszło 50 gatunków zwierząt.

Natomiast Jan Czernski należy do najwybitniejszych badaczy Syberii. Zajmował się głównie geologią i geografiami. Prowadził liczne wyprawy naukowe. Jego imieniem nazwany został najwyższy masyw górski wschodniej Syberii (Góry Czernskiego) oraz jedno z większych pasm górskich z Zabajkału. Ogłosił wiele prac naukowych w języku rosyjskim oraz opracował pierwszy atlas geologiczny niektórych części tego kraju.

Syberię badał oczywiście także Aleksander Piotr Czekanowski. Podobnie, jak Czernski, zajmował się głównie geologią i geografiami. Brał udział w rozlicznych wyprawach, którym przeważnie przewodniczył. Pod jego penetracją naukową znalazły się obszary wo-

koł jeziora Bajkał oraz nad Niżną Tunguską, dalej — Irkuck, Wierchojańsk, bieg rzeki Olenek, brzegi Morza Arktycznego, okolice ujścia Leny i Jamy. Dotarł nawet do Mongolii, kierując się pasją poznawczą.

W okresie tych wędrowek, Czekanowski przebył 25 tysięcy kilometrów i zgromadził potężne zbiory naukowe, które obejmują 4 tys. okazów paleontologicznych, 9 tys. botanicznych i 18 tys. zoologicznych. Jego imieniem nazwane zostało pasmo gór w pobliżu ujścia Leny, osada nad górną Chatangą oraz jeden z grzbietów Gór Daurkich.

Zesłańcem był także nasz wybitny pisarz, Waclaw Sieroszewski, który drogą samouctwa zdobył znaczne wykształcenie. Napisał on dzieło etnograficzne „Dwanaście lat w kraju Jakutów”, nie tracąc po dzień dzisiejszy na znaczeniu.

Jako wolni ludzie obszary Azji badali — Bronisław Grąbczewski (1854—1926), zajmujący poważne stanowisko w carskiej armii oraz Karol Bohdanowicz (1864—1947) — wybitny geolog. Oddali oni ogromne zasługi nauce, gospodarce i wojskowości rosyjskiej. Rozległe i egzotyczne podróże, które prowadzili, wiązały się z ich poważnymi zainteresowaniami i odpowiedzialną służbą.

Bronisław Grąbczewski niezwykle dokładnie badał Turkiestan i przyległe obszary środkowej Azji. Nauczył się języka Tadżyków i Sartów. W roku 1885 brał udział w wytyczeniu granicy między Rosją a Chinami. Wówczas to odwiedził zachodni Sinkiang (Kaszgarię). Kilka miesięcy później badał góry Tien-szan. Wkrótce, bo w 1888 roku poprowadził ekspedycję naukową do Pamiru i w góry Hindukusz w Afganistanie. Następnie szlaki prowadzą po północno-wschodnich krańcach Tybetu. Do Polski wraca w 1920 roku przez Japonię, Cejlon i Anglię. Jego zbiory przyrodnicze i etnograficzne osiągnęły liczbę 36 tys. eksponatów. Pracował przeważnie w krajach zupełnie nie zbadanych — sporządzał mapy, określał położenie geograficzne i dokonał pomiarów wysokości 509 punktów.

Karol Bohdanowicz — z wykształcenia inżynier górnik — prowadził badania geologiczne w Kraju Zakaspijskim i w przyległych obszarach Iranu; następnie penetrował obszary Turkiestanu Chińskiego oraz tereny wzdłuż przyszłej kolei transsyberyjskiej. Odkrył między innymi bogate złoża węgla kamiennego w Czerem-

chowie, a na terenach Półwyspu Czukockiego, okolic Portu Artura i na Kamczatce — liczne złoża mineralne, łącznie ze złotem. Jest autorem wielu prac naukowych i książek dokumentujących jego liczne podróże.

Filomata Ignacy Domeyko (1801—1889), przyjaciel Adama Mickiewicza, uczestnik powstania listopadowego i wreszcie emigrant — osiada w Chile, przemierzając wielokrotnie ten kraj we wszystkich kierunkach. Z wykształcenia mineralog i geolog, dokonał dla swej nowej, przybranej ojczyzny wielu cennych odkryć. Swoją działalnością przyczynił się nie tylko do gruntownego zbadania tego kraju, ale również do jego rozwoju gospodarczego i kulturalnego; natomiast prace Domeyki z dziedziny mineralogii i geologii zjednały mu światową sławę. Był profesorem szkoły górniczej w Coquimbo a następnie rektorem uniwersytetu w Santiago. Jego imieniem nazwany został minerał domeykit, jedno z pasm Andów Chilijskich (Cordillera Domeyko) oraz szereg miejscowości i szczytów górskich.

Inni wybitni polscy podróżnicy, którzy przemierzali w XIX wieku Amerykę Południową, to Jan Sztolcman, K. Jelski i J. Siemiradzki. Badali oni przyrodę Peru, Ekwadoru i dorzecza Amazonki.

Jednym z największych i najgłośniejszych polskich podróżników był niewątpliwie Paweł Edmund Strzelecki (1797—1873). W roku 1835 wyruszył on z Anglii w podróż dookoła świata, w czasie której poznał Amerykę Północną i Południową, wyspy Oceanii, Nową Zelandię i Jawę. Najwięcej uwagi poświęcił jednak Australii. Wylądował na tym kontynencie w 1838 roku i postanowił go zbadać. Początkowo interesowały go góry na zachód od Sydney, w których odkrył złoto (1839). W następnym roku Strzelecki przewędrował zupełnie podówczas nieznane obszary tzw. Alp Australijskich. Najwyższy szczyt tego kontynentu nazwany został przez niego Górą Kościuszki (2234 m). Posuwając się dalej na południe zbadał krainę pomiędzy górami a wybrzeżem morskim; później systematycznie penetrował Tasmanię. Anglicy wysoko ocenili jego zasługi. Otrzymał najwyższe odznaczenia oraz doktorat honoris causa uniwersytetu w Oksfordzie.

W Australii jego imieniem nazwane zostało pasmo gór, rzeka (Strzelecki Creek), wzgórze, przybrzeże w Wiktorii, najwyższy

wierzchołek Wypsy Flindersa oraz szereg gatunków roślin i zwierząt.

Także do zbadania kontynentu afrykańskiego wnieśli swój wkład polscy uczeni i podróżnicy. Była już mowa o Maurycym Beniowskim i o jego niecodziennych kolejach losu. Przypomnijmy zatem jeszcze innych. Oto Jan Czekanowski — wybitny antropolog, który w latach 1907—1909 uczestniczył w wyprawie ks. Adolfa Fryderyka Meklemburskiego do środkowej Afryki. Prowadził wówczas badania na mało znanych terenach między górnym Nilem a rzeką Kongo. Stworzył polską szkołę antropologii i zasłynął jako jej najwybitniejszy przedstawiciel.

Oto Antoni Rehman (1840—1917) — krakowski botanik i geograf, który odbył kilka podróży do Afryki południowej. Zajmował się m.in. badaniem etnografii Buszmenów, Hotentotów i Zulusów oraz studiował języki Bantu. (Zebrał ok. 3 tys. okazów botanicznych, w tym kilkaset nieznanymi).

Oto wreszcie Stefan Rogoziński (1861—1896) — żeby tylko wymienić najważniejszych — który opłynął kulę ziemską a następnie zorganizował polską wyprawę do Kamerunu. Doszła ona do skutku w 1882 roku. Na zakupionym we Francji statku „Lucja Małgorzata” wypłynęła ekspedycja z Hawru dnia 13 grudnia. Wśród uczestników znajdowali się jeszcze: Leopold Janikowski i Klemens Tomczek. Zamiarem Rogozińskiego było utworzenie w Kamerunie polskiej posiadłości pod protektoratem angielskim. Projekt nie został zrealizowany, ponieważ — jak wiemy — ten kraj afrykański przydzielono Niemcom na Kongresie Berlińskim w 1884 roku.

Można by jeszcze długo snuć nasze rozważania o Polakach na drogach świata. Cechująca nas ciekawość odległych kontynentów i dalekich mórz trwa po dzień dzisiejszy. Wystarczy tylko przypomnieć naszych słynnych żeglarzy: Leonida Teligę czy Krzysztofa Baranowskiego. W Meksyku mieszka Antoni Halik z Torunia, który dziś należy do najslawniejszych podróżników. Przemierzył on obie Ameryki w ciągu 1536 dni (prawie 5 lat), przeprawił się przez 140 rzek, wyciął 10 kilometrów dżungli, by dotrzeć

do miejsc przeznaczenia; ma za sobą „180 tysięcy kilometrów przygód”.

Nasze ekipy naukowe były 14 razy na Spitsbergenie. Pierwsza wyprawa miała miejsce w 1934 roku. Nasi wybitni alpinści zdobywają szczyty gór w Himalajach i w Andach, w Kanadzie i w Afryce. Teraz chyba czas wyruszyć... na inne planety.

Wacław Stanisław

Spis treści

Odkrywczy, zdobywcy	5
Jedwabny szlak	13
Na skrzydłach monsunu	33
Wielu ich poszło w świat, wielu popłynęło	41
Czeng Ho i Wenecja mórz azjatyckich	48
Odkrycie Ameryki	62
Zdobycie Meksyku	96
Pierwsza podróż wokół kuli ziemskiej	144
Podbój Peru	158
Złoto płynie do Europy	191
Pszczółki zlatują się do miodu	202
W pogoni za syberyjskimi sobolami	212
Na zachód! Na amerykański zachód!	229
Odkrycie Australii	237
Wiek XIX — nasz bezpośredni przodek	248
„Karam-tamo”, człowiek z Księżyca	252
Największy z podróżników	254
Biały człowiek na czarnym lądzie	285
Arktyka — biegun północny	308
Antarktyda	314
Epilog	331
Od wydawcy	333
Polacy na drogach świata	333

Redaktor: KRYSZYNA MOCKO
Redaktor techniczny: MARIA DZIUBA
Korektor: ZDZISŁAW MIĘTKIEWICZ

Wszelkie prawa zastrzeżone
Wydawnictwo „Śląsk” Katowice 1976

Wyd. I. Nakład 20 261 egz.
Ark. wyd. 19,8. Ark. druk. 21,5
Format A5. Papier druk. sat. kl. IV, 70 g 61×86
Oddano do składania 16.8.1975
Podpisano do druku 18.8.1976
Druk ukończono w czerwcu 1976
Symbol 31885/L Cena zł 40,-

Zakłady Graficzne w Katowicach
ul. Armii Czerwonej 138
Zam. 1921/3/75 — N-9

Cena zł 40,-

